

YRSA

SIGURDARDÓTTIR

NIECHCIANI

Wciągające, niepowtarzalne i emocjonujące
James Patterson

Laureatka
Icelandic
Crime Fiction
Award



YRSA **SIĞURDARDÓTTIR**

NIECHCIANI

przełożyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Tytuł oryginału: ***Kuldi***

Projekt okładki: *Vavaq* (Wojciech Wawoczny)

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© iStockphoto.com/GisliDua

© Jeffrey Markowitz/Sygma/Corbis/Fotochannels

© Patryk Kosmider/Shutterstock

© Benoit Daoust/Shutterstock

Copyright © Yrsa Sigurðardóttir 2012

Published by agreement with Salomonsson Agency

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

ISBN 978-83-7758-774-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

Dedykuję tę książkę swojej siostrze Laufey Yr Sigurðardóttir

Yrsa

POSTACIE WYSTĘPUJĄCE W KSIĄŻCE

W Reykjavíku

Óðinn, pracownik państwowego urzędu kontroli

Rún, jego jedenastoletnia córka

Lára, jego zmarła była żona

Baldur, jego brat

Diljá, koleżanka z pracy

Heimir, szef

Róberta, zmarła koleżanka z pracy

Nanna, psychoterapeutka

Pytti, dawny mieszkaniec Krókur

W domu wychowawczym Krókur

Aldís, młoda pracownica

Veigar, kierownik domu wychowawczego

Lilja, jego żona

Hákon, robotnik

Einar, wychowanek domu

Tobbi, wychowanek domu

Óðinn ocknął się, gdy dopadł go kaszel. Jak długo spał? Może tylko się zdrzemnął? Zachichotał i zdziwiło go charczenie dobywające się z jego gardła. Czuł się dobrze, znowu jakby przysnął... Gdzie on, u licha, jest? Spróbował się uśmiechnąć, ale jego obwisłe wargi tylko słabo drgnęły i zachichotał jeszcze raz. Potem zrobiło się cicho. Nie było słycać niczego poza szumem silnika. Monotonny odgłos sprawił, że z powrotem opadły mu powieki. Czy jest pijany? Kolejny atak kaszlu. Ale nie jego. Lekko uchylił powieki i z wysiłkiem się rozejrzył. Siedział na fotelu kierowcy. Obok niego jego córka Rún ze zwieszoną głową, czarne włosy zakrywały jej delikatną twarz. Óðinn roześmiał się, jakby nigdy dotąd nie widział czegoś równie zabawnego. Jednak coś tu się nie zgadzało. Siedział za kierownicą pijany. Naprawdę? Ale czuł się szczęśliwy.

Rún zakaszlała znowu i jej głowa odskoczyła do tyłu. Miękkie włosy zakołysały się lekko do przodu i z powrotem, do przodu i z powrotem, jakby rozwiewał je wiatr. Óðinn znowu nie mógł powstrzymać się od śmiechu, chociaż odnosił wrażenie, że sytuacja wcale nie jest wesoła. Na jego twarzy rozlał się jednak szeroki uśmiech.

Siedzieli w jakimś samochodzie. W garażu. Podbródek opierał mu się ciężko na piersi; uniósł głowę bardzo powoli, jakby była z cienkiego szkła. Co to za garaż? Powinien raczej wiedzieć, ale w żaden sposób nie potrafił sobie przypomnieć. Co my tu robimy? Dlaczego czuję się tak dziwnie? W głowie tłukły mu się odpowiedzi, jednak co rusz gdzieś uciekały – to go irytowało, bo te odpowiedzi były ważne. Bardzo ważne.

Oddychał ciężko przez nos. Kiedy przymrużył oczy, jako tako rozpoznawał otoczenie, lecz za każdym razem miał wrażenie, że jego powieki zaraz zamkną się na zawsze. Ponownie ogarnęła go chwilowa radość i teraz udało mu się jeszcze raz naprawdę uśmiechnąć. Tak przynajmniej sądził. To było cudowne. Ze sporym wysiłkiem zdołał wziąć swoją córkę za rękę. Była całkiem zwiotczała. Bezsensowna wesołość opuściła go. Mocniej ścisnął wilgotną dłoń. Rún nie zareagowała, po prostu wisiła bezwładnie podtrzymywana pasem bezpieczeństwa.

Tchnienie rozsądku przebiło się przez otumaniającą mgłę. Coś tu się zupełnie nie zgadza. Dlaczego siedzą w samochodzie? W tym garażu, który wydaje mu się skądś znajomy? Powinien to wiedzieć, więc próbował sobie przypomnieć, w jaki sposób tu trafili. Ale gdy tylko jakaś myśl zaczynała nabierać kształtu,

natychmiast znowu blakła, robiła się nijaka i znikąca. Lára. Lára. Lára. Jego była żona, matka Rún. Co ona miała z tym wspólnego? Znowu zachichotał, choć wcale nie uważał tego za śmieszne.

Kolejny raz ogarnął go atak kaszlu tak silny, że aż poczuł płomień w piersi. Kiedy łapał oddech, powietrze wydało mu się jakieś dziwne. Kwaśnawe. Zatrute. Uśmiechnął się, jednocześnie po omacku wyciągając rękę, żeby rozkręcić do końca regulator nawiewu, ale nie zdołał i opadł bezsilnie na dźwignię zmiany biegów. Wiedział, że to powinno zabołec, lecz ból był tak tępy, że Óðinn nawet się nie skrzywił. Jakby miał na sobie gruby kombinezon narciarski. Przyjrzał się sobie i stwierdził, że jest ubrany zupełnie normalnie. Tylko bez kurtki. Dziwne. Czy na dworze nie jest lodowato? Zdaje się, że jest zima. Czy nie? Nie miał pewności. Ale to nieważne. Coś (albo ktoś) mówiło mu, że wszystko będzie dobrze. To chyba Lára. Przynajmniej głos brzmiał podobnie.

Widok Rún zwisającej bezwładnie tuż obok był straszny. Całkiem zgasił jego radość. Odwrócił wzrok. Powoli. Bardzo powoli. Jego głowa była nadal jak z cieniutkiego szkła. Podbródek opadł mu na lewe ramię. Uśmiechnął się. Tak jest o wiele lepiej. Teraz zobaczył, że szyba po stronie kierowcy jest opuszczona, i serce mu zamarło. Powietrze za oknem wyglądało na szare i zawiesiste. Dlaczego miał wrażenie, że skądś to dobrze zna? Spaliny. Trujące wyziewy z rury wydechowej. Powinien coś o tym wiedzieć. To w jakiś sposób wiąże się z jego pracą. Óðinn wstrzymał oddech i w tym momencie jego myśli stały się bardziej klarowne. Nienaturalna radość ustąpiła przerażeniu, bo przypomniało mu się, że ludzie uduszeni z powodu braku tlenu tuż przed śmiercią odczuwają zawsze ogromną błogość, bo mózg w tej ostatniej chwili obdarza ich taką łaską. Żeby mogli umrzeć szczęśliwi. Jakie to ładne.

Kto mógł im to zrobić? Kto? No kto? Óðinn zaczął na nowo chichotać, ale jednocześnie po policzkach popłynęły mu łzy. Musi to sobie przypomnieć! Gdzie oni wcześniej byli? Poczł w ustach smak hamburgera; majaczyło mu się, że chyba siedział w jakimś barze. Z Rún. Ale gdzie są teraz? Mgła ponownie zgęstniała i nic już nie wiedział. Nic nie przebijało się do jego świadomości, oprócz przerażającego stwierdzenia, że stracił bezcenną energię na łamanie sobie głowy nad rzeczami, które nie mają już żadnego znaczenia. Powinien był raczej spróbować wydostać córkę i siebie z tego samochodu. Rún. Najdroższa Rún. Ma jedenaście lat. Do diabła z nim samym. Właśnie udało mu się obrócić głowę w jej stronę. Chciał krzyknąć, lecz nie miał dość siły. Jego córka wisała na siedzeniu przypięta pasem, na jego oczach walczyła ze śmiercią, a on nie był w stanie nawet się ku niej pochylić.

Óðinn zarechotał, a po twarzy znowu pociekły mu łzy. Wolałby, by ta cała wesołość została mu oszczędzona. Bo kto chciałby w chwili własnej śmierci być jak pijany? Podczas gdy własne dziecko zмага się ze śmiercią? Nikt. Z jego gardła

wydobył się charkot, coś pomiędzy kaszlem a śmiechem. Zbliżał się koniec, a on nie był w stanie nic na to poradzić. Zawiódł. Inni ojcowie być może daliby radę otworzyć drzwi, podczołgać się na drugą stronę samochodu i wyciągnąć swoje dziecko. Wystarczyło tylko lekko uchylić bramę garażu, by ocalić ich oboje. Albo chociaż Rún. Jego własny los był mu obojętny, byleby tylko ona przeżyła.

Roześmiej się jeszcze ostatni raz, rozkazał mu mózg. Óðinn posłuchał i wybuchł śmiechem na całe gardło, lecz pozostał nieporuszony, śmiał się bezsilnie i bez jakiegokolwiek radości. Potem ucichł i jego mgliste myśli nagle stały się klarowniejsze. Przypomniawszy sobie, gdzie oboje mogą się teraz znajdować, jednak nijak nie potrafił dojść do tego, jak się tu znaleźli. Przypomniawszy też sobie, dlaczego Lára odgrywa w tym pewną rolę, mimo że przecież nie żyje. Przypomniawszy sobie dwóch chłopców, którzy zmarli kiedyś w identyczny sposób. A przede wszystkim wiedział już teraz, kto kryje się za tym, że on i córka są tutaj w takim stanie. Wściekłość podjęła wąż próbę zawładnięcia nim całym, lecz w obliczu smutku wypełniającego jego pierś ustępowała nawet pijana wesołość. Już nie było z czego się śmiać.

Óðinn nie był w stanie dłużej wstrzymać oddechu. To koniec. Otworzył usta i wciągnął kwaśne powietrze.

ROZDZIAŁ 1

Óðinnowi Hafsteinssonowi brakowało tego: lubił ująć młotek w dłoń, zamachnąć się i uderzyć w główkę galwanizowanego czterocalowego gwoźdźca. Podczas studiów nie śleczął nad książkami ani o minutę dłużej niż to było konieczne, a po ich ukończeniu szybko zrezygnował z pracy w biurze inżynierskim, ponieważ był w nim skazany na śleczenie cały czas przed komputerem. Później odnalazł właściwe powołanie w firmie budowlanej swojego brata, gdzie odpowiadał za przygotowywanie ofert i niezbędne wyliczenia. Wprawdzie większość czasu pracy musiał spędzać w biurze, ale robił też sobie wypadki na plac budowy i tam dopiero mógł się wyżyć. Wymarzona robota. Jednak teraz znowu zamienił się w biurowego gryziopiórka, zrobił się blady i nijaki po trzech miesiącach nudy, apatii i tkwienia w zamknięciu. A dzisiejszy dzień był najgorszy – na zewnątrz szalała zawierucha, wszystkie okna pozamykane, w głowie mu huczało, a gdy został wezwany do kierownika biura, Heimira Tryggvasona, poczuł się jeszcze gorzej.

Heimir jak zwykle zezował jednym okiem w bok i Óðinn jak zawsze walczył ze sobą, by nie patrzeć w tym samym kierunku.

– Jeśli będziesz miał jeszcze jakieś pytania, po prostu przyjdź do mnie – powiedział szef. – Wprawdzie nie znam dobrze tego przypadku, ale może do czegoś ci się przydam.

Óðinn skinął tylko głową, bo już dwukrotnie podziękował mu za tę propozycję.

– Najważniejsze teraz to ustalić rozmiary i zorientować się, czy nie mamy tu do czynienia z tykającą bombą. Oczywiście liczę na to, że nie, ale gdyby się okazało, że jest inaczej, to moglibyśmy dla odmiany ubiec media i uprzedzić falę współczucia, jaka by się wtedy na pewno rozlała. To nie byłoby złe. – Drwiący uśmiezek wkradł się na usta Heimira, a jego jedno oko uciekło w bok tak bardzo, że widać było zaledwie pół źrenicy.

– To wszystko? Wydaje mi się, że mniej więcej wiem, co mam robić. Zacznę od tego miejsca, w którym przerwała Róberta, i doprowadzę projekt do końca.

Uśmiezek zniknął z ust Heimira.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ile pożytku możemy mieć z pracy Róberty. Ona była w gorszej formie, niż się nam wszystkim wydawało, i być może ucierpiała na tym też jej praca. Niedobrze, że nikt wcześniej niczego nie zauważył, ale oczywiście trudno było przewidzieć, że sytuacja jest aż tak poważna.

Óðinn już otworzył usta, w końcu jednak nic nie powiedział. Dla nikogo nie było tajemnicą, że z Róbertą źle się działo. Przy każdym kroku postękiwała i z twarzą wykrzywioną bólem wciąż chwyciła się za prawe ramię i górną część pleców. Nawet jeśli nikt nie mówił tego głośno, nikogo nie zaskoczyło, gdy się okazało, że umarła na zawał serca. Nikogo też nie zdziwiło, że stało się to w biurze, kiedy wszyscy już dawno poszli do domu. Normą było, że ona wychodziła ostatnia. Wielu jednak się przeraziło, ponieważ ich koleżanka przez całą noc siedziała nieżywa na swym miejscu pracy. To smutne, że nikomu jej nie brakowało, kiedy nie wróciła do domu. Koledzy, którzy następnego ranka jako pierwsi zjawili się w biurze, przeżyli szok, a Óðinn naprawdę się cieszył, że nie było go przy tym. Róberta zwiisała ze swojego fotela, z opuszczonymi bezwładnie ramionami, z głową odchyloną do tyłu, otwartymi ustami i wykrzywioną bólem twarzą.

Nie pojmował, jak Heimir mógł swego czasu wpaść na pomysł, by powierzyć tej kobiecie jeden z nielicznych bardzo wymagających projektów. Co jak co, ale na ludziach to jego szef się nie znał. Może zrobił to z identycznych powodów, dla których teraz wybrał do tego samego zadania Óðinna: ponieważ ma wykształcenie techniczne i według Heimira nie da się wyprowadzić z równowagi drobiazgami. Innymi słowy, wydawało mu się nieprawdopodobne, by podszedł do tego projektu przesadnie emocjonalnie.

– Najpierw się zorientuję, jak daleko doszła. Może nawet zamkneła już jakąś część – rzekł Óðinn.

– Nie rób sobie zbyt dużych nadziei – odparł Heimir i rzucił w jego stronę współczujące spojrzenie.

Óðinn wstał. Poczł nawet pewną radość, bo wreszcie miał przed sobą jakieś sensowne zadanie i nie będzie już musiał zbijać bąków. To był projekt z prawdziwego zdarzenia, raport z działalności domu wychowawczego Krókur, w którym w latach siedemdziesiątych umieszczano trudną młodzież. Chodziło o sprawdzenie, czy wskutek złego traktowania czy stosowania przemocy wychowankowie domu doznali jakiegoś trwałego uszczerbku na zdrowiu i czy ewentualnie mają prawo do odszkodowania. Wokół tej placówki panowała dotychczas nietypowa cisza; na razie nikt nie domagał się odszkodowania ani nie wypowiedział się na ten temat w mediach – być może rzeczywiście wszystko było tam w porządku.

– Weź papiery Róberty z jej biurka.

Chociaż Państwowej Izby Kontroli nie uważano za instytucję szczególnie znaczącą, obowiązywała w niej nieformalna hierarchia. Wprawdzie wszyscy mieli jednakowo skromnie wyposażone stanowiska pracy, jedni wszakże dostawali miejsce przy oknie, podczas gdy inni musieli siedzieć naprzeciwko pomalowanej

na białe ściany. Óðinn należał do tych ostatnich, ale i tak miał lepiej niż Róberta, którą wciśnięto do najdalej leżącego boks. Do jej kąta nie docierał już nikt poza tymi, którzy rzeczywiście czegoś od niej chcieli. Z drugiej strony, mogła dzięki temu w spokoju pracować i w przeciwieństwie do niektórych kolegów nie była przywoływana do porządku z powodu samowolnego przyozdabiania swojego miejsca pracy. Może po prostu nikt tego nie zauważał. Óðinn patrzył teraz na ściankę oddzielającą biurko Róberty i nie mógł się nadziwić tej zbieraninie – skomplikowana układanka ze zdjęć, które w żadnym punkcie nie nachodziły na siebie.

– Dosyć *strange*, prawda?

Diljá Davíðsdóttír z najbliższego boks. zajrzała ponad ścianką zadowolona, że ma jakieś towarzystwo.

– Czy ja wiem? Lepsze to niż pusta ściana.

Óðinn pochylił się nad jednym ze zdjęć, które w przeciwieństwie do pozostałych było prawdziwą odbitką fotograficzną, a nie wydrukiem z komputera. Wnioskując po strojach przedstawionych osób, pochodziło sprzed wielu lat, kolory też były wyblakłe. Za jakiś czas zostanie jedynie biały błyszczący prostokąt.

– To jej rodzina? – spytał.

Zdjęcie ukazywało dwóch młodych ludzi w dzinsach z podwiniętymi nogawkami i w znoszonych swetrach na kopcu ściętej trawy. Kiedy Óðinn przyjrzał się im dokładnie, stwierdził, że chłopcy są tak różni, że nie mogą być spokrewnieni. W pierwszej chwili twarz jednego wydała mu się znajoma, lecz im dłużej się przyglądał, tym mniej był o tym przekonany. Po prostu jeszcze jedna typowo islandzka okrągława twarz.

– Nie mam zielonego pojęcia. Róberta nigdy nie odpowiadała na takie pytania, a ja nie chciałam być natrętna. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby je sobie wycinała i tu wieszala.

Óðinn odwrócił wzrok od zdjęcia i wyprostował się. Zgłębianie porządku i znaczenia owej mozaiki było raczej bezcelowe – jedyna osoba, która wiedziała cokolwiek o wymowie tej ściennej dekoracji, leżała w grobie na cmentarzu Grafarvogur. Lepiej będzie dla niego, jeśli zajmie się aktami. Kątem oka dostrzegł, że Diljá nadal go obserwuje.

– Czy ona miała jakiś własny system porządkowania dokumentów? – spytał.

– Hm... chyba nikt nie był tak dobrze zorganizowany jak ona. Ale jaka logika się w tym kryła, nie wiem. – Zamilkła i popatrzyła uważnie na Óðinna dużymi niebieskimi oczami. – Prawdopodobnie mocno skomplikowana.

– Mam nadzieję, że nie.

– Dlaczego się tym interesujesz? Masz przejrzeć jej rzeczy? – zaciekała się i uśmiechnęła szeroko. – Super, byłam prawie pewna, że...

– Nie ciesz się za wcześnie. – Óðinn otworzył jeden z segregatorów i szybko go przekartkował. – Mam zająć się tylko domem poprawczym w Krókur, resztę musi przejąć raczej ktoś inny. Może ty?

Uśmiech zniknął z twarzy Dilji. Jej pomalowane na czerwono usta zmieniły się w cienką kreskę, gdy wysunęła podbródek do przodu.

– Na twoim miejscu miałabym się na baczności i nie przejmowałabym tego projektu.

Óðinn odłożył segregator na bok, ponieważ właśnie dotyczył Krókur, i sięgnął po następny.

– No cóż, raczej nie cierpimy tu na zalew ekscytujących zadań – odpowiedział. W miarę upływu lat ich biuro coraz bardziej traciło na znaczeniu. Sprawy, do których zostali wcześniej powołani, z powodzeniem przejęli inni, a im pozostawały już tylko ochłapy, mało interesujące dla dużych państwowych urzędów albo takie, które Heimir zdołał wyrwać dyrektorom ministerialnych departamentów na comiesięcznych odprawach.

– Mimo wszystko nie miałabym najmniejszej ochoty użerać się z dawnymi nieletnimi opryszkami, nawet jeśli wtedy nie najlepiej się z nimi obchodzono. Minęło już tyle czasu, a tamte chłopaki na pewno nie były niewinnymi aniołkami, tak samo zresztą jak w innych poprawczakach.

– Uważam, że „opryszki” to nie jest właściwe określenie. – Óðinn odstawił na miejsce segregator, który nie dotyczył Krókur, i sięgnął po kolejny. – O ile wiem, chodziło o jakieś drobne wybryki, przecież to były jeszcze dzieci.

Diljá prychnęła pogardliwie.

– To nie ma nic do rzeczy. Dzieci potrafią być potwornie brutalne. Ostatnio śledziłam w internecie dyskusję o chłopaku z północy, który podobno zamordował dwójkę dzieci. Nie miał nawet trzynastu lat! Może kiedyś umieszczano w poprawczaku właśnie takich. Dlatego ja wolałabym się trzymać od tego z daleka.

– Tego się nie obawiam. W Krókur nie było żadnych zabójców, możesz mi wierzyć. Wiedzano by o tym już wcześniej.

Wzrok Dilji zatrzymał się na biurku Róberty.

– Ona ciągle coś do siebie mówiła – powiedziała i spojrzała przelotnie na Óðinna. – Mam na myśli Róbertę. – Zawahała się chwilę, po czym ciągnęła dalej: – Na ogół tak niewyraźnie, że nie mogłam zrozumieć ani słowa, czasami tylko mamrotała coś pod nosem, ale parę razy usłyszałam wszystko, co do joty. I to było naprawdę dziwne.

- Tak? - rzucił Óðinn, zagłębiany w aktach i zatopiony we własnych myślach. Nie interesowały go opowieści Dilji. Prawie się nie znali, a jej paplanina przy automacie do kawy o ludziach, o których nie miał pojęcia, albo o politykach, którzy ją wkurzali, nigdy mu się nie podobała. Toteż bardzo się cieszył. Był zadowolony z siebie, że na imprezie firmowej dwa miesiące temu nie wylądował z Dilją w łóżku. Ona w każdym razie nie była niechętna, a spędzenie z nią nocy wydawało mu się akurat wtedy całkiem nęcące. Musiał jednak iść do toalety, a kiedy wrócił, ona przeniosła już swoje zainteresowanie na drugiego samotnego kolegę. W następne dni po imprezie Diljá i tamten typ zachowywali się tak skandalicznie, że wszyscy oddychali z ulgą, jeżeli jednego z nich nie było. Jeśli Óðinn będzie chciał znaleźć sobie nową kobietę, to na pewno nie w pracy. Przy czym jego szanse, tak czy inaczej, nie są wielkie. Jako ojciec samotnie wychowujący jedenastoletnią córkę, na dodatek ani ulubieniec kobiet, ani nadziany, z całą pewnością nie należy do najlepszych partii w mieście. Ale nie zamierzał się skarżyć. Czasami wystarczyła jedynie drobna wzmianka o córce, żeby przygodną znajomość po wyskoku *one-night* wypłoszyć z samego rana z łóżka.

- Mam wrażenie, że ten projekt wpędził ją do grobu. Coś w nim nie gra i powinieneś dobrze się zastanowić, czy w to wchodzić - upierała się Diljá.

- Już to zrobiłem - oświadczył Óðinn. Nie widział potrzeby, żeby ciągnąć dalej tę rozmowę i zwracać uwagę koleżance, że choroba Róberty była widoczna na długo przedtem, nim zajęła się losem wychowanków z Krókur. Czy to drażliwe zadanie okazało się kroplą, która przepełniła czarę, to zupełnie inna kwestia.

W każdym razie Óðinn był przekonany, że czekająca go praca nie będzie miała na niego negatywnego wpływu. On nie pozwoli obciążać się problemami innych, bo ma dość własnych. Tyle że on, w odróżnieniu od tamtych biedaków z Krókur, sam był odpowiedzialny za swój los. Mając dwadzieścia cztery lata, poznał starszą o dwa lata Lárę. Zamieszkali razem, pobrali się i po roku przyszła na świat ich córka. Po urodzeniu się Rún stało się dla niego całkowicie jasne, że związek z Lárą nie ma przyszłości. Opuścił ją i ich świeżo ochrzczone dziecko, co nie okazało się dla jego żony specjalnym szokiem. Szybko przyzwyczaili się do nowej sytuacji i życie toczyło się dalej - co prawda jej było znacznie trudniej niż jemu.

Dobre pół roku temu spotkała go katastrofa. Lára wypadła z okna swojego mieszkania i od tej chwili jego życie gruntownie się zmieniło. Weekendowy ojciec należał do przeszłości, już nie wystarczało pójść co drugi tydzień z Rún do kina czy wybrać się z nią na hamburgera. Zmienił pracę, żeby móc lepiej opiekować się córką; a swoje wygodne, perfekcyjne życie zostawił za sobą. Jeszcze nie przyzwyczaił się do końca do tej zmiany, odzyskiwanie gruntu pod nogami dokonywało się stopniowo.

- Ja nie żartuję. Nieraz sama widziałam, jak Róberta wzdychała i pojękiwała,

jakby ten ciężar ją dusił. – Kiedy Diljá zauważyła, że Óðinn nie daje się wyprowadzić z równowagi, nieco przytłumionym głosem dodała: – Czasami sprawiała wrażenie, jakby z kimś rozmawiała. Ale na pewno nie ze mną.

– Pewnie mówiła do siebie albo mamrotała pod nosem. W końcu coś takiego się zdarza nawet osobom przy zdrowych zmysłach – stwierdził Óðinn. Właściwie nie sądził, by chorobom serca towarzyszyły halucynacje, ale co on tam wie? Był na siebie zły, że nie utrzymał języka za zębami, bo gdyby nie te słowa, Diljá na pewno usiadłaby z powrotem na swoim miejscu i zostawiła go w spokoju.

Jednak kiedy po raz kolejny się odezwała, ton małej dziewczynki, który przybierała, rozmawiając z mężczyznami, zniknął. Powiedziała poważnym, pełnym wzburzenia głosem:

– Dobrze wiem, o czym mówię! Ostatecznie znałam ją od prawie dwóch lat. Ona wcześniej taka nie była. To nie było normalne i ta jej zmiana wiązała się z projektem. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Nie czekając na reakcję Óðinna, zasiadła znowu za swoim biurkiem. Oczywiście przez ciekłą ściankę oddzielającą boksy doskonale wszystko by słyszała, lecz on wolał nic już nie mówić i dalej grzebał w dokumentach. Kiedy w końcu trafił na drugi segregator dotyczący Krókur, nie pora już była na podjęcie rozmowy na nowo. Niemal brakowało mu paplaniny Dilji, albowiem lektura dokumentów okazała się dość ponura. Na pierwszej stronie znajdowała się kopia zdjęcia wiszącego na ściance, tego, które przykuło jego uwagę. Poniżej Róberta zapisała dwa nazwiska i postawiła przy nich krzyżyki:

Tobbi Jónasson †

Einar Allen †

Dopiero teraz Óðinn poczuł powiew zimnego powietrza z urzędnika klimatyzacyjnego tuż nad sobą. Skóra na głowie pokryła mu się gęsią skórką. Zatrzasnął segregator. W jego boksie jest cieplej, wolał więc przejrzeć dokumenty u siebie. Chociaż nie miał już tej kartki przed oczami, wciąż wyraźnie widział tamte dwa nierówne krzyżyki. Otrząsnął się z niemiłego wrażenia i przecisnął się przez wąskie wyjście z boksu. Z jakiegoś niewiadomego powodu nie chciał, aby ci chłopcy z fotografii wpatrywali się w niego swym czujnym wzrokiem. Może dlatego, że obserwowali walkę Róberty ze śmiercią, nie mrugnawszy powieką. Może nawet się cieszyli, że dołączyła do nich i w końcu mogli komuś opowiedzieć, co wtedy zdarzyło się w Krókur.

ROZDZIAŁ 2

styczeń 1974

W jednej gumowej rękawiczce zrobiła się dziura. Aldís zacisnęła zęby. Nie chciała wymieniać brudnej wody dla zaledwie paru naczyń, które jeszcze zostały do umycia. Poza tym nie miała ochoty słuchać całego tego biadolenia i gadki o luksusie i rozrzutności. Nie orientowała się, ile kosztuje płyn do mycia naczyń, ale sądząc po owych lamentach, był wręcz płynnym złotem. Dlatego tak na nim oszczędzano – wystarczyło wstawić brudne naczynia do wody i już było po pianie. A przecież nie zmywała po dwóch, trzech osobach, tylko po siedmiu chłopcach plus robotnicy i ona sama. Gdyby małżeństwo, które prowadziło dom, było normalne, już dawno znalazłaby się tu zmywarka. Ale nie, powinna być wdzięczna, że od czasu do czasu dostaje nową parę gumowych rękawiczek.

– Co się tak tu guzdrzesz?

Można było odnieść wrażenie, że już sama myśl o małżeństwie prowadzącym dom wychowawczy, o Lilji i Veigarze, zwabiła szefową. Nagle Aldís poczuła jej oddech na plecach.

– Chyba nie zapomniałaś, że dzisiaj przyjeżdża nowy i musisz jeszcze przygotować dla niego łóżko – gderiała.

– Nie – odparła Aldís, doskonale zdając sobie sprawę, że ta odpowiedź zostanie zrozumiana opacznie. Mogło się wydawać, że wręcz zależy jej na tym, żeby rozdrażnić tę kobietę.

– Przecież mówiłam ci już ze sto razy. Jak mogłaś zapomnieć? W końcu nie za często musisz tu używać mózgu. – Ton głosu Lilji wyraźnie zdradzał, że besztanie Aldís sprawia jej przyjemność.

Aldís spojrzała sobie samej w oczy w szybie ponad zlewem. Dzięki wyjątkowo ciepłej pogodzie śnieg stopniał i zrobiło się sucho. Na zewnątrz było wszędzie czarno.

– Miałam na myśli to, że nie trzeba słać mu łóżka. Bo już to zrobiłam – odparła. Zaległa cisza. Aldís domyślała się, że Lilja szuka teraz w głowie właściwej odpowiedzi. – Wiedziałam, że nie dam rady dziś wieczorem. Poza tym takie rzeczy lepiej robić, kiedy chłopcy są na dworze.

Nowemu podopiecznemu przydzielono górne miejsce na piętrowym łóżku w dwuosobowym pokoju, w którym nikt już nie sypiał, od kiedy jego poprzedni lokator odszedł miesiąc temu. Tamten chłopak był nadzwyczaj spokojny i chociaż

od jego wyjazdu minęło niewiele czasu, Aldís nie potrafiła już sobie przypomnieć jego twarzy. Może właśnie dlatego, zanim trafił tutaj, mógł okradać sklepy – przy tego rodzaju zajęciu taki niepozorny wygląd to na pewno zaleta.

– No, czyli jednak pomyślałaś.

Udzielenie komuś pochwały było dla Lilji czymś całkowicie niewyobrażalnym. Kiedy bardzo rzadko, raz czy drugi, wyrażała swoje zadowolenie, to i tak brzmiało to jak przygana. W pierwszych tygodniach swojej pracy tutaj, czyli dobre pół roku temu, Aldís nie mogła się uskarżać na tę kobietę, ale w ostatnich dwóch miesiącach nie dało się z nią wytrzymać. Czemu może trudno było się dziwić. Najgorzej bywało w takich momentach jak ten, kiedy Veigar wyjeżdżał, co na szczęście nie zdarzało się często. Jakkolwiek nedorzecznie to mogło brzmieć – Aldís nie miała wątpliwości, że Lilja nie ufa swojemu mężowi nawet wtedy, kiedy jedzie po nowego wychowanka. Oboje byli wręcz stworzeni dla siebie: ona zgorzkniała, a on pełen agresji wobec wszystkich i wszystkiego. Która kobieta chciałaby zadawać się z kimś takim? Aldís nie rozumiała, dlaczego Lilja się obawia, że jej mąż mógłby ją zdradzić, ale to musiało mieć związek z tamtym szokiem, jakiego wtedy doznała. Może po tym, co się stało, Veigar stracił zainteresowanie żoną. Przemknęło jej przez myśl, że przypuszczalnie on widział to samo co ona, kiedy patrzyła na Lilję – zgrozę, której nie potrafiła wyprzeć.

Aldís wróciła do zmywania. Nie chciała myśleć teraz o tamtej sprawie, usiłowała ignorować swoją szefową, która nadal za nią stała. Mocno grzechotała naczyniami, żeby zagłuszyć ciężki oddech Lilji. Wiedziała, że nie ma co prosić, żeby sobie poszła, bo chociaż Aldís nie jest jedyną osobą pracującą tutaj, szefowa nigdy nie nadzorowała robotników. Widocznie przy mężczyznach czuła się nieswojo.

Mokre gumowe rękawiczki były obrzydliwe. Aldís nagle przyszło do głowy, że może Veigar przypadkiem rzucił na nią okiem, i to dlatego Lilja zachowuje się wobec niej w ten sposób. Ta myśl była nie do zniesienia. Miała już dość samych chłopaków. Ich oczy śledziły ją krok w krok, czasami czuła się jak kura zmuszona paradować przed gromadą kogutów. Nie bała się ich wprost, ale mimo wszystko to, jak mierzyli ją wzrokiem, nie było przyjemne. Mieli od trzynastu do szesnastu lat, a Aldís niedługo skończy dwadzieścia dwa. Jednak ta różnica wieku w ogóle im nie przeszkadzała – była kobietą, i to wystarczyło. Nieważne, że zakrywała swoje krągłości i jak najmniej dbała o wygląd, związywała włosy w koński ogon i wcale się nie malowała; oczy tych chłopców i tak ciągle towarzyszyły każdemu jej ruchowi. A zaraz miało być tu ich jeszcze więcej.

A najbardziej odbierała jej pewność siebie ta krzycząca cisza, jaka nastawała za każdym razem, kiedy zaczynali się na nią gapić, jakby na coś czekali, ona zaś nie wiedziała i wołała nie wiedzieć na co. Często zrywała się raptownie w środku nocy, bo śniło jej się, że siedmiu chłopaków wlepia w nią oczy, nic nie mówiąc i

nie mrugając nawet powieką. Nie mogła sobie przypomnieć, o co tak naprawdę chodziło w każdym takim śnie, a kiedy następnego dnia rano próbowała odtworzyć go sobie w pamięci, serce zaczynało jej walić i znowu widziała przed sobą jedynie te czarne jak smoła oczy. Śmieszne próby wmawiania sobie, że chodzi tylko o tęsknotę tych dzieciaków za życzliwością i ciepłem, nic nie dawały, aż z czasem się nauczyła, żeby tuż po przebudzeniu nie zastanawiać się nad tym, tylko przekręcić się na drugi bok i zacząć myśleć o czym innym. Na przykład o tym, kiedy byłoby najkorzystniej złożyć wymówienie i się stąd ulotnić. Albo wyliczyć sobie w głowie, ile może odkładać co miesiąc i ile już ma oszczędności. Jeśli się nie myliła, to raczej nie potrwa długo, jak będzie w stanie pojechać do Reykjavíku, bo oszczędności wystarczą jej na wynajęcie pokoju i utrzymanie, a ona w tym czasie będzie się rozglądać za nową pracą. Prawdziwą pracą. I nigdy już tu nie wróci. Nigdy więcej. I nie będzie żałować.

Wreszcie na ociekaczu znalazł się ostatni talerz. Gdy Aldís zerwała z rąk rękawiczki, w powietrzu uniósł się zgniły zapach gumy.

- Trzeba kupić nowe rękawiczki. Te są podarte - powiedziała.

Lilja nadal stała w kuchni, ale już nie za jej plecami; tylko sprawdzała, czy szklanki w kredensie nie mają plam. Oczywiście zignorowała jej żądanie, a Aldís, zamiast powtórzyć je jeszcze raz, odłożyła rękawiczki i życzyła szefowej dobrej nocy. Może lepiej, że Lilja nie zwraca na nią uwagi, bo mogłaby jeszcze wymyślić dla niej jakąś nową robotę. Aldís wymknęła się z kuchni, wzięła kurtkę i wyszła w ciemność.

Jej pokój znajdował się w niewielkim domku oddalonym dosłownie o żabi skok od głównego budynku. Całe obejście składało się z trzech domów, bliskich zawalenia dwóch małych szop i obory. Poprzedni mieszkańcy trzymali w niej kilka sztuk zwierząt, a kiedy całość przejęli Veigar i Lilja, mieli dwie możliwości: albo całkiem zrezygnować z gospodarstwa, albo oprzeć je jeszcze na czymś innym. I tak stworzyli dom wychowawczy z małym gospodarstwem rolnym. Jednak południowo-zachodnia część półwyspu Reykjanes z niewielkimi łąkami i o izolowanym położeniu nieosłoniętym od wiatrów nie najlepiej nadawała się do tego celu. Być może pierwotni właściciele tego miejsca mieli zamiar usunąć pozostałości lawy i założyć pola uprawne, ale niewiele z tego wyszło. Posiadłość znajdowała się też spory kawałek od morza, w związku z czym nie dawało się także żyć z rybołówstwa. Możliwe, że pierwsi mieszkańcy szukali po prostu ciszy i spokoju. A tego tu nie brakowało.

Do Keflavíku jechało się pół godziny, a do Reykjavíku - dobrą godzinę. Początkowo Aldís starała się wybierać do miasta tak często, jak tylko się dało, ale bardzo rzadko nadarzała się okazja, żeby mogła się z kimś zabrać. Nie miała własnego auta, a gospodarze niezbyt chętnie ją podwozili. Albo samochód był zapchany jakimiś rupieciami, albo nie mieli pewności, kiedy będą wracać. Nie

oznaczało to dla niej końca świata, więc się nie upierała, poza tym dzięki temu wydawała mniej pieniędzy; wiedziała, że to pozwoli jej wcześniej się stąd wynieść.

Z każdym krokiem czuła, jak ospałość, która w ciągu dnia stopniowo ją ogarniała, teraz powoli ustępuje. Spojrzała na pole, szukając wzrokiem biednego ptaka, który pojawił się tu jesienią – osamotniony, ponieważ inne ptaki wędrowne wyruszyły już w drogę na południe. Może uznał, że jest za stary na taką długą podróż, albo się zranił. Aldís było żal opuszczonego i bezradnego stworzenia. Dlatego podrzucała mu okruchy chleba i inne resztki z kuchni, co pozwoliło mu do tej pory przeżyć.

Teraz nigdzie nie było go widać, więc Aldís położyła suchą skórkę chleba w tym samym miejscu co zawsze, pod szczytową ścianą głównego budynku. Tam nie wiało i jeśli nie spadnie śnieg, ptak będzie mógł dobrać się do niej trochę później albo w nocy. Przyspieszyła kroku, mimo że przecież nie czekało jej nic szczególnego; po pracy najczęściej kładła się na łóżku i czytała, ewentualnie przed zaśnięciem słuchała jeszcze w radiu powieści w odcinkach. Nawet jeśli te historie zwykle nie bardzo się jej podobały, wołała już to niż chrapanie robotników, którzy mieszkali w tym samym domku.

Słaby dym tytoniowy dotarł do jej nozdrzy i nagle zobaczyła pomarańczowy żar papierosa rozświetlający twarz Hákona. Wszyscy trzej mężczyźni z jej domku palili bez umiaru. I chociaż przeważnie kopcili w środku, czasami nawet oni sami musieli mieć dość tego dymu i wychodzili zapalić na zewnątrz, na schody. Hákon patrzył przed siebie i nie spojrzał na Aldís, ale na pewno musiał ją zauważyć. Był raczej małomówny, toteż mimo że od pół roku mieszkali pod jednym dachem, ona prawie go nie знаła. To samo dotyczyło Mallego i Steiniego, którzy również zajmowali pokoiki w tej ruderze noszącej wyszukaną nazwę „hotelu dla pracowników”. Oni zaś między sobą nazywali ją „małym domkiem”. Mieli w nim wspólny pokój dzienny, rzadko używany, ponieważ telewizor był zepsuty, a w talii kart leżącej na niskim stoliku brakowało dwóch asów. Każdy więc wołał zostać w swoim pokoju i oddać się własnym myślom.

– Dopiero skończyłaś? – słowem Hákona towarzyszył dym wydobywający się z jego ust.

– Tak. Chłopcy naprawiali jeszcze ogrodzenie i przyszli późno na kolację.

Wychowankowie domu musieli wykonywać różne prace w obojętym, za co nie dostawali żadnej zapłaty. Ale mogli też czasami pomagać w innych gospodarstwach i wtedy wolno im było zachować wynagrodzenie dla siebie, podobnie jak w rzadkich przypadkach, gdy udało im się zdobyć jakąś prostą robotę w przetwórnicy rybnych w okręgu Suðurnes. Ale biorąc pod uwagę ich ciężką harówkę, i tak otrzymywali za swoją pracę śmiesznie mało. Podobnie jak

ona.

– Później przyjedzie jeszcze jakiś nowy – dodała Aldís wyjaśniająco.

– Podobno.

W Krókur nie było specjalnie o czym mówić, normalnie Hákon tylko kiwał w jej kierunku głową i ewentualnie życzył dobrej nocy. Był dużo starszy od niej i jeśli można wierzyć paplaninie Lilji, miał za sobą długą karierę drobnego kryminalisty. Włamanie i podrabianie czeków, żeby zdobyć pieniądze na upijanie się do nieprzytomności, nad którym udało mu się chyba teraz zapanować. Jednak jego oczy nadal jeszcze były podbiegłe krwią, a ręce ciągle mu drżały.

– Wiesz coś o nim? – zapytała Aldís, żeby nie wyjść na zarozumiałą. W gruncie rzeczy ten chłopak obchodził ją tyle co nic. Wszyscy oni, kiedy tu przyjeżdżali, byli najpierw wrzaskliwi i rozsadzała ich furia, ale ta zadziorność szybko z nich opadała. Nawet ci najdzikszy i najbrutalniejsi poddawali się frustracji – nikt ich tutaj nie odwiedzał i nie dostawali żadnej poczty. Dokładnie tak samo było z Aldís.

– Zdaje się, że jest z miasta, z Reykjavíku. Zrobił jakąś głupotę i trafił w tryby maszyny sprawiedliwości. Ale to raczej żaden z tych awanturników, co to spalili za sobą wszystkie mosty.

– Tak? To co on takiego nawywijał? – Aldís widziała, jak papierosowy dym zniknął w ciemności i po chwili znowu zajaśniał, kiedy na podjeździe pojawiły się światła samochodowych reflektorów.

– Coś paskudnego. Coś naprawdę paskudnego.

Hákon zaciągnął się papierosem. Skręcał je sobie sam i Aldís nigdy nie mogła się nadziwić, jak on to robi, że wypala każdego niemal do samego końca, aż przy ostatnim zaciągnięciu żar sięga mu opuszek palców.

Oboje przyglądali się w milczeniu, jak duży i przerdzewiały ami wtoczył się na podwórze. Potem reflektory zgasły i znowu zrobiło się ciemno, dopóki nie otworzyły się drzwi i nie włączyło się światło w środku samochodu. Nie widzieli dokładnie, kto wysiadł z auta, ale jedną z tych dwóch osób musiał być Veigar. Druga postać była szczuplejsza i miała bardziej młodzieńcze ruchy. Kiedy z powrotem zatrzasnęły się drzwi, obie postacie zamieniły się w cienie zmiernające w kierunku głównego budynku. Chłopak dźwigał wielką torbę, która przeszkadzała mu w stawianiu kroków, i przez to sprawiał wrażenie inwalidy. Musiał jednak być silny, bo szedł równo z Veigarem, który nie zaproponował mu pomocy. Albo może chłopak za nią podziękował.

– Coś mi się zdaje, że może być ciekawie. Albo jeszcze lepiej. – Hákon wyprostował się z pewnym wysiłkiem i cisnął niedopałek w ciemność.

Aldís wpatrywała się w zamknięte drzwi, przez które Veigar i nowy podopieczny weszli do domu.

– Będzie tak jak ze wszystkimi. Na początku dużo złości, a potem spuszcza ją z tonu. A na koniec jeden upodabnia się do drugiego – powiedziała.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

– Zawsze bywają wyjątki. Co prawda większość z nich z czasem zaczyna zachowywać się jak lunatycy, dokładnie jak mówisz, ale nie wszyscy. – Hákon splunął na żwir na dziedzińcu i grzbietem dłoni wytarł sobie usta. – Niektórzy są już zepsuci, kiedy tu przyjeżdżają, a tutaj robi się z nimi jeszcze gorzej. Pracuję tu na tyle długo, że umiem to rozpoznać. Powinnaś się cieszyć, że nie musiałaś jeszcze być tego świadkiem. Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

Pożegnał się i zostawił Aldís samą. Zamyśliła się nad jego słowami i nie wiedziała, czy ma się bać, czy cieszyć. Bo każda zmiana wydawała się jej nęcąca. Jednak w głębi duszy trochę się obawiała.

W nocy nawiedził ją ten sam sen co zawsze, ale tym razem obudziła się, gdy jeszcze trwał, cała złana potem i wystraszona. Coś było inaczej, wlepiające się w nią oczy wydawały się groźniejsze niż do tej pory, a krąg utworzony wokół niej przez chłopców – ciaśniejszy. Wbiła wzrok w sufit, na próżno starając się odzyskać poczucie bezpieczeństwa zburzone przez majak. Zaciśnęła powieki i próbowała zmusić się do myślenia o czym innym. O Reykjavíku i o tym, jak urządzi pokój, który sobie wynajmie, o adapterze, który kupi, i o płytach, jakich będzie słuchać. Niewiele brakowało, a już by jej się udało skierować myśli w inne rejony. Zmusiła się, by znowu wyobrazić sobie gramofon, wyliczając pod nosem nazwy zespołów z przyszej kolekcji płyt, ale to nic nie pomagało – wciąż widziała tylko zachlapaną krwią podłogę w sypialni Lilji i Veigara i ciemne plamy na białym prześcieradle ich małżeńskiego łóża. Aldís najchętniej wydarłaby się na cały głos. Dlaczego nie mogła tego po prostu zapomnieć tak jak wiele innych ważnych rzeczy. Na przykład na egzaminie z historii nie potrafiła sobie za żadne skarby przypomnieć, w którym roku podpisano układ w Kópavogur, i przez to nie zdała matury. Mimo że wcześniej naprawdę bardzo się starała wbić to sobie do głowy. Pewnie powinna była zrobić odwrotnie, czyli próbować zapomnieć wszystkie główne daty, wtedy może właśnie ta zostałaby jej w głowie.

Aldís przekręciła się na prawy bok, a potem zaraz znowu na lewy. I tak, i tak było jej niewygodnie, wyciągnęła się więc na plecach. Tak leżała Lilja podczas porodu i strasznie krzyczała, toteż Aldís szybko obróciła się na brzuch. Gdyby Lilja nie darła się tak głośno, Aldís nie zatrzymałaby się, nasłuchując, przed jej domem, akurat kiedy Veigar wyszedł z niego z zawiniątkiem na rękach, tak samo biały na twarzy jak ta część prześcieradła, która nie była umazana śluzem i krwią. Aldís od razu się domyśliła, że stało się coś złego. Krzyk Lilji to nie był krzyk bólu, poza tym noworodka nie zawijało się w ten sposób w prześcieradło, jak zrobił to

Veigar. Dziecka nie było widać i w ogóle się nie odzywało, nawet nie pisało.

Aldís usiadła. Potem kazano jej posprzątać pokój i łóżko, a żelazisty zapach krwi długo jeszcze czuła w nosie. Sam zapach nie dałby się jej tak bardzo we znaki, prawdopodobnie na wspomnienie o tym co najwyżej zbierałoby jej się w ciągu następnych dni na wymioty, a później by o wszystkim zapomniała. Ale Veigar się potknął, kiedy na chwiejnych nogach oddalił się już od domu, i wtedy prześcieradło zsunęło się z główki. Aldís oddychała gwałtownie i przecierała sobie oczy. Wiele by dała, żeby nie widzieć tej przeraźliwie zdeformowanej, potwornej czaszki. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakaś lalka, w którą ktoś tak długo uderzał, że w końcu górna część głowy się zapadła. Ale potem stwierdziła, że to jednak jest dziecko pokryte białą mazią, i chociaż czaszka kończyła się tuż nad oczami, nie dało się zauważyć żadnych oznak użycia przemocy. Delikatne czarne włoski kleiły się do skóry, a głowa była po prostu tak spłaszczona. Zamknięte oczka się otworzyły, kiedy Aldís wpatrywała się osłupiała w to stworzenie, i jakby odpowiedziały jej spojrzeniem. Oczka były czarne i przenikliwe, jak oczy wychowanków domu. Albo miała przywidzenie, albo powieki się uniosły, kiedy Veigar się potknął. Obie te możliwości wydawały się jej nieprawdopodobne, ale i tak były bardziej realne niż trzecia: mianowicie, że to dziecko wcale nie urodziło się martwe.

Aldís chwyciła poduszkę i położyła ją sobie na głowie. Zagrzebała się w materacu i zaczęła nucić pod nosem piosenkę, którą matka śpiewała jej zawsze, kiedy robiła na drutach. Choć myśl o matce była jej równie niemiła, jednak lepsze już to niż obraz szpetnego, zniekształconego martwego noworodka. Wspomnienie matki wywoływało jedynie zapiekłą wściekłość, ale nie grozę.

Kiedy już prawie miała zasnąć, ocknęła się z powodu jakiegoś niewyraźnego szelestu za oknem. Nie sam ten odgłos kazał jej nasłuchiwać, tylko wyobrażenie, że tam może ktoś być. Czy okno jest otwarte, czy zamknięte? W ciemności nie było widać, czy zasłonka się rusza. To właściwie dobrze, ale i tak niewiele z tego wynikało, bo wieczór był spokojny i bezwietrzny.

Aldís przysłuchiwała się własnemu oddechowi i znowu dopadły ją wstrętne myśli. Nikt nie wiedział, co Veigar zrobił z dzieckiem. Przez kilka dni po porodzie nigdzie nie wyjeżdżał i nikt też nie zauważył, żeby ksiądz czy ktokolwiek inny zabrał noworodka, aby go pogrzebać. Hákon twierdził, że Lilja i Veigar są zbyt wierzący, żeby pochować nieochrzczonej istotę w poświęconej ziemi. Uważał za prawdopodobne, że po tej koszmarnej nocy zakopali dziecko gdzieś w pobliżu gospodarstwa albo po prostu wyrzucili do śmietnika. Aldís nie chciała wierzyć, że można być tak bezdusznym i potraktować zwłoki dziecka jak jakieś odpadki, i dlatego w następnych dniach rozglądała się wszędzie w poszukiwaniu małej mogiłki. W końcu nabrała pewności, że niemowlę nie jest zakopane w żadnym rozpoznawalnym miejscu, ponieważ nigdzie nie było widać świeżo przekopanej

ziemi. Aldís nie miała pojęcia, co się stało z tym biedactwem.

Znowu coś lekko zaszeleściło i Aldís mocniej przycisnęła poduszkę do uszu. Nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, czy zamknęła okno. Nie było jednak takiej siły, która byłaby w stanie ją teraz zmusić, aby wstała i sprawdziła, dlatego postanowiła jedno: nigdy więcej nie zostawi okna otwartego.

ROZDZIAŁ 3

Patrząc z perspektywy, Ódinn wiele w swoim życiu zrobiłby teraz inaczej, cofnąłby decyzje, które kiedyś wydawały mu się nieistotne, ale przyniosły fatalne skutki. Na przykład tamten pomysł, na który się tak zafiksował, żeby zostać jeszcze w mieście, zamiast zabrać się z kumplami do domu, bo zabawa i tak już dawno się skończyła. Co prawda nie zdarzyło mu się to pierwszy raz, ale zwykle nie miało większego znaczenia – co najwyżej budził się trochę bardziej skacowany niż zwykle i miał trochę bardziej nadwerżoną kartę kredytową, jednak tamtego wieczoru cena za przesadne hulanie okazała się wyższa niż ból głowy i nudności.

W kolejce do taksówki zagadnął pewną młodą kobietę. Nazywała się Lára i trzymała się na nogach równie kiepsko jak on. Nie potrafił sobie przypomnieć, o czym rozmawiali, ale ona bez ceregieli wlepiła w niego wzrok, mimo że był w sztok pijany, i w końcu wylądowali razem u niego w domu. Również seks z tamtej nocy wyparował mu z głowy, a jeśli był podobny do tego, co nastąpiło później, to nie opłacało się przywoływać go w pamięci. Jednak ten pierwszy raz musiał być chyba inny. Bo kiedy dwa tygodnie później kobieta z pralni wręczyła mu pomiętą kartkę z numerem telefonu, którą znalazła w kieszeni jego spodni, od razu zadzwonił do Lóry. Nigdy dotąd mu się nie zdarzyło, żeby pracownica pralni cokolwiek znalazła, choćby stary wyciąg z karty kredytowej.

Ale tak właśnie było i z tego wyniknęła reszta. Ódinn wygładził kartkę, zaprosił Lárę na kolację i w ten sposób wywołał łańcuch zdarzeń, których końca wciąż nie widać, mimo że Lára opuściła już ten świat. Po ich pierwszej prawdziwej randce miał mnóstwo okazji, żeby się ulotnić, lecz zamiast tego zamieszkali razem i ostatecznie się pobrali. Mimo że niespecjalnie do siebie pasowali. Kiedy w końcu Ódinn zaproponował, że może lepiej będzie, jeśli każde pójdzie własną drogą, ona zrobiła coś urokliwego i on przypląnął z powrotem. Ale dopiero po ślubie naprawdę otworzyły się obojgu oczy. Gdy pojawił się temat rozwodu, zdziwili się, że nagle są jednomyślni. Nie mniejsze zdziwienie przeżyli w chwili, kiedy mniej więcej w tym samym czasie okazało się, że Lára jest w ciąży, w związku z czym przestali myśleć o rozwodzie.

Jednak córka nie zmieniła sytuacji. Od pierwszego dnia była trudnym dzieckiem, ciągle miała kolki i dużo płakała, i chociaż Ódinn kochał tę małą istotkę, jego miłość do niej słabła tym bardziej, im ciemniejsze miał sińce pod oczami. Niedługo po ślubie kupili nieduże mieszkanie na poddaszu w centrum

miasta, które stopniowo zamieniało się dla niego w więzienie. Jakby tego było mało, Lára wpadła w depresję, wciąż tylko spała i w ogóle z nim nie rozmawiała. Po czterech miesiącach miał dość. Odszedł, zostawiwszy jej mieszkanie, bo założył, że dziecko zostanie przy niej, w przeciwnym razie by jej nie opuścił. Według niego Lára gorzej wyszła na tym całym interesie, dlatego nie mógł przecież żądać, aby zwróciła mu połowę wkładu w ich wspólne lokum. Matka dostała dziecko i dach nad głową – on zaś swoją wolność.

Ależ była z niego nędzna świnią! Teraz to widział, ponieważ role kompletnie się odwróciły. Po rozstaniu spędzał z córką tylko co drugi weekend albo zajmował się nią wtedy, kiedy Lárze coś wypadło. Te weekendowe obowiązki wypełniał bez specjalnego zaangażowania i nigdy nie robił więcej, niż musiał. Im więcej czasu upływało od rozvodu, tym rzadziej Lára korzystała z jego pomocy i chociaż dziś wstydził się tego, wtedy sam przed sobą się tłumaczył, że musi dużo pracować, więc w wolnym czasie potrzebuje wypoczynku i tak dalej. Lára co miesiąc dostawała pieniądze na utrzymanie, i to było najważniejsze. Wprawdzie o to troszczyło się państwo i potem wysyłało mu rachunek, ale mimo wszystko... Tak czy siak, jedno było jasne: nie czuł się dumny ze swojego ówczesnego postępowania.

Nagle w samochodzie stojącym przed halą sportową zrobiło się przenikliwie zimno. Óðinn chciał podkręcić ogrzewanie, ale stwierdził, że jest ustawione już na maksimum. Przekręcił regulator klimatyzacji, nic się jednak nie zmieniło. Zirytowany chuchnął w dłonie, usiłując pocieszyć się myślą, że jego auto nigdy dotąd się nie psuło. Może to tylko jakaś przejściowa awaria. Pełen ufności uderzył ręką w deskę rozdzielczą, nie miał ochoty jeździć po takim zimnie z popsutym ogrzewaniem. Nic nie drgnęło. Znowu uniósł dłoń i w tym momencie zamarł, bo z tylnego siedzenia dało się słyszeć jakieś skrzypienie. Choć nie brzmiało szczególnie groźnie, serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Przez głowę przemknęły mu zasłyszane historie o narkomanach i pijakach, którzy nocą napadają na taksówkarzy, i chociaż to zupełnie niedorzeczne, Óðinn zaczął podejrzewać, że pewnie jakiś oprych ukrył się na tylnym siedzeniu i chciał go zaatakować. Zaszeleściła torba z zakupami, którą wrzucił do tyłu przed supermarketem. Może ktoś wśliznął się do środka na parking, ale to właściwie wydawało się wykluczone, bo w aucie na pewno nikogo nie było, kiedy wkładał siatkę. Najchętniej by wysiadł, w końcu jednak zmusił się, żeby lekko się odwrócić. Gdy zobaczył, że tylne siedzenie jest puste, odetchnął z ulgą. Widocznie torba się przewróciła. Westchnął zadowolony, że nikt nie był świadkiem tej absurdalnej akcji.

Myślał tak dużo o Lárze i prawdopodobnie to nieczyste sumienie nie daje mu teraz spokoju. Oczywiście nigdy się do tego nikomu nie przyzna, ale przez

moment miał wrażenie, że z tyłu za nim siedzi jej zmasakrowane ciało i nabija się z jego wyrzutów. Co za nonsens! Mimo to włączył radio, żeby zagłuszyć kolejne odgłosy z tylnego siedzenia.

Kilka minut później zobaczył, że jego córka wychodzi z hali, i wyłączył radio. To jej imię, Rún, znaczące tyle co „tajemnica”, dzisiaj uważał za dziwaczne, ale on i Lára byli przecież jeszcze bardzo młodzi, kiedy przerzucali dziesiątki książek w poszukiwaniu doskonałego i niepowtarzalnego imienia dla swojego dziecka. Teraz Rún miała jedenaście lat i rzeczywiście była inna niż większość jej rówieśników. Szła przez parking ze zwieszoną głową zupełnie sama, podczas gdy wszystkie inne dziewczynki chwilę wcześniej przecięły go w grupkach, rozchichotane i rozszczebiotane. Co wcale nie musiało znaczyć, że coś się stało – Rún była z natury zamknięta w sobie i stroniła od ludzi. Kiedy zauważyła samochód, uśmiechnęła się, pomachała i przyspieszyła kroku.

Biorąc pod uwagę jego mierne dokonania w roli ojca, wręcz trudno było uwierzyć, jak bardzo go ciągle podziwiała i wprost uwielbiała. Po każdym weekendzie spędzonym razem z nim pytała, dlaczego nie może u niego mieszkać, on zaś, niewzruszony jak zawsze, odpowiadał, że jej matka jest temu przeciwna. Co prawda nie wstydził się tego kłamstwa jakoś szczególnie, ale myśl o tym nie sprawiała mu przyjemności. Z drugiej strony kłamstwo z konieczności było i tak lepsze, niż gdyby jej powiedział, że nie ma odwagi albo po prostu nie ma ochoty wziąć jej do siebie. Ale teraz nie miał już wyboru. Musieli być razem, dopóki Rún za dobrych kilka lat nie wyniesie się z domu.

– Cześć, kochanie – powiedział Óðinn i objął jej szczupłe ramiona. Błyszcząca pomarańczowa kurtka zaszeleściła. – Jak było?

– W porządku. – Rún uśmiechnęła się obojętnie. – Ale nie chcę już grać w piłkę ręczną.

Óðinn starał się trzymać nerwy na wodzy. Od kilku miesięcy dyskutowali trzy razy w tygodniu na ten temat – po każdym treningu. Był twardy, ponieważ Rún obiecała, że do końca zimy będzie chodzić na treningi, i dlatego powinna teraz wytrwać. W nowej szkole nie znalazła sobie jeszcze przyjaciół, a on liczył na to, że zajęcia sportowe pomogą jej się trochę otworzyć. Nie miał jednak zielonego pojęcia, w jaki sposób takie dziewczynki zawierają przyjaźnie. Kiedy on był w jej wieku, dziewczyny w ogóle dla niego nie istniały – co prawda były w klasie, ale jego koledzy i on nie potrafili powiedzieć nic na ich temat. Pamiętał tylko, że te, które grały w piłkę ręczną, zawsze mocno trzymały się razem.

– Zobaczysz, że wszystko się ułoży, musisz tylko być cierpliwa. Jeszcze będziesz na mnie zła, jeśli opuścisz trening – powiedział i przycisnął ją mocniej, aby dodać jej trochę otuchy. – Pomyśl o naszej umowie. Jak wytrwasz, w najbliższe wakacje zrobimy coś fajnego.

Rún, przygryzając dolną wargę, patrzyła prosto przed siebie. W jej oczach był ból, którego Óðinn nie mógł znieść. Wyrzucał sobie, że nie zwrócił się do żadnego fachowca, który by jej pomógł uporać się ze stratą matki, tak jak radził mu ich lekarz domowy. Zamiast tego odwołał się do zdrowego rozsądku, który, jak się zdaje, niezbyt się tu sprawdzał. Nagle Rún spojrzała na niego i wcale nie wydawała się już smutna.

– Jedźmy już do domu, jestem głodna – oznajmiła, nie mówiąc nic na temat umowy, a Óðinn też już do niej nie wracał. Bo i po co? Przecież znowu pójdzie na trening, dobrze to wiedzieli.

Po drodze do domu nie rozmawiali wiele, co nie było niczym niezwykłym. Oboje nie należeli do gadatliwych. Pod tym względem byli do siebie podobni, ale z wyglądu – całkiem różni. Rún – malutka i drobna, on potężny i wysoki; ona miała ciemne włosy i oczy, i niezwykle jasną skórę, która nigdy nie brązowiła, podczas gdy on był niebieskookim blondynem i wyjątkowo szybko się opalał. Całkowite przeciwieństwa.

Óðinn jechał najprostszą drogą do ich bloku. Jego brat Baldur, który go zbudował, chciał, żeby nazywano go domem wielorodzinnym, ale w sprzedaży lokali to też niewiele pomogło. Oprócz starszej pani, która kupiła mieszkanie na parterze, oraz mieszkania Óðinna i jego córki na drugim piętrze, cała reszta stała pusta. Baldur sprzedał Óðinnowi jedno za śmieszłą cenę, kiedy ten nieoczekiwanie musiał wziąć do siebie Rún i zrezygnować ze swego kawalerskiego mieszkanka w dzielnicy Hlíðar. W tym samym czasie Óðinn postanowił zrezygnować z pracy u swego wymagającego brata i poszukać sobie czegoś innego. Nowy dom, nowa praca, nowe życie.

Óðinn z uśmiechem na twarzy wjechał w zatoczkę. Zaletą nowego mieszkania było to, że nigdy nie brakowało przy nim miejsc do parkowania. Najczęściej zostawiał samochód na zewnątrz, bo czuł się nieswojo, kiedy wprowadzał auto do całkiem pustego garażu. Starsza pani nie miała samochodu i ten ogromny podziemny parking przypominał mu film o końcu świata, w którym on i Rún ocaleli jako jedyni na Ziemi. Ale to, co go rzeczywiście odpychało od tego miejsca, wolał wyprzeć ze świadomości: to było nieokreślone poczucie, że ktoś tam na niego czyha, kryje się gdzieś za szerokimi szarymi filarami. Co oczywiście należało uznać za nonsens.

Ominęli ulotki reklamowe leżące w wejściu i ruszyli na drugie piętro. W mieszkaniu starszej pani słychać było radio, poza tym wszędzie panowała cisza. Winda jeszcze nie działała, ale Óðinn i Rún tak czy inaczej korzystali ze schodów, zwłaszcza że nie mieli ciężkiej torby z zakupami – chlebek turecki, masło i ser na kanapki dla Rún na jutro do szkoły. Óðinn ciągle jeszcze nie przyzwyczyił się do robienia prawdziwych zakupów, co zmuszało go do ciągłych wypadów do sklepu, jeśli o czymś zapomniał. Z czasem jakoś się to dogra, jak wiele innych rzeczy,

które miał jeszcze do nadrobienia. Zawahał się, nim włożył klucz w zamek. Rún spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego nie otwierasz? – zapytała i postawiła na ziemi swoją treningową torbę, jakby spodziewała się, że będzie musiała trochę poczekać.

– Nie wiem. – Óðinn uśmiechnął się zakłopotany. – Jakoś tak, przez głupotę.

„Głupota” to było właściwe określenie. Coś mu nagle powiedziało, że ma nie otwierać. Pewnie ciągle nie panował nad nerwami po tym przywidzeniu w samochodzie. Ale, tak czy inaczej, wiedział, że coś się zmieniło. Może niekoniecznie w domu, jednak coś było inaczej i czuł, że to wywróci do góry nogami jego wyobrażenie o tym, co dotąd uważał za niewzruszone. Jakiś rok temu śmiałyby się z czegoś takiego do rozpuku, ale dzisiaj już nie. Bo w dniu, kiedy zginęła Lára, miał identyczne przecucie. Leżał wtedy skacowany w łóżku, a na wyświetlaczu jego komórki pojawił się jakiś nieznany mu numer. I też go coś powstrzymywało przed odebraniem tamtego połączenia.

„Nie odbieraj, twoje życie już nigdy nie będzie takie jak do tej pory. Nie odbieraj!”

Identyczne przecucie, które w tej chwili nie dawało mu spokoju, spowodowało wtedy, że nie podniósł słuchawki. Dopiero kiedy spod tego samego numeru zadzwoniono po raz trzeci, poddał się. „Bye, bye, weekendowy tatusiu”. Teraz przecucie nie było tak silne i w gruncie rzeczy nie miało żadnego znaczenia, czy otworzy te drzwi, czy nie.

Prawdopodobnie w ogóle nie chodziło o to, co czeka go w mieszkaniu, w każdym razie nie bębniło mu w głowie jak wtedy: „Nie otwieraj! Nie otwieraj!”. To wszystko pewnie wzięło się stąd, że przestraszył się w samochodzie szeleszczącej siatki. Óðinn otrząsnął się z nieprzyjemnego wrażenia i uśmiechnął się do Rún. Jasne, że to głupota, tak jak powiedział córce. A patrząc z perspektywy czasu, tanto przecucie związane z telefonem okazało się fałszywe. Bo nawet jeśli jego obecne życie z Rún jest zdecydowanie bardziej skomplikowane i niekiedy nieprawdopodobnie go ogranicza, nie chciałby powrócić do tamtego dawnego. Dostał szansę, by coś naprawić, i był za to wdzięczny. W końcu przekręcił klucz w zamku.

Poczuł chłodny powiew, na co Rún lekko wykrzywiła twarz. W pierwszej chwili Óðinn nie rozumiał jej reakcji, ale zaraz wszystko stało się jasne.

– Kto otworzył okno? – spytała cienkim głosem z lękiem w oczach.

W ich domu panowała niepisana zasada, że okna otwiera się wyłącznie, gdy jest ważny powód. On uchylał okno w pokoju dziecinnym, dopiero kiedy był pewien, że Rún zasnęła, i zamykał je z powrotem, nim się obudziła. Nie trzeba być psychologiem, by to zrozumieć: jej matka wypadła z okna. Mieszkanie na poddaszu, które Óðinn zostawił Lárze, ostatecznie kosztowało ją życie. Dla Rún

otwarte okna były jak śmiertelne pułapki, a Óðinn nawet nie próbował wyjaśniać jej różnicy między wąskimi oknami dwuskrzydłowymi a szerokim oknem mansardowym w ich dawnym mieszkaniu. Jeszcze będzie miał na to czas. Nie starał się też wytłumaczyć, że matki nie przyciągnęły do okna jakieś niekontrolowane siły i że nie dlatego z niego wypadła. Siedziała jak zwykle na parapecie i paliła papierosa – na wpół w środku, na wpół poza oknem. W poziomej rynnie pod stromym dachem znaleziono potem niedużą doniczkę i szczotkę, przypuszczano zatem, że Lára szczotką usiłowała wyciągnąć doniczkę, która spadła do rynny, i straciła przy tym równowagę.

– Widocznie zapomniałem, skarbie, zamknąć okno u siebie w pokoju. W nocy było mi tak gorąco, że musiałem je choć odrobinę uchylić. Ale zrobiłem tylko taką wąską szparkę, że nie wśliznęłaby się nawet mucha. – Óðinn starał się zbagatelizować całą sprawę, żeby Rún nie zauważyła, że to nieprawda. Przecież wiedział doskonale, że zamknął swoje okno, ale może pomylił dni... Młdy zapach papierosowego dymu nie ułatwiał sytuacji. On przecież nie pali i Rún z pewnością też nie. Czyżby starsza pani z dołu kopciła po kryjomu?

Rún pociągnęła nosem i jeszcze bardziej się wystraszyła.

– Ja nie chcę tam wejść!

– W porządku – odparł Óðinn, dumny z siebie, że potrafi już z takim spokojem reagować na zachowanie córki. – Wejść sam i zamknę okno. Kiedy upewnię się, że wszystko w porządku, też będziesz mogła wejść. Przecież chyba nie zamierzasz stać wiecznie na korytarzu. A ja nie mam specjalnie ochoty wynosić ci łóżka na zewnątrz. Pewnie jeszcze pamiętasz, jak trudno było przecisnąć je przez drzwi?

Rún uśmiechnęła się z zaciętym wyrazem twarzy i powiedziała:

– W środku czuć dymem. Jak u mamy.

Czasem najlepiej jest powiedzieć prawdę, ale niekiedy warto uciec się do kłamstwa z konieczności, Óðinn zdawał sobie z tego sprawę aż za dobrze.

– Już wiem – rzucił. – Baldur wspominał, że dzisiaj mieli tu być robotnicy, żeby rozpaść w kotłowni. Uprzedzał, że w całym domu może być czuć trochę dymem.

Oczywiście musiało istnieć jakieś prawdziwe wyjaśnienie, ale Óðinn nie zamierzał łamać sobie teraz głowy nad milionem możliwości. Rún potrzebowała przekonującej odpowiedzi, nawet jeśli w tym celu musiał udawać, że rozmawiał ze swoim bratem.

– Może musieli też wejść do naszego mieszkania i otworzyli okno. – Pożałował tych słów już w tej samej chwili, kiedy je wypowiedział. Bo teraz były dwa ewentualne wytłumaczenia, dlaczego okno jest otwarte. Rún wykrzywiła usta. – Poczekaj tutaj, zaraz je zamknę.

Óðinn wszedł prosto do swojej sypialni i przesunął na bok zasłonkę. Okno było

zamknięte, dokładnie tak, jak pamiętał. Obrócił się na pięcie i wszedł do kuchni, nawet nie zajrzawszy do salonu. W głębi ducha wiedział, że powiew chłodnego powietrza nie pochodził stamtąd. A tym bardziej dym z papierosa.

Okno w kuchni stało otwarte na oścież. Blokada była zwolniona i ogromne skrzydło wisiało w powietrzu. Mimo wiatru dawało się wyraźnie wyczuć zapach papierosa, jakby ktoś dopiero przed chwilą zdusił niedopałek. Wbrew odretwieniu, które coraz wyżej wędrowało po jego nogach, podszedł do okna i je zamknął. A może to wszystko to tylko efekt zmęczenia i stresu. Kiedy człowiek jest pod dużą presją, zdarzają mu się różne przywidzenia. Dlaczego by i nie zapachowe?

Przypomnił sobie właśnie słowa córki, kiedy obudził ją dziś rano. Uniosta się nieco na posłaniu i spojrzała na niego tak, jakby jeszcze spała, ale oczy miała szeroko otwarte. A potem spytała go zachrypniętym, zaspanym głosem, czy mama jest wciąż zła. Óðinn zdziwił się i powiedział, że w niebie nikt się nie złości. Rún zaś, zamiast się uśmiechnąć i wstać, wpatrując się w niego dalej, powiedziała, że jej mamy nie ma w niebie. Bo jest za bardzo wściekła, żeby się tam znaleźć. Óðinn nie potraktował tego poważnie i nie spytał, na kogo to mama się tak złości, ponieważ sądził, że zna odpowiedź. Lára na pewno nierzadko go nienawidziła, kiedy raz za razem ją zawodził. Czyli zasłużył sobie na to. Ale żeby ta wściekłość miała trwać jeszcze po śmierci – to raczej niedorzeczne. Trzeba jednak było oddać Lárze, że zawsze starała się ukryć swój gniew przed Rún, a skoro udawało się jej to za życia, to i po śmierci nie powinno być inaczej. Córce musiało się coś złego przyśnić.

Mimo wszystko jednak Óðinn nie potrafił uwolnić się od dosyć dziwnego uczucia. Piłka zaczęła się toczyć. Miał wrażenie, że to wszystko wiąże się w jakiś sposób z domem wychowawczym, z tymi dwoma chłopcami, którzy tam zmarli i nikogo to nie obchodziło. Być może nadszedł dzień porachunku.

ROZDZIAŁ 4

styczeń 1974

Aldís płonęła z ciekawości, co też ten nowy chłopak mógł zmalować. Coś musiał przeskrobać – tutaj nie przysyłano nikogo bez powodu. Najczęściej te dzieciaki miały na sumieniu jakieś drobne wykroczenia, ale w przypadku Einara, nowego, według niej – choć niczego dokładnie nie wiedziała – było inaczej. W odróżnieniu od innych wydawał się spokojny i dobrze wychowany. Sprawiał też wrażenie o wiele dojrzalszego, jakby lepiej od tamtych wykorzystał swoje życie. Pozostali byli ciągle rozbiegani, jakby tykał w nich jakiś mały mechanizm, który zawsze dawał pierwszeństwo temu, co zabronione. Nowy chłopak nie pasował do tej grupy i Aldís nie mogła oprzeć się poczuciu, że doszło tu do jakiejś pomyłki, że jakiś zupełnie inny Einar powinien być w Krókur.

Na próżno starała się dowiedzieć czegokolwiek o jego przeszłości. Lilja i Veigar dali jej do zrozumienia, że nic jej do tego, a robotnicy nie mieli o niczym pojęcia. Próbowwała sobie wyobrazić, na czym mogło polegać jego wykroczenie, ale pewne było jedynie to, że wystarczyło, by wyrwać go z normalnego życia. Co to mogło być? Veigar wydawał się w jego obecności zawsze zdenerwowany, cały czas śledził go wzrokiem, jakby chciał wiedzieć, co on knuje. Aldís już kiedyś widziała coś takiego: jej wuj miał ogromnego psa, który ugryzł ciotkę, i ona potem w pobliżu tej bestii zachowywała się identycznie. W rezultacie nawet Aldís zaczęła się bać tamtego psa, chociaż nigdy nic jej nie zrobił. Jednak rozbiegane spojrzenie chłopaka wywoływało w jej przypadku odwrotny skutek – zamiast czuć strach przed Einarem, czuła coraz większą ciekawość. Co prawda cichy, perfidny głos podszeptował jej w podświadomości, że tak naprawdę interesuje ją wyłącznie jego wygląd, lecz wypierała tę myśl, bo irytowało ją, że pociąga ją chłopak znacznie od niej młodszy. Wszyscy wychowankowie mieli mniej niż szesnaście lat, czyli w jej oczach byli jeszcze dziećmi. Nie dało się wszakże zaprzeczyć, że Einar różnił się od kolegów. Nie był przyszczaty i nie patrzył takim pożądlivym wzrokiem, tylko ze swoim wystającym podbródkiem i smukłym ciałem wyglądał na prawie dorosłego. Był wyższy od reszty i miał uwodzicielsko melancholijne oczy – co być może było tylko złudzeniem i wynikało z astygmatyzmu.

– Możesz już zawołać chłopców na kolację – powiedziała Lilja, wychyliwszy głowę z kuchni, kiedy Aldís właśnie nakrywała w jadalni. Zawsze starała się, żeby było ładnie i przytulnie, ale nigdy jej się to do końca nie udawało. Obrusy były poplamione, a każde naczynie pochodziło z innej parafii. Wysilała się, aby

wszystko jak najestetyczniej wyglądało, pamiętając, co dawno temu wbijała jej do głowy matka: że do jedzenia trzeba zawsze podchodzić z szacunkiem, zarówno przy gotowaniu, jak i przy podawaniu. W końcu to wcale nie takie oczywiste, że zawsze będzie go dosyć. Mnóstwo jest na świecie ludzi, którzy wieczorem kładą się spać głodni.

Co prawda Aldís nigdy jeszcze nie była za granicą, mimo to wiedziała, że jej matka przesadzała. Bo te nieliczne osoby, które znała i które były za granicą, ani słowem nie wspominały o żadnych biedakach. A ona byłaby nawet gotowa pocierpieć trochę głód, byleby móc wyjechać. Poprawiła nóż, który lekko się przekrzywił. Aldís musiała co rusz przywoływać w pamięci gniew, jaki czuła do swej matki, rozpalać słabnącą z czasem wściekłość na nowo. Na wspomnienie wymierzonego policzka, który wyrzucił do góry nogami życie Aldís, tego głośniego plaśnięcia, kiedy spracowana dłoń matki z całym impetem uderzyła ją w twarz i jej prawy policzek zrobił się całkiem gorący.

Aldís mocno pociągnęła nosem. Kiedy w życie jej matki wkroczył pewien mężczyzna, od razu zdała sobie sprawę, że teraz dużo się zmieni. Cieszyła się ze względu na nią, że nie będzie już musiała sama zmagać się ze wszystkim, i starała się być dla niego miła. Okazało się jednak, że nie była wystarczająco czujna. Lekceważyła jego dwuznaczne spojrzenia, to, że ciągle się do niej kleił, aż do momentu, kiedy ten cuchnący wódką wieprz chwycił ją znienacka od tyłu za piersi i szepnął do ucha, że już dawno zauważył, jak ona go podnieca, więc mogliby przecież... Byli sami w domu. Aldís odepchnęła go od siebie i wycedziła przez zęby, żeby jej nie dotykał. Nigdy. Na co on obrzucił ją wyzwiskami, których wolała nie powtarzać, i uciekł. Kiedy matka wróciła ze spotkania w kółku dla kobiet, Aldís opowiedziała jej wszystko, spodziewając się, że kto jak kto, ale ona stanie po jej stronie i wyrzuci tę parszywą świnię. Tymczasem ta sama kobieta, która wcześniej dosłownie nosiła córkę na rękach i harowała jak wół, żeby stworzyć jej w miarę normalny dom, spojrzała na nią lodowatym wzrokiem i lekko drżąc, wymierzyła jej policzek. Potem syknęła z wściekłością, że Aldís jest po prostu zazdrosna i żałuje jej miłości. Nim zdążyła zamierzyć się jeszcze raz i obrzucić ją dalszymi wyzwiskami, jej życie legło w gruzach. Aldís dobrze to widziała. Matka zakryła usta swą żylastą dłonią, jakby w ten sposób chciała samą siebie powstrzymać przed dalszymi słowami, po czym opadła na krzesło i wybuchła płaczem. Zamiast ją pocieszyć i zaproponować, żeby wspólnie wyrzuciły za drzwi tego faceta, Aldís wpadła w nieprawdopodobną wściekłość i szybko spakowała własne rzeczy. Już po chwili stała na mrozie przed byle jak pomalowanym blokiem i po raz ostatni patrzyła w górę w okno swojego pokoju. Od tamtej pory nie widziała matki ani o niej nie słyszała.

Aldís znowu pociągnęła nosem, próbując z powrotem wziąć się w garść. Wracanie do przeszłości do niczego nie prowadzi, ważna jest jedynie przyszłość.

Postawiła na stole ostatnią szklanę i rozczarowana oceniła rezultat. Potem wyszła, żeby zawołać chłopców. Spieszyła się, bo dziś był gotowany wątlusz, a za długo gotowany był niesmaczny. Biedne dzieciaki tyrały przez całe popołudnie jak woły i zasłużyły na coś lepszego niż kiepskie jedzenie. Chociaż Aldís nie przepadała za chłopcami i czasami porządnie dawali się we znaki, to jednak nie byli jej zupełnie obojętni. Po prostu człowiekowi robiło się żal, że przyszło im wylądować w tym nic niewartym domu. Żaden z nich nie wyjeżdżał stąd lepszy, mimo chrześcijańskich kazań i harówki, która miała uzdrowić i ciało, i ducha.

Chłopcy spali w przybudówce obok dużego domu, w którym mieściła się jadalnia i kuchnia. Z jednego budynku do drugiego nie było żadnego przejścia, a drzwi do przybudówki na noc zamykano. Aby było jeszcze przytulniej, w oknach sypialni wychowanków zamontowano kraty, tak by nikt nie próbował prysnąć pod osłoną nocy. Tuż po rozpoczęciu pracy tutaj Aldís spytała Veigara, czy nie obawia się, że w razie pożaru w przybudówce dzieciaki mogą spalić się żywcem. Jego odpowiedź brzmiała, że przecież nie są idiotami i mogą zawołać o pomoc. Aldís cieszyła się, że przynajmniej w małym domku, w którym spała, panują inne porządki.

Podeszła do drzwi prowadzących do części sypialnej chłopców i zdławiła ziewnięcie. W ostatnie noce ciągle wyrывały ją ze snu jakieś szmery pod oknem, ale kiedy już się obudziła, niczego nie słyszała. Któregoś razu poruszyła się zasłonka i Aldís jeszcze na w pół śpiąc, odniosła wrażenie, że ktoś przeciska się przez okno do środka. Oczywiście to niedorzeczność, bo przecież mieszkała na pierwszym piętrze. Mimo to mocniej przycisnęła poduszkę do ucha, żeby móc z powrotem zasnąć.

Kiedy otworzyła drzwi, uderzył ją okropny hałas. Zdała sobie sprawę, że jest bardziej zmęczona, niż myślała. W każdym razie zbyt wyczerpana, by móc znieść ten jazgot. Zawahała się przez moment i zastanowiła, czy nic jej nie grozi i czy może bezpiecznie iść dalej. Chłopcy przekrzykiwali jeden drugiego, to dopingując się, to uspokajając nawzajem. To na pewno nie była zwyczajna kłótnia, toteż Aldís pospieszyła w ich stronę. Jeśli wezwałaby kogoś na pomoc, jedynie pogorszyłaby sytuację, i wtedy nie tylko wychowankowie, ale i pracownicy poczuliby na własnej skórze środki dyscyplinujące Lilji i Veigara.

Przybudówka nie była duża: cztery sypialnie chłopców, jeden wspólny pokój dzienny, jedna ubikacja i jeden prysznic z umywalką. Aldís przecisnęła się obok dwóch młodszych wychowanków, którzy stali oparci o futrynę drzwi i częściowo zasłaniaли sobą to, co działo się w pokoju. Przerazili się, kiedy zauważyli Aldís, ale już po chwili wyglądali na zadowolonych, że ją widzą, jakby była wybawicielką, która rozegna złe duchy.

– Co tu się dzieje? – wrzasnęła z całych sił, żeby przekrzyknąć rozszalałych chłopców. Oprócz tych dwóch w drzwiach naliczyła jeszcze czterech, zdziwiona,

że potrafią wywołać aż taki harmider. Stali odwrócenii do niej plecami i śledzili coś, co rozgrywało się obok wytartej trzyosobowej kanapy.

Słowa Aldís odniosły piorunujące działanie. Tamci czterej obrócili się równocześnie i spojrzeli na nią zbaranieli. Co powinna teraz zrobić? Rozgorączkowane oczy chłopców lśniły, usta mieli otwarte, bo zostali zatrzymani w samym środku krzyku. Aldís nie mogła dojrzeć, co się za nimi odbywa, ale słyszała jakiś szelest i ruch.

– Co wy tam robicie?

Żaden się nie odezwał. Wszyscy czterej gapili się na nią zaskoczeni.

– Co tu się właściwie dzieje? Rozejdźcie się! – Jej głos brzmiał energiczniej, niż sądziła, i na szczęście chłopcy odsunęli się na bok. Aldís nie była pewna, co by zrobiła, gdyby się jej sprzeciwili.

Na podłodze leżeli dwaj inni chłopcy i okładali się nawzajem. Akurat tutaj nie było to niczym nadzwyczajnym – od kiedy Aldís przybyła do Krókur, widziała już niejedną bójkę. Ale tym razem wyglądało to na coś więcej niż na normalną przepychankę: dwóch dopadło do siebie z nienawiścią i kotłowało się na ziemi, nie ustępując.

Jeden to Einar, ten nowy, a drugi – starszy i od dawna przebywający w domu Keli. Wszyscy młodszy i mniejszy od niego bali się go chyba bardziej niż Veigara, bo bezbłędnie odkrywał ich słabe punkty i z lubością sadysty upajał się dręczeniem słabszych. Nieoczekiwanie Keli chyba przegrywał w tym pojedynku, a Aldís uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała go w akcji. Zazwyczaj jego ofiary były wystarczająco sprytny, żeby podporządkować mu się zawczasu. I to wyjaśniało całą tę awanturę: wszyscy chcieli się na nim zemścić. Co powinna teraz zrobić? Nie miała dość siły, żeby odciągnąć Einara od Kelego, zresztą nawet gdyby była facetem, też nie chciałaby się z nim zmierzyć. Einar, normalnie sprawiający wrażenie raczej smutnego i ospałego, dyszał z wściekłości i szczyrzył zęby jak pies albo dzikie zwierzę usiłujące rozszarpać ochłap mięsa. W jego oczach kipiała nienawiść, to były oczy dojrzałego mężczyzny w twarzy dziecka. Keli skamieniał z przerażenia. Einar dusił go, a twarz tamtego stawała się coraz bardziej czerwona. Aldís głośno przełknęła ślinę.

– Przestańcie! Kolacja!

Te słowa padły jak gdyby nigdy nic, a jej głos brzmiał zupełnie zwyczajnie. Następnie odwróciła się na pięcie i wyszła. Jeden z młodszych chłopców stojących w drzwiach szepnął do niej konspiracyjnie, gdy go mijiała:

– Keli powiedział, że przyjaciółka Einara to dziwka. Nic niewarta dziwka.

Starania Aldís o to, by w jadalni było ładnie i przytulnie, właściwie okazywały

się zbyt czone. Chłopcy połykali jedzenie niemal na wyścigi, a kiedy już skończyli, stoły wyglądały tak, jakby siedziało przy nich stado małą. Naczynia były porzastawiane, większość brudnych szklanek stała odwrócona do góry dnem, a obrus był upstrzony tłustymi plamami. Mimo to Aldís nie była ani obrażona, ani zła – oni po prostu inaczej nie potrafili. Jedli, bo zgłodnieli, i nie widzieli powodu, żeby udawać. Chociaż tym razem siedzieli wyjątkowo cicho, każdy wpatrzony tylko w swoją rybę, nikt nie pisał nawet słówka do sąsiada. Może po całej tej szopce musieli się jakoś pozierać. Aldís pomagała wnosić jedzenie do jadalni i za każdym razem, kiedy do niej wchodziła, chłopcy wymieniali między sobą spojrzenia, jakby chcieli ustalić, czy mają ją ignorować, czy traktować przyjaźnie. Czy ona należy do dobrych, czy jednak do złych?

– Dzięki, że nie zakablowałaś – usłyszała za swoimi plecami. Talerz niemal wypadł jej z rąk, bo była tak zamyślona, że w ogóle nie zauważyła Einara. – Mogę ci pomóc przy sprzątanu? We dwójkę pójdzie błyskawicznie.

– Nie, nie, dziękuję.

Stał zdecydowanie za blisko niej, wolała, żeby sobie poszedł.

– A jednak ci pomogę. Jestem ci to winien, bo przecież gdybyś mnie wydała, mógłbym mieć niezłe problemy.

– Ty już masz problemy, bo jesteś tutaj – odpowiedziała, po czym odwróciła się i dalej ustawiała talerz na talerzu. – Nie wiem, czy następnym razem też będę trzymać buzię na kłódkę, jeśli będziesz dusił kolegę. Miałaś szczęście. Chociaż niewykluczone, że Keli sobie na to zasłużył.

Odwróciła lekko głowę i zobaczyła, że Einar podszedł do drugiego stołu i zaczął zbierać brudne naczynia. Do tej pory nigdy się nie zdarzyło, żeby któryś z wychowanków wpadł na taki pomysł i w czymkolwiek jej pomógł. Zauważyła, że mimowolnie sprawiło jej to przyjemność, i na chwilę nawet zapomniała, jak bardzo Einar był odrażający, kiedy dusił Kelego.

– Musisz uważać. Keli na pewno spróbuje się zemścić – ostrzegła go.

– A co on mi może – odparł Einar z przesadną pewnością siebie. – Jasne, że nie chcę tu żadnej wojny. Chcę wrócić do domu. Jeżeli na mnie do tej pory nie doniósł, to może całkiem zostawi mnie w spokoju. W każdym razie na to liczę. Koniecznie muszę się stąd wydostać.

Einar ustawił stos talerzy, który Aldís wzięła od niego. Był trochę przekrzywiony, bo chłopak nie zgarnął resztek jedzenia na jeden górny talerz, tylko zostawił je na każdym. Nagle Aldís stwierdziła, że wygląda jak flądra, i od razu się zaczerwieniła. Jej ubranie było stare i brudne od sprzątanu. Poza tym włosy zebrane rano w niedbały koński ogon rozsypywały się teraz, a spocona twarz się świeciła. Normalnie w ogóle nie zastanawiała się nad swoim wyglądem – im gorzej wyglądała, tym lepiej. To powstrzymywało pożądlive spojrzenia

chłopców.

- Zostaw to, ja zaraz wszystko poznoszę – powiedziała bez jakiegokolwiek sympatii w głosie, bo chciała zostać sama. Sama przy zmywaniu, jak w każdy wieczór.

- Przecież ci pomogę. Będziesz zmywać? To ja umiem ekstra wycierać. – Uśmiechnął się do niej niewyraźnie, raczej smutno niż wesoło.

- Dlaczego tu trafiłeś? Co zmalowałeś? – nagle wypsnęło jej się mimo woli.

Einar odstawił talerze i spuścił wzrok. Zrobił się czerwony. Aldís nie wiedziała, czy dlatego, że jest na nią zły, czy też wstydzi się tego, co zrobił.

- Nic. Nic nie zmalowałem.

- Jasne – rzuciła tylko i popatrzyła za nim, jak nie powiedziawszy już ani słowa, ruszył z jadalni, zaciskając pięści. Po plecach przeszedł ją dreszcz. Czemu się nie opanowała? W końcu nieczęsto miewała towarzystwo przy sprzątanu. Usłyszała, jak drzwi wejściowe do domu się zatrzasnęły, i w tym momencie poczuła się przeraźliwie samotna. Lilja już sobie poszła i raczej nie wróci, nikt nie przerwie ciszy panującej w dużym budynku. Kiedy Aldís mocniej się w nią wsłuchała, dosłyszała odgłos kropli kapiących z kuchennego kranu. Drzwi do kuchni wahały się lekko raz w jedną, raz w drugą stronę. Poczowała zimny pot na czole, gdy zaczęła nasłuchiwać kapania wody na porysowaną stalową powierzchnię zlewu. Wyobraziła sobie, że ktoś przy nim stoi, liczy krople i czeka na nią. „Kiedy ona w końcu przyjdzie? Raz, dwa, trzy...” Przełknęła ślinę i oderwała wzrok od drzwi. Przez stare sprane firanki widać było czarne jak smoła szyby, za nimi czyhały ciemność i noc. Aldís podeszła pospiesznie do okna i starannie zaciągnęła zasłonki. Miała wrażenie, że kiedy spojrzęła przez okno, zobaczyła zarys czyjejś twarzy.

Już wcale nie chciała wiedzieć, co Einar miał na sumieniu. Nie chciała też wiedzieć, co stało się z tym zdeformowanym noworodkiem. Jedyne, czego pragnęła, to znaleźć się w łóżku i naciągnąć kołdrę na głowę.

W pozbawionej okien salce konferencyjnej wisało ciężkie, przesycone chemiczną wonią powietrze. Była to mieszanka zapachów wszelkich kosmetyków, którymi obecne tu osoby spryskały się dzisiejszego ranka. Ódinnowi zakręciło się w głowie, poza tym czuł się tak, jakby ktoś próbował wywiercić mu dziurę w czole. Na dodatek miał całkiem mokre stopy, a przy najdrobniejszym ruchu z jego prawego buta dobywało się lekkie chlupotanie. A wszystkiemu była winna polityka oszczędności. Nie było pieniędzy ani na zainstalowanie kilkumetrowego szybu wentylacyjnego czy kupno wentylatora, żeby przewietrzyć to ślepe pomieszczenie, ani na skuteczne pertraktacje z właścicielem sąsiedniego krytego parkingu na temat miejsc parkingowych dla pracowników. Dla kolegów jeżdżących do pracy własnym samochodem biuro leżało w najmniej korzystnym punkcie śródmieścia, toteż nic dziwnego, że kiedy Ódinn zostawił Rún w szkole, uczniowie pobliskiego gimnazjum zdążyli już zająć wszystkie bezpłatne miejsca parkingowe w najbliższej okolicy. Dlatego musiał sporo nadłożyć drogi, a potem brnąć do biura na piechotę przez śnieżną breję.

– A co u ciebie? Jak tam z twoim projektem?

Kiedy bezpośrednio po tym pytaniu w salce zaległa cisza, Ódinn zorientował się, że Heimir zwracał się do niego. Podczas nudnego, suchego gładzenia na rutynowym poniedziałkowym spotkaniu, na którym ustalano zadania na najbliższy tydzień pracy, kompletnie się wyłączył. Tłukły mu się w głowie myśli o wodzie Old Spice, przemoczonych butach i zajętych miejscach parkingowych. Kiedyś, na samym początku, odbywali te odprawy na stojąco, żeby wszyscy mówili krótko i węzłowato, jednak dosyć szybko porzucili ów zwyczaj i teraz wszyscy rozsiadali się i gładzili, i gładzili – zwłaszcza że na nikogo nie czekało nic pilnego.

– Powoli się przedzieram.

Ódinn najchętniej by na tym skończył, żeby jak najszybciej móc stąd wyjść, ponieważ jednak ich szef ciągle do nich apelował, aby wyczerpująco omawiali swoje projekty, wolał się nie wyłamywać.

– Mam już orientację, co udało się ustalić Róbercie, i pracuję dalej. Dokumentacja jest bardzo obszerna, oprócz segregatorów jest jeszcze sześć kartonów z materiałami, które prawie w całości już przejrzałem. Chodzi o zdjęcia, rachunki, spisy mieszkańców domu i podobne rzeczy. Zdaje się, że to, co ważne, Róberta powkładała do segregatorów. Niesamowicie, jak ona starannie to

wszystko uporządkowała. Jakby przeczuwała, że nie będzie mogła doprowadzić projektu do końca i przejmie go ktoś inny.

Koledzy Óðinna z zakłopotaniem opuścili głowy albo w skupieniu wpatrywali się w kolorowe zdjęcia z widoczkami na ścianie. Diljá jako jedyna nie zignorowała wzmianki o Róbercie. W zamyśleniu starła sobie wyimaginowane pyłki z polakierowanych na czerwono paznokci.

– Myślę, że gdyby wiedziała, że jej czas się zbliża, wybrałaby sobie inne miejsce niż biuro. To przecież straszne, umrzeć w fotelu przy własnym biurku – powiedziała, nie zauważając, że po tych słowach pozostali mieli jeszcze bardziej zakłopotane miny. Nawet Óðinn poczuł uścisk w żołądku, kiedy wyobraził sobie tę przerażającą scenę. Czy ten ktoś, kto przyszedł jako pierwszy do pracy, pomyślał, że Róberta śpi? Może nawet jej dotknął i dopiero wtedy się zorientował, że jest nienaturalnie sztywna? Diljá zrobiła niewielki balonik z gumy do żucia, który natychmiast pękł.

– Czyli da się coś z tym zrobić? – spytał Heimir.

Óðinn wyparł z głowy obraz martwej kobiety bezwładnie spoczywającej na krześle ze wzrokiem utkwionym w podłużnych neonowych lampach pod sufitem.

– Oczywiście, jej pracy nie można niczego zarzucić – odpowiedział, usiłując na próżno ściągnąć na siebie spojrzenie szefa. – Róberta sporządziła tabelę uwzględniającą wszystkich mieszkańców od chwili uruchomienia domu i w połowie ją wypełniła. Nie wiem, co na to powie inspektor ochrony danych osobowych, jak myślisz, Heimir? Czy mam uzupełnić ją do końca?

Heimir próbował wywołać wrażenie, że już wcześniej intensywnie zastanawiał się nad tą kwestią, jednak jego współpracowników nie dało się łatwo oszukać. Doskonale go przecież znali.

– Muszę zajrzeć do swoich notatek, ale pamiętam, że omawialiśmy tę sprawę bardzo dokładnie i ustaliliśmy, że nie ma w tym nic niezgodnego z przepisami – powiedział.

– Czyli nie musimy tego wałkować od nowa. Skoro Róberta tak zrobiła, to znaczy, że ty swego czasu uznałeś to za prawidłowe. Ona nigdy nie zlekceważyłaby polecenia służbowego. Z tego wniosek, że mogę iść dalej w tym kierunku – podsumował Óðinn i odruchowo wzruszył ramionami. – Zgadza się?

Heimir nie mógł teraz zaprzeczyć, nie przyznając się jednocześnie, że nic nie wie na ten temat.

– To znaczy w jakim dokładnie kierunku? – spytała Diljá, krzyżując ręce na piersiach w taki sposób, że jej biust wysunął się do przodu bardziej, niż kiedykolwiek przewidywał producent noszonego przez nią modelu stanika. Sąsiad Óðinna gwałtownie zaczerpnął powietrza, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

Również Diljá odnotowała reakcję swojego kochasia z ostatniej imprezy firmowej i przelotnie się uśmiechnęła, po czym dodała jeszcze: – No wiesz, chodzi o poufne dane o mieszkańcach domu czy tylko o informacje, które można znaleźć w książce telefonicznej?

– To zależy.

Ódinn zauważył, że protokolantka przysnęła. Nie miał jej tego za złe – nikt nie czytał protokołów poniedziałkowych odpraw, a na jej miejscu czułby się urażony, gdyby musiał wypisywać różne bzdury, żeby tylko coś udowodnić.

– Tabela, o której mówiłem, zawiera nazwiska wszystkich mieszkańców domu, z datą i miejscem ich urodzin, przyczyną pobytu w Krókur, obecnym adresem, zawodem i ewentualnie datą śmierci. Jest też rubryka poświęcona relacjom rodzinnym, na razie pusta. Pytanie, czy Róberta zamierzała umieścić w niej informacje dotyczące stanu obecnego, czy z okresu pobytu w domu. Kompletne są tylko rubryki z nazwiskami i datami urodzin, w pozostałych są mniejsze lub większe braki.

– A skąd wiesz, że nie brakuje jakichś nazwisk? – spytała Diljá. Wyraźnie nie potrafiła mu wybaczyć, że w ostatnim tygodniu był wobec niej wyjątkowo szorstki, i chciała mu teraz utrudnić życie. – Kto wie, czy nie miała do dodania jeszcze ze stu? Wcale nie możesz być pewny, że ta tabela jest kompletna.

Uśmiechnęła się do niego drwiąco. Między jej ognistoczerwonymi wargami, pociągniętymi pomadką o identycznym odcieniu jak lakier na paznokciach, błysnęły oślepiająco białe zęby. Przypominała Ódinnowi drugoplanową postać z jakiegoś filmu o wampirach. Jego sąsiad wiercił się niespokojnie na krześle, najwyraźniej nie mogąc się doczekać, kiedy spotkanie dobiegnie końca.

– Porównałem listę z tabeli z rejestrem prowadzonym przez właścicieli domu. Liczba się zgadza.

Swędziały go stopy. Bardzo chciał już się znaleźć w toalecie, żeby ściągnąć skarpety. Z gołymi stopami na pewno poczuje się lepiej.

Ódinn był dosyć zadowolony ze swojego dziennego urobku. Wypełnił liczne luki w tabeli, a te pozostałe odnosiły się w większości do byłych wychowanków, którzy już jako ludzie dorośli wyjechali za granicę. Nie było powodu, by szukać ich adresów, dopóki się nie wyjaśni, czy w ogóle podjęte zostaną jakieś dalsze kroki. Po co tracić czas, jeżeli w domu prowadzonym w Krókur wszystko było w jak najlepszym porządku? W każdym razie do tej pory Ódinn nie odkrył niczego niewłaściwego. Wprawdzie powinien prześwietlić dokumenty jeszcze dokładniej, ale odnosił wrażenie, że nie zaszło tam nic takiego, co usprawiedliwiłoby jakiegokolwiek roszczenia o odszkodowanie. Chociaż pobyt tam musiał być dla tych biednych chłopców ciężki, jednak nie przypominał absolutnie niczego, co

zdarzało się w podobnych wcześniej badanych placówkach.

Znamienne było to, że wychowankowie Krókur znaleźli się tam – w przeciwieństwie do innych domów – nie z powodu trudnej sytuacji rodzinnej. Każdy z nich miał coś za uszami. Nie były to bynajmniej żadne ciężkie przestępstwa, ale widocznie uznano, że pobyt tam pozwoli im dojść do równowagi. Z jakiegoś starego dokumentu wynikało, że uważano tę placówkę za miejsce resocjalizacji młodzieży, która zesłała na złą drogę.

Natomiast w innych domach przebywały dzieci niemogące liczyć na opiekę własnych krewnych, które nic nie przeskrobały, a były jedynie ofiarami sytuacji rodzinnej. Dlatego wydawało się dosyć zastanawiające, że z brutalnymi młodocianymi system miałby obchodzić się łagodniej. Oczywiście ocena Óðinna mogła w każdej chwili ulec zmianie. Musiał porozmawiać jeszcze z dawnymi wychowankami, ponieważ materiały, którymi dysponował, nie mówiły nic o punkcie widzenia ofiar. Nie liczył jednak specjalnie na to, aby ze spotkań z takimi przypadkowo wybranymi rozmówcami wiele wyniknęło. Żaden z byłych mieszkańców Krókur nie skorzystał z szansy skontaktowania się ze specjalną komisją, kiedy przez ogłoszenie w prasie poszukiwano osób, które w latach 1945–1978 przebywały w państwowych domach wychowawczych. Akurat okres się zgadzał, a sprawie nadano spory rozgłos. Można więc było założyć, że nikt nie cierpiał z powodu dawnych niesprawiedliwości.

Toteż Óðinn mógł pozwolić sobie na optymizm. Zwłaszcza że na temat innych domów już od dawna krążyły przerażające historie, mimo że w ich sprawie nie prowadzono żadnego oficjalnego dochodzenia. W przypadku domu wychowawczego Krókur sprawa miała się zupełnie inaczej: niemal nikt nie wiedział o jego istnieniu, a więc i o nim nie plotkowano. Mogło to oczywiście wynikać z tego, że placówka działała dosyć krótko i jej mieszkańcy już jako starsi i bardziej świadomi ludzie nie byli skłonni skarżyć się po latach na złe traktowanie.

Czyli nie dało się jednak wykluczyć, że dom nie był prowadzony należycie, tylko wiadomość o tym jakoś specjalnie się nie rozeszła. Na przykład Óðinn ciągle jeszcze nie znalazł żadnych informacji na temat śmierci dwóch chłopców, którzy rzekomo zginęli w wypadku. Dotychczas udało mu się ustalić jedynie tyle, że zmarli w samochodzie kierownika domu. Przy włączonym silniku śnieżna zaspą zapchała rurę wydechową. Óðinn szukał w internecie starych doniesień na temat tego wypadku, ale system informacji w latach siedemdziesiątych nie był tak rozbudowany jak obecnie. Notki prasowe były powściągliwe i bardzo uważano na to, aby chronić bliskich ofiar, toteż niewiele przedostawało się do opinii publicznej. Bo to oczywiście wielka hańba dla rodziny, że chłopcy trafili do domu wychowawczego. Po krótkiej wzmiance o tym tragicznym wydarzeniu przestano zajmować się sprawą. Nigdzie nie zamieszczono nawet nekrologów. Obok

krótkich wycinków prasowych Óðinn znalazł jeszcze w aktach Róberty list od starosty powiatu. Pisał w nim, że jak wykazało śledztwo, doszło do wypadku, którego przyczyną nie był ani błąd, ani jakiegokolwiek zaniedbanie ze strony kierownictwa placówki czy innych współpracowników. Nie dało się przewidzieć, że chłopcy schowają się na tylnym siedzeniu samochodu, a pilnowanie każdego wychowanka osobno przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie jest możliwe. Podobnie mało realne jest czytanie w myślach chłopców i odgadywanie zawczasu, co komu przyjdzie do głowy. Pozwalano im na nieco wolności, a oni w tym przypadku wykorzystali ją na głupotę, która sprowadziła na nich nieszczęście.

Trudno powiedzieć, na ile poważnie należało traktować tego rodzaju oficjalne stanowisko, jak to z tamtych czasów, Óðinn uważał jednak, że nie ma powodu wątpić w prawdziwość tego listu. Uważał co prawda, że jak na tak tragiczne wydarzenie dobór słów był dosyć beznamiętny, ale być może w latach siedemdziesiątych w oficjalnych instytucjach taki właśnie obowiązywał styl. Bo niby dlaczego starosta miałby chronić kierownictwo domu? Choć co prawda w takich małych środowiskach nigdy nic nie wiadomo. Óðinn wiedział, że musi koniecznie dotrzeć do raportów z oficjalnego dochodzenia w sprawie wypadku. O ile jeszcze da się je znaleźć.

Jeżeli oficjalne dokumenty przepadły albo zostały zniszczone, może jeszcze jakieś są w posiadaniu rodzin zmarłych. Śmierć obu chłopców pozostawała wciąż jedyną rysą, na jaką natrafił, i dlatego tak bardzo zależało mu na obejrzeniu tych papierów. Bez tego jego raport będzie niewiele wart. Ostatecznie miał przecież ustalić, czy państwo powinno wypłacić dawnym wychowankom domu jakies odszkodowanie, a to z kolei zależało od tego, czy z powodu pobytu w nim osoby te doznały jakichkolwiek poważnych szkód. A szkodę bardziej poważną niż śmierć raczej trudno sobie wyobrazić.

Óðinna dziwiło nieco, że wkrótce po wypadku dom został zamknięty. Być może istniał tu jakiś związek, nie miał jednak do takiego twierdzenia żadnych podstaw. Bez dowodów jego wnioski byłyby niczym więcej tylko czystym wymysłem. Dlatego od jutra musi zacząć ich szukać.

Na przykład on przechowywał raporty policyjne dotyczące śmierci Lóry w szafie. Jej matka zdobyła je przy pomocy adwokata i po przeczytaniu przekazała jemu. On wtedy nie chciał ich przeglądać, ale mimo wszystko zatrzymał. Choć nie do końca rozumiał, dlaczego jego teściowa się tym zajęła, z czasem jednak pojął, że był to krok całkiem rozsądny. Pewnie on też kiedyś wreszcie się przez nie przebije, ale najważniejszą wartość będą miały te papiery dla Rún, kiedy już dorośnie i zapragnie dowiedzieć się więcej o losie matki. Przypomniało mu się, że pudełko po koszuli z dokumentami w środku chciał początkowo znieść do piwnicy, żeby przypadkiem Rún się na to nie natknęła. Była jeszcze na takie

znaleziska o wiele za młoda. Na razie wciąż leżało na jednej z najwyższych półek jego szafy z ubraniami i chociaż wydawało się raczej mało prawdopodobne, by córka mogła tam myszkować, tak naprawdę nigdy nie wiadomo, co jej przyjdzie do głowy.

Ale zanim w końcu znieśie raporty do piwnicy, chyba faktycznie rzuci na nie okiem. Chociaż może to trochę nierozsądne, bo raczej nie zdoła ich przejrzeć, nie zwracając uwagi Rún. Potrzebował na to spokoju i czasu, by nie narażać się na ryzyko, że nagle córka mu przeszkodzi i będzie musiał wpychać wszystko nerwowo pod fotel. Lecz najbardziej odstraszała go zawartość tego pudełka. Obawiał się, że jak już raz po to sięgnie, śmierć Láry na zawsze pozostanie w jego głowie i nie uwolni się od niej. Niewykluczone, że tak samo było z bliskimi tamtych chłopców, kiedy otrzymali raporty policyjne, które leżą teraz w zakurzonych pudłach na górnych półkach jakichś szaf. Ódinn nie zdążył jeszcze sprawdzić, czy rodzice tych dzieciaków, mający dzisiaj pewnie około osiemdziesiątki, w ogóle jeszcze żyją.

Sięgnął po filiżankę z niedopitą kawą, wyłączył komputer, wszedł do małej kuchenki i wstawił filiżankę do wypełnionego naczyniami zlewu. Gołe stopy swędziały go niemiłosiernie i cieszył się już, że zaraz będzie mógł pójść do domu. A właściwie to wcale nie. Trudno było oszukiwać siebie samego. Od kiedy przywitał go w mieszkaniu dym papierosowy i otwarte okno w kuchni, czuł się tam coraz bardziej nieswojo. Najbardziej niewinne odgłosy i najdrobniejsze drgnięcia powodowały, że od razu zrywał się z miejsca. Było to oczywiście zupełnie niedorzeczne i na pewno nikomu by się do tego nie przyznał. Mimo to nie potrafił pozbyć się uczucia, że jego córka, starsza pani i on nie są tam sami. Odrzucił nawet zaproszenie brata, który chciał, aby Rún spędziła u nich weekend, na co do tej pory chętnie przystawał, bo wtedy mógł pójść z kolegami na jednego albo zaprosić ich do siebie na oglądanie piłki nożnej, ale to by jednocześnie oznaczało, że przyjdzie mu spędzić dwie noce w mieszkaniu samotnie. Gdy byli w domu oboje, mógł zawsze te nieokreślone odgłosy przypisać córce, a jeśli zostanie w nim sam, wolałby ich nie słyszeć.

Ódinn ruszył do samochodu tą samą drogą, którą brnął przez roztopiony śnieg rankiem. Zdecydowanie się ochłodziło i wszystko zaczynało zamarzać. Miał lodowate stopy i bez skarpet znacznie wyraźniej czuł twarde chodnik oraz błocko pod zelówkami. Był skrajnie rozdrażniony i zastanawiał się, czy ta wściekłość w końcu w nim eksploduje. Psycholog, z którym rozmawiał za czyjąś radą, wyjaśnił mu, że śmierć Láry i zmiany w jego własnym życiu mogą powodować coś takiego. Ódinn nie potrafił skupić się na słowach mężczyzny i uważał spotkanie z nim za stratę czasu. Kiedy psycholog zaproponował mu przychodzenie na terapię, powiedział mu, że się zastanowi, i już się do niego nie odezwał. Jak ktoś obcy miał mu pomóc w uporaniu się z rewolucją w jego

własnym życiu? Przecież życie każdego człowieka zmienia się nieustannie. I każdy oswaja się z nową sytuacją na swój sposób. Ten mężczyzna poradził mu także, aby posłał Rún do psychologa dziecięcego, ale o czymś takim Óðinn też nie chciał słyszeć. Rún to jego dziecko, a on, jako ojciec, jest jak najbardziej w stanie się nią zaopiekować. Nie jest chora psychicznie tylko dlatego, że umarła jej mama. Jest tylko smutna, a temu można zaradzić inaczej niż przez terapię.

Patrząc na to z perspektywy czasu, nie postąpił najmądrzej. Ani jeśli chodzi o siebie, ani w odniesieniu do Rún. Z tyloma rzeczami oboje nie potrafili się uporać – córka była agresywna i brakowało jej pewności siebie, a on wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku, mimo że od tragedii minęło tyle miesięcy. Może funkcjonowałiby lepiej, gdyby jednak skorzystali z pomocy, może Rún rzadziej by go wtedy pytała, co z nią będzie, kiedy on umrze, może wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby przepracował to w sobie, tak jak radził mu psycholog. Ostatnie miesiące minęły mu jak za szybą, czuł, że podobnie działo się z Rún. Zupełnie nieświadomie uniemożliwił jej uporanie się ze śmiercią matki, nie rozmawiał z nią na ten temat, unikał najmniejszej wzmianki, starając się nie pozwalać jej o tym nawet myśleć. Rzecz jasna, wszystko to było skazane na niepowodzenie. Oboje zaczęli cierpieć na manię prześladowczą i stali się emocjonalnie odrętwiali. Co z pewnością prowadziło do tego, że córce tak często śniła się mama. I że te sny stawały się coraz bardziej osobliwe i niesamowite.

Ale teraz nie mógł już tego zmienić. Pytanie tylko, czy tak to zostawi, czy w końcu spróbuje coś zrobić. Był winien swojej córce i swojej byłej żonie przynajmniej podjęcie próby zapanowania nad życiem swoim i Rún, żeby w końcu skończyły się jej koszmary, a on nie roił sobie, że w każdym kącie mieszkania coś się na niego czai.

Óðinn dotarł wreszcie do auta i skostniałymi z zimna palcami wymacał w kieszeni kluczyki. Wsiadł do środka i zatrzasnął drzwi. Kiedy tak siedział, wydychając wilgotne obłoczki pary, postanowił, że dziś wieczorem, kiedy Rún będzie już w łóżku, rozpocznie proces uzdrowienia i przejrzy raporty na temat śmierci Láry. To miał być pierwszy krok. Potem odszuka wizytówkę psycholog dziecięcej, którą mu polecono, i umówi się z nią na spotkanie. Razem na pewno jakoś dadzą temu radę.

Uśmiechnął się i uruchomił zmarznięty silnik, kompletnie nie przeczuwając, co znajdzie w raportach schowanych w pudełku po koszuli.

Ich blok stał na samym skraju osiedla, wystawiony bezbrinnie na wiatr i niepogodę. Dalej rozciągały się już tylko żwirowiska i puste podmokłe połacie ziemi. Ódinn rozsiadł się wygodnie w fotelu, zaciągnąwszy uprzednio zasłony. Wybrzuszały się pod wpływem podmuchów zawiei uderzającej w okna, zupełnie jakby ktoś stał z drugiej strony i trącał je za każdym razem, jak tylko rozległo się wycie wichru. Zawierucha szalała już od dobrej godziny i nie zanosilo się na szybki koniec. Można było odnieść wrażenie, że o tej porze roku meteorolodzy dostają dodatkową zapłatę za przepowiadanie niepogody – ledwo kończyła się jedna zawieja, już ostrzegali przed kolejną, jeszcze gorszą. Ódinn zwykle przeklinał taką aurę, ale teraz właściwie bardzo mu odpowiadała.

Chociaż stos papierów na kanapie nie był duży, on jednak uważał, że przejrzenie ich przekracza jego siły. Postanowił prześledzić dokumenty z pudełka po koszuli słowo po słowie, ale już po pierwszym akapicie raportu z obdukcji nie był w stanie czytać dalej. Chodziło o krótkie podsumowanie obrażeń odniesionych przez Lárę, z którego można było wnosić, że właściwy raport musi być horrorem w czystej postaci. Ódinn nie chciał czytać o złamanych kościach obu ramion wystających przez skórę. Najgorsze było to, że jak wynikało z opisu złamań, Lára usiłowała przy upadku na ziemię jeszcze podeprzeć się rękami. To jasne, że nie zmarła podczas spadania. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad bezpośrednią przyczyną jej śmierci. Wprawdzie chciał skonfrontować się z faktami, lecz na coś takiego nie był przygotowany. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, obliczył w telefonie komórkowym za pomocą zwykłego równania, które pamiętał jeszcze ze szkoły, ile czasu mógł zająć sam upadek: półtorej sekundy, gdyby Lára spadała w próżni, co niestety nie było możliwe. Stawiał zatem na dwie. Dwie sekundy muszą pewnie trwać bardzo długo, jeśli po nich ma nastąpić śmierć.

Raport leżał cierpliwie obok i czekał, aż on weźmie się w garść i zacznie czytać dalej. Z telefonem w dłoni gapił się na ekran telewizora, nie koncentrując się na obrazie. Problemy tych wystudiuowanych, robiących poważne miny aktorów nic a nic go nie obchodziły. Poza tym dźwięk był wyłączony, ponieważ nie chciał przeszkadzać Rún we śnie. Oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na Bogu ducha winne czarne litery na białym papierze i lekko przesunął po nich palcem. Te litery rozdierały i raniły jego duszę. Dlaczego nie mogło być tam napisane, że Lára zginęła na miejscu albo kiedy spadała? W dzieciństwie ktoś mu kiedyś powiedział,

że ludzie, którzy rzucają się z wieżowców, nie żyją już, zanim roztrzaskają się o ziemię, bo przy tej prędkości nie są w stanie oddychać. Trzypiętrowy blok nie jest wprawdzie wieżowcem, ale być może to właśnie dlatego on dopiero teraz zaczął się zastanawiać nad śmiercią Láry. Nie chciał sobie wyobrazić stanu jej świadomości. Wolał wierzyć, że śmierć obeszła się z nią łagodnie.

Wzrok Óðinna przeniósł się znowu na ekran telewizora. Jeden z aktorów zaczął teraz płakać, a ten drugi chyba nie wiedział, jak ma powstrzymać jego łzy. To wszystko wydało mu się tak śmieszne, że aż się otrząsnął i przysunął do siebie pudełko. Może szczegółowy raport z obdukcji przeczyta na samym końcu, cała reszta nie powinna być raczej taka straszna. Czyli został mu jeszcze raport policji sporządzony dwa dni po wypadku. Óðinn wiedział, że musi go przeczytać, jeśli nie chce wyglądać równie żałośnie jak ten typ na ekranie. Wypadek należał do przeszłości i nic nie da się z tym zrobić, a on nie powinien być tak tchórzliwy i uciekać przed ustaleniami śledczych. Nic nie mogło być już gorsze od tego, co Lára przeżyła w czasie, gdy spadała na ziemię. Nawet raport z obdukcji. A kiedy już zdobędzie się na lekturę całości i będzie ją miał za sobą, wtedy na pewno uda mu się pomóc Rún w pogodzeniu się ze stratą matki. Przynajmniej miał taką nadzieję. Dopóki zaś będzie wypierał przeszłość, nie zdoła wesprzeć córki w uporaniu się z tragedią. A dla niej było to niezwykle ważne.

Raport policji zawierał przesłuchania sąsiadów Láry. Oprócz jej mieszkania na mansardzie w domu były jeszcze cztery inne, ale Óðinn znał tylko mężczyznę z sutereny. Pozostałe nazwiska nic mu nie mówiły. Lokatorzy nigdy nie zagrzewali tam długo miejsca. Zwykle było to ich pierwsze kupione mieszkanie i sądzili, że wystarczy pomalować ściany, żeby utrzymać je w znośnym stanie. Lecz kiedy okazywało się to nieprawdą, próbowali szybko pozbyć się nieruchomości. Óðinn zaczął od mężczyzny z sutereny, ale nie było go w domu, kiedy Lára wypadła z okna, poza tym wydawał się nie mieć żadnego kontaktu ani z nią, ani z Rún. Nawet nie wiedział, jak miała na imię, mimo że mieszkał pod tym samym dachem od dnia jej narodzin. Óðinn zawsze uważał go za dziwaka – taki wycofany stary kawaler z mieszkania na wpół pod, na wpół nad ziemią, nieinteresujący się ani trochę innymi.

Pozostali sąsiedzi też nie potrafili powiedzieć wiele więcej. Młoda para z dzieckiem, z parteru, zeznała, że wiedzieli jedynie tyle, iż Lára sama wychowuje córkę, pracuje jako księgowa, a jej matka mieszka dwa domy dalej na tej samej ulicy. Wprawdzie oboje wtedy byli już na nogach, ale nie zauważyli niczego szczególnego. Mężczyzna godzinę przed wypadkiem poszedł biegać, a kiedy wrócił czterdzieści minut później, wszystko było jak zwykle, całkiem normalnie. Na klatce schodowej i w ogrodzie nie zauważył nikogo. Wszystko było jak zawsze aż do chwili, kiedy usiedli do śniadania i Lára przeleciała za ich oknem. Óðinn poczuł się dziwnie, gdy przeczytał, że dziecko, które siedziało nad owsianką

naprzeciwko okna, nie wiadomo dlaczego nagle się roześmiało. Według tej pary nic w żaden sposób nie zapowiadało tragedii.

Ludzie z pierwszego piętra spali mocno i głęboko i w ogóle nic nie zauważyli. Ale kiedy Óðinn przeczytał zeznania sąsiadek mieszkających bezpośrednio pod Lárą, sprawa nieco się skomplikowała. Ich słowa przeczyły temu, co mówiła młoda para. To były dwie siostry pochodzące ze wschodniej części kraju, które przyjechały do Reykjavíku studiować. Wynajmowały mieszkanie od pół roku, ale w ogóle było ono wystawione na sprzedaż. Twierdziły, że tuż przedtem, nim rozległ się krzyk Láry, słyszały jakieś hałasy nad głową. I głosy, które mogły pochodzić także z radia. Nie były w stanie dokładniej ich opisać ani powiedzieć, czy należały do kobiety, czy do mężczyzny, ani też czy była to kłótnia. Na koniec wycofały się ze wszystkiego, ponieważ nie miały pewności, czy dobrze pamiętają. Niewykluczone, że to były odgłosy z ulicy. Jednej wydawało się, że słyszała, jak ktoś otworzył drzwi do mieszkania Láry, ale tego też nie była pewna na sto procent. Rzecz jasna, nie zwracała szczególnej uwagi na poranne hałasy, bo nie mogła przypuszczać, że ten ranek przebiegnie inaczej niż zwykle. Jej wątpliwości wynikały stąd, że nie słyszała dzwonka do drzwi; to pamiętała na pewno, bo jego dźwięk zawsze strasznie wyprowadzał ją z równowagi, a tamtego ranka i tak była w złym humorze, bo musiała wcześniej wstać i się uczyć. Więc na pewno usłyszałaby dzwonek. Siostry nie słyszały także, czy ktoś opuścił mieszkanie albo po upadku Láry zbiegł po schodach. Chociaż tego też nie mogły stwierdzić na pewno, ponieważ od razu popędziły w tę część mieszkania, która znajdowała się najdalej od drzwi, żeby zobaczyć, co się stało.

Óðinn odłożył raport i przesunął ręką po włosach. Nikt do tej pory nie wspomniał mu ani słowem, że mogło chodzić o coś innego niż o wypadek. O ewentualności, że Lára nie była sama, wiedziała chyba jedynie policja i te dwie siostry, a jemu nie chciano tego powiedzieć. W każdym razie w gazetach nie piśnięto na ten temat ani słówkiem. Matka Láry też milczała. Wezbrała w nim wściekłość. Co jest z tą kobietą? Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że to dla niego ważne?

Z drugiej strony, cały czas miał przecież dokumenty u siebie i łatwo mógł sam do wszystkiego dojść. Może jej matka czekała, żeby wreszcie się do tego zabrał, albo po prostu widziała, że nie jest mu łatwo i z sobą samym, i z Rún. Na myśl o tym uspokoił się nieco.

Z przedpokoju prowadzącego do obu sypialni doszło ciche mamrotanie. Óðinn natychmiast wsunął pudełko pod poduszkę. Nadstawił uszu, znieruchomiał i ani drgnął, dopóki się nie przekonał, że Rún się nie obudziła. Na szczęście miała mocny sen, co z pewnością oszczędziło jej wtedy jeszcze większego szoku. Bo przecież mniej bolesne było usłyszenie, że matka zginęła w wypadku, niż bycie świadkiem tego wypadku. Poza tym Rún na pewno chciałyby zobaczyć, co stało

się z jej mamą, być może za mocno wychyliłaby się z okna i kto wie, co by się stało.

Ódinn nie zazdrościł babci Rún, że musiała przekazać wnuczce taką wiadomość. Młoda kobieta z parteru od razu ją sprowadziła, bo mieszkanie Lóry było zamknięte, a ona sama nie chciała budzić dziecka wołaniem przez drzwi. Lepiej, żeby zrobił to ktoś bliski. Ponieważ matka Lóry mieszkała tuż obok, znalazła się na miejscu jeszcze przed karetką. Ódinna przeszła dreszcz na samo wyobrażenie tej sytuacji. Czy starsza kobieta, biegnąc do drzwi frontowych domu, zauważyła kątem oka zwłoki własnej córki, lecz popędziła dalej z obawy, że coś złego może się stać także wnuczce? Usiłował sobie wyobrazić, jak by on zareagował, gdyby w niedzielny ranek ktoś zapukał do niego i poinformował, że Rún nie żyje. I pewnie gorączkowo i głośno ponaglał go, żeby szybko zszedł na miejsce wypadku. Od tamtej pory babcia Rún zachowywała się dość osobliwie, czemu raczej trudno się dziwić. Dla Ódinna zawsze była raczej odpychająca, ale po tym nieszczęściu ignorowała go już zupełnie – nawet na niego nie patrzyła, nie zamieniła z nim słowa ani nie powiedziała dzień dobry, gdy spotkali się kilka razy.

Przez te wszystkie lata nie udało mu się poznać jej bliżej. Śmierć córki była dla niej ogromnym ciosem, wprawiła ją w stan bliski depresji. Ale w ostatnim czasie jej samopoczucie trochę się poprawiło i Ódinn mógł przynajmniej porozmawiać z nią przez telefon o Rún, choćby zdawkowo. Prawdopodobnie to jego obwiniła o to, że wnuczka nie chciała u niej nocować i rzadko dawała się namówić na odwiedziny. Co nie było prawdą, ponieważ Rún sama podjęła taką decyzję. Ódinn doskonale ją rozumiał: babcia była wyjątkowo zgorzkniała, dlatego tylko w absolutnie wyjątkowych przypadkach nalegał, żeby do niej wpadła. Toteż po śmierci Lóry Rún widziała się z babcią zaledwie kilka razy. Prawdopodobnie stopniowo wizyty staną się częstsze, ale dopóki dziewczynka wracała stamtąd przygnębiona i smutna, lepiej było ograniczyć ich kontakty do minimum. Póki starsza pani nie odzyska równowagi, co pewnie za jakiś czas nastąpi.

Ódinn słyszał, jak Rún wierci się na łóżku. Potem zrobiło się zupełnie cicho. Pewnie coś się jej przyśniło. Mimo że się nie obudziła, nie uspokoił się do końca. Wpatrywał się w przedpokój przy sypialniach, jakby spodziewał się tam jakiegoś ruchu. Miał niemiłe wrażenie, że córka stoi ukryta w cieniu i go obserwuje, jakby wiedziała, że on zajmuje się teraz losem jej mamy, i ma do niego żal, że ją z tego wyłączył. Ale to tylko głupie przywidzenie – Rún oczywiście śpi, pogrążona w snach lub koszmarach związanych z Lará, które nawiedzały ją każdej nocy. A on między innymi właśnie z tego powodu siedział tu teraz i rozdrapywał stare rany. Ich życie musi się zmienić. Ódinn nie chciał przeżywać takiego dramatu, jaki akurat rozgrywał się na ekranie. Aktorzy kłócili się ze sobą zażarcie i wszystko wskazywało na to, że ich awantura źle się skończy. Ódinn wyciągnął rękę po pilota i wyłączył telewizor.

Znowu zatopił się w papierach, ale teraz już nic nim tak bardzo nie wstrząsnęło. Wzdrygnął się tylko, kiedy zobaczył zdjęcie kuchni tuż po wypadku. Nie było na nim widać krwi ani niczego w tym rodzaju, ale widok okna go poruszył. Wszystko poza tym wyglądało nieznośnie podobnie jak wtedy, kiedy opuścił swoją rodzinę, jakby życie Láry zatrzymało się w miejscu, a jego toczyło się dalej. Obok zlewu piętrzył się stos brudnych naczyń, a na regale przy ścianie stały w barwnym nieładzie te same dekoracyjne drobiazgi. Ódinn rozejrzał się wkoło i porównał obraz ze zdjęcia ze swoim mieszkaniem. U niego cały wystrój jednoznacznie, wręcz do bólu wskazywał na samotnego mężczyznę. Sporo kosztowały jedynie zestaw stereo i urządzenia techniczne, jako umeblowanie natomiast wystarczały kanapa i niski stolik, nie było żadnych wazonów czy innych ozdóbek. Jeden jedyny wazon, wykonany przez Rún z gliny na pracach ręcznych w szkole, stał na telewizorze. Z wierzchu był nawet dosyć efektowny i starannie pomalowany, ale w środku poprzecinany rysami. Jak moja córka, pomyślał i trochę się zawstydził.

Ódinn czytał dalej. Szybko się zorientował, dlaczego w dochodzeniu nie skoncentrowano się na żadnym potencjalnym włamywaczu. Na którejś ze stron raportu wspomniano, że według ustaleń policji Lára włączyła pralkę we wspólnej pralni znajdującej się w piwnicy. Chciała wyprać swojej matce obrusy; znajdowały się jeszcze w pralce, kiedy policja przybyła na miejsce wypadku. Była teściowa Ódinna potwierdziła, że jej pralka się zepsuła, a akurat w tamtym momencie nie stać jej było na naprawę.

Poza tym jedna z sióstr, która akurat się uczyła, twierdziła, że owszem, słyszała Láre, ale żadnego włamywacza czy innego złoczyńcy. Lára zeszła do pralni, a kiedy wróciła na górę, oczywiście nie dzwoniła do własnych drzwi. Zgodnie z wersją przyjętą przez policję podeszła od razu do okna, żeby zapalić papierosa, co skończyło się wiadomym tragicznym upadkiem. Następnie w raporcie skupiono się krótko na minimalnej niezgodności między czasem podanym przez siostrę a prawdopodobnym przebiegiem zdarzeń według oceny policji. Kobieta twierdziła, że usłyszała krzyk tuż po zatrzaśnięciu się drzwi do mieszkania, co przeczyło wersji, zgodnie z którą Lára najpierw usiadła w oknie, zapaliła papierosa, strąciła doniczkę i poszła po szczotkę, następnie wdrapała się na parapet i próbowała dosięgnąć doniczki, aż w końcu spadła. Gdy policja przepytывała siostrę po raz drugi, ta wycofała się i powiedziała, że nie potrafi dokładnie określić, ile czasu minęło między zamknięciem drzwi a krzykiem. W kuchni nie znaleziono niczego, co by wskazywało na obecność innej osoby, grało radio, więc przypuszczalnie głosy słyszane przez siostry pochodziły z radioodbiornika. Na podłodze leżała rozbita miska, ale skorupy były już zmiecione na jedną kupkę. Na szczotce nie znaleziono odcisków palców nikogo obcego, założono więc, że to Lára upuściła miskę, niewykluczone, że razem z

doniczką, po czym zmiotła byle jak skorupy w jedno miejsce, zanim zajęła się doniczką. Pod zwłokami znaleziono połówkę papierosa. Wszystko wskazywało na wypadek. Óðinn nie wiedział do końca, czy powinien czuć ulgę. Co lepsze: wypadek czy morderstwo? Czy człowiekowi jest lżej, kiedy bliskiej mu osobie przytrafia się nieszczęście, czy gdy zostaje zamordowana? Nie znał na to odpowiedzi. Tak czy inaczej, nie natrafił już dalej na nic tajemniczego.

Na samym końcu raportu znajdowała się jeszcze wzmianka, że Lára krótko przed śmiercią zakończyła znajomość z mężczyzną, z którym była przez dwa lata, a przez kilka miesięcy nawet z nim mieszkała. Według informacji policji ich rozstanie nie przebiegło w szczególnie przyjaznej atmosferze. Óðinn całkowicie oślupiał. Jakoś zupełnie mu to umknęło. A więc Lára przez dłuższy czas była związana z kimś na poważnie, nie zdradzając się z tym przed nim czy przed Rún ani słowem. Oczywiście nie musiała mu się opowiadać ze swoich prywatnych spraw, jednak córka miała chyba prawo wiedzieć o tak zasadniczych zmianach w życiu swojej matki. Dlaczego Lára nic jej nie powiedziała? Rún przecież by zrozumiała, że mężczyzna, z którym spotyka się mama, jest jej partnerem, była już wystarczająco duża. Jeśli nawet na początku ukrywała przed nią swoją znajomość, nie ulegało wątpliwości, że córka potrafiła poskładać sobie wszystko w całość, kiedy facet wprowadził się do nich z całym swoim dobytkiem. Widząc go w łóżku mamy, raczej nie brała go za lokatora.

Miał ochotę wpaść teraz do pokoju Rún i natychmiast wziąć ją na spytki, ale się opanował. Bo taki atak spowodowałby tylko, że córka jeszcze bardziej schowałaaby się w swojej skorupie. Kiedy dalej się nad tym zastanawiał, przypomniało mu się, że Lára dosyć dawno temu wspomniała o jakimś nowym przyjacielu, ale on nie dopytywał o szczegóły. Wyobrażanie jej sobie z innym mężczyzną nie było dla niego miłe, podobnie jak w ogóle cały ten temat. Ponieważ potem nigdy już do tego nie wracała, założył, że znajomość się skończyła, co przecież często się zdarzało, o czym sam najlepiej wiedział. Nie da się wykluczyć, że nawet widział tego typu, kiedy przyjeżdżał po Rún. Bardzo rzadko wchodził do mieszkania na górę, zwykle czekał przed domem na chodniku, ale być może tamten raz czy dwa stał gdzieś w pobliżu. Jego nazwisko, Logi Árnason, nic mu nie mówiło.

Óðinn spojrział na zegarek. Do północy było jeszcze daleko. Sięgnął po telefon i wybrał numer Kallego. Po ich rozwodzie Kalli utrzymywał kontakt z Lará, nie ze względu na troskę o nią, tylko z tego powodu, że jego żona Helena była jej kuzynką. Ich rozstanie doprowadziło do rozsypania się wspólnego kręgu przyjaciół. Mężczyźni w nieformalnych związkach lub żonaci pozostali wierni Lárze, podczas gdy nieliczni kawalerowie trzymali sztamę z nim. Po jej śmierci zaś kilka osób, które prawie już zniknęły z jego życia, znowu odezwały się do niego, ale trochę nieśmiało. Mimo to Óðinn cieszył się teraz, że może zadzwonić do

Kallego, wiedząc, że ten telefon go nie zaskoczy. A w każdym razie nie całkiem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Lára znowu z kimś mieszkała? – spytał, nie siląc się specjalnie na uprzejmości i nie przeprasząc za to, że dzwoni tak późno. Zdawał sobie sprawę, że to brzmi dziwnie, zwłaszcza że ze względu na Rún mówił szepsem. – Przepraszam, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

– Nie – odpowiedział Kalli niezbyt miło. – Ale gdybyś zadzwonił dziesięć minut później, już bym spał. Odbiło ci? Przynajmniej robisz takie wrażenie. A co miałem ci powiedzieć?

Óðinn nie miał ochoty usprawiedliwiać się dalej.

– Nie wiem. Na przykład to, że moja córka żyje pod jednym dachem z obcym facetem. Nie zająknąłeś się nawet słówkiem.

Óðinnowi zdawało się, że po drugiej stronie usłyszał jęknięcie.

– Robisz sobie ze mnie jaja – odezwał się Kalli.

– Nie, tylko pytam. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? I w ogóle nikt nawet o tym nie napomknął? Po prostu nie wierzę, że nic nie wiedziałaś.

To było skrajnie niesprawiedliwe, ale nie mógł na to nic poradzić. Kiedy spotykał się ze swoimi przyjaciółmi, nigdy nie rozmawiali o Lárze.

– Nie byłem jedyną osobą, która o tym wiedziała, możesz mi wierzyć albo nie, a jeśli sądzisz, że ty i twoja córka poczujecie się lepiej, jak zaczniesz grzebać w przeszłości, to ja nie potrafię ci pomóc. Ten facet to nie było nic szczególnego. Nazywał się Logi czy Láki...

– Logi Árnason.

– Tak, Logi. Był artystą, malarzem czy kimś takim, w każdym razie nie moja bajka. Parę razy go widziałem, ale kiedy Lára się zorientowała, że nam obu jakoś nie po drodze, przestała nas zapraszać na kolacje. – Kalli westchnął, jakby dalej nie chciał rozwodzić się o Logim. – W każdym razie, gdy zamieszkali razem, odwiedzała ich już sama Helena, a ja mogłem wtedy posiedzieć sobie spokojnie w domku. A jak się rozstali, Helena powiedziała, że ten gość to kompletny dupek. I kiedy o nim opowiadała, w odpowiednich miejscach mogłem wtrącić co najwyżej tak albo nie, najczęściej tak, bo w przeciwnym razie sam znalazłbym się na linii strzału. Sam wiesz, co kobiety mówią o byłych.

Óðinn tego nie wiedział, ale potrafił sobie wyobrazić, co Lára i Helena wygadywały na jego temat. A Kalli tylko im potakiwał. Jednak teraz wolał zostawić ten wątek.

– Czy on ją bił? – spytał natomiast.

Kalli się roześmiał.

– Nie, na pewno bym to zauważył. Nie, to był zupełnie zwyczajny facet, trochę

niesympatyczny, ale nie jakiś mroczny typ. Po waszym rozwodzie Lára trafiła raz na takiego brutala, ale nie pozwoliła sobie zrobić krzywdy. Przy pierwszej próbie rękoczynu gość wyleciał z wielkim hukiem. W końcu nie była idiotką.

– Czyli ten Logi to nie był pierwszy facet, z którym się związała po naszym rozstaniu?

W tej samej chwili, gdy Óðinn wypowiedział to zdanie, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest śmieszny. Przecież Lára była młodą kobietą i miała takie same potrzeby jak on. Nawet jeśli zajmowała się Rún, nie musiała żyć jak zakonnica. W końcu on też nie wstąpił do klasztoru. Różnica polegała jedynie na tym, że jemu po rozwodzie nie udało się stworzyć żadnego poważnego związku.

– Hm, było kilku. Nie za dużo. Chcesz iść w zawody, kto z was zaliczył więcej łóżkowych znajomości? Myślisz, że ci to pomoże?

– Nie, jest mi to zupełnie obojętne. To dobrze, że miała facetów – stwierdził Óðinn, po czym wytłumaczył Kallemu dokładniej, o co mu tak naprawdę chodzi, bo nie chciał stracić w nim przyjaciela ani być uważany za wariata. – Kiedy zajrzałem do raportu policji, przyszło mi do głowy, że Lára została być może wypchnięta przez okno, ale nie ma na to dowodów. A kiedy później przeczytałem, że tuż przedtem rozstała się z jakimś typem, pomyślałem sobie, że kto wie, czy on nie ma z tym czegoś wspólnego. Chociaż to pewnie nonsens. Po prostu jakoś nie mogę sobie z tym poradzić.

– Nie ma problemu, Óðinn, możesz do mnie dzwonić, kiedy masz ochotę. Tylko może odrobinę wcześniej.

Innego dnia Óðinnowi prawdopodobnie zrobiłoby się głupio, lecz jego problemy urosły już do tak wielkich rozmiarów, że nie przejął się nawet tym kompromitującym telefonem.

Na dworze szalała wichura i porywy wiatru uderzały o szyby jeszcze mocniej niż do tej pory. Óðinn czuł, jak dudnienie w jego głowie przybiera na sile przy każdym podmuchu. Wtedy zobaczył, że zasłony wydeły się i opadły w stronę okna, ale nie do końca. Za nimi zdawała się rysować czyjaś postać. Niewysoka. Wzrostu Láry.

Za nic na świecie nie był w stanie spojrzeć na podłogę poniżej zasłonek. Widoku zmiażdżonych stóp nie byłby w stanie znieść. Oczywiście to było tylko urojenie, ale mimo wszystko szybko pozbierał papiery, wyłączył światło i wyszedł z pokoju – nigdy nic nie wiadomo.

ROZDZIAŁ 7

styczeń 1974

Ze wszystkich obowiązków, które miała do wykonania, Aldís najbardziej nie lubiła sprzątanania biura Veigara. Nie dlatego, że było duże, wprost przeciwnie. To niewielki pokoik, gdzie ledwo udało się wcisnąć biurko, trzy regały i krzesło dla interesantów, które dla długonogich musiało być miejscem tortur. Niektórzy wychowankowie byli dłuższy jak tyczki i pewnie czuli się jeszcze podlej, kiedy właśnie w biurze zmywano im głowę. Tak czy siak, niełatwo było się w nim poruszać, a Aldís musiała jeszcze uważać, żeby nie runęły sięgające niemal sufitu stosy papierów na biurku. Często się zastanawiała, co też może być w tych wszystkich teczkach i dlaczego Veigar ich nie usuwa. Kilka razy przejrzała parę leżących na samym wierzchu, ale nie odkryła nic szczególnego, a nigdy nie posunęła się do tego, by przekopać się przez całą tę górę, ze strachu, że kierownik domu mógłby ją na tym przyłapać. Czasami pojawiał się niespodziewanie, kiedy sprzątała w środku, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się nie guzdrze.

Aldís wzdrygnęła się, gdy zupełnie niespodziewanie zadzwonił telefon na biurku i stos papierów lekko zadrżał. Akurat zamiatała w kącie i wyprostowała się tak gwałtownie, że ramieniem potrąciła masywny regał. Odstawiła szczotkę, rozmasowała sobie ramię i wpatrzyła się w czarny aparat. Właśnie zamilkł. Aldís już miała zabrać się z powrotem do zamiatania, gdy rozdzwonił się ponownie. Po dziewięciu sygnałach znowu ucichł. Aldís gapiła się na czarną skrzynkę zdziwiona, bo do tej pory nigdy nie dzwonił, kiedy ona była w biurze. Stała jak zahipnotyzowana, mając wrażenie, że telefon tylko czeka, żeby zaczęła dalej sprzątać, a wtedy on zaraz odezwie się od nowa.

Ledwie wzięła szczotkę do ręki, to złośliwe urządzenie faktycznie zaraz się rozjazgotało. Po każdym dzwonku Aldís robiła się coraz bardziej niespokojna i nabierała podejrzania, że to ma jakiś związek z nią. Może jej matka chciała opowiedzieć Veigarowi, jakie z niej ladaco, poinformować go, że zgłosiła ją na policję, bo tamtego wieczoru, kiedy Aldís opuściła dom, ukradła pieniądze z jej portmonetki. To pewnie trochę zbyt daleko idące podejrzania, ale nigdy nie wiadomo. Matka nie podjęła nawet najmniejszej próby, żeby nawiązać z nią kontakt, czyli musiała nadal być na nią wściekła. Przecież mogłaby zadzwonić albo napisać, bo wiedziała, gdzie Aldís się podziewa. Przyjaciółka, u której Aldís znalazła schronienie przez pierwsze noce po swej nagłej ucieczce, opowiedziała matce o ogłoszeniu, na które ona wtedy odpowiedziała: potrzebna młoda kobieta

do sprzątania i gotowania w domu wychowawczym w bliskim sąsiedztwie stolicy, wynagrodzenie zgodne z taryfą dla pracowników miejskich i tak dalej. Aldís nie mogła wiedzieć, że w anonsie dosyć swobodnie obchodzono się z faktami: Krókur leżało wprawdzie bliżej Reykjavíku niż Akureyri, jednak „bliskie sąsiedztwo stolicy” w żaden sposób nie odpowiadało prawdzie. Co i tak nie miało znaczenia, bo Aldís chciała jak najszybciej wynieść się z miasta.

A może to dzwoniła jej przyjaciółka? Aldís telefonowała do niej zawsze z budki, kiedy zdarzyło się jej pojechać do Akureyri. Jednak z upływem miesięcy stawały się sobie coraz bardziej obce i Aldís na razie nie zamierzała się już do niej odzywać. Niewykluczone, że ich przyjaźń by przetrwała, gdyby dzwoniła częściej, na przykład od czasu do czasu po kryjomu z telefonu w biurze, ale też nie wiadomo. Zostały przyjaciółkami głównie dlatego, że na początku szkoły one dwie nie należały do żadnej paczki. A kiedy Aldís wyjechała z Akureyri, przyjaciółka znalazła sobie chyba inne towarzystwo. Gdy ostatni raz rozmawiały przez telefon, dużo mówiła o jakiejś Halli, która pracowała z nią w sklepie z rybami. Prawdopodobnie to ona zajęła miejsce Aldís.

Telefon dopiero co zamilkł, ale już po chwili rozdzwonił się znowu. Teraz Aldís nie miała już wątpliwości, że w taki czy inny sposób ma to związek z nią i nie zapowiada niczego dobrego. Przygryzła wewnętrzną stronę policzka i zastanowiła się, co powinna zrobić. Zanim doszła do jakiegokolwiek wniosku, już sięgnęła po słuchawkę. Czerwieniąc się, podniosła ją do ucha. Od miesięcy do nikogo nie dzwoniła i jeszcze nigdy nie odbierała czyjegoś telefonu. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć, ale w głębi ducha czuła się zadowolona, że to zrobiła. Gdyby po prostu sprzątała dalej jak gdyby nigdy nic, potem przez cały dzień czy nawet cały tydzień zamartwiałyby się, że mogłoby się stać coś złego, że na przykład jej matka znowu zadzwoni i natrafi na Veigara.

- Halo?

Po drugiej stronie była kobieta, która wydawała się tak zaskoczona, że w końcu ktoś odebrał, że nawet się przedstawiła.

- Dzień dobry, chciałam tylko mówić z kimś, kto mógłby mi powiedzieć coś o moim synu, a najchętniej porozmawiałabym z nim samym, ale o ile wiem, to nie jest dozwolone.

Aldís nie wydusiła z siebie ani słowa, a tamta kobieta mówiła bez tchu dalej. Wyraźnie dało się wyczuć, że boi się tej rozmowy.

- Próbowałam już tyle razy i prawie się poddałam. Mam teraz przerwę obiadową i wolno mi na krótko skorzystać z telefonu, bo tak w ogóle to mogę dzwonić jedynie wieczorami, a wtedy nikt nie odbiera. Już myślałam, że to zły numer.

- Ja tutaj tylko sprzątam. Nie mogę pani pomóc - odpowiedziała Aldís.

Stwierdziła, że to brzmi trochę nieuprzejmie, ale przecież mówiła prawdę.

– A nie mogłaby pani zawołać kogoś kompetentnego? Nie zajmę dużo czasu – poprosiła kobieta z nadzieją. – Muszę zaraz wracać do pracy, więc to na pewno nie potrwa długo.

Jej głos brzmiał błagalnie, zupełnie jakby Aldís miała jakieś lekarstwo, które mogłoby uratować jej życie. Ponieważ nie była w stanie wiele zrobić, odrzekła:

– Jeśli chodzi o rodziców, obowiązują tu bardzo surowe zasady. Chłopcom nie wolno telefonować do rodziców i wiem, że Veigar też nie chce mieć z nimi bezpośredniego kontaktu. – Zawahanie po drugiej stronie słuchawki świadczyło o tym, że kobieta nie ma pojęcia, kto to jest Veigar. – To kierownik domu, on tu o wszystkim decyduje.

– Rozumiem. Ale może mimo wszystko zechciałby ze mną krótko porozmawiać? Strasznie się denerwuję i chciałabym dostać tylko jakiś znak życia. Jak człowiek niczego nie może się dowiedzieć, to nie wie, co ma myśleć.

Aldís najchętniej powiedziała by kobiecie, żeby spróbowała jeszcze raz później i że ona nie może jej pomóc, jednak ból w głosie ze słuchawki był zbyt duży.

– A jak nazywa się pani syn? – spytała.

– Einar. Einar Allen. Zna go pani?

Aldís gapiła się na swoje znoszone kaptcie. Kiedyś były w kratkę, ale wzór na palcach całkiem już wyblakł od wody ze środkami czystości, którą ciągle się ochłapywała.

– Wiem który to – odpowiedziała.

– Niech mi pani powie, jak on się miewa! Proszę! – Mimo że była dumną osobą, jej głos brzmiał poddańczo i bezradnie.

– Dobrze.

Aldís nie zdobyła się na nic innego. Syn tej kobiety podobnie jak inni powoli dostawał kręćka z powodu bezsensowności pobytu w tym domu. A z każdym kolejnym dniem będzie coraz gorzej. Tak przynajmniej uważała Aldís. Wolałaby raczej spytać matkę Einara, co on przeskrobał, jednak nie mogła.

– Jest zadowolony – oznajmiła krótko.

Kobieta nie była oczywiście naiwna i dopytała:

– A powiedziała by mi pani, gdyby było inaczej?

– Chyba nie – rzekła Aldís, odnosząc jednocześnie wrażenie, że w korytarzu słychać jakieś szmery. – Muszę już iść. W ogóle nie powinnam z panią rozmawiać. Jak mnie ktoś tu przyłapie, będę miała kłopoty.

Spojrzała na drzwi, czekając, że za chwilę gwałtownie się otworzą, ale na korytarzu nic się nie działo, więc odetchnęła.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Niech pani go ode mnie pozdrowi. Proszę mu powiedzieć, że wciąż o nim myślę. – Kobieta zamilkła, po czym pospiesznie dodała: – I żeby nie zapominał, że to była właściwa decyzja. Każde inne rozwiązanie byłoby dużo gorsze. To bardzo ważne.

Aldís nie wiedziała, czy przekaże cokolwiek Einarowi, mimo wszystko obiecała to kobiecie, żeby jak najszybciej zakończyć rozmowę. Czuła się trochę nie w porządku, że nie jest uczciwa wobec jego matki, i jakby dla zadośćuczynienia wypaliła bez namysłu, że sprząta biuro najczęściej we wtorki i czwartki o tej samej porze, jeśliby ona chciała kiedyś zadzwonić jeszcze raz. Potem odłożyła słuchawkę, przeklinając samą siebie, że niepotrzebnie się wtrąca. Ma dosyć własnych problemów i nie powinna bawić się jeszcze w pośredniczkę między tym dziwnym chłopakiem a jego matką. Z drugiej strony, taka tajemna gra trochę ją pociągała, jakby znowu była częścią kochającej się rodziny. Może przy tej okazji czegoś się nauczy, co będzie jak znalazł, jeśli kiedyś będzie miała własne dzieci.

– Mam wyjść na ten czas? – spytał Einar. Pojawił się zakłopotany w drzwiach swojego pokoju. Otworzył drzwi z odpychającą miną, ale od razu stał się sympatyczniejszy, kiedy zobaczył, kto za nimi stoi. – Reszty jeszcze nie ma. Siedzą na dodatkowej lekcji, na szczęście mnie się upiekło.

Nauka szkolna, za którą odpowiadała Lilja, odbywała się raczej tylko formalnie.

– Nie, nie musisz wychodzić. Szybko zamiotę.

Aldís wiedziała, że zastanie go w pokoju. Lilja skarżyła się, że po popołudniowej kawie ma do odbębnienia jedną dodatkową lekcję, na której nie musieli być Einar i jeszcze jeden chłopiec. Aldís poinformowała więc Veigara mimochodem, że musi trochę pozamiatać u chłopców, ale on był tak zatopiony w rachunkach, które przywieziono z mleczarni, że nie wydał jej żadnych innych poleceń. Z tego samego powodu nie zauważył również, że się trochę podszykowała – miała rozpuszczone włosy i ładniejsze ubranie.

Einar otworzył szeroko drzwi i wpuścił ją do środka. Sam stał nadal w miejscu jak wrośnięty w ziemię, toteż niechcący lekko się dotknęli, kiedy Aldís przecisnęła się obok niego. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak się zaczerwieniła.

– To nie potrwa długo – powiedziała.

Musiała przyznać, że ten chłopak ją pociągał, i nie potrafiła nic na to poradzić. Nie powinna była się tu pojawiać. Najrozsądniej byłoby schodzić mu z drogi. Jego atrakcyjność polegała po prostu na tym, że w porównaniu z innymi męskimi osobnikami z Krókur wyróżniał się na korzyść. Sprawiał wrażenie jakby doroslejszego, ale nie starego i steranego życiem jak robotnicy. Wzorowy uczeń

szkoły specjalnej. Było już za późno na rozsądek – Aldís stała pośrodku jego pokoju i jeśli chciała przekazać mu tamtą wiadomość, to prawdopodobnie teraz miała jedyną możliwość. Nie była bowiem pewna, czy w najbliższym czasie uda jej się spotkać z nim tak w cztery oczy.

– Czy to nie nudna robota? – spytał Einar i niedbale rozparł się na dolnym łóżku.

Aldís wzruszyła ramionami i zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Co się z nią dzieje? Przecież jest od niego o wiele starsza i sytuacja powinna być raczej odwrotna. To on powinien być w jej obecności zdenerwowany. Dlaczego miałyby się wstydzić swojej pracy, skoro jej położenie jest zdecydowanie lepsze niż jego.

– Mogłaby być ciekawsza. Jak tylko uzbieram dość pieniędzy, to zrezygnuję.

– A co chciałabyś robić? – Einar oparł podbródek na dłoni i mierzył ją wzrokiem od góry do dołu. Miał wyzywające spojrzenie i trudno było powiedzieć, co kryje się za jego ciemnymi oczami.

– Poszukam sobie pracy w butikiu. Albo zostanę stewardesą – oznajmiła. Jeszcze bardziej spłoszyć już się nie dało, więc mimo tej zaskakującej odpowiedzi jej policzki pozostały tak czerwone jak do tej pory. Aldís nigdy dotąd nie wspominała o swoich planach nikomu, ale jeśli dobrze pamiętała, nikt jej też do tej pory nie pytał, co zamierza robić w przyszłości.

– Znasz angielski? – spytał.

Aldís odetchnęła z ulgą, że nie śmiał się z jej marzeń i nie dał jej do zrozumienia, że nigdy nie zostanie stewardesą ani nie znajdzie pracy w butikiu ze swoim beznadziejnym wyglądem, więc niech już lepiej trzyma się sprzątanania.

– Trochę. Mam książkę, z której się uczę.

Einar gapił się na nią dalej.

– Ja chciałem kiedyś zostać pilotem. Mój tata był w Luftwaffe.

Einar miał cudzoziemskie nazwisko, dlatego Aldís się nie dziwiła.

– I co, nie cieszył się z tego? To znaczy, nie był z ciebie dumny? – zapytała. Może któregoś dnia spotkają się w pracy na pokładzie tego samego samolotu, kto wie.

– On się mną nie interesuje i nie ma żadnego kontaktu z moją mamą. Żyje z nową rodziną gdzieś w Ameryce.

Aldís oparła się na szczytce.

– Ale przynajmniej masz prawdziwą matkę. Moja jest okropna. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała jej oglądać ani o niej słyszeć.

Wyprostowała się, trochę zła na siebie samą, że się z tym wygadała. To nie w porządku wobec matki. Przecież ona zawsze była dla niej dobra, dopóki jej nie

zawiodła. Aldís zhardziała wewnątrz i dławiła teraz wszelkie sentymenty. Nie chciała wybaczyć swojej matce. Ona po prostu na to nie zasłużyła.

– Właściwie dlatego tu przyszedłem. Mam wiadomość od twojej mamy – dodała.

Wysłuchane deski łóżka zaskrzypiały, gdy Einar gwałtownie usiadł prosto i postawił nogi na podłodze. Przez chwilę Aldís myślała, że chłopak się na nią rzuci. Przypomniała sobie, jaki potrafi być silny. Gdyby przyparł ją do ściany, nie miałyby szans. Ale na szczęście niczego takiego nie zamierzał.

– Gdzie ją spotkałaś? – spytał.

– Odebrałam telefon w biurze Veigara. Sama nie wiem, jak mogłam to zrobić, ale twoja mama strasznie się ucieszyła. Veigar nigdy by z nią nie porozmawiał. – Ponieważ Einar się nie odezwał, nie pozostało jej nic innego, jak spytać go ostrożnie, czy nie powinna była mu o tym wspominać. Może w ogóle nie jest ciekaw wieści od swojej matki?

– Co powiedziała?

– Prosiła, żebym ci powtórzyła, że dużo o tobie myśli. Albo nad tobą myśli, już nie pamiętam, jak to dokładnie brzmiało. Ale to bez różnicy. Chyba mocno za tobą tęskni.

Einar nieznacznie pokiwał głową.

– Dziękuję. Poza tym nic już nie mówiła?

Aldís już chciała potwierdzić, lecz przypomniała sobie, co kobieta dodała jeszcze na samym końcu. Co miało być takie ważne.

– Powiedziała, że twoja decyzja była lepszym rozwiązaniem. Nie, przepraszam, chyba mówiła, że masz pamiętać, że zdecydowałeś się na lepsze rozwiązanie. Jakoś tak to brzmiało. I że to jest bardzo ważne.

Einar znowu pokiwał głową z szopą ciemnych włosów, ale tym razem wyraźniej. Aldís nie potrafiła odczytać z jego twarzy, co myśli o tej wiadomości.

– Zrozumiałeś to? – spytała.

– Tak, a właściwie nie wiem dokładnie.

Zdaje się, że nie miał ochoty o tym mówić, więc Aldís dała spokój.

– Jeśli twoja mama zadzwoni jeszcze raz, mam jej coś przekazać?

Pytając go o to, Aldís zamiatała dalej, bo nie chciała patrzeć mu w oczy. Podłoga była dosyć czysta, ani odrobiny kurzu pod łóżkiem, tylko jedna wyrócona na lewą stronę skarpeta. Pochyliła się, podniosła ją i położyła na posłaniu. Kiedy zaczęła tu pracować, brudne skarpetki budziły w niej obrzydzenie, podobnie jak włosy w zlewie, ale ten wstręt już dawno jej minął.

– Powiedz jej, że już się cieszę na powrót do domu. – Einar uniosł nogi, podczas gdy Aldís zamiatała pod łóżkiem. – Co mógłbym jej jeszcze powiedzieć? Co ty na

jej miejscu chciałybyś usłyszeć?

– Ja? – Aldís roześmiała się, ale zaraz ucichła, kiedy zorientowała się, że on mówi całkiem poważnie. – Nie wiem, no, na przykład, że mimo wszystko dobrze ci się wiedzie. Bo nic to nie da, kiedy jej powiesz, że jest ci tu do niczego. Jeśli tak jest. Wtedy ona też będzie się czuła tak samo podle jak ty. To już lepiej skłamać.

– Nie jest mi tu ani dobrze, ani źle, dlatego możesz jej to spokojnie przekazać i nie będzie to żadne wielkie kłamstwo. Bycie tutaj to jak tkwienie w jakiejś skrzyni, jak wyrwanie człowieka z życia i odstawienie do komórki. Wszyscy tu jakby tylko czekali, kiedy to minie. Jak dzień się kończy, wtedy jest się o jeden dzień bliżej domu i swojego starego życia. – Chwytał za kij od szczotki i trzymał go mocno. Był o wiele silniejszy, niż wyglądał, i Aldís się przestraszyła. – Ty jesteś jakaś inna. Ty nie czekasz.

Czy to dobrze, czy źle? Jeśli on ma rację, to pewnie wynikało z tego, że ona poza domem w Krókur nie ma już żadnego innego schronienia. Na niego czekali przyjaciele – i jego matka. Na nią nikt nie czekał. Nawet najlepsza przyjaciółka chyba już z niej zrezygnowała. Aldís przyjrzała się dłoni zaciśniętej na trzonku szczotki.

– Muszę posprzątać do końca. Zaraz będzie kolacja i muszę pomóc w kuchni – powiedziała wreszcie.

Einar puścił kij i z powrotem wciągnął nogi na łóżko. Milczał, a Aldís nie miała odwagi dłużej z nim rozmawiać. Tyle jeszcze chciałyby się o nim dowiedzieć, ale bała się, że wyrwie się jej coś niezręcznego. Skupiła się więc na doprowadzeniu podłogi do porządku i pochyliła się, żeby zamieść głębiej pod łóżkiem. Kiedy szczotka dosięgła niemal tylnej ściany, natrafiła na mocny, ale jednocześnie miękki opór. To coś w nieprzyjemny sposób ustępowało, jednak nie przypominało niczego, na co zwykle natykała się pod łózkami chłopców. Ubrania były lżejsze, a gazety, książki i buty – twardsze. Aldís rzuciła szybkie spojrzenie na Einara, lecz jego twarz niczego nie wyrażała. Żadne z nich się nie odezwało, jednak ona wiedziała, że po jej minie od razu widać, iż coś jest nie tak.

Nieprzyjemna cisza sprawiała, że Aldís nie chciała zaglądać pod łóżko ani wyciągać tego czegoś szczotką, choć z drugiej strony to już chyba byłoby lepsze, niż stać jak słup soli przy łóżku Einara. Kiedy się pochyliła, gwałtownie odskoczyła. Pod spodem nic nie było widać, ale jakoś dziwnie stamtąd pachniało, jakby wilgotnym mchem czy mokrą ziemią. Lecz poza tym wszystko wydawało się zupełnie normalne. Gdy zajrzała jeszcze raz, zobaczyła jedynie ciemność aż po samą ścianę. Nie dostrzegła niczego, co mogłoby dawać tamten opór. Zapach zrobił się teraz silniejszy i jeszcze bardziej zgniły. Filet z ryby, który o jeden dzień za długo leżał w kuchni.

Zamiast poprosić Einara, żeby zajrzał tam i powiedział jej, czy on też to czuje,

Aldís wolała trzymać język za zębami – intuicja mówiła jej, że on nie czuje niczego. Szybko zamiotła do końca, nie wsuwając już szczotki pod łóżko, i wyszła z pokoju. Kiedy zamykała za sobą drzwi, bąknęła coś pod nosem, a Einar też wymamrotał coś w odpowiedzi. Po drodze do kuchni myślała tylko o jednym: że jej szczotka natrafiła na martwe dziecko Lilji, umazane krwią, która zaschła i zrobiła się teraz czarna, dziecko z otwartymi, błyszczącymi oczami przesłoniętymi pewnie szarym bielmem. Pleśnią. Aldís obciągnęła rękawy na dłonie, aby ochronić się przed zimnem. Co stało się z tym noworodkiem?

Ódinn miał wrażenie, że słyszy wręcz drobiny kurzu unoszące się w powietrzu. Zawsze uważał, że potrafi pracować w każdych warunkach, ale teraz nie umiał odnaleźć się w ciszy panującej w biurze. Paplanina kolegów zwykle działała mu na nerwy, jednak w tym momencie bardzo mu jej brakowało i w ogóle nie był w stanie się skoncentrować. Wmówił sobie, że w sobotę nadrobi w biurze wszystko to, z czym nie zdążył w tygodniu. Ale to był jedynie pretekst – wiedział to doskonale. Bo przecież nie miał nic pilnego do wykonania.

Mówiąc szczerze, siedział tu dlatego, że nie chciał być sam w domu, gdy Rún poszła odwiedzić babcię. W mieszkaniu nie umiał się odprężyć, cały czas był czujny i przy najmniejszym szmerze i poruszeniu dostawał gęsiej skórki. Dlatego wolał już pętać się po biurze. Najchętniej spędziłby popołudnie z córką, wybrałby się z nią do kina albo na lody, może nawet poszedł do zoo, ale nie dało się już dłużej unikać tej wizyty – byłby to już czwarty weekend z kolei, w którym Rún i on wymawialiby się jakimiś błahostkami. Rún oczywiście jak zawsze protestowała, jednak w końcu dała za wygraną, i tak oto ojciec i córka siedzieli teraz w różnych częściach miasta, ustawicznie zerkali na zegarek, mając nadzieję, że wskazówki zaczną szybciej się przesuwac. Pewnie ten dzień minąłby mu szybciej, gdyby rzeczywiście miał coś bardzo pilnego do zrobienia.

Jakby dla podkreślenia, że w weekend nie ma czego szukać w biurze, automat do kawy też odmówił posłuszeństwa. Coś zablokowało maszynę i Ódinn po prostu nie wydobył z niej ani kropli. A kawa rozpuszczalna miała taki smak, jakby puszka z kawą stała tam od czasu budowy budynku, bo już stolarze wykańczający wnętrza wzgardzili takim świństwem. Mimo wszystko jednak ta lura zdołała obudzić w nim trochę życia i stanowiła dobrą przeciwwagę dla cichego szumu komputerów, których koledzy Ódinna zapomnieli wyłączyć, opuszczając swoje miejsca pracy. Światło za oknami pogłębiało ociążałą atmosferę: szare chmury, wszędzie brudny śnieg jednakowego koloru, ani skrawka niebieskiego nieba. Granica między niebem a ziemią była rozmyta. Zapowiadano kolejne zamiecie, a chmury tylko na to czekały, żeby zasypać miasto śniegiem. Ódinn miał nadzieję, że stanie się to dopiero za jakiś czas. Babcia Rún mieszkała w centrum, on zaś wolał uniknąć kręcenia się na zdartych oponach po wąskich jednokierunkowych uliczkach w kiepskich warunkach drogowych. Gdyby nagle zaczęło sypać, musiałby się pospieszyć i odebrać Rún wcześniej, niezależnie od uprzednich ustaleń. W żadnym wypadku nie może się spóźnić. Jego była teściowa na pewno

chętnie zatrzymałaby wnuczkę dłużej u siebie, jednak Rún nie byłaby zachwycona, gdyby wizyta się przeciągnęła. Ale może śnieg jeszcze trochę poczeka i wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Inaczej teściowa niechybnie uczyni go odpowiedzialnym także za zamieć. No cóż, nie można być lubianym przez wszystkich. A on był przyzwyczajony do tego, że nikt za nim nie przepada.

W dzieciństwie ulubieńcem wszystkich był jego brat Baldur. Óðinn wprawdzie uznawano, jednak w gronie swoich przyjaciół nigdy nie cieszył się rolą najbardziej popularnego, zawsze stał w cieniu innych. Może dlatego tak bardzo przyłgął teraz do Rún, bo był dla niej tym najwspanialszym, a to przyjemne uczucie.

Tamci chłopcy z domu opieki z całą pewnością też nie byli niczymi pupilami. Wśród materiałów Róberty znajdowały się zdjęcia kilku z nich – każdy już niejedno przeżył, i to na pewno nic pozytywnego. Z ich twarzy raczej nie dało się wyczytać, że cieszą się na następny dzień, tylko raczej w każdej chwili spodziewają się czegoś najgorszego. Zaciśnięte usta i zmarszczone czoła. Óðinn nie sądził, by ta mimika wynikała tylko z pobytu w tamtym miejscu. Nawet jeśli przebywanie tam nie było żadną radością, niewinni chłopcy nie mogliby się zmienić w ciągu kilku miesięcy do tego stopnia, a większość z nich spędziła w Krókur nie więcej niż rok. Gdy tylko stawali się pełnoletni, nie mogli już tam przebywać, bo dom wychowawczy to nie więzienie.

W tamtych czasach uważano, że trzymanie trudnych wychowawczo chłopców z dala od krętych dróg życia jest dobrym rozwiązaniem, ale ostatecznie nie odniesiono szczególnego sukcesu. Dom w końcu zamknięto, a większość podopiecznych nie wyrosła raczej na przykładnych obywateli. Badania przeprowadzone w innych placówkach tego typu, w których umieszczano młodsze dzieci obojga płci – i to nie z powodu głupich dziecinnych wysokoków czy drobnych przewinień – wykazały, że obowiązywało w nich na co dzień skrajnie surowe podejście, na co, jak się zdaje, nikt wtedy nie zwracał uwagi. Jak wiele innych prób rozwiązywania problemów społecznych również koncepcja odrywania dzieci od ich rodzin i znajomego im otoczenia okazała się w efekcie całkowicie chybiona. Smutne jest tylko to, że obecnie znowu zaczyna się moda na podobne absurdy. Ludzie zdadzą sobie z tego sprawę także dopiero po dziesięcioleciach, a wtedy będzie już za późno.

Na myśl o tym Óðinn spochmurniał. Jedyne, co zdołał zrobić przez ostatnie dwie godziny, to sporządzenie spisu treści i nadanie tytułów rozdziałom raportu. Zamierzał wstać, trochę rozprostować kości, zajrzeć do boksu Róberty i przewertować jeszcze raz jej materiały, tak na wszelki wypadek, żeby niczego nie przegapić.

Kiedy zapach słodkich perfum Dilji załaskotał go w nosie, nie mógł się powstrzymać i kichnął tak głośno, że aż echo odbiło się po pustym pomieszczeniu.

Potem dał się słyszeć znowu tylko szum komputerów. Óðinn, wsłuchawszy się w ciszę w boksie Róberty, stwierdził, że jej komputer jest włączony. Przeszło mu przez myśl, że może powinien sprawdzić, czy nie zrzuciła na pulpit jakichś plików, zamiast zapisać je w firmowej sieci, do czego właściwie byli zobowiązani wszyscy pracownicy biura. Nie byłaby jedyna – ciągłe ulepszenia i aktualizowanie systemu prowadziły do znacznego spowolnienia w działaniu programów, dlatego wiele osób lekceważyło odgórne zarządzenia. Siadając w fotelu, Óðinn zdał sobie sprawę, że z pewnością naruszy w ten sposób jakąś wewnętrzną procedurę, a może nawet przepis prawa. Ale ostatecznie mógł spróbować; jeśli uda mu się ustalić hasło dostępu, sprawdzi – inaczej i tak nic nie zrobi. Kiedy zaczynał tu pracę, przydzielono mu hasło ze wskazówką, by po pierwszym zalogowaniu się natychmiast je zmienił, jednak on nie zawracał sobie tym głowy. Jeśli Róberta postąpiła tak samo, to znaczy, że było jej obojętne, czy ktoś dostanie się do jej komputera. Wstukał jej imię i po kolei cyfry 7 8 9.

Na ekranie pojawiło się powitanie skierowane do Róberty Gunnarsdóttir. Óðinn zawahał się chwilę, ale postanowił działać dalej. Otworzył wyłącznie pliki dotyczące pracy, a wszelkie osobiste dokumenty od razu zamknął.

Na pulpicie nie było żadnych zapisanych plików, co Óðinna dosyć zdziwiło, bo w jego komputerze wyglądało to zupełnie inaczej. Jedynie na samym dole widniały dwie ikonki plików wordowskich, lecz kiedy w nie kliknął, stwierdził zaskoczony, że pliki są puste. Były opatrzone imionami chłopców, którzy ponieśli śmierć w wypadku w domu opieki: `inair.docx` i `tobbi.docx`. Kilkakrotnie kliknął na ikonkę „wstecz”, sądząc, że może tekst został w każdym z nich usunięty, ale nic się nie zmieniło. Nie dało się ustalić, jakie informacje Róberta chciała zgromadzić w tych dokumentach, ale na pewno nie były one częścią raportu. Nigdy bowiem nie analizowano tak szczegółowo losów poszczególnych podopiecznych. Róberta miała jedynie ustalić, czy pracownicy placówki wyrządzili tym młodym ludziom jakąś krzywdę i czy w związku z tym państwo jest zobowiązane do odszkodowania.

To po prostu był przejaw wprost chorobliwej gorliwości, która prawdopodobnie miała swe źródło w nie najlepszym stanie zdrowia. Ten raport najwyraźniej ją przerastał, choć być może nie stanowił głównej przyczyny jej choroby, jak sugerowała Diljá, jednak Róberta chyba rzeczywiście nie dawała sobie rady z projektem. W końcu powstało błędne koło: z jednej strony czuła się wyczerpana i nie mogła skupić się na pracy, z drugiej strony była pod presją, co tylko pogłębiało jej niedomagania i powodowało, że tym bardziej nie potrafiła sprostać zadaniu i tak dalej, i tak dalej.

Po przejrzeniu folderów w komputerze Óðinn był raczej pewny, że oprócz tych dwóch dokumentów nie znajduje się tam nic, co miałoby związek z placówką w Krókur. Zastanowił się, czy powinien się odważyć i przejrzeć pocztę e-mailową,

w której mógł łatwo natrafić także na korespondencję prywatną. Z drugiej strony w ogólnej sieci firmowej nie było żadnych e-maili Róberty dotyczących projektu, czyli powinny być w jej komputerze. Jeśli teraz tego nie sprawdzi, będzie musiał złożyć oficjalny wniosek i czekać parę miesięcy na zgodę. A przecież wtedy już dawno zakończy pracę nad raportem. Otworzył więc pocztę elektroniczną.

Najpierw zamigotało okienko z różnymi przypomnieniami: dwa zaproszenia na spotkania, termin wymiany oleju w samochodzie, ślub i tego samego dnia wizyta u fryzjerki. Ódinn zastanawiał się, czy ktoś zawiadomił fryzjerkę, że Róberta z powodu śmierci nie będzie mogła przyjść, czy też stawiała się w sobotę w salonie i niecierpliwie czekała na klientkę. Ódinn zamykał jedno przypomnienie za drugim, aż okienko zniknęło, po czym sprawdził, czy da się znaleźć coś w kalendarzu – umówione spotkania z byłymi wychowankami domu czy coś w tym rodzaju. Pudło.

W poczcie przychodzącej była co najmniej setka e-maili, z których szesnaście zostało otwartych. Ódinn przebiegł wzrokiem tematy ostatnich i stwierdził, że były to głównie ogłoszenia reklamowe i powiadomienia z banku Róberty. Zszedł niżej i w końcu trafił na ciekawą wiadomość. Wysłana spod adresu Gmail miała w temacie: „Krókur – przeczytać od razu” i była opatrzona czerwonym wykrzyknikiem. Ódinn otworzył ją z napięciem.

Zamrugął i przeczytał tekst jeszcze raz, aby się upewnić, że dobrze zrozumiał. Nadawca użył samych dużych liter, co sprawiało, że wiadomość wydawała się jeszcze pilniejsza i ważniejsza.

TY ŻAŁOSNA STARA SUKO. ZOSTAW TO.
BO INACZEJ POŻAŁUJESZ.

Ódinn szybko posortował wiadomości według nadawców i stwierdził, że Róberta dostała jeszcze siedem podobnych e-maili, wszystkie wysłane spod tego samego adresu: domopiekikrokur@gmail.com. Czemu tego nie zgłosiła? A może to zrobiła, tylko Ódinn nic nie wiedział? Żaden z tych e-maili nie został przekazany dalej, czyli najprawdopodobniej Róberta zatrzymała te okropieństwa dla siebie. Ódinn uporządkował je chronologicznie.

Zaczynało się całkiem grzecznie. W pierwszej wiadomości Róbertę uprzejmie proszono, aby nie zasięgała żadnych informacji o Krókur. Nic to nikomu nie da, a najmniej tym, którzy zostali tam kiedyś umieszczeni. Za czterdzieści lat nikogo nie będzie to już nic a nic obchodziło. Róberta odpowiedziała w typowym urzędowym stylu. Dochodzenie nie będzie przerwane, istnieje jednak możliwość złożenia oficjalnej skargi, która zostanie następnie oficjalnie rozpatrzona. W ten sposób dołała oliwy do ognia. Wzburzenie nadawcy rosło z każdym e-mailem, a jego groźby pod adresem Róberty stawały się coraz gwałtowniejsze. Ódinn

szybko przestał te wiadomości na swoją prywatną skrzynkę. Jakoś nie miał ochoty czytać ich w biurze, w którym nie było nikogo poza nim.

Nagle poczuł się tak samo dziwnie jak w domu. Kiedy wstał i rzucił okiem przed siebie ponad ścianką boksu, dojrzał cienie pod meblami i elementami wyposażenia. Zupełnie jakby wypełzły, by zawładnąć tą odrobiną światła, lecz po chwili znowu się wycofały, kiedy tylko je zobaczył. Żałował, że włączył światło tylko przy swoim miejscu pracy. Gdy usłyszał jakieś szmery w kuchence, wyłączył komputer Róberty i postanowił iść do domu. Kiedy zamykały się za nim drzwi biura, był pewien, że usłyszał turkot kółek fotela. Dopiero gdy w pobliżu mieszkania teściowej usiadł w małym barku, poczuł się w końcu normalnie. Nie mieli w nim kawy, więc kupił sobie colę i sięgnął po gazetę. Przeczytawszy ją od deski do deski, włącznie z ogłoszeniami, uznał, że już dosyć, wyszedł i ruszył po Rún. Miał w nosie, że było dwadzieścia minut przed czasem. Córka na pewno się ucieszy.

Kiedy teściowa otworzyła mu drzwi, z głębi mieszkania nadbiegła Rún i rzuciła mu się na szyję. Starsza pani była mniej zachwycona.

– Jesteś za wcześnie – wypaliła z odpychającą miną.

– Tak, przepowiadają fatalną pogodę, wolałbym nie utknąć gdzieś po drodze. Nie mam dżipa.

– A kiedy prognoza pogody jest dobra? Mam nadzieję, że na kolejną wizytę nie będę musiała czekać znowu cały miesiąc.

– Nie, nie, raczej nie – odparł Óðinn, próbując dać Rún do zrozumienia, żeby szybko włożyła buty. Uśmiechał się nerwowo do byłej teściowej, która stała przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersi, o wiele za chuda i jeszcze bardziej wyniszczona zgrzyotą niż do tej pory. Miał do niej tyle pytań, ale nie mógł ich zadać przy Rún. Wiedział, że Lára była jej bardzo bliska, w końcu wychowała ją sama. Domyślał się, że po rozwodzie jego żona szukała pocieszenia u matki, toteż ta kobieta wie na pewno najwięcej o życiu swojej córki sprzed wypadku. Niewykluczone, że znała z detalami relację Láry i Logiego i potrafiła ocenić, czy istnieje choćby cień podejrzenia, że to on mógłby wypchnąć ją w afekcie z okna.

Lecz dopóki jest z nimi Rún, Óðinn w żadnym wypadku nie mógł o to zagadnąć, a nie chciał też umawiać się z teściową, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy. Oprócz detali związanych z Logim, chętnie dowiedziałby się również czegoś więcej o całej tamtej sytuacji z najlepszego źródła, o tym, jak zareagowała Rún, czy to możliwe, że zauważyła kogoś w mieszkaniu i nikomu o tym nie wspomniała, na przykład ze strachu, że spotka ją coś podobnego jak jej matkę, jeśli się wygada. Poza tym chciałby usłyszeć, czy gdy teściowa tamtego ranka przyniosła swoją bieliznę do prania, nie zauważyła czegoś nietypowego, może zastała Logiego. Policja nie spytała jej o to, co wydało mu się dziwne. Albo ją

spytano, tylko nie było powodu, by zamieszczać wzmiankę na ten temat w protokole.

- Pa, Rún, wpadnij znowu niedługo.

Kobieta pochyliła się ku wnuczce i suchymi ustami ucałowała ją w czubek głowy. Rún wprawdzie nie próbowała się uchylić, ale bynajmniej nie wyglądała na szczęśliwą. Óðinn był ciekaw, czy jego córka zawsze zachowywała się tak obojętnie wobec babci, czy to wynika jedynie z szoku. Być może w swoim dziecięcym umyśle nie potrafiła jej wybaczyć jako posłance tragicznej wiadomości.

Kiedy już siedzieli w samochodzie i Rún zapięła pas, Óðinn odwrócił się do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- To było ładne z twojej strony, Rún. Babcia bardzo cię kocha i smutno jej, kiedy nie może cię widzieć. Czasami musimy robić rzeczy, które nie wydają nam się specjalnie fajne, a zwłaszcza kiedy to dotyczy ludzi, którzy są nam bliscy. Kiedyś będziesz zadowolona, że się z nią spotykałaś.

- Co znaczy „dotyczy”? - spytała Rún, patrząc przed siebie z niemal nieruchomą twarzą.

- Nieważne. Najważniejsze, że dałaś trochę szczęścia starej kobiecie, która kocha cię ponad wszystko. Ona oprócz ciebie nie ma nikogo. - Uśmiechnął się do córki, ale chyba tego nie zauważyła, tylko dalej wpatrywała się przed siebie.

- Ona nie jest miła - powiedziała Rún i zacisnęła usta.

Óðinn przypuszczał, że nie wydobędzie z niej nic więcej. Włączył silnik i w milczeniu ruszyli jednokierunkową ulicą, mijając ich stary dom. Rún opuściła wzrok, on zaś powędrował spojrzeniem po brudnej blasze falistej aż do okna, z którego spadła Lára. Mieszkania wciąż jeszcze nikt nie kupił i w oknie było ciemno. W głowie Óðinna pojawiło się wspomnienie, o którym wolał nie myśleć. Dlatego odetchnął z ulgą, kiedy zostawili dom za sobą.

ROZDZIAŁ 9

styczeń 1974

Szary obłok dymu z palącego się papierosa unosił się najpierw w górę nad głowę Hákona, a potem rozsnuwał się we wszystkich kierunkach. Jakby wiedział, że musi omijać oczy mężczyzny, aby papieros mógł dalej tkwić w kąciku jego ust. Aldís siedziała cierpliwie na taborecie i przyglądała się, jak Hákon naprawia pralkę, zadowolona, że ma wymówkę, by trochę się poobijać.

– Właściwie dlaczego tu pracujesz? – wypaliła nieoczekiwanie. Już od miesiący mieszkała z tym mężczyzną pod jednym dachem, a także z Mallem i Steinim, ale nigdy z nimi na ten temat nie rozmawiała. Wszyscy trzej byli zamknięci w sobie i rozmawiali najczęściej jedynie o pogodzie. Nie dlatego, żeby się krępowali Aldís – kiedy byli sami, też się do siebie nie odzywali.

Hákon obrócił się powoli w jej stronę lekko zaskoczony. Nie wiedziała, czy uważał ją za wścibską, czy też może już dawno czekał na tę chwilę, żeby móc powiedzieć coś o sobie, o swoich nadziejach i marzeniach.

– Hm, sam nie wiem. Tacy goście jak ja nie mogą dostać każdej roboty w każdym miejscu.

– Niby dlaczego? – wymknęło jej się mimo woli.

Podskoczyli oboje, kiedy obcęgi uderzyły o rurę przy ścianie.

– Muszę trzymać się z daleka od kieliszka. A to miejsce jest na coś takiego idealne. Tu nie ma pokus, w ogóle żadnych – wyjaśnił Hákon.

Tym razem Aldís najpierw się zastanowiła, zanim się odezwała. Czyli Lilja miała rację. Jej właściwie też to nie zaskoczyło, bo Hákon faktycznie wyglądał na takiego, co to nie wylewał za kołnierz: miał pooraną bruzdami twarz, szorstką skórę, włosy przeredzone jak na głowie starej lalki i zniszczone zęby. Wprawdzie zostało mu ich jeszcze kilka, ale szpary między nimi były podejrzanie szerokie i gdy gryzł jabłko, Aldís wydawało się zawsze, że jeden albo dwa zostaną w owocu na zawsze.

– Ale chyba nie chcesz być tutaj wiecznie? Tylko dlatego, że nie można się tu napić? – spytała.

Hákon wzruszył wąskimi ramionami.

– Wszystko mi jedno, nie znam żadnego lepszego miejsca. Tu przynajmniej mam wikt i dach nad głową.

Zaciął papierosa, nie biorąc go nawet w palce. Kiedy wciągał dym w płuca, papieros unosił się pionowo z jego ust do góry, a potem znowu bezwładnie zwiślał mu między wargami.

– Dach nad głową można mieć wszędzie. Jak stąd odejdę, wynajmę sobie pokój. W mieście.

Hákon wypchnął policzek językiem. Kiedy rozprostowały mu się zmarszczki, wyglądał o wiele lepiej. Gdyby odrobinę przytył, mógłby być całkiem, całkiem.

– Jeśli tobie uda się wynająć pokój w Reykjavíku, to nie znaczy, że ja będę miał tyle samo szczęścia. Ty jesteś młoda i ładna i masz przed sobą całe życie. – Znowu zaciągnął się papierosem, tym razem krótko. – Uważaj, żebyś nie przegapiła swojej szansy. Chyba nie chcesz skończyć tak jak ja.

Przerazona mina Aldís wywołała ochrypliwy śmiech Hákona, choć jednocześnie mężczyzna nie potrafił ukryć, że jej reakcja sprawiła mu przykrość. Nie przychodziło jej do głowy, w jaki sposób mogłaby ją złagodzić, więc po prostu milczała i przyglądała mu się dalej, nie zaczynając nowego tematu. Zaciągnął się ostatni raz, a następnie zdusił niedopałek na pomalowanej betonowej podłodze. Powstała przy tym czarna plama, którą Aldís będzie musiała później zetrzeć. Przemknęło jej przez myśl, czy on przypadkiem nie zrobił tego specjalnie. Z zemsty za to, że go obraziła. Hákon kończył naprawiać pralkę, nie odzywając się już ani słowem. Kiedy potem pozbierał swoje mocno zużyte narzędzia i był już w drodze do wyjścia, zatrzymał się jeszcze w drzwiach, jakby nad czymś się zastanawiał. Wreszcie odwrócił się w jej stronę i popatrzył na nią wypłowiałymi oczami.

– Gdybym był tobą, od razu bym to rzucił, Aldís. Ty nie pasujesz do tego miejsca. – Kiedy zobaczył, że ona nie zamierza nic powiedzieć, zawahał się jeszcze i dodał: – Zadawanie się z tymi ludźmi tutaj to jak stąpanie po cienkim lodzie. Na twoim miejscu prysnąłbym stąd jak najszybciej. Przed tymi chłopcami nie ma żadnej przyszłości, uwierz mi.

Nie mówiąc do widzenia, wyszedł i zostawił ją z zarumienionymi policzkami. Czy jej słabość do Einara była tak widoczna? Czy to znaczy, że wszyscy o niej mówią za plecami? Aż zakręciło jej się w głowie na myśl o tym. Najbardziej na świecie nie znosiła właśnie tego: szeptania i chichotania za czyimiś plecami. Miała tego dość już w szkole.

Cisnęła z furią ogromny stos brudnych prześcieradeł do pralki, jakby rzucała swoich nieprzyjaciół w ogień czyszczowy, wściekła na wszystko i wszystkich, ale głównie na siebie samą. Kiedy zaczęła się przyglądać, jak bielizna wiruje raz za razem w bębnie, poczuła się trochę lepiej. A niech tam, przecież nic na to poradzi, co inni sobie uważają. Ale Hákon dał jej jednak trochę do myślenia. On ma rację, nie powinna dłużej czekać. Uzbierała dosyć pieniędzy, żeby żyjąc oszczędnie,

utrzymać się przez parę miesięcy i jednocześnie szukać pracy. Żeby tylko wszystko tak nie drożało. Od czasu kiedy zaczęła pracować i ciuć grosz do grosza, ceny po prostu eksplodowały. Pokoje oferowane do wynajęcia kosztowały teraz o wiele więcej niż dawniej, a ogłoszeń ubywało. Czyli im szybciej się stąd wyrwie, tym lepiej. Jej pierwotny plan, by poczekać do wiosny i szukać nowej roboty przy lepszej pogodzie, wydawał się teraz dosyć mało realistyczny. Co za różnica, czy jest zimno, czy ciepło. Im wcześniej się wyniesie, tym prędzej osiągnie swój cel: byle nie w Krókur i byle nie w rodzinnym mieście.

Kiedy wyszła w mrok, jej niezłomne postanowienie trochę osłabło. Właśnie minęło wpół do ósmej i było już ciemno choć oko wykol. Usłyszała ciche kwilenie ptaka nad sobą, który pewnie jej komunikował, że pora go nakarmić. Musiał poczekać do jutra. A może tylko chciał zwrócić na siebie uwagę. Kiedy ona wyjedzie do miasta, on zdechnie. W Krókur nikt poza nią nie będzie się martwił o jakiegoś chorego ptaszka, bo to tylko dodatkowa robota. Może jednak rozsądniej byłoby pozostać przy swoim starym planie i zacząć działać dopiero na wiosnę. Oprócz tego biednego stworzenia dawała jej się też we znaki ciemność, czuła się w niej samotna, a w Reykjavíku wcale nie będzie lepiej. Chociaż tam są latarnie uliczne, co oczywiście stanowi różnicę, bo tutaj światło pada jedynie z paru okien. Kiedy wszyscy już śpią, jest tak ponuro jak po drugiej stronie księżyca.

Zimno wciskało się w każdą szczelinę. Pralnia znajdowała się na parterze domu Lilji i Veigara, a Aldís narzuciła na siebie tylko sweter. Żałowała teraz, że nie włożyła grubej kurtki. Deszcz ze śniegiem uderzał w blachę falistą jak w bęben, toteż najlepiej było puścić się pędem przez podwórze. W połowie drogi do domku zauważyła, że drzwi do dużego budynku są otwarte. Kołysały się spokojnie na wietrze, ale w środku było zupełnie ciemno. Aldís zwolniła kroku i miała zamiar to zignorować, lecz kiedy wyobraziła sobie błoto i wodę na podłodze jutrzejszego ranka, skręciła jednak w bok. I tak była już cała mokra. Pobieгла pod wiatr i deszcz w kierunku domu, osłaniając sobie twarz ramieniem. Dopiero kiedy znalazła się pod okapem, spojrzała w górę i otrząsnęła włosy z wody. Drzwi wejściowe uchyliły się znowu i teraz usłyszała też pisk zawiasów, które już dawno należało naoliwić. Chwyciła za kłamkę i chciała wśliznąć się do środka, kiedy nagle przyszło jej do głowy, że przecież wieczorem wyszła stąd jako ostatnia. I zamknęła za sobą drzwi. Co do tego nie miała wątpliwości.

– Halo! Jest tam kto? – zawołała i cofnęła rękę z kłamki.

Nikt nie odpowiedział, w środku zalegała cisza. Kiedy nadstawiła uszu, usłyszała tykanie dużego zegara wiszącego nad samym wejściem. Najchętniej pobiegłaby do domku i sprowadziła tu Hákona, który po naprawieniu pralki na pewno poszedł do swojego pokoju. Mogliby wtedy razem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Po kolacji nikogo nie powinno być w jadalni. Veigar i Lilja mają własną kuchnię, a w domku, który Aldís dzieliła z robotnikami, jest mała

nisza kuchenna z maszynką do gotowania wody. Pewnie jeden z chłopców zakradł się do głównego budynku. A może kilku naraz. Zerknęła w stronę przybudówki i zobaczyła, że jeszcze pali się w niej światło. Hákon na pewno bardzo by się ucieszył, gdyby wyciągnęła go na to zimno i śnieg. Zawołała powtórnie:

– Jeśli ktoś tu jest, to lepiej niech zaraz wyjdzie! Dobrze radzę! Zamykam drzwi na klucz! Jak Lilja otworzy je jutro rano, to nie będzie już tak zabawnie!

Aldís ani nie miała klucza, ani te drzwi nigdy nie były zamykane na klucz, ale chłopcy nie mogli tego wiedzieć. Nikt nie odpowiedział i ze środka nie dobiegł żaden odgłos. Może kiedy stąd wychodziła, po prostu drzwi niedokładnie się zamknęły. Aldís stała nieruchomo i wpatrywała się w ciemność. Miała wrażenie, że na podłodze są mokre ślady stóp. Podeszła trochę bliżej, żeby się upewnić. Tak, nie myliła się. Ktoś wszedł do budynku, i to nie tak dawno temu. W każdym razie kiedy ona po zmyciu naczyń poszła na drugą stronę do pralni, podłoga na pewno była sucha. Nie dało się rozpoznać, czy są to ślady któregoś z robotników, czy jednego z chłopców, bo wielu z nich miało duże stopy. Ale na pewno prowadziły tylko do środka, a nie z powrotem na zewnątrz. Ktokolwiek się tam zakradł, jeszcze stamtąd nie wyszedł.

– Halo?

Głos Aldís brzmiał zupełnie inaczej, niżby chciała. Nie energicznie i nieustraszenie, tylko cienko i słabo. Ten, kto chował się w budynku, wiedział teraz, że nie ma się czego bać. Drzwi ponownie zakołysały się na wietrze, a Aldís otworzyła je tak szeroko, że zobaczyła sionkę i ciągnący się za nią korytarz. Był pusty. Kiedy się upewniła, że za drzwiami nikt się nie chowa, weszła ostrożnie i wyciągnęła rękę do kontaktu. W żółtawym świetle brudnej lampy pod sufitem musiała najpierw przymrużyć oczy, żeby oswoić się z jasnością.

– Wiem, że tu jesteś! – krzyknęła. Światło dodało jej odwagi, co dało się słyszeć w głosie. – Wyłaź albo cię wyciągnę!

Tu trochę przesadziła. Nie była wcale przekonana, czy chce sama tropić nieproszonego gościa. W tym momencie z wnętrza budynku dobiegły jakieś odgłosy, które trudno było określić. Zbyt ciche, by stwierdzić, czy to słowa, czy mamrotanie, czy też charczenie. Aldís usłyszała jednak wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że nie musi się bać. Bo w tym odgłosie nie było żadnej siły. Poszła po omacku kawałek dalej. Może to jakieś zwierzę, dziki kot czy pies, który znalazł sobie kryjówkę w jadalni.

Ale zwierzęta nie otwierają drzwi i nie noszą butów.

Na dworze zawył wiatr jakby na znak, że zawierucha osiągnęła swoje apogeum. Potem drzwi uderzyły Aldís z impetem w bok. Kiedy rozcierała sobie bolące ramię, zatrzasnęły się z hukiem. Aldís przygryzła wargi. Bzdura, nie ma

żadnego zagrożenia, to tylko jej wyobraźnia wariuje. W budynku jest ktoś lub coś, co nie chce wyrządzić jej żadnej krzywdy – wystarczy, że dotrze do tej istoty i ją stąd wyprowadzi. Po prostu. Ślady zostawiła jedna osoba, nie ma więc powodu przypuszczać, że gdzieś w głębi czai się zgraja chłopców. Chyba że są w samych skarpetach. Ale czy w sionce stały buty? Z jednym pewnie dałaby sobie radę, zwłaszcza że jest od nich starsza, ale już z dwoma czy trzema albo kilkoma naraz na pewno nie. Mając to na uwadze, weszła do korytarza, najpierw zapaliła światło i ruszyła dalej. Stawiała kroki powoli i ostrożnie, zupełnie bez tej rezolucyjności, którą sobie wmawiała.

– Gdzie ty jesteś?

Brak odpowiedzi. Aldís zastanowiła się, gdzie powinna zacząć szukać, ale od razu zauważyła podpowiedź. Ślady prowadziły przez długi korytarz. Były coraz słabsze, lecz jednoznacznie wiodły do drzwi jadalni. Dlaczego ten ktoś poszedł właśnie tam? Tam są tylko stoły i krzesła, kredens ze spranymi obrusami i podobnymi rzeczami. Jeśli to złodziej szukający czegoś wartościowego, to wybrał niewłaściwy budynek. Tutaj nie ma niczego cennego.

Aldís skradała się na palcach do drzwi jadalni. Gdyby zaskoczyła intruza, miałyby nad nim niewielką przewagę i na pewno zdążyłaby się odwrócić i uciec. Pięć kroków, cztery kroki, trzy. Światło zamigotało, ale nie zgasło. Aldís wstrzymała oddech i niechcący stąpnęła mocniej na deskę podłogi. Jeśli tam w środku ktoś jest, musiał to usłyszeć. Zatrzymała się i czekała, dopóki nie uspokoi się łomot jej serca, i wtedy nagle znowu usłyszała ten sam odgłos. To samo ciche charczenie jak poprzednio, ale teraz była bliżej i mogła lepiej się wsłuchać. To musiał być jeden z chłopców, tyle że jego głos był tak cichy i ochrypliwy, że nie mogła go rozpoznać. Może się zranił, na przykład uderzył się w głowę, stracił orientację i przez przypadek wylądował w jadalni. Ale w korytarzu nie było widać ani krwi, ani niczego, co wskazywałoby na jakieś obrażenie.

Znowu dał się słyszeć ten sam odgłos, lecz teraz Aldís rozróżniła słowa wypowiedziane błagalnym tonem. Miała wrażenie, że chłopięcy głos powiedział: „Odejdź, odejdź”. Czy ten ktoś miał ją na myśli, czy może mówił na przykład przez sen? Nikt jej nigdy nie wspominał, żeby któryś z chłopców był lunatykiem, ale przecież ukrywano przed nią mnóstwo rzeczy. Znowu padły podobne słowa, i tym razem Aldís nie miała wątpliwości: „Odejdź, odejdź”. Chłopak mówił głośniejszym i chyba wpadł w panikę. Czy tam jest ktoś jeszcze? Wychowankowie raczej się jej nie bali, a ponieważ kilka razy zawołała w korytarzu, było jasne, że to ona, a nie kto inny.

Światło zamigotało ponownie. Aldís wzięła się w garść i wykonała dwa ostatnie kroki w kierunku drzwi. W żadnym razie nie chciałyby stać tu w ciemności, nie wiedząc, kto się za nimi znajduje. Włącznik światła był daleko od wejścia, dlatego nie mogła zapalić lampy w jadalni. Musiało jej wystarczyć światło

padające z korytarza. Mimo mroku dojrzała, że przy ostatnim stole siedzi jakiś chłopiec. Był odwrócony do niej plecami, mimo to rozpoznała, że to jeden z młodszych. Przeszył ją dreszcz, kiedy usłyszała, że znowu się odezwał, nie obracając się do niej, jakby miał oczy z tyłu głowy:

– Odejdź i zostaw mnie w spokoju!

– Chodź stąd, nie wolno ci tutaj siedzieć – powiedziała spokojnie Aldís, niemal pewna, że coś jest z nim nie w porządku. Nie był niebezpieczny, tylko zupełnie oszołomiony.

Wtedy się odwrócił, bardzo powoli, a ona dostrzegła ciemne oczy pałające w jego bladej twarzy.

– Nie mówię do ciebie – rzekł.

W tej samej chwili Aldís zdała sobie sprawę, że oni dwoje nie są tutaj sami. Światło w korytarzu zamigotało i sekundę później zrobiło się zupełnie ciemno.

ROZDZIAŁ 10

– Jeśli pan porówna, jak teraz się czuje, a jak czuł się przed wzięciem do siebie córki, co może pan powiedzieć? Czy jest pan szczęśliwszy, zagubiony, bardziej rozdrażniony? Czasami bywa, że wszystko naraz.

Psychoterapeutka o imieniu Nanna prześwietlała Óðinna, jakby ta odpowiedź miała znaczenie dla niej osobiście. Albo była dobrze wyćwiczona w takich gierkach, albo po prostu wyjątkowo sympatyczna. Wprawdzie na jej wizytówce widniał napis „psycholog dziecięcy”, ale wyglądało na to, że całkiem nieźle zna się też na problemach dorosłych. W odpowiedzi na jego prośbę zgodziła się podjąć terapii Rún, jednak najpierw chciała poznać jego. Chciała poznać bliżej ich sytuację rodzinną, przy czym jej pytania okazały się dosyć podobne do tych, jakie przed pół rokiem zadawał mu jego własny terapeuta. Mimo to Óðinn przystał na to i pozwalał jej sondować wszystkie drażliwe punkty. Kobieta niezwykle umiejętnie potrafiła nadać temu przesłuchaniu pozory rozmowy między dwiema równymi sobie osobami i dlatego nie wydawało się to aż takie dotkliwe. Nanna była ładna i młoda i Óðinn nie miał nic przeciwko temu, żeby z nią chwilę pogawędzić. Szkoda tylko, że nie mógł lepiej przygotować sobie odpowiedzi, ale kiedy do niej zadzwonił, okazało się, że jeszcze tego samego dnia ma wolny termin.

– Odnoszę wrażenie, że stałem się spokojniejszy, ale tak naprawdę nie zastanawiam się nad tym specjalnie – odpowiedział Óðinn krótko, od razu próbując to rozwinąć. – Nie mam żadnych konkretnych obaw, no, może poza jedną, jak powinienem się zachować, kiedy Rún wkroczy w okres dojrzewania i zacznie zadawać się z jakimiś głupimi chłopaczyskami. Oprócz tego chyba wszystko będzie dobrze układać się między nami. A na stwierdzenie, czy jestem szczęśliwszy, czy smutniejszy, jest jeszcze za wcześnie. Dopiero się do siebie przyzwyczajamy.

– Czy przedtem czuł się pan tak ogólnie szczęśliwszy?

– Tak. Nie. Wtedy było po prostu inaczej, musiałem myśleć tylko o sobie i o pracy. To żadna sztuka być w takiej sytuacji zadowolonym. Co prawda w poprzedniej pracy miałem dużo, dużo więcej stresów, ale całkiem nieźle dawałem sobie z tym obciążeniem radę. Może dlatego, że byłem panem samego siebie, jeśli można tak powiedzieć.

– To jest ogromna zmiana dla was obojga. Pańskiej córce zawalił się cały świat, a pan ma nową pracę, nowy tryb życia, żałobę – stwierdziła Nanna, nie zadając już

kolejnego pytania. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i odgarnęła za uszy kręcone włosy. Óðinn zauważył, że kiedy się uśmiecha, w jednym policzku robi jej się dołeczek, a drugi pozostaje gładki. Jakby po jednej stronie bardziej się cieszyła niż po drugiej.

- To brzmi gorzej, niż jest naprawdę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mówiąc szczerze, w tak krótkim czasie tyle się zmieniło, że wspomnienia o tamtej tragedii błędną. Do tej pory nie potrafiłem z Rún szczerze o tym wszystkim porozmawiać i mogę jedynie zgadywać, co to musiało dla niej znaczyć. Próbowałem, ale nie chciałem zbyt mocno naciskać. To moja wina, zawsze się cieszę, kiedy ona zmienia temat, i nie zmuszam jej do dokładniejszego rozbierania na części tego, co się stało. Po prostu nie mogę i boję się, że wywołałbym tylko jeszcze większe zamieszanie w jej głowie.

- Pan nie musi zgadywać, co ona myśli czy myślała. Ja to z niej wydobędę. Ale proszę mi powiedzieć, czy pan źle spał po wypadku?

- Tak, dosyć źle. - Chociaż od śmierci Láry nie upłynęło jeszcze dużo czasu, Óðinn nie bardzo mógł sobie przypomnieć. - Nie myślę wiele o tamtym czasie, tylko niedawno znalazłem tabletki na sen i wtedy uzmysłowiłem sobie, że krótko po wprowadzeniu się Rún do mnie rzeczywiście nie najlepiej spałem. Tych proszków nigdy nie brałem. Nie jestem przekonany do takich rzeczy. Po prostu pogodziłem się z tym, że kiepsko i niewiele śpiam. Pewnie to był błąd.

Nagle przeszło mu przez myśl, że może przez leżenie w tamtej bezsennej nocy jego mózg doznał jakiegoś uszczerbku i dlatego teraz ma tak rozbudzoną wyobraźnię. Czy te urojenia i nadwrażliwy słuch będą go już prześladować do końca życia? Przełknął ślinę, czując, jak jabłko Adama przesuwają się w górę i w dół.

- Nie, z całą pewnością to nie był błąd. Postąpił pan bardzo rozsądnie - powiedziała Nanna z uśmiechem, a Óðinn poczuł się jak na rozmowie kwalifikacyjnej u nowego pracodawcy. - Organizm wykorzystuje sen między innymi do tego, żeby zgromadzić i uporządkować w mózgu obrazy i informacje, tak aby potem łatwo dało się je odnaleźć. Dlatego na przykład tak ważny jest sen przed egzaminem, bo jeśli całą noc się uczymy, nasz mózg nie ma już czasu na przepracowanie nowych wiadomości. Wprowadzicie one wszystkie są zachowane gdzieś w mózgu, ale nie wiadomo gdzie. Tak samo jest z dokumentami czy jakimiś ważnymi papierami, które rzucamy bezmyślnie byle gdzie, zamiast odłożyć je w określonym miejscu. Kiedy ich potem potrzebujemy, nie możemy ich znaleźć. Ponieważ mało pan spał, pańskie wspomnienia nie są przejrzyste.

Nanna znowu się uśmiechnęła, a on po raz kolejny poczuł się jak wzorowy uczeń. Może z każdym, kto z nią rozmawia, tak się dzieje.

- Mam rację, prawda? Czy też pamięta pan dokładnie, jak wtedy było i jak się

pan wówczas czuł?

Óðinn zastanowił się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi. Do tej pory nawet nie starał się wracać myślami do tamtego czasu. Nie widział powodu, by konfrontować się z tymi strasznymi zdarzeniami. Łamanie sobie głowy nad przeszłością do niczego nie prowadzi, tak samo jak zamartwianie się przyszłością. Przynajmniej on miał takie doświadczenie. Do tej pory.

- Nie, nie twierdzę, że dobrze wszystko pamiętam, oczywiście oprócz najważniejszych rzeczy, ale na pewno nie umiem dziś powiedzieć, co myślałem i jak się czułem.

Óðinn słyszał, jak to żałośnie brzmi, nie potrafił jednak udzielić lepszej odpowiedzi. Odwrócił od Nanny wzrok i wpatrywał się w ruch samochodów za oknem. Właściwie to nie miał ochoty opowiadać nic więcej z obawy, że jej pytania skierują rozmowę w niemiłym mu kierunku. Bo ta kobieta na pewno będzie ciekawa, jak się poczuł, kiedy dostał wiadomość o śmierci Láry, a on na ten temat w żadnym razie nie zamierza rozmawiać. Leżał wtedy skacowany w łóżku i nie był w stanie wydobyć z siebie choćby słowa, nie wspominając już o autentycznym zrozumieniu, co ta informacja dla niego znaczy.

Kiedy Lára runęła na twardy asfalt, on po wieczornej rundce po knajpach był tak zalany i nieprzytomny, że nie pamiętał nawet, jak trafił do domu ani gdzie spędził ostatnie godziny. Jak przez mgłę przypominał sobie tylko, że z ożywieniem dyskutował w barze z jakimś młodym mężczyzną, który świętował swój wieczór kawalerski i był tak samo wstawiony jak on. Prawdopodobnie płacił właśnie trzęsącymi się rękami taksówkarzowi, kiedy Lára w rozpaczliwej próbie zamortyzowania upadku usiłowała podeprzeć się dłońmi. Óðinn usiłował ukryć niesmak wywołany swoją moralną miernością. Nie chciał, aby Nanna zauważyła, o czym teraz myśli. Gdyby jej o tym opowiedział, ten śliczny uśmiech zniknąłby z jej ust, a przecież wolałby, aby nie uważała go za drania i moczymordę. Bo te czasy miał już za sobą.

- Czy trzeba koniecznie starać się przywrócić wspomnienia na właściwe miejsce w mózgu, jeśli przypadkiem się je straciło? - spytał.

Uśmiech na twarzy młodej kobiety nieco przygasł, ale już po chwili znowu odzyskała nad nim kontrolę.

- Nie, niekoniecznie. Ja próbuję tylko uzyskać obraz tamtych wydarzeń, abym mogła lepiej pomóc pańskiej córce. I być może również panu. Wspomniał pan, że miewa pan przywidzenia, które mają związek pana zdaniem ze śmiercią byłej żony. To raczej niespotykane i dlatego usiłuję znaleźć do tego klucz. Z pańskich słów wynika, że wciąż jeszcze nie uporał pan się z tym problemem. Bo nawet jeśli nie myślimy ustawicznie o konkretnych zdarzeniach, to wcale nie znaczy, że ich nie ma. Zdecydowanie radzę panu także skorzystać z pomocy fachowca, kiedy

Rún będzie przychodzić do mnie. Psycholog, z którym spotkał się pan wcześniej, ma bardzo dobrą opinię.

O tym Óðinn nawet nie myślał. Zerknął z ukosa na ogromny i bardzo gustowny zegar na ścianie.

– A co on mógłby zrobić, żeby to się skończyło? Mówiąc delikatnie, mam po dziurki w nosie tych halucynacji, dlatego byłoby miło, gdyby pani mi coś poradziła – powiedział.

– To nie jest takie proste. Nie wytrząsnę panu z rękawa jakiegoś cudownego lekarstwa. Niestety. Jeśli jest pan zdecydowanie przeciwny psychoterapii, mogę poprosić lekarza, żeby wypisał panu coś na uspokojenie. Takie środki dobrze działają na osoby cierpiące na stany lękowe opisane przez pana. Chodzi o to, że w naszym otoczeniu występuje masa różnych odgłosów i ruchów, których normalnie nie zauważamy, chyba byśmy zwariowali, pozwalając, by wszystkie te bodźce na nas oddziaływały. To reakcja obronna, jaką człowiek wykształcił, gdy przyszło mu żyć z innymi ludźmi w coraz ciasniejszej przestrzeni. Znamy to doskonale z miast i metropolii. Prawie nie zauważamy wszystkich bodźców wokół nas. Jak mi się wydaje, w pana przypadku wynika to z tego, że brak panu równowagi wewnętrznej i dlatego jest pan lękliwy i ciągle czujny. Słyszy i postrzega pan rzeczy, które wcześniej puszczał pan mimo uszu. Odpowiednie lekarstwa mogą złagodzić te objawy. Ale taki sam efekt daje też terapia.

– Nie wchodzi w rachubę.

Óðinn nie czuł się aż tak źle, żeby musiał łykać jakieś proszki albo chodzić na terapię. Nie chciał siedzieć w jednym z tych stylowych gabinetów i rozwodzić się o sobie. Choć nie znał się na tym jakoś szczególnie, był też przekonany, że środki uspokajające mają liczne skutki uboczne i uzależniają.

– Myślałem, że są jeszcze inne sposoby. Hipnoza albo coś podobnego. Coś, co pani potrafi i może zastosować od razu – stwierdził.

Nanna roześmiała się krótko.

– Potrafię to i owo, owszem, ale zajmuję się wyłącznie dziećmi. W pana przypadku psychoterapia obejmowałaby więcej niż tylko jedną rozmowę. A powodem naszego spotkania jest Rún, nie pan. Nie ma takiej możliwości, by wyszedł pan stąd dzisiaj wolny od swoich dolegliwości i by wszystko było jak dawniej. Chociaż oczywiście mogę zrozumieć, że czegoś takiego pan się spodziewał.

Óðinn nie zaprzeczył – w końcu nie trzeba się wstydzić, że człowiek chce szybko uwolnić się od tego, co mu dokucza. Ale chyba nic z tego.

– Czy myśli pani, że zwariuję? – spytał.

– Nie, nie sędzę, ale proszę zwrócić uwagę, że powiedziałam „nie sędzę”. Za

mało wiem o panu, by móc definitywnie rozstrzygnąć. Ludzie wariują, jak pan to nazwał, na najrozmaitsze sposoby. Po wielu tego nie widać. Jednak na pana miejscu zbytnio bym się nie martwiła.

To też nie była odpowiedź, na jaką Óðinn liczył – wolałby usłyszeć jednoznaczne nie.

– Ale ja nie martwię się o siebie. Ja jakoś to przetrwam, nawet jeśli jeszcze przez jakiś czas będę musiał męczyć się z tymi różnymi przywidzeniami. Martwię się o Rún. Wprawdzie ona nie mówi za wiele o swoich uczuciach, wiem jednak, że śnią się jej jakieś koszmary związane z matką, i na pewno przechodzi przez to samo co ja. Nie potrafię być dla niej prawdziwym wsparciem, chociaż się staram. – Wyprostował się, by nie sprawiać wrażenia słabszego, niż to potrzebne. – Ale jestem gotów zrobić wszystko, aby pomóc jej odzyskać równowagę.

Poza terapią. I braniem lekarstw.

– Czy u was obojga zaczęło się to w tym samym czasie? – spytała terapeutka i chyba pierwszy raz podczas tej rozmowy potraktowała go poważnie. To raczej nie był dobry znak. – To dosyć nietypowe, że oboje przeżywacie coś podobnego, i na dodatek jeszcze w tym samym czasie.

– Rún jest w kiepskiej formie, od kiedy zamieszkała ze mną. Co rozumiałe. Straciła matkę. Ale ostatnio jej problemy wyraźnie się nasiliły. Wcześniej sypiała spokojnie i nie wyglądała na taką wylęknioną jak teraz. – Zamyślił się przez chwilę. – Tak, to zaczęło się u nas obojga mniej więcej jednocześnie.

– Czy w tym czasie coś się w pana życiu zmieniło? – Nanna spuściła wzrok. – Na przykład pojawiła się jakaś nowa kobieta?

– Nie, nic takiego się nie wydarzyło.

– A w pracy? Nie czuje pan większej presji?

Óðinn nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Owszem, jest trochę gorzej, ale nie jakoś dramatycznie. Dostałem wreszcie coś sensownego do zrobienia, bo do tej pory miałem jak na mój gust za mało wyzwań. Tak, tu trochę się zmieniło, ale w pozytywnym sensie.

– A czy to możliwe, że ta presja jest większa, niż gotów jest pan przyznać? Że ma to wpływ na pańską córkę, chociaż pan tego nie zauważa? Czy na przykład zabiera pan pracę do domu?

– Nie, nie robię tego. Wcześniej się nudziłem, a teraz mam projekt do wykonania w określonym terminie. I to wszystko. Mogłem nawet sam go ustalić, co może pani zobrazuje wymiar mojego stresu. To na pewno w żaden sposób nie przekłada się na Rún.

Terapeutka nie wydawała się jednak przekonana.

- Byłem u lekarza.

Heimir nie potrafił powstrzymać swojej ciekawości i gdy Óðinn wrócił do biura, od razu go spytał, gdzie się podziewał. Óðinn za nic w świecie by mu nie powiedział, że miał wizytę u terapeutki.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - spytał Heimir z zaklinającym spojrzeniem.

- Nie, nie.

- To dobrze. Człowieka trochę ogarnia strach, kiedy mężczyzna w sile wieku wybiera się do lekarza. Ale skoro mówisz, że to tylko jakaś błahostka, to nie ma się czym martwić.

- Nie powiedziałem, że to błahostka, tylko że to nic poważnego - odparł Óðinn, by trochę otrzeźwić Heimira. Dlaczego ten biedak zawsze mu grał na nerwach? To przecież nie wina szefa, że jego życie wygląda tak, jak wygląda. Przeciwnie. To on go zatrudnił, a gdyby Óðinn dalej pracował u swojego brata i ciągle był poza domem, nie wiadomo, jak wyglądałaby jego sytuacja i sytuacja Rún.

- Nawiasem mówiąc, chciałem cię poinformować, że zamierzam porozmawiać z kilkoma z dawnych wychowanków z Krókur. Oczywiście jeśli się zgodzą. Muszę tylko mieć od ciebie zielone światło, bo wolałbym nie narazić się na nieprzyjemności.

- Na jakie nieprzyjemności? - spytał Heimir z wystraszoną miną, a jego zezujące oko powędrowało w bok. Przesunął dłońmi po lśniącym blacie swego pustego biurka, jakby chciał wytrzeć niewidzialny kurz. Był ubrany jak zwykle w nazbyt elegancki garnitur i krawat, w każdej chwili gotów pospieszyć na spotkanie w którymkolwiek z ministerstw, co jednak zdarzało się bardzo rzadko.

- Załóżmy, że któryś z moich rozmówców budzi się ze złego snu i zwraca się do prasy. Do tej pory żaden z dawnych wychowanków nawet nie pisał, bo być może nikt nie chciał ruszać tego drażliwego tematu. Ale cały ten mój raport byłby guzik wart, gdyby nie znalazły się w nim ich osobiste doświadczenia. To, co uzyskałem do tej pory, odzwierciedla jedynie punkt widzenia władz, a władze przecież także w przypadku innych domów udawały, że nic nie wiedziały.

Podczas gdy Óðinn czekał na odpowiedź Heimira, przysłuchiwał się cichym odgłosom, które docierały do środka mimo zamkniętych drzwi. Słyszał, jak sekretarka stuka w klawiaturę, słyszał, jak bulgocze ekspres do kawy, i słyszał też nerwowy dzwonek czyjejs komórki, której nikt nie odbierał. Jednocześnie przepełniała go taka ulga, że aż musiał uważać, by się nie uśmiechnąć. Terapeutka miała rację: stał się bardziej wrażliwy na bodźce docierające z otoczenia. Wszystko to, co uważał za objawy obłądzenia czy opętania, to po prostu normalne odgłosy, których w innej sytuacji nawet by nie dostrzegał. Lecz im dłużej nasłuchiwał, tym bardziej czuł się nieswojo i pokusa, by się uśmiechnąć, zniknęła

kompletnie. Chciał, aby Heimir wreszcie przeszedł do rzeczy. Klekotanie klawiatury brzmiało tak, jakby ktoś pisał coś niemiłego, co zniszczy oczekiwania jakiegoś zwykłego obywatela, a dzwonek telefonu zapowiadał na pewno złą wiadomość, nagłą śmierć albo niekorzystny wynik badań onkologicznych.

Óðinn odchrząknął, aby zagłuszyć te wszystkie hałasy choćby tylko na chwilę. Heimir w końcu się odezwał:

– Tak mówisz? O prasie w ogóle nie pomyślałem.

Zamilkł i zdawał się czekać na odpowiedź Óðinna.

– Można się spodziewać, że kiedy raport ujrzy światło dzienne, prasa skontaktuje się z dawnymi wychowankami domu, a kiedy się okaże, że sklecieliśmy go, nie uwzględniając ich stanowiska, obedną nas ze skóry.

– Czyli chciałbyś koniecznie odbyć te rozmowy?

– Tu nie chodzi o to, czy ja chciałbym. Wypowiedzi tych ludzi muszą znaleźć się w raporcie, one są jego nieodłączną częścią. Choćby po to, by potwierdzić, że dom był prowadzony wzorowo. Ale nie da się też wykluczyć, że się okaże, iż oficjalny obraz nie ma nic wspólnego z tym, co naprawdę działo się w Krókur.

Zezując oko Heimira, uciekające w bok, zatrzymało się na jakimś punkcie, jakby znalazło odpowiedź gdzieś poza polem widzenia.

– Jasne, ja też uważam, że należy porozmawiać z tymi ludźmi. Ale czy Róberta nie odpytała już paru z nich? To byłoby raczej normalne. I dlatego mam wątpliwości, czy ponowne kontaktowanie się z tymi samymi osobami nie zrobi złego wrażenia?

– Nie znalazłem w materiałach nic na ten temat.

– A sprawdziłeś grafik działań Róberty dotyczący projektu?

– Nie, nie wiedziałem, że mam do niego dostęp. Mówiąc szczerze, o tym nie pomyślałem.

– Ona zawsze bardzo sumiennie go wypełniała i dosyć dokładnie opisywała swoje codzienne zadania. – Heimir rzucił Óðinnowi pospieszne spojrzenie, dając mu do zrozumienia, że powinien wziąć z tego przykład. – Każę ci go wydrukować. Sam do niego nie dotrzesz. Jeśli Róberta odbyła już jakieś rozmowy, będzie to odnotowane w tym jej grafiku.

To brzmiało rozsądnie i Óðinn miał zamiar już wyjść, gdy przyszło mu coś jeszcze do głowy:

– Mam pytanie: czy Róberta skarżyła się, że jej grożono?

– Grożono? – powtórzył osłupiały Heimir. – Skąd taki pomysł?

– Nieważne, tak tylko pytam. Porozmawiamy o tym innym razem. A kto oprócz naszego biura wiedział, że ona pracuje nad tym raportem?

Heimir wykrzywił usta, przy czym jego oko wróciło na właściwe miejsce.

- Chwileczkę, chcesz może zasugerować, że ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo z Urzędu do spraw Młodzieży groził Róbertce? Dlaczego? - powiedział i z pogardą pociągnął nosem. - To nie do pomyślenia. Pomijając już fakt, że nikogo nie obchodzi, kto u nas nad tym pracuje. Nikomu w końcu do tego stopnia na raporcie nie zależy, żeby aż tak się napinać.

Óðinn skinął głową i pożegnał się, choć widział, że Heimir miał ochotę ciągnąć jeszcze rozmowę. Skoro nikt z wyższych instancji nie wiedział o tym, że to Róberta sporządza raport, nie jest więc prawdopodobne, aby e-maile miały pochodzić stamtąd. Czyli w grę wchodzili tylko jej rozmówcy. A nimi mogli być jedynie dawni mieszkańcy Krókur. Albo pracownicy.

Róberta rozpisała swoje zadania jasno i klarownie w formie schematu czasowego. Óðinnowi wręczono grafik obejmujący ostatnie sześć miesięcy i właśnie dotarł już mniej więcej do połowy, gdy oniemiał. W jednej z rubryk widniało: „Przejrzenie listów”. Zabrało jej to dwie i pół godziny. Następnego dnia taki sam wpis, a w okienku obok: „1 godzina”. Co to za listy? W materiałach Róberty nie natknął się na żadne. Óðinn zaznaczył te rubryki i kontynuował przeglądanie. Niewiele dalej natrafił na kolejną adnotację, której nie rozumiał: „Zapoznałam się z anencefalią”. Wstukał w Google to słowo i dowiedział się, że oznacza ono bezmózgowie. Rzadko widział coś równie odrażającego jak to, co zobaczył na dołączonych zdjęciach: noworodki, których oczy na pierwszy rzut oka znajdowały się na czole, ale po bliższym przyjrzeniu się okazywało się, że są na właściwym miejscu. Nie było tylko mózgowca. Óðinn doczytał się w jakimś artykule, że jest to wada wrodzona polegająca na braku mózgowia. W takim przypadku kości czaszki rozwijają się w brzuchu matki inaczej niż u zdrowych płodów i pokrywa kostna czaszki się nie wykształca. Główka kończy się tuż nad oczami. Co to mogło mieć wspólnego z projektem Róberty? Óðinn nie był pewien, czy chce to w ogóle wiedzieć, zamknął więc szybko wyszukiwarę, żeby nie mieć już ani tekstu, ani tych zdjęć przed oczami.

Podszedł do okna i wytknął głowę na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Może on w ogóle nie nadaje się do tej sprawy. Ale wątpliwości szybko się ulotniły i już po chwili wrócił do biurka, i znowu zagłębił się w grafiku. Co za horror!

ROZDZIAŁ 11

styczeń 1974

Nikt jej nie wierzył, może poza Tobbim, ale on się nie liczył, bo był przy tym. Inni tylko gapili się na nią tępo i uważali, że musiało jej się to przywidzieć i że nie powinna opowiadać takich bzdur. Do nich należeli też Veigar i Lilja, którzy nawet byli na nią źli, bo potwornie wystraszyła chłopców. Histeryzuje i powinna trzymać buzię na kłódkę, dopóki z powrotem się nie uspokoi. Obsztorcowali ją tak już wieczorem i kontynuowali jeszcze rano. Nawet ptak na dachu odwrócił się do niej ogonem, kiedy szła przez podwórze.

Aldís przysiadła na rozsypującej się drewnianej ławce za domkiem i zaczęła wymachiwać nogami, żeby wyładować wściekłość. Ławka była bardzo stara, co dało się zauważyć choćby po trzech zagłębieniach wysiedzianych w deskach. Jej tenisówki wzbijały się w powietrze i znowu znikwały, wzbijały się wysoko i znikwały, a za każdym razem, kiedy Aldís unosiła nogi do góry, wpadała w jeszcze większą furję. W jednym bucie przez przetarty materiał przewiercał się duży palec. Jak już wyniesie się do miasta, to w pierwszej kolejności kupi sobie nowe, sztywne buty. W takim byle czym nie dostanie od nikogo żadnej porządnej pracy. Stewardesy na przykład noszą buty na wysokich obcasach. A nie płaskie, podziurawione tenisówki. Pociągnęła papierosa, którego skręcił jej Steini, kiedy zobaczył, co się z nią dzieje. Nie potrafił pięknie mówić i jedynie w ten sposób mógł jej pokazać, po czyjej jest stronie, chociaż wiedział, że ona właściwie nie pali. Aldís wydmuchnęła ciężki obłok dymu, który natychmiast porwał dalej wiatr, jakby chciał się nim pobawić.

– Znajdzie się jeszcze jeden dla mnie?

Niepostrzeżenie podszedł do niej Einar. Nie zauważyła go nawet, bo wciąż kipiała ze złości na Veigara i Lilję z powodu ich bezwzględności. Poza tym on poruszał się bardzo ostrożnie i cicho, inaczej niż inni chłopcy, którzy zawsze głośno człapali. Ale nie skradał się tak specjalnie. Zdaje się, że taki sposób chodzenia wysłał z mlekiem matki. Ten ruch przypominał Aldís ruchy wielkich dzikich kotów, które kiedyś widziała w jakimś filmie dokumentalnym.

Powstrzymała kasznięcie.

– Mam tylko tego – odpowiedziała, podając mu na wpół wypalonego krzywego papierosa i usuwając jednocześnie z warg okruch tytoniu. Nie za bardzo umiała sobie poradzić ze skrętem i jego koniec zrobił się wilgotny. – Chcesz?

Einar usiadł obok niej i zachłannie wciągnął dym.

– O rany, ale mi tego brakuje – rzucił.

– A mnie brakuje słodyczy. Marzę o wielkiej coli i lukrecyjnych żelkach – oznajmiła Aldís i machnęła odmownie ręką, kiedy Einar chciał jej oddać papierosa.
– Właściwie to nie palę. Możesz go sobie zostawić.

Einar z uśmiechem znowu się zaciągnął.

– Ale mi dobrze. Niestety, nie mam jak zdobyć dla ciebie słodyczy. To dlaczego palisz, jeśli tak naprawdę nie palisz?

– Jestem strasznie rozeźlona i pomyślałam, że papieros mnie uspokoi.

Aldís nie wiedziała, czy sprawiła to nikotyna, czy jego bliskość, ale nagle już wcale nie była zła. Pozostało tylko otepiałe poczucie uspienia, ciężar na duszy, pozostałość po dzikiej wściekłości.

– Chodzi o tę historię z wczoraj? Tobbi mi opowiedział. Strasznie się trząśł, kiedy w końcu zjawił się wieczorem.

Wiatr zmienił kierunek i dym wrócił do Aldís. Chciała go rozegnać ręką, ale się powstrzymała, żeby Einar nie pomyślał sobie, że jest śmieszna. Wystarczy, że ma takie nędzne buty. Wsunęła więc stopy pod ławkę.

– I dobrze mu tak. Gdyby trzymał moją stronę, tak by mnie nie zbesztali. – Oblizła sobie wargi, które smakowały jeszcze papierosem. – Tobbi zachował się idiotycznie. Najchętniej bym go sprąła.

– To nic nie da. On i tak dostał za swoje, nie musisz mu jeszcze dokładać. Nie udało mi się wydobyć z niego ani jednego rozsądnego słowa.

Z papierosa została już tylko odrobina żarząca się tuż przy palcach Einara. Wyrzucony niedopałek wylądował na rabacie kwiatowej przykrytej brudnym śniegiem i paroma łodygami z ostatniego lata.

– A co tak naprawdę się stało? Bo wszyscy o tym mówią, ale nikt nie wie nic dokładnie. Cała ta historia robi się coraz bardziej tajemnicza, im więcej każdy do niej dodaje – stwierdził Einar.

– Ona sama w sobie już i tak jest tajemnicza, nie trzeba nic do niej dodawać.

Aldís żałowała, że nie wyłudziła od Steiniego jeszcze jednego papierosa, bo mogłaby teraz dać go Einarowi, a on dzięki temu zostałby z nią jeszcze trochę. Co prawda na razie chyba nie zamierzał odejść, lecz przecież wiadomo, że wszystko co miłe i piękne trwa o wiele za krótko.

– Nie musisz mi mówić, jak nie chcesz. Ale gdybyś miała ochotę to z siebie wyrzucić, to wal prosto z mostu.

Einar był zupełnie inny niż wszyscy, których do tej pory poznała. Słuchał tego, co mówiła, i chyba traktował ją poważnie. Normalnie Aldís miała zawsze

poczucie, że ludzie tylko się nią bawią, żeby znaleźć w niej słuchacza ich własnych historii.

– Chcę, i to bardzo, tylko się dziwię, że ktoś ma zamiar mnie słuchać. Veigar i Lilja nie dali mi dojść do słowa i od razu zaczęli mi zmywać głowę.

Oni oboje robili się coraz bardziej porywczy, a Aldís prawie już zapomniała, jacy byli na początku. Wprawdzie ani szczególnie wylewni czy serdeczni, jednak przynajmniej starali się być sprawiedliwi. A teraz stali się wyjątkowo zapamiętali. Aldís zauważyła, że także dla chłopców byli bardziej surowi i bezwzględni. Narodziny dziecka i kłopoty z domem, o których wspominali kiedyś robotnicy, pozostawiły wyraźne ślady. Może bali się, że stracą tę posesję, którą nie tak dawno kupili? Co będzie wtedy z chłopcami? I z pracownikami? O sobie Aldís się nie martwiła, ona zrobi to, co postanowiła.

– Oni są stuknięci. Niedobrze mi się robi, jak tylko otwierają usta. Albo prawią kazania o miłości bliźniego, albo wygadują rzeczy, które kompletnie jej przeczą. Wcale nie jestem pewien, czy ten Jezus Chrystus, do którego się modlą, jest specjalnie zadowolony z takich wyznawców – stwierdził Einar i spojrzął na Aldís. Zdaje się, że czekał na to, aby zaczęła mówić, więc dodał jeszcze: – Obiecuję ci, że dam ci się wygadać, jeśli masz ochotę mi to wszystko opowiedzieć. Nie jestem wierzący.

W tym momencie, kiedy w końcu spotkała się ze zrozumieniem, cała ta historia wydała jej się strasznie błaha. Aldís zrobiła się nerwowa, nie mogła utrzymać dłoni spokojnie na kolanach i zaczęła znowu wymachiwać nogami.

– Teraz, kiedy o tym mówię, brzmi to strasznie idiotycznie. Ale wtedy nie wydawało mi się wcale głupim żartem. Tobbiemu też nie, nawet jeśli teraz twierdzi, że nic nie pamięta. Tam ktoś był, ktoś, kto poszedł za nim do jadalni. W każdym razie nie mam pojęcia, jak Tobbi i tamten ktoś się w niej znaleźli i co by się stało, gdybym nie weszła.

– Więc nie wiesz, czy to był mężczyzna, czy kobieta? – spytał Einar z powątpiewaniem.

– Nie. Światło się wyłączyło i nic nie widziałam.

– Czyli jest możliwe, że nikogo tam nie było? Poza Tobbim, rzecz jasna.

Aldís poczuła na plecach pełzające zimno.

– Tam ktoś był. Jestem tego pewna. I Tobbi też. Nie był sam, kiedy weszłam, sam mi to powiedział. Wydaje mi się, że on z tym kimś rozmawiał, tylko ja im przeszkodziłam, i wtedy tamten prysnął. Może to był jeden z chłopców, ale raczej nie.

Miała ochotę powiedzieć o dziwnym zapachu krwi, który rozszedł się w ciemnościach, ale dała spokój z obawy, że Einar jej nie uwierzy. Tak samo nie

wspomniała o szepcie, którego nie potrafiła zlokalizować, bo po ciemku zupełnie straciła orientację. Mimo woli zazgrzytała zębami, kiedy pomyślała o żalonym pojękiwaniu Tobbiego, zwłaszcza że normalnie ten mały był jak na swój wiek bardzo dzielny. Chociaż Aldís już w niejednej sytuacji czuła się nieswojo i potwornie się bała, czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyła: niczego nie widziała, jednak miała pewność, że w ciemnościach działo się coś, co nie sposób opisać słowami. Ludzie nie chcą słuchać o rzeczach nieprzyjemnych i na dodatek niepojętych. Doświadczyła już tego ze swoją matką. A skoro kiedyś nie uwierzyła jej własna matka, to dlaczego z innymi miałoby być inaczej. Niezależnie od tego, jak bardzo sympatyczny i pełen zrozumienia mógł wydawać się Einar.

– Czyli nie widziałaś nikogo? – zapytał. W jego głosie nie było ani drwiny, ani niedowierzania. Chyba podchodził do tego całkiem serio.

– Nie, ale słyszałam kroki, czyjs oddech i jakieś mamrotanie albo szemranie, całkiem niezrozumiałe. A właściwie bardziej charczenie. – Kiedy zrobiło się ciemno choć oko wykol, pomyślała całkiem poważnie, że to może być jakieś dzikie zwierzę. Choć teraz uważała to za niedorzeczność, tamte odgłosy i zapach sprawiały właśnie takie wrażenie. – I ohydnie zalatywało krwią.

Aldís postanowiła powiedzieć mu wszystko, nawet gdyby miał ją wyśmiać. Jednak tego nie zrobił. Tylko zmarszczył czoło i spytał:

– Krwią?

– Tak, krwią. Nie było krwi, ale nią zalatywało. Taki słodkawy, metaliczny zapach. – Odgarnęła sobie za ucho kosmyk włosów, który podmuch wiatru zwał jej na twarz. – Kiedy znowu włączyło się światło i przyszli Steini, Hákon i Veigar, szukaliśmy wszędzie, ale niczego nie znaleźliśmy. Ani Tobbi, ani ja nie mieliśmy żadnych ran, dlatego ten zapach musiał na pewno pochodzić od tamtego włamywacza czy kimkolwiek ten ktoś był. I razem z nim zniknął.

– Myślisz, że on był ranny?

– Nie wiem. Na podłodze ani nigdzie w całym budynku nie natrafiliśmy na choćby jedną kroplę krwi, czyli to nie mogła być jakaś otwarta rana. Może miał opatrunek albo coś takiego.

– Jesteś pewna na sto procent, że to był zapach krwi? A może czegoś innego?

– Nie. – Aldís zauważyła, że jej głos zabrzmiał wyjątkowo ostro, i zamilkła. Kiedy odezwała się po chwili, mówiła już o wiele łagodniejszym tonem. – Pracuję w kuchni. Umiem rozpoznać zapach krwi.

Wolała nie wspominać, że to był podobny zapach jak ten po porodzie dziecka Lilji – zapach makabrycznego noworodka i pokoju, który potem sprzątała.

– Jasne – rzekł Einar. Wykrzywił twarz, zupełnie jakby czytał w jej myślach i przez ułamek sekundy widział też tego biednego potworka o bladej skórze

zawiniętego w prześcieradło.

– A na dworze coś znaleźliście? Czy wszystko przysypał śnieg?

Aldís pokręciła głową.

– Nie było żadnych śladów, ale to o niczym nie świadczy. Lilja i Veigar uważają to za dowód, że wygaduję brednie. Wtedy mocno padało i nawet moje ślady zniknęły. – Zamilkła i spojrzała z wściekłością w górę, jakby to niebo było wszystkiemu winne. – Gdyby ten durny Tobbi powiedział prawdę, śnieg nie miałby żadnego znaczenia. Ale on nie pisał choćby słówkiem i tylko kręcił głową, kiedy go pytali. Teraz wszyscy myślą, że mi odbiło i miałam jakieś zwidy. – Spojrzała na niego. – Ale nie miałam.

– Ja ci wierzę. Jeśli ci to w czymś pomoże.

To było dla niej rzeczywiście bardzo ważne – żeby uwierzyła jej choć jedna osoba.

– Dzięki. – Więcej nie chciała nic mówić, bo obawiała się, że się wzruszy.

Einar odwrócił od niej spojrzenie i zerknął na rabatkę, na której wylądował niedopałek.

– Rany, zapaliłbym jeszcze jednego.

Aldís milczała, bo nic nie mogła na to poradzić. Ale może on rzucił to tylko po to, żeby zmienić temat. Właściwie to dobrze, bo nie było już prawie nic do opowiadania. Wszystko, co wykraczało poza fakty, to czyste spekulacje, które niczego nie wносиły.

– W mieszkaniu Lilji i Veigara papierosy leżą w kasetce. Sprzątam tam co dwa tygodnie. Następnym razem mogę podprowadzić jednego.

Wprawdzie to niezbyt rozsądne, jednak Aldís miała to w nosie. Oboje nigdy się nie zorientują, że brakuje jednego papierosa; sami nie palili, a o ile jej wiadomo, nigdy nie miewali też gości. Papierosy są już pewnie wyschnięte i prawie nie nadają się do niczego. Czyli mogła spokojnie kilka zwędzić.

– Nie rób tego. W każdym razie nie dla mnie. Ale nie miałbym nic przeciwko całej paczce, jak następnym razem wybierzesz się do miasta. – Z kieszeni spodni wyciągnął sfatygowany portfelik. – Mam pieniądze. Na jedną paczkę wystarczy.

– Wolno ci mieć własną portmonetkę?

Zgodnie z regulaminem domu chłopcy po przybyciu tutaj mieli obowiązek oddać wszystkie osobiste rzeczy. Natychmiast zabierano im walizki i przeszukiwano ubrania, książki i wszystko inne. Aldís często przy tym była i widziała, jak ciężko przychodziło tym dzieciakom oddać to, co jeszcze wiązało ich z rodziną i z wcześniejszym życiem. Oczywiście trudno było odmówić temu zabiegowi sensu, bo należało się spodziewać, że chłopcy będą próbowali

przemycić rzeczy niedozwolone, na przykład alkohol, pisma pornograficzne i Bóg wie co jeszcze. Aldís była raczej pewna, że Lilja i Veigar nie pozwalali im też zachować przy sobie żadnych pieniędzy. Wprawdzie i tak nie mogliby za nie nic kupić, ale mieliby wtedy możliwość po kryjomu zadzwonić czy zamówić taksówkę i stąd czmychnąć. Albo zapłacić koledze za coś zabronionego, na przykład za zwędzenie czegoś ze spiżarni. Aldís wiedziała, że te nędzne grosze, które chłopcy zarabiali jako pomocnicy w przetwórni rybnej, były przechowywane u Veigara i wypłacane im dopiero przy zwolnieniu.

– Nie wspominałem im o niej. Skłamałem, kiedy stary mnie spytał, czy mam coś przy sobie.

– A skąd pewność, że cię nie wydam?

Einar znieruchomiał akurat w momencie, kiedy zamierzał otworzyć portfelik.

– Po prostu wiem.

Usiłował spojrzeć jej w oczy, lecz ona utkwiała wzrok w fotografii za foliową przegródką w jego portmonetce.

– Kto jest na tym zdjęciu? – spytała i spojrzała na niego.

Einar natychmiast zamknął portfel.

– Nikt. – Wydawał się zły, ale już po chwili uśmiechnął się do niej. – Moja matka. Trochę żałosne, co?

– Nie, wcale – odpowiedziała Aldís.

Mimo to oboje poczuli się nieswojo. Patrzyli na brązowy skórzany przedmiot w jego dłoni, aż w końcu Einar wetknął go z powrotem do kieszeni spodni, a potem skrzyżował ramiona na piersi.

– To co, nie chcesz, żebym kupiła ci papierosy? – spytała ostrożnie Aldís.

– Nie, nie, może kiedy indziej.

Nie wyjaśnił, dlaczego zmienił zdanie. Ich rozmowa zaczęła się rwać i zamierać, a Aldís nie rozumiała, co się stało. Kiedy się z nią pożegnał, została nadal na ławce, czuła się jednak jeszcze podłej niż wcześniej. Wiatr szarpał jej włosy, które kotłowały się wokół głowy, jakby z całej siły chciały się od niej oderwać. Próbowwała je przytrzymać, ale wreszcie dała za wygraną i przez dłuższą chwilę siedziała w miejscu z dziko trzepoczącymi wokół twarzy włosami.

W jej wnętrzu zmagaly się ze sobą wściekłość i smutek, a ona się zastanawiała, czy nie byłoby najlepiej, gdyby tak po prostu tutaj, na tej ławce, zamarła. Nikogo by nie obchodziło, gdyby umarła, a ci, którzy źle ją traktowali, może by żałowali, że się z nią nie pogodzili. Na przykład jej matka. Dobrze jej tak. Niechby cierpiała. Jednak Aldís szybko zdała sobie sprawę, że wcale by tak nie było. Większość pokiwałaby jedynie głową i co najwyżej ten i ów zacząłby się rozwodzić, że ona

zawsze była dosyć durnowata i że to nawet do niej pasuje. Lilja i Veigar na pewno by tak pomyśleli.

W pewnym momencie poczuła, że ma jednak dość swojego podłego nastroju. Dlaczego zawsze pozwalała innym tak się dołować? Wczoraj wieczorem to ona była w jadalni, a nie tamci, którzy uważali, że wiedzą lepiej, co się stało. To idiotyczne, że tak się poddaje głupocie innych, a przecież nie ma powodu, żeby wątpiła w siebie. Z nieco większym animuszem naciągnęła kaptur na głowę. Zmierzwione włosy uspokoiły się i łagodnie opadły, jakby nic się nie stało. Teraz Aldís mogła znowu lepiej widzieć, a kiedy wstała, jej wzrok padł od razu na brązowy portfelik Einara leżący pod ławką.

Podniosła go, obróciła kilka razy w dłoniach i otrzepała płatki śniegu ze spodniej części. Potem utkwiała wzrok w wytartej skórze i zastanowiła się, czy ma od razu pójść do Einara i oddać mu zgubę, czy najpierw rzucić okiem na zdjęcie, którego on nie chciał jej pokazać. Rozejrzała się wkoło i kiedy nikogo nie zauważyła, otworzyła portfel. Fotografia była wetknięta w porysowaną matową plastikową okładkę. Ale w żadnym razie nie przedstawiała matki Einara, tylko jego i jakąś młodą dziewczynę, która obejmując go za szyję, patrzyła uśmiechnięta w obiektyw. Była prześliczna, miała ogromne oczy o gęstych rzęsach, wysokie kości policzkowe i pełne usta, które w uśmiechu odsłaniały duże śnieżnobiałe zęby. Wyglądała raczej jak fotomodelka z jakiegoś modowego pisma niż przeciętna dziewczyna, a jej piękno zdawało się udzielać też Einarowi, bo na tym zdjęciu był jeszcze atrakcyjniejszy niż w rzeczywistości. Ale Aldís przypatrywała się bardziej jego przyjaciółce niż jemu. Zezłościła ją jej uroda, chociaż wiedziała, że to dziecinada. Nic jej to nie obchodzi, że Einar ma dziewczynę, a tamta niech się sobie cieszy, że tak fajnie wygląda. Chociaż... Trochę jednak była ciekawa, jak ona się nazywa, kim jest i czy oni dwoje wciąż jeszcze są parą. Reakcja Einara na odzywkę Kelego, że jego dziewczyna jest dziwką, raczej by na to wskazywała. Bo kto biłby się o honor swojej eks?

Zanim Aldís się zorientowała, co robi, już zaczęła przeszukiwać portfel. Najpierw wyjęła dowód osobisty Einara. Miedziany zatrzask, na który zamykało się plastikową przegródkę, zostawił odcisk w skórze i trochę zniekształcił dokument. Aldís starała się wsunąć go z powrotem dokładnie w to samo miejsce. Lecz kiedy w prawym górnym rogu dojrzała dwie ostatnie cyfry wypisanego na czerwono roku urodzenia, poczuła pustkę w głowie.

Nic dziwnego, że Einar wydawał się znacznie dojrzały od pozostałych chłopców. Był od nich starszy. Aldís uniosła dowód wyżej w szarym zimowym świetle, żeby sprawdzić, czy data nie jest podrobiona – czasami uciekano się do tego, jeśli komuś brakowało trochę lat, żeby móc wchodzić na dyskoteki. Ale to nie był ten przypadek. Sfałszowane dokumenty sprawdzały się wprawdzie w mrocznych wejściach do klubów, jednak w świetle dnia już gorzej. Aldís opuściła

rękę z dowodem. Nabrała pewności, że nie jest fałszywy.

Einar miał dziewiętnaście lat, czyli o trzy lata więcej, niż dopuszczał regulamin domu. Do Krókur trafiali chłopcy, którzy popełniali drobne wykroczenia i byli jeszcze za młodzi, by podlegać tym samym przepisom co dorośli przestępcy. Kto w chwili popełnienia zabronionego czynu ma lat osiemnaście, idzie do więzienia, a nie do domu poprawczego.

Aldís drżącymi dłońmi wsunęła dowód na swoje miejsce i zamknęła portfel. Potem ostrożnie położyła go pod ławką. Za nic nie chciała, aby Einar się dowiedział, że miała go w rękach. Od razu by się domyślił, że zajrzała do środka. Nie, lepiej nie. Wcześniej czy później sam zauważy, że go nie ma, a wtedy tu wróci i zobaczy go na ziemi, niczego nie podejrzewając. Aldís odetchnęła z ulgą. Einar nie powinien wiedzieć, że grzebała w jego rzeczach. Nigdy.

ROZDZIAŁ 12

Starsza pani walczyła z drzwiami wejściowymi, które wiatr popychał z całą siłą, i nie była w stanie utrzymać siatek z zakupami. Óðinn zamknął samochód, podbiegł do niej, chwycił ciężkie skrzydło drzwi i przytrzymał je, tak by kobieta mogła wśliznąć się do środka.

- Co za pogoda! - rzucił i zaraz potem zawołał do swojej córki, żeby się pospieszyła. Rún ostrożnie stąpała od auta do wejścia do domu, z trudem utrzymując się na nogach. Nic dziwnego, miała na stopach letnie buty, które dziś rano uparła się włożyć. Óðinn już dawno zrezygnował z prób wpływania na dobór jej stroju, uznając, że w końcu sama nauczy się na własnych błędach. Przynajmniej miał taką nadzieję, dobrze wiedział jednak, że jutro rano córka stanie znowu przed podobną decyzją i że doświadczenia z dnia poprzedniego pójdą w zapomnienie.

- Jak się miewa pańska córka? Czy nie czuje się tutaj samotna? W sąsiedztwie nie ma żadnych dzieci. I na dobrą sprawę prawie żadnych dorosłych - powiedziała starsza pani, obserwując Rún, która właśnie puściła betonowy słup i z trudem pokonywała ostatnie metry dzielące ją od ciepłego wnętrza.

- Wszystko w porządku, dziękuję. - Óðinn pomachał do córki zachęcająco. Oczywiście mógłby jej pomóc, ale uznał, że to byłoby błędne posunięcie. Wybrała sobie te buty mimo jego przestróg i teraz powinna się przekonać, jakie są tego skutki. - Nie jestem pewny, czy przebywanie przez cały dzień w towarzystwie dzieci byłoby dla niej lepsze. Ona musi się najpierw sama pozbierać. Może później rzeczywiście będzie to problemem, ale prawdopodobnie do tej pory w naszym domu czy w sąsiedztwie zamieszka już więcej ludzi.

- Tak, z pewnością - odparła kobieta bez specjalnego przekonania. Wydawała się zadowolona, że mogła trochę odetchnąć i jednocześnie z kimś porozmawiać, w każdym razie nic nie wskazywało na to, że zamierza iść dalej. Może spodziewała się, że Óðinn weźmie od niej torby z zakupami. - Proszę mi powiedzieć, czy pan robi remont?

Óðinn oderwał wzrok od Rún, której zostało już tylko kilka kroków.

- Ja? Nie, skąd taki pomysł?

Przypomniały mu się otwarte okno i zapach papierosów i serce zaczęło mu walić.

- Dzisiaj rano, po pana wyjściu z córką, słyszałam jakieś człapanie na klatce

schodowej i stukanie w rurach. Kiedy wyjrzałam na korytarz, nikogo nie było i nikt nie odpowiedział na moje wołanie. Pomyślałam sobie, że może u pana w mieszkaniu pracują jacyś fachowcy. Do tej pory właściciel zawsze zostawiał w skrzynce na listy zawiadomienie, jeśli miały być wykonywane jakieś prace. Może pański brat tym razem zapomniał. – Wodniste, kiedyś niebieskie oczy kobiety napotkały wzrok Óðinna. Można było odnieść wrażenie, że z wiekiem kolor jej tęczy zlał się z białkiem. – To chyba najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, prawda? No bo chyba nie zagnieździli nam się tutaj żadni bezdomni? To raczej dla nich za daleko, a ukrąść też tu nie ma co – dodała.

– Zdziwiłbym się, gdyby tak było – rzekł Óðinn z wymuszonym uśmiechem. – Zadzwoń później do Baldura i go spytam. Na pewno po prostu zapomniał nas poinformować.

Rún zrobiła duży krok, po którym omal się nie wywróciła, a potem potknęła się o próg. Nic jednak nie powiedziała, tylko strzepnęła sobie śnieg z ramion i otrząsnęła włosy. Następnie otupała buty ze śniegu, wskutek czego na posadzce utworzyły się niewielkie kałuże.

– Niewiele brakowało. – Starsza pani uśmiechnęła się do Rún, która nawet na nią nie spojrzała. – Nie masz zimowych butów, dziecinko? Czy te nie są przypadkiem za śliskie?

Również to pytanie nie zmotywowało Rún do włączenia się do rozmowy, dlatego Óðinn wtrącił:

– Dla urody trzeba cierpieć. – Kiedy sięgnął po torby starszej pani, stwierdził, że wcale nie są tak ciężkie, na jakie wyglądały podczas jej zmagania z wiatrem przy wejściu. – Zaniosę pani zakupy na górę.

Za jej zaproszenie na filiżankę kawy podziękował wymówką, że jest zmęczony po długim dniu.

– Ale poinformuje mnie pan, co powie pański brat? – spytała jeszcze starsza pani zatroskanym głosem przed pożegnaniem.

– Oczywiście, będę pamiętał – odpowiedział Óðinn.

– Bo jeśli to się będzie powtarzać, może będę musiała wezwać policję. To niezbyt przyjemne być samej w domu, kiedy kręcą się po nim jacyś obcy.

Po drodze do ich mieszkania Rún zainteresowała się, o czym mówiła sąsiadka. Óðinn zbagatelizował jej pytanie, nie chcąc się przyznać, że słowa jedynej poza nimi lokatorki go zaniepokoiły.

– Zdaje się, że dzisiaj byli jacyś rzemieślnicy w domu, pewnie wykańczali inne mieszkania. Przeszkadza jej hałas.

– Mówiła, że stukają młotkami? – Rún była jak zwykle kilka stopni przed nim. – Ja nie słyszałam żadnego stukotu.

- Chyba kręcili się po klatce schodowej i chodzili po schodach w tę i z powrotem. Nie mogłaś nic zauważyć, bo przecież nie było cię w domu.

- Może usłyszę jutro.

- Jutro?

Óðinn wolałby, żeby Rún przestała się odzywać, dopóki szli po schodach. Z trudem bowiem łapał oddech, ponieważ w ostatnich miesiącach ciągle tylko siedział za biurkiem i co prawda nie przytył, ale nie pokonywał już pięt tak szybko.

- W szkole jest rada pedagogiczna. - Rún zwołniała kroku i odwróciła się do niego. - Nie pamiętasz? Przecież dałam ci kartkę już w ubiegłym tygodniu.

- Tak, tak, wiem, tylko wyleciało mi z głowy - odparł i przypomniał sobie, że odłożył kartkę nieprzeczytaną. - Cholera, to powinniśmy byli zrobić zakupy. Nie jestem pewien, czy mamy w domu coś na jutro do jedzenia. Wobec tego może pójść do pracy tylko na pół dnia, a potem przyniosę coś na obiad. Co ty na to?

- Okay.

Óðinn nie potrafił ocenić, czy jego propozycja spodobała się córce - może cieszyła się, że pobędzie sama w domu. W każdym razie on w jej wieku wolałby mieć święty spokój, niż bez przerwy robić coś razem z ojcem.

- Powiedz mi szczerze. Zrobimy, jak wolisz. Jak zawsze - dodał zgodnie z prawdą.

Rún prychnęła pogardliwie, wbiegając po ostatnich stopniach, a Óðinn nie spytał, jak ma to rozumieć. Jej matka na pewno by wiedziała, on zaś jak tylko mógł unikał porównywania siebie z nią - nie ulegało wątpliwości, jaki byłby wynik. Dotarłszy do drzwi mieszkania, Rún nawet nie była zadyszana i wydawała się już nie zawracać sobie głowy propozycją ojca. Zdjęła kurtkę, zostawiła ją na podłodze za progiem i bez słowa poszła do swojego pokoju. Tak właśnie robiła. Za jakiś czas Óðinn powie jej parę słów do słuchu z powodu tego zachowania, ale w tej chwili ważniejsze było co innego.

Ciemne mieszkanie robiło wrażenie odpychającego i zimnego. Óðinn szybko zapalił światło i włączył telewizor, mimo że nie chciał oglądać niczego konkretnego. Potem przyniósł telefon i wykręcił numer swojego brata Baldura. Długo nikt nie odbierał, a Óðinn czekając, stał cierpliwie przy oknie w pokoju i patrzył na pusty krajobraz za szybą.

Kiedy w końcu Baldur odebrał, w słuchawce rozległ się ogłuszający hałas; piskliwy ryk niemal uniemożliwił prowadzenie rozmowy.

- Co chcesz? Jestem zajęty.

- Mam krótkie pytanie. Dísa z parteru słyszała jakieś stukanie i pukanie w naszym domu. Poprosiła mnie, żebym się dowiedział, czy w ostatnim czasie nie

zleciłeś przypadkiem robotnikom jakichś prac w bloku.

Baldur się roześmiał.

– Nie, mój drogi. Ostatnio mamy pełne ręce roboty przy wykańczaniu pewnego magazynu, to jest dopiero prawdziwa katastrofa! I gdyby któryś z moich ludzi pojawił się tam teraz u was, od razu bym go wyrzucił na zbity pysk.

– Rozumiem. To może jakiś agent nieruchomości pokazywał komuś mieszkanie?

– Niemożliwe. Oni nie mają klucza do drzwi frontowych.

Ryk o najwyższej częstotliwości zrobił się jeszcze głośniejszy, Óðinn musiał przez chwilę odsunąć słuchawkę od ucha.

– Człowieku, co to za koszmarny huk? Ty chyba niedługo ogłuchniesz – krzyknął. Nie chciał już dłużej zawracać bratu głowy. Baldur, który zna go najlepiej ze wszystkich, nie powinien zauważyć, jak bardzo jest zaniepokojony. Jeszcze nie tak dawno temu nie przejmowałby się słowami pani Dísy, ale w żadnym wypadku nie zamierzał rozmawiać z Baldurem o swoich przywidzeniach i o wizytach u psychologa.

– Co mówisz?

– Niedługo ogłuchniesz! – wrzasnął Óðinn.

– Nie ma obawy – odparł Baldur, wydał komuś jakieś polecenie i mówił dalej: – Muszę kończyć, ale posłuchaj, nie wpadłbyś w piątek z Rún do nas na kolację? Sigga bardzo by się ucieszyła, ostatnio jest na mnie znowu trochę zła, bo rzadko bywam w domu. Może Rún chciałyby zostać u nas na weekend? Sigga miałaby przynajmniej towarzystwo, jeśli musiałbym na krótko wyskoczyć do roboty. A małej też na pewno dobrze zrobi, jeśli od czasu do czasu będzie miała kontakt z kobietą. Mogłyby we dwie pojechać do centrum handlowego albo wymyśliłyby sobie jakieś inne babskie zajęcia.

Óðinn nie mógł powstrzymać uśmiechu. Rún niespecjalnie kręciły zakupy, ale może w towarzystwie kogoś innego niż on wydałyby się jej bardziej atrakcyjne.

– Brzmi nieźle. Możemy się tak umówić.

Pożegnali się i Óðinn odłożył słuchawkę. Patrzył dalej przez okno, bo nie każdego dnia dało się zobaczyć namacalnie wiatr. Śnieg wirował w zawieju, ubierał ją w biały płaszcz, nadając temu ukrytemu diabłu widzialną postać. Między kolejnymi porywami Óðinn dostrzegał w oddali rozmyty krajobraz, który potem znikał natychmiast w śnieżnej zamieci i stawał się białym chaosem.

Przypomnieli mu się tamci dwaj chłopcy z Krókur, którzy ładnych parę lat temu zmarli w samochodzie przy podobnej pogodzie. Dlaczego nie wysiedli, jak tylko zauważyli, że powietrze jest zatrute dwutlenkiem węgla i spalinami? Może na dworze było tak okropnie, że woleli zostać w ciepłe, mimo dławiącego

powietrza, albo w ogóle nie byli świadomi niebezpieczeństwa. Óðinn przekopał archiwa prasowe i nie znalazł niczego poza początkowymi krótkimi wzmiankami o wypadku. Do materiałów ze śledztwa też nie dotarł, prawdopodobnie już dawno je zniszczono albo gdzieś zaprzepaszczono. Rodzice Tobbiego nie żyli, matka Einara także. Óðinn nawet nie próbował odszukać jego ojca, bo był nim amerykański żołnierz, który po zakończeniu okresu stacjonowania na Islandii prysnął do domu.

Óðinn wiedział jedynie, że siedzenie w samochodzie z zapchaną rurą wydechową jest niebezpieczne. Badając sprawę, natrafił na tragiczną historię kanadyjskiego niemowlaka opisaną w jakiejś gazecie. Nie mając pojęcia, że koniec rury wydechowej tkwi w głębokim śniegu, ojciec zostawił włączony silnik, żeby siedzące w samochodowym foteliku dziecko nie zamarzło, podczas gdy on odśnieżał auto. Kiedy wsiadł do środka, maleństwo nie żyło. Oprócz tego Óðinn znalazł gdzieś także tekst o tym, że ofiary takich wypadków są nierzadko najpierw ociężałe i odprężone, niemal szczęśliwe, a dopiero potem dostają konwulsji i tracą świadomość. Więc może ci chłopczy umarli szczęśliwi.

Dźwięk z telewizora stał się głośniejszy, kiedy zaczęły się reklamy, i Óðinn odwrócił się od okna. Czuł się przygnębiony i nie mógł znieść tych wesołych melodyjek, które miały zachęcić widzów do kupowania – wciąż tylko kupować i kupować, jakieś byle co, czego nikt nie potrzebuje. Óðinnowi brakowało dawnej pracy. Zabieganie jego własnego brata przed chwilą właśnie mu uświadomiło, jak bardzo jednak lubił pracować w tej branży. Tam tworzyło się coś, czego efekty z dnia na dzień stawały się coraz bardziej namacalne i widoczne. A śmierć i smutek nigdy tam nie gościły.

– Co jest do jedzenia? – chciała wiedzieć Rún, która ziewając, przyszła ze swojego pokoju.

– Co byś powiedziała na kielbaski?

– W porządku, mnie smakuje wszystko, co ugotujesz.

Jego pichcenie trudno wprowadzić nazwać gotowaniem, ale zrobiło mu się miło. Rún poszła za nim do kuchni.

– I co powiedział Baldur? Pracują w domu jacyś jego fachowcy? – zapytała.

Dobry nastrój ustąpił znajomemu lękowi. Rún będzie jutro sama w domu i może usłyszy te same odgłosy co Dísa. Oczywiście jeśli starsza pani się nie myliła.

– Nie był pewien, ale wiesz co? Wujek zaprosił nas na piątek na kolację i pytał, czy nie chciałabyś u nich przenocować. Wybrać się z Siggą na zakupy albo zrobić coś równie przyjemnego.

Rún wykrzywiła się, słysząc o zakupach.

– Jasne, dlaczego nie. Ale nie chcę nic kupować. Mam dość ubrań.

Ódinnowi zrobiło się ciepło na sercu. Jego córka była naprawdę skromna. Jej szafa wyglądała jak hotelowa garderoba – rzeczy, które w niej wisały, zmieściłyby się w małej walizce. Nie miała też stosów zabawek jak te nieliczne dzieci, w których pokojach miał okazję bywać. Zadowolona się rzeczami zabranymi ze swojego poprzedniego domu. Ódinn kilkakrotnie proponował jej wyprawę do sklepu z zabawkami, ale ona zawsze zdecydowanie odmawiała. Kiedy była sama, zwykle czytała albo bawiła się swoim małym komputerkiem. Oprócz tego często oglądała z nim telewizję albo grali we dwójkę w jakąś grę planszową i to było ich najbardziej ulubione zajęcie.

– Ty decydujesz, skarbie. Jeśli nie odpowiadają ci zakupy, nikt cię nie będzie zmuszał.

– Wiem.

Rún zrobiła krzywą minę, kiedy weszła do kuchni, ale Ódinn nie miał jej tego za złe. Kwaśny zapach z kosza na śmieci był wyraźnie wyczuwalny. Powinien był go opróżnić już rano, lecz w pośpiechu po prostu zapomniał. Podeszedł do szafki, zawiązał pełen po brzegi worek i wyszedł z nim na korytarz. W porównaniu z wieloma nowoczesnymi i wygodnymi urządzeniami obecnymi w budynku zsypana na śmieci wydawał się strasznie staromodny, jednak spełniał swoje zadanie. Gdy Ódinn go otworzył, najpierw poczuł zimny powiew, a potem uderzył go w nozdrza gorzki i nieprzyjemny zapach śmieci. Szybko włożył torbę do otworu i właśnie chciał ją energicznie popchnąć, gdy odniósł wrażenie, że z szybu zsykowego dochodzą jakieś głosy. Instynktownie cofnął się trochę, lecz po chwili zrobił znowu krok do przodu, nie zwracając uwagi na smród, i zaczął nasłuchiwać. Może się przesłyszał, może to tylko przeciąg, jaki powstawał po otwarciu luku. Ale nie. Od dołu wyraźnie dochodziły czyjeś głosy. Ódinn nie mógł zrozumieć ani słowa, to było coś więcej niż szept, pewnie jakieś niedorostki paliły po kryjomu albo robiły co innego. Że też nie mogą znaleźć sobie lepszego miejsca? Dlaczego muszą węszyć się akurat po tej odludnej ślepej uliczce i chować się w komorze zsykowej? W okolicy stało całe mnóstwo osłoniętych od wiatru domów, w których nie brakowało pomieszczeń nie tak zimnych i znacznie przytulniejszych niż ich zsypana.

Ódinn puścił worek i jednocześnie zawołał:

– Wy tam! Wynocha stąd!

Rozległo się głuchoe pacnięcie, gdy śmieci trafiły na dole do kontenera, a potem zaległa śmiertelna cisza. Ódinn wolałby usłyszeć trzaśnięcie drzwi albo jakiegokolwiek inne wyraźne odgłosy.

– Wynocha stąd! – krzyknął jeszcze raz. – Bo zawołam policję. To nie jest żadna przechowalnia!

To zabrzmiało wyjątkowo komicznie i kołtuńsko. Gdyby był na miejscu tych

nedorostków na dole, pękałby ze śmiechu. Jednak nikt się nie zaśmiał. Panowała cisza, nie licząc przeciągu w szybie.

– Wobec tego już dzwonię na policję!

– Dlaczego tak wrzeszczysz, tato? Co się stało? – W drzwiach mieszkania stała Rún i wpatrywała się w niego osłupiała.

– Nic, skarbie. Na dole w zsypie są jakieś dzieciaki. Próbuję je przepędzić. Nie mają tam czego szukać.

– A co oni tam robią? – spytała z wciąż wystraszoną miną.

– Młodzi ludzie są czasami trochę dziwni.

Óðinn chciał dodać coś jeszcze, ale stracił wątek, kiedy znowu dał się słyszeć czyjś szept. Chociaż widział, jak oczy jego córki robią się coraz większe, a wyraz paniki jej twarzy narasta, nasłuchiwał jak zakłęty. Nie rozumiał ani słowa, ale co rusz na górę dochodziło jakby chichotanie. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że na dole ktoś jest. Szept, szept, chichot, chichot. Usłyszał coś, co brzmiało jak „tylko poczekaj”, i przypominało mu pogroźki małych dzieci, choć w tonie nie było bynajmniej nic dziecinnego. Nie zastanawiając się wiele, zatrzasnął z hukiem wieko, wepchnął Rún do mieszkania i zamknął drzwi. Ten chichot nie brzmiał wcale zuchwale, jakby ktoś chciał powiedzieć: „Ty zidiociały typie na górze, hi, hi”. Óðinn odniósł raczej wrażenie, że słowa i stłumiony śmiech były podszyte wściekłością, i nie chciał, by córka tego słuchała. On w każdym razie miał dość.

Pół godziny później powiedział do widzenia dwóm policjantom. Pytali go, czy coś pił albo palił, albo może przyjmuje jakieś lekarstwa, bo śnieg pod drzwiami komory zsykowej na dole dowodził jednoznacznie, że nikogo tam nie było. Te odgłosy to czyste urojenie. Óðinn chętnie zawołałby Rún z jej pokoju, aby potwierdziła jego słowa, nie chciał jednak, aby usłyszała, że na śniegu nie zauważono żadnych śladów.

– Czy policjanci przepędzili tamte dzieciaki? – spytała, kiedy przysła do pokoju.

– Jak przyjechali, już ich nie było. Może usłyszały policyjną syrenę.

– Ale radiowóz nie przyjechał na sygnale. Widziałam, jak nadjeżdżał.

– Przecież groziłem im, że wezwę policję. Więc sobie poszli. Bo wiedzieli, że policja zaraz tu będzie.

Nie ulegało wątpliwości, że Rún mu nie wierzyła. Nic dziwnego, bo on sam też nie wierzył we własne słowa. Próbował się pocieszać, że osoba, która ukryła się w zsypie, już stamtąd zniknęła. Ale było to fałszywe pocieszenie. Czy to się znowu powtórzy? Może chodzi o tego samego albo tych samych, których Dísá słyszała w domu. Spojrzenie Óðinna powędrowało ku zwykłemu zamkowi w drzwiach

oddzielającym ich od korytarza. Jutro kupi zasuwę. I powie w biurze, że jest chory, bo nie wolno mu zostawić Rún samej w mieszkaniu.

Ódinn wiedział, że powinien skoncentrować się na tej wizycie, ale myślami wciąż był w biurze, gdzie pod okiem Dilji czekała na niego Rún. W końcu nie udało mu się zwolnić z pracy pod pretekstem złego samopoczucia i wołał zabrać córkę ze sobą, niż zostawić ją samą w domu. Zresztą on też nie miał wielkiej ochoty spędzać tego dnia w mieszkaniu.

Wszystko odbyło się gładko: Rún okazała się aniołem i przy jedynym wolnym komputerze blisko biurka Ódinna grzecznie zajęła się sobą. Żaden z kolegów nic na to nie powiedział ani nie był ciekawy, dlaczego przyprowadził córkę do pracy. Wszyscy znali jego historię, toteż niektórzy rzucali mu pełne współczucia spojrzenia, które go tylko irytowały. Nie ma powodu, by współczuć ani jemu, ani jego córce, dadzą sobie radę.

Gdy kilka razy oderwał wzrok od swoich papierów, w tym samym momencie ona jak w telepatycznym porozumieniu zerknęła ku niemu i oboje uśmiechnęli się porozumiewawczo do siebie. Czasami mówili sobie bez słów: „Wszystko będzie dobrze”. Jednak kiedy nadeszło południe i Ódinn musiał na krótko wyjść, nagle zniknęła złudna pewność. Najchętniej zabrałby Rún ze sobą. Odwołanie umówionego spotkania nie wchodziło w rachubę. Ódinn obawiał się bowiem, że mężczyzna mógłby się rozmyślić, a stracenie takiego kontaktu byłoby z jego strony głupotą, bo to pierwsza osoba, która zgodziła się porozmawiać z nim o swoim pobycie w Krókur. Niektórzy odmówili, a chociaż lista zawierała jeszcze sporo nazwisk, początek nie zapowiadał się obiecująco.

Ódinn spodziewał się, że spotkanie raczej nie potrwa długo, więc na dobrą sprawę Rún mogłaby poczekać na niego w samochodzie. Było jednak zimno, musiałby zostawić uruchomiony silnik i na pewno by się denerwował, wyobrażając sobie, jak siedzi sama w aucie przy padającym obficie śniegu, który zapchałby może wylot rury wydechowej, powodując wypełnienie się wnętrza pojazdu dwutlenkiem węgla. To już lepiej zostawić ją z Dilją.

Ódinn odegnał te myśli i zapukał do zniszczonych drzwi. Klamka była zaklejona, żeby każdy widział, że jest uszkodzona. Drzwi wyglądały na wyjątkowo masywne i Ódinn odniósł wrażenie, że puka w kamień. Zastukał jeszcze raz energiczniej, aż poczuł ból w zmarzniętych kostkach.

Wreszcie drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta w nieokreślonym wieku. Miała matowe nędzne włosy, postrzępione w taki sposób, jakby zostały obcięte obcinaczem do paznokci. Była ubrana w obszerny znoszony męski sweter,

ozdobiony kiedyś wesołym, żywym wzorem. Jej poszarzałą twarz przecinały głębokie zmarszczki, jedynie w kącikach ust skóra była gładka, jakby kobieta nie miała w życiu wielu powodów do śmiechu. Óðinn spodziewał się najgorszego, kiedy spojrzął na jej usta, lecz kiedy je otworzyła, jego obawy okazały się bezpodstawne – zęby były wyjątkowo białe i ładne.

– Pan Óðinn?

Głos miała dokładnie tak szorstki i ochrypły, jak się spodziewał.

– Tak, dzień dobry.

Gdy mocno uściśnęła mu rękę, poczuł nawet zrogowacenia na jej dłoni.

– Pani Kegga? – spytał. Nie miał pojęcia, jak ta kobieta naprawdę się nazywa. W urzędzie opieki społecznej, który pośredniczył w nawiązaniu kontaktu, poznał tylko to jej przezwisko. – Pewnie orientuje się pani, w jakiej sprawie przyjechałem?

Kobieta skinęła głową i nie wydawała się zaskoczona. Do niej przychodzili tylko ludzie, którzy dotarli już do kresu życia, i jako gospodyni domu dla bezdomnych miała na pewno do czynienia z jeszcze bardziej niezwykłymi wizytami.

– On jest tutaj i akurat nie śpi. Chciał pan widzieć się z Pyttim, tak? – upewniła się.

– Znam tylko pełne nazwisko tego mężczyzny: Kolfinnur Jónsson. Czy to Pytti?

– Tak.

Kobieta wpuściła Óðinna dalej. Z zewnątrz dom wyglądał tak, jakby mieściły się w nim zwykłe mieszkania, ale w środku od razu uderzał zapach, który nie miał nic wspólnego z normalnym domem: mieszanina przemysłowych środków czystości, starej kawy i mokrych kurtek wiszących na wysłużonym pręcie na ścianie w niewielkim przedpokoju.

– Może pan spokojnie zostać w butach.

Óðinn rzeczywiście wolał ich nie zdejmować, ale przynajmniej porządnie je wytarł. Mimo wszechobecnej woni środków czystości o podłodze na pewno nie dało się powiedzieć, że jest czysta.

– Ile osób tu mieszka? – spytał. Sądząc po liczbie kurtek, musiało ich być co najmniej osiem.

– Obecnie pięć. Mamy dosyć dużą fluktuację. Jedni zostają krócej, inni dłużej. Niełatwo jest im przestrzegać regulaminu, a już jedno naruszenie zasad jest podstawą do wyrzucenia.

Czyli trzy nadliczbowe kurtki widocznie musiały tu pozostać, kiedy ich właściciele zostali stąd wydalen. Prawdopodobnie nastąpiło to latem, bo trudno

sobie wyobrazić, by w samym środku zimy dało się przeżyć na ulicy bez ciepłego ubrania. Óðinn uważał to za bardzo brutalne, że tych pozbawionych jakichkolwiek środków, bezradnych ludzi wyrzucano po prostu na bruk, nawet jeśli na dworze jest ciepło. Kobieta chyba odgadła jego myśli.

– Nie da się prowadzić takiego domu, jeśli ludzie zachowują się tak, jakby nadal byli na ulicy albo w jakiejś narkotykowej spelunie. To nie w porządku wobec tych, którzy naprawdę usiłują odmienić swoje życie – oświadczyła, prowadząc Óðinna do większego pokoju obok korytarzyka. – Ale naprawdę niewiele trzeba, żeby poddać się już na początku. Wiem coś o tym.

Óðinn nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Kobieta na pewno nie życzyła sobie, żeby teraz wypytywał ją o jej walkę z uzależnieniem.

– Czy Kolfinnur... to znaczy Pytti, jest już długo tutaj? – chciał wiedzieć.

– Nie, około trzech miesięcy. Przedtem był w Hladgerðarkot, ośrodku rehabilitacyjnym dla uzależnionych. Tam mieszkał chyba z siedem, osiem miesięcy. – Kobieta otworzyła drzwi do części domu prowadzącej do sypialni. – Agga z opieki społecznej powiedziała mi, o co panu chodzi.

Jak się zdaje, w tym miejscu nikt nie był nazywany swym właściwym imieniem, toteż Óðinn zastanowił się nawet, czy nie powinien przedstawić się jako Oggi, kiedy spotka się z Pyttim.

– Nie będę go naciskał, jeśli nie będzie miał ochoty mówić. O ile wiem, dosyć dobrze poradził sobie z tamtą historią, ale wracanie do starych czasów, tak czy inaczej, może być trudne.

– Jest w dosyć dobrej formie – odparła kobieta, po czym zatrzymała się i odwróciła do Óðinna. – Wprawdzie moje zdanie nie ma tu znaczenia, ale mimo wszystko powiem panu, co myślę.

– Oczywiście. – Óðinn automatycznie cofnął się pół kroku od drzwi, ponieważ kobieta nagle znalazła się niezręcznie blisko niego. – Nie chce pani, żebym z nim porozmawiał?

– Sama nie wiem. Martwię się raczej dwiema rzeczami, które mogą źle wpłynąć na jego abstynencję. – Zebrała się na odwagę i uniósłszy palec wskazujący, powiedziała: – Przypisanie komuś winy. – Następnie wyprostowała jeszcze palec środkowy i dodała: – Nadzieja na pieniądze. – Podniosła dłoń jeszcze wyżej. Gdyby chciała, mogłaby ścisnąć Óðinna za nos.

– Co pani ma na myśli z tym przypisaniem winy?

Kobieta opuściła rękę.

– Kiedy człowiek chce się sam wydobyć z bagna, powinien wziąć odpowiedzialność za własne życie. Przestać ciągle użalać się nad sobą i nie łątać sobie głowy nad tym, jakie okoliczności to sprawiły albo kto jest wszystkiemu

winien, rozumie pan?

- Nie do końca. Bo jeśli ktoś został niesprawiedliwie potraktowany, to ma prawo do zadośćuczynienia, niezależnie od tego, jaką drogą potem poszedł. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze przez nos.

- Absolutnie temu nie zaprzeczam. Chcę powiedzieć jedynie, że uzależnieni, którzy chcą z powrotem stanąć na własnych nogach, muszą patrzeć do przodu, a nie oglądać się za siebie. Każdy ma za sobą wiele tragicznych przeżyć. Zapewniam pana, że w najgorszych snach nie śniło im się, że skończą w ten sposób. Kiedy człowiek szuka przyczyn własnego nieszczęścia, stwierdza, że albo pociąg do złego miał już od kołyski, albo że życie od samego początku go nie rozpieszczało. Bądź jedno i drugie. Wtedy poczucie tej krzyczącej niesprawiedliwości jest tak przygnębiające, że nie sposób uwolnić się od litości dla samego siebie. Co oczywiście jest zrozumiałe i uzasadnione, ale niczego nie zmienia.

- Nie mam zamiaru niczemu takiemu sprzyjać, a już na pewno nie zrobię tego świadomie. Na razie nic nie przemawia za tym, że chłopcy w Krókur byli źle traktowani. Właściwie mam nadzieję, że uzyskam potwierdzenie, ale chcę porozmawiać jeszcze z innymi, z iloma tylko się da.

Z jej gardła dobyło się urywane rzężenie, które pewnie miało być śmiechem.

- Nie byli źle traktowani, mówi pan? To jest pan raczej optymistą.

- To aluzja do Breidavik i innych domów? Mam nadzieję, że to były tylko wyjątki, a nie reguła.

- Może pan sobie mieć nadzieję, na co pan chce. Ale to nie zmienia faktu, że dzieci trzeba lubić, jeśli chce się nimi przyzwoicie zająć. Ludzie zachowują się niedopuszczalnie, kiedy chodzi o dzieci innych. A zwłaszcza jeśli są trudne, bezczelne i bezradne. Z maluchami jest może inaczej, natomiast takie już podrośnięte dzieci i nastolatki nie mają u obcych najmniejszych szans. Po prostu.

Ódinn nie chciał już odwoływać się do licznych adopcji, które niejednemu dziecku zapewniły szczęśliwy dom, zwłaszcza że kobieta miała chyba na myśli głównie dzieci przebywające u obcych przez krótszy okres. Poza tym w jej słowach było chyba trochę racji. Wiele rzeczy, które toleruje się u własnego dziecka, obcemu trudno się wybacza. Gdyby Rún była w jego domu gościem, na pewno nieraz straciłby panowanie nad sobą, widząc te jej ciągłe humory i irytujące zachowanie.

Kobieta odwróciła się, weszła do korytarzyka i dosyć mocno zapukała w jedne z drzwi. Ktoś zawołał coś niezrozumiałego, Kegga położyła więc swoją żylastą dłoń na kłamce i otworzyła.

- Bardzo proszę. Będę w pokoju w razie czego.

Po czym odeszła, nawet nie przedstawivszy obu mężczyzn sobie nawzajem ani nie sprawdziwszy, czy Pytti jest w stanie umożliwiającym mu przyjęcie Ódinna.

– Niech pan wejdzie – przywitała go męska odmiana ochrypłego głosu Keggi.

Na wąskim łóżku, wyglądającym jak z najtańszego sklepu, siedział mężczyzna. Narzuta była w kolorową nieregularną kostkę, poduszka w kwiatki, kołdra w paski, a prześcieradło różowe. Reszta była równie różnorodna: stolik nocny ewidentnie pochodził z jakiejś okazyjnej wyprzedaży, podobnie krzesło stojące przed małym biurkiem oraz niewielka szafa wnękowa, która normalnemu mężczyźnie ledwie wystarczyłaby na skarpetki i bieliznę, ale dla mieszkańca tego pokoju było w niej dość miejsca, by pomieścić wszystkie jego manatki. Na drzwiach szafy wisiał niewielki obrazek Salome trzymającej złotą tacę z głową Jana Chrzciciela. Przesłanie było jasne: wiedzie ci się byle jak, ale to nic w porównaniu z tym, przez co ja musiałem przejść.

Ódinn usiadł na chwiejącym się krześle, licząc na to, że wytrzyma jego ciężar. Zaskrzypiało, ale się nie rozpadło. Przedstawił się i w odpowiedzi usłyszał przewisko mężczyzny.

– Powiedziano mi, że jest pan gotów ze mną porozmawiać. Mam nadzieję, że to się zgadza. Nie będę panu długo przeszkadzał – zaczął.

Mężczyzna się roześmiał, a Ódinn zauważył, że z zębami nie poszczęściło mu się tak jak kobiecie. Brakowało mu co drugiego, a te, które jeszcze miał, były brązowe i dziurawe. Kilkakrotnie złamany nos nigdy nie został nastawiony przez lekarza i nawet jego uszy zdawały się też mieć swój udział w ciosach losu.

– Przeszkadzał? Drogi przyjacielu, dzisiaj mam tak samo mało do roboty jak w inne dni.

Ódinn stwierdził, że w pokoju nie ma żadnych sprzętów czy przedmiotów umożliwiających spędzanie czasu wolnego. Ani telewizora, ani komputera czy choćby radia albo jednej książki.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedział.

– Wieczorem muszę iść dzisiaj na jakiś meeting, ale poza tym mam czas. Jestem wolny jak ptak – oznajmił mężczyzna i roześmiał się, lecz jego śmiech od razu przerodził się w charkotliwy kaszel.

– Na meeting? – W pierwszej chwili Ódinn pomyślał, że to żart, ale zaraz sobie uświadomił, że chodzi pewnie o meeting AA. – Mogę zacząć od razu? – spytał, chcąc jak najszybciej mieć to za sobą.

– Już nie mogę się doczekać. – To miało być dowcipne i Pytti zaśmiał się z własnej ironii.

– No więc – Ódinn wyciągnął swoje notatki z kieszeni kurtki – sprawdzam, czy

dzieci umieszczane kiedyś w Krókur były traktowane należycie, czy nie doszło tam do niczego podobnego jak w kilku innych domach wychowawczych dla dzieci i młodzieży.

– Zabawne. Mówi pan: dzieci. Kiedy tam byłem, nie wydawałem się sobie dzieckiem. Ale jak dziś na to patrzę, to oczywiście myślę inaczej.

Ódinn zerknął do notatek i wyliczył w myślach wiek Pyttiego. Przeraził się, gdy stwierdził, że on ma dopiero pięćdziesiąt dwa lata.

– Miał pan wtedy czternaście lat, zgadza się? Przebywał pan tam niecały rok.

– Tak, mniej więcej.

– Pamięta pan jeszcze tamten czas? – Ódinn zlustrował zdeformowaną twarz mężczyzny, próbując ocenić, ile prawdy będzie w jego odpowiedziach.

– Nie każdy dzień po kolei, ale ogólnie tak. Pierwszą połowę swojego życia mam zawsze wyraźnie przed oczami, potem całe dziesięciolecia rozplywają się jak we mgle. Może te stare wspomnienia zachowały mi się tak dobrze w pamięci, bo po nich nie przysłyły żadne nowe. Totalna pustka.

– Jak opisałby pan swój pobyt tam? Chodzi mi o to, jak się z panem obchodzono. I naturalnie z innymi też, o ile pan pamięta. Czy pracownicy domu potraktowali pana kiedykolwiek źle, czy też nie miał pan na co narzekać? Z wyjątkiem pozbawienia wolności, rzecz jasna.

– Duże pytanie. – Mężczyzna wlepił w niego wzrok. Może on też oceniał stopień szczerości swojego gościa. – Pewnie nie było tam ani gorzej, ani lepiej niż lata wcześniej czy lata później. Ale musi pan wziąć pod uwagę, że przed znalezieniem się tam i po wyjściu stamtąd żyłem w nieprawdopodobnych warunkach. Więc nie było dużej różnicy.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Ódinn.

Musiał być ostrożny. Nie chciał przecież oceniać całego życia mężczyzny, a jedynie te jedenaście miesięcy spędzone w Krókur. Prawie wszyscy chłopcy, którzy tam wylądowali, też żyli wcześniej w ciężkich warunkach. Zgodnie z raportami zdecydowana większość pochodziła z rodzin alkoholików albo z biednych domów czy też zmagiała się z innymi problemami. W końcu postanawiali zemścić się za niesprawiedliwość tego świata i coś niszczyli albo kradli, a potem płacili za to własną wolnością. Pytti należał do tych pierwszych, był dzieckiem alkoholików, małżeństwa, które zupełnie zaniedbało własnego syna w dzieciństwie. Jeśli więc warunki w Krókur były podobne do tych w jego domu rodzinnym, nie zapowiadało to nic dobrego.

– Dlaczego nie czuł się pan dobrze w Krókur? Czy istniał jakiś szczególny powód, czy tak po prostu było panu źle? – spytał.

Mężczyzna oparł się plecami o łóżko i w zadumie przyłożył swoją

powykręcaną dłoń do brody, która trzęsa się tak mocno, że jego palce jakby grały na pianinie.

– To było po prostu straszne i całkiem bez sensu. Trafiłem tam przez głupią rzecz, w napadzie wściekłości zbiłem w szkole szybę. Kto w dzisiejszych czasach dostaje za coś takiego rok odsiadki?

– Nikt – odparł krótko Óðinn. Ostatecznie nie jest tu po to, żeby ustosunkowywać się do zarzutów czy usprawiedliwiać ówczesne decyzje władz opiekujących się dziećmi.

– Za dnia powinniśmy byli siedzieć w szkole, a wieczorami uganiać się za dziewczynami, a nie gdzieś na końcu świata liczyć dni do zwolnienia.

– Nie mieliście tam lekcji?

– Nie, skąd. – Zastanowił się. – Zaraz, zaraz, chyba jednak próbowali wcisnąć nam coś do głów, ale głównie pracowaliśmy w gospodarstwie. – Pytti znowu zakaszła. – Jako dziecko byłem dobry w szkole, ale w Krókur nie miał mi kto pomóc, to wreszcie się poddałem i udawałem głupka.

Mężczyzna odwrócił spojrzenie od Óðinna i wbił wzrok w ścianę za nim. Może myślał o tym, jak ułożyłoby się jego życie, gdyby miał normalne dzieciństwo. W każdym razie Óðinn nie mógł się uwolnić od tego pytania, lecz kiedy Pytti odezwał się znowu, mówił już o czym innym.

– Między tymi tak zwanymi lekcjami i harówką w gospodarstwie musieliśmy zawsze wysłuchiwać chrześcijańskich kazań. Ci samozwańczy kaznodzieje naprawdę nie grzeszyli miłością bliźniego. Mieli nas oświecić, wskazać nam właściwą drogę. Nazywano to wyrzeczeniem się złączy. – Znowu ten charkotliwy śmiech. – Ma pan może papierosa?

– Nie, niestety. – W tym momencie Óðinn żałował, że nie pali. – W Krókur przebywało jednocześnie od pięciu do dziesięciu chłopców. Na pewno dochodziło między nimi do zatargów. Jak wyglądały kary?

– Normalnie. Brali nas na bok i nam wymyślali. Czasami zamykali w pokoju i kazali czytać Biblię. Albo nie dawali kolacji. Albo wysyłali do sprząwania obory. Były jeszcze inne możliwości.

– A kary cielesne?

– Raz czy dwa dostało się parę szturchańców. Zdaje się, że kiedyś straciłem nawet zęb.

Óðinn to zanotował.

– Kto pana zbił?

– Veigar. Kierownik domu. Ten stary wieprzek. Chociaż wtedy miał chyba mniej lat niż ja teraz.

- Nie skończył jeszcze czterdziestki. - Óðinn odłożył ołówek. - Miał ciężką rękę?

- Sam nie wiem, co mam powiedzieć. Łatwo było go wytrącić z równowagi. Niby nic poważnego. Niektórzy z nas już przywykli, że za naruszenie regulaminu dostawało się w pysk, i nic sobie z tego nie robili, ale innych dużo to kosztowało. Stara była zdecydowanie gorsza, chociaż nigdy nas nie biła. Ale wolałbym już parę solidnych, normalnych batów od tych jej piekielnych spojrzeń.

- Spojrzeń?

- Tak, to była całkiem pomyłona baba. Gdyby mogła, to tymi swoimi oczami wywierciłaby każdemu dziurę w głowie. To było naprawdę okropne. I opowiadała najróżniejsze niestworzone historie, aż człowiek cały dygotał.

- Co pan powie? Jakie na przykład?

- Oj, panie, chyba wolałbym ich sobie nie przypominać. - Zwilżył sobie usta językiem, który w porównaniu z jego szarą twarzą wydawał się przesadnie czerwony. - Powtarzała coś z Biblii i plotła jakieś głupoty, jacy to jesteśmy grzeszni i marni. Że wylądujemy w bagnie. To najgorsza rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi, a z nas nic już nie będzie. To chyba było dla mnie najokropniejsze. Bo wiadomo, że sam to wiedziałem, ale czasami miało się ochotę o tym nie pamiętać, dlatego nikt się nie cieszył, kiedy mu przypominano.

Óðinn westchnął głęboko i pomyślał, że wolałby być gdzie indziej. Przed swoim komputerem, gdzie miałby oko na Rún. Strasznie trudno oszacować, co taki raport na temat brutalnego traktowania chłopców może zdziałać po tak długim czasie. Żadne odszkodowanie nie jest wystarczające, by zrekompensować takie szkody. A co dokładnie wyzwolił w chłopcach ich pobyt w domu opieki? Czy życie tego mężczyzny ułożyłoby się inaczej, gdyby nie odesłano go do Krókur? Óðinn nie potrafił oczywiście tego ocenić, zresztą to i tak nic by nie zmieniło. niesprawiedliwość pozostaje niesprawiedliwością, niezależnie od tego, co stało się wcześniej albo potem.

- Z badań w innych domach wynika, że czasami dzieci, jedno drugiemu, same zamieniały życie w piekło. Pracownicy nie mieli w tym udziału, a wychowankowie byli bici i szykanowani przez starszych kolegów. Czy w Krókur też tak było?

- Nic o tym nie wiem. Wiadomo, że od czasu do czasu zdarzały się jakieś bójki, ale niech pan nie zapomina, że tam zebrała się grupka dosyć agresywnych chłopaków. To byłby prawdziwy cud, gdybyśmy nigdy się nie pobili. Drwiny też były, ale znowu nie takie, żeby ktoś przez nie cierpiał. A już na pewno nie jakoś długo.

Nie ulegało wątpliwości, że Pytti nie należał w Krókur do ofiar mobbingu, jeśli taki miał stosunek do szydzenia z innych. Ktoś inny opowiedziałby

prawdopodobnie zupełnie odmienną historię. Óðinn przeszył dreszcz na myśl o tym, że będzie musiał porozmawiać jeszcze z kolejnymi byłymi mieszkańcami domu.

– A może chce mi pan sam coś powiedzieć, o co akurat nie spytałem? – rzekł Óðinn. Miał poczucie, że coś przegapił, ale potrzeba opuszczenia jak najszybciej tego pokoju i wrócenia do Rún była niewiarygodnie silna.

– Co najwyżej tyle, że to było koszmarnie miejsce. Samo miejsce. Gospodarstwo i otoczenie. Tam nie było jak na wsi. Właściwie nie wiem, co to za przeklęta okolica. Po prostu piekło. Prowadzenie tam gospodarstwa nie miało najmniejszego sensu. Nie, tam coś nie grało. I to nie przez ludzi.

– Nie całkiem pana rozumiem. Co pan ma na myśli?

– Nie umiem tego wyjaśnić, ale nie jestem jedyny, który nie cierpiał tamtego miejsca. Wszyscy czuli tak samo. To było złe miejsce. Niektórzy mówili, że stary zakopał gdzieś ich dziecko i dlatego atmosfera jest taka straszna.

– Ich dziecko? – Óðinn nigdzie nie natrafił choćby na drobną wzmiankę, że małżeństwo prowadzące dom miało dziecko.

– Dziecko albo płód. Nie wiem dokładnie, tak czy siak, stara urodziła dzieciaka, który umarł przy porodzie albo urodził się martwy. W każdym razie nie można go już było ochrzcić i ci superchrześcijanie nie zdobyli się nawet na to, żeby go jak się należy pochować na cmentarzu albo włożyć do trumny do kogo innego. Oni go gdzieś zwyczajnie zakopali w ziemi. – Pytti opuścił wzrok, kiedy zobaczył niedowierzające spojrzenie Óðinna. – Pan mi nie wierzy, ale tak było naprawdę. I dwóch chłopców musiało ponieść konsekwencje.

– Zaraz, zaraz, w jaki sposób?

– Umarli. Obaj. A pan myślał, że to był wypadek?

ROZDZIAŁ 14

styczeń 1974

Aldís miała nabrzmiałą twarz i podkrążone oczy po bezsennej nocy. Lodowato zimna woda trochę ją odświeżyła, ale jedynie na chwilę. Gdy tylko rumieńce na jej policzkach zbladły, z powrotem wyglądała jak poprzednio – była zmęczona i wyczerpana. Kiedy myła zęby, najchętniej zakryłaby lustro ręcznikiem. Prysznic byłby dla niej w tym momencie darem niebios, ale w łazience była tylko wanna, a napełnienie jej zajęłoby za dużo czasu. Poza tym Aldís pewnie od razu by zasnęła, gdyby taka śmiertelnie wycieńczona położyła się w gorącej wodzie. A na pewno nie chciała utopić się w tym przeklętym miejscu.

Wypluła pastę i wypłukała usta. Chętnie zrobiłaby to samo ze swoim mózgiem: splukała myśli, które nie dawały jej spać. Dotyczyły jej stosunku do matki i bzdur związanych z Einarem. Kiedy Aldís przewracała się w ciemnościach, problemy robiły się coraz bardziej nie do pokonania. Tępe ciągnięcie w brzuchu narastało i Aldís nie potrafiła tego powstrzymać. Przygniatało ją dławiące poczucie, że wszystko jest nic niewarte. I nie potrafiła temu zaradzić. Gdy tak leżała z otwartymi oczami, próbowała desperacko znaleźć drogę, która pozwoliłaby jej odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Ciągłe myślała o zrzędzeniach losu, o tym, że sama nie ma żadnego wpływu na swoją przyszłość. Nawet sny, które w końcu ją nawiedziły, były męczące. Dzwonek budzika wyrwał ją z przerażającego świata. W pamięci pozostał tylko mglisty obraz jakiegoś dołu, z którego nie mogła się wydostać i który powoli, ale nieuchronnie napełniał się gliniastą mazią przelewającą się ponad brzegi. Na dodatek razem z nią w tym w dole znajdowało się jeszcze coś odrażającego i wstrętnego. Mimo wszystko zdrzemnęła się krótko, nie miała jednak pojęcia, jak długo spała. Prawdopodobnie dłużej, niż sądziła. Zawsze tak było.

Aldís odkręciła kran z gorącą wodą, żeby umyć sobie rękę, a kiedy strumień stawał się coraz cieplejszy, wzięła się w garść i spojrzała w lustro. W obłoku pary wpełzającym na szkło wyglądała tak, jakby miała czerwoną smugę na policzku, dokładnie w tym miejscu, gdzie uderzyła ją matka. Aldís nie wytarła lustra i przyłożyła dłoń do policzka, który był gorący i palił.

Nagle ktoś zapukał energicznie do drzwi.

– Nie mieszkasz tu sama! Inni też chcą do klopa!

Aldís szybko pozbierała swoje rzeczy i wyszła z łazienki. Oparty o ścianę Malli

zmierzył ją z góry na dół. Miała ochotę go zwymyślać, ale się opanowała. W końcu to nie jego wina, że ona się tak czuje. Poza tym nie chciała z powodu jakiegoś głupstwa z samego rana wszczynać kłótni. Kiedy już w swoim pokoju zawiązała buty i zebrała włosy w porządną końską ogon, trochę poprawił jej się humor. Musiała jakoś wytrzymać, a najlepszy sposób to nie myśleć bez przerwy, ile godzin ma już za sobą, a ile jeszcze przed sobą. Gdy minie połowa dnia i koniec będzie coraz bliższy, na pewno nastrój zdecydowanie się poprawi. Wiedziała to z doświadczenia. Poza tym powinna się oszczędzać, bo jutro ma wolne i chce pojechać do miasta – jak się tam dostanie, na razie nie wie, ale w ostateczności nawet pójdzie na piechotę. Pilnie potrzebuje kilku rzeczy, a jej duchowe męczarnie złagodzi może sprawienie sobie czegoś ładnego.

Myśl o zakupach ją ożywiła. Podeszła do drzwi i na progu zderzyła się z Tobbim, który stał z uchem przyklejonym do nich, kiedy je otworzyła. Zazwyczaj nie wyglądał jakoś groźnie, ale tym razem Aldís się przestraszyła.

– Co tu robisz, głupku? Nie możesz zapukać?

Aldís zwykle nie była taka surowa dla tych młodszych, lecz tym razem nie potrafiła się powstrzymać. Serce jej waliło, a adrenalina szalała w ciele. Wciąż jeszcze była okropnie wściekła na chłopaka, ponieważ nie powiedział prawdy o zdarzeniu w jadalni.

– Przepraszam, akurat otworzyłaś drzwi, kiedy chciałem zapukać – wyjaśnił Tobbi i zawstydzony zwiesił głowę, wpatrując się w stopy. Był bardzo zarośnięty, strąki ciemnych włosów zwisały mu na czoło i wchodziły do oczu. Lilja zazwyczaj regularnie obcinała chłopcom włosy, ale w ostatnim czasie jakoś to zaniedbała i wielu z nich wyglądało na dosyć zapuszczonych.

– Przyszedłeś, żeby mnie przeprosić? Nie myśl sobie, że tak łatwo się wywiniesz! Mam głęboko w nosie twoje przeprosiny. Jeżeli chcesz to naprawić, to opowiedz łaskawie Lilji i Veigarowi, jak było naprawdę.

Aldís skrzyżowała ręce na piersi, aby nie ulec pokusie i chwytając chłopaka, zmusić go, żeby spojrzał jej w twarz.

– Jestem tu nie dlatego – bąknął półgębkiem, jakby miał całe usta pełne gumy do żucia. Co było całkiem prawdopodobne. Babcia przysyłała mu regularnie nieduże paczuszki ze słodyczami, a ponieważ do zadań Tobbiego należało przynoszenie poczty, najczęściej udawało mu się je zatrzymać. Dobra zapłata za ten obowiązek, zwłaszcza że musiał na piechotę iść aż do drogi, gdzie zostawiano pocztę na starym stelazie na bańki na mleko. Normalnie wszystkie słodyczne rekwirowali Veigar i Lilja, utrzymując oficjalnie, że żadne łakocie nie przychodzą do tego domu. Tymczasem Aldís widziała na własne oczy, jak Lilja słodyczami, które znajdowała w poczcie, karmiła świnię, i o ile wie, nawet nie informowała chłopców, że przysłała do nich jakaś przesyłka. Już nie wiadomo, co było gorsze:

czy to, że zatrzymywała dla siebie przeznaczone dla nich rzeczy, czy że utrzymywała ich w przekonaniu, że nikt o nich nie pamięta. Aldís nieraz myślała, żeby powiedzieć chłopcom prawdę, lecz nigdy się na to nie zdobyła. Obawiała się zarówno konsekwencji dla siebie, jak i tego, że w grupie mogłoby dojść do buntu. Na pewno od razu bez pardonu by go zdławiono, ale w ostateczności chłopcy mieliby jeszcze gorzej niż do tej pory. Raz zagadnęła Lilję na ten temat, lecz usłyszała w odpowiedzi jedynie tyle, że tak jest najlepiej, bo niektórzy z wychowanków nigdy nie dostają żadnej poczyty i byłiby tylko smutni i zazdrośni. A tak wszystkim jest jednakowo źle. Aldís zabrakło odwagi na powiedzenie własnego zdania.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Tobbi, po czym wyciągnął jakieś zawiniątko z kieszeni spodni i podał jej. To była koperta, złożona, ale niepomięta.

Złość Aldís opadła. Najpierw nie odezwała się ani słowem, tylko wpatrywała się w kopertę. Nigdy nawet nie podejrzewała, że może być tak samo traktowana jak chłopcy. Zanim wyciągnęła rękę, spytała cicho:

– Czy często przychodzą do mnie listy, które rekwirowali Lilja z Veigarem?

Tobbi skinął głową, a na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec. Aldís tylko rzuciła okiem na adres i od razu rozpoznała charakter pisma.

– A te listy do mnie były wszystkie pisane tym samym charakterem?

– Chyba tak, ale nie jestem pewny. – Tobbi przestępował z nogi na nogę. Nadal nie patrzył jej w oczy.

Aldís wyrwała mu kopertę z dłoni. Była cięższa, niż się spodziewała, ale nie tak ciężka, by mogła zawierać coś więcej poza kartką papieru. Ze ściśniętym gardłem cofnęła się do pokoju i zatrzasnęła drzwi Tobbiemu przed nosem, nie dziękując mu ani nie próbując przemówić mu do sumienia, żeby wreszcie wyznał prawdę o tym, co się wydarzyło w jadalni. Była na to zbyt zmęczona, wściekła i przygnębiona.

Te starannie nakreślone litery znała równie dobrze jak własne pismo. Koperta parzyła jej palce, najchętniej cisnęłaby ją w kąt. Nie mogła przyjść w gorszym momencie – po nieprzespanej nocy i tak czuła się podle, zwłaszcza że w te bezsenne godziny rozmyślała właśnie o swojej matce i o tym, jak bardzo się na niej zawiodła. To musiał być znak opatrności, tej opatrności, która ostatniej nocy szeptała jej szyderczo, że nie ma żadnego wpływu na swoją przyszłość.

Aldís wetknęła kopertę do kieszeni spodni i wyszła z pokoju. Przetarła oczy. Przeczyta list później.

Czasami wściekłość bywa dobrym doradcą. Aldís poczuła w sobie determinację, jaka już dawno jej nie towarzyszyła. Wręcz zapomniała, że jest do

niej zdolna. Chyba wszyscy zauważyli, że coś się z nią dzieje, bo, o dziwo, nawet Lilja unikała upominania jej czy wydawania poleceń. Nie odezwała się także ani słowem, kiedy Aldís włożyła sobie do kieszeni dwie kromki chleba dla ptaka. Do tej pory po kryjomu wykradała dla niego tylko skórki, ale teraz w ogóle się nie przejmowała reakcją Lilji. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że eksploduje, jeśli Lilja choćby westchnie w jej stronę. Takie wyrzucenie z siebie wszystkiego nie byłoby wprawdzie złe, tyle że później współpraca z Lilją na pewno nie układałaby się dobrze, ponieważ ta kobieta jest wyjątkowo pamiętliwa i lubi się mścić. A kiedy Aldís straci panowanie nad sobą, istnieje niebezpieczeństwo, że wykrzyczy prosto w twarz, co myśli o tym, że Lilja zabierała jej pocztę. Do czegoś takiego wolałaby się chyba najpierw porządnie przygotować, przepowiedzieć sobie w duchu kilkakrotnie odpowiednie zdania, za każdym razem coś dodać, dopóki jej przemowa nie będzie perfekcyjna.

Przy każdym ruchu Aldís czuła kopertę w kieszeni spodni, co utrzymywało jej wściekłość w stanie wrzenia. To naprawdę niepojęte, że Lilja i Veigar są na tyle bezczelni, że zatrzymują listy pisane do niej. Teraz była przekonana, że nie tylko je wykradali, ale też czytali, a na samą myśl o tym po prostu się w niej gotowało jak nigdy do tej pory. Nie mieli prawa węszyć w jej prywatnych sprawach i szydzić ze słów matki, która prawdopodobnie ją przepraszała. Czy na pewno? Aldís zachodziła w głowę, co mogło być w liście, i za każdym razem docierała do tego samego: pewnie prosiła ją o wybaczenie i o to, żeby się odezwała albo wróciła do domu. I co jeszcze? Może chciała też odzyskać swoje pieniądze, chociaż kwota była naprawdę nieznaczna. Aldís za bardzo się bała, że matka wcale nie zwraca się do niej w pojednawczym tonie, by w przerwie na kawę zdobyć się na to, żeby pójść do swojego pokoju, rozerwać kopertę i przeczytać list. Wolała poczekać z tym do końca pracy.

– Jesteś na mnie za coś zła?

Einar stanął nieoczekiwanie obok niej, gdy w salce, w której odbywano chrześcijańskie prelekcje, stała pochylona nad szufelką. Kiedy zaczynała tu pracować, też na nie chodziła – nie z potrzeby słuchania Słowa Bożego, tylko dla urozmaicenia sobie monotonnej codzienności na tym odludziu. Veigar i Lilja promienieli, kiedy zajmowała miejsce za chłopcami, lecz ich radość trwała krótko, ponieważ Aldís wzięła udział w tych zgromadzeniach zaledwie trzy razy. Nie mogła wytrzymać pustej paplaniny i cytatów z Biblii, którymi tych dwoje z uduchowionymi twarzami bez opamiętania zasypywało młodych chłopców. Od tamtej pory wchodziła do salki tylko raz w tygodniu, żeby posprzątać.

– Nie – odpowiedziała Aldís, prostując się. – Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

– Dziś w południe byłaś jakaś dziwna.

– Po prostu jestem w kiepskim nastroju, ale to nie ma żadnego związku z tobą.

Einar wyciągnął rękę, jak gdyby chciał dotknąć jej twarzy, ale się powstrzymał. Wsunął dłoń do kieszeni spodni, jakby w obawie, że spróbuje powtórzyć ten gest, i zakołysał się na palcach.

– Tobbi powiedział mi dziś rano. Veigar i Lilja mają nie po kolei w głowie. Są kompletnie stuknięci.

Aldís nie mogła temu zaprzeczyć, nawet jeśli nie przyznała mu głośno racji. Nie wiedziała, czy ma go poprosić, aby zostawił ją w spokoju, czy powinna się cieszyć z jego obecności.

– Dlaczego ci to powiedział? – spytała.

– Widziałem, jak dziś rano poleciał do ciebie, a wcześniej bladym świtem był już na drodze. Właściwie powinien był pójść wczoraj, ale oni zapomnieli go tam wysłać. Nie wiedziałem, czego szukał w małym domku, i po prostu go spytałem. Nie musiałem wcale długo prosić.

No jasne. Tobbi miał trzynaście lat, a Einar dziewiętnaście, był prawie dorosłym mężczyzną i na pewno bez trudu zmusił małego chłopca do mówienia. Jednak Aldís nie mogła nic na to powiedzieć, nie przyznając się jednocześnie, że zajrzała do jego portfela, a tego w żadnym wypadku nie chciała. Może później, ale nie teraz.

– Pytałeś go, czy widział też listy do ciebie?

– Nie, nie pytałem. – Einar kiepsko kłamał, wiedzieli to oboje. Chciał uniknąć dalszych pytań, więc dodał szybko: – Jak będzie ładna pogoda, wymknę się dzisiaj wieczorem. Położę trochę po okolicy i nacieszę się wolnością. Może chcesz się wybrać ze mną? Jeśli wpadnę, obiecuję, że nie pisnę ani słówkiem, że byliśmy razem.

– A jak zamierzasz wyjść? – spytała Aldís, żeby odwlec odpowiedź. Przecież dobrze wiedziała, że wydostanie się z przybudówki nie stanowi żadnego problemu.

– Coś wymyślę – odparł z uśmiechem, który nie sięgnął jednak do jego oczu. – No? Co ty na to? Dasz się namówić? Poszlibyśmy tak daleko, że mogłabyś krzyknąć do woli, aż byś ochrypła. Czasami dobrze jest tak zwyczajnie wywrzeszczyć swoją złość.

Aldís bawiła się rączką szufelki, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. Jak to się wyda, może mieć potężne kłopoty, niewykluczone, że nawet straciłaby pracę. No i co z tego? Jeśli nawet przy szukaniu nowej posady nie będzie mogła się powołać na referencje Veigara i Lilji, świat się od tego nie zawali. Poza tym wcale nie jest powiedziane, że dostałaby od nich dobre świadectwo, mimo że porządnie wykonywała swoją pracę. Wtedy po prostu wcześniej, niż planowała, wyjedzie do

Reykjavíku.

– Pójdę. Gdzie i o której się spotkamy?

Einar się rozpromienił. Kiedy już ustalili miejsce i godzinę, wyszedł, ale jeszcze odwrócił się w drzwiach i mrugnął do niej porozumiewawczo. Gdy zdecydowała się odpowiedzieć mu tym samym, już go nie było.

Przed wyjściem z salki Aldís nie mogła się powstrzymać i wysypała zawartość szufelki pod dywanik przy ołtarzu Lilji i Veigara.

Aldís właśnie miała wychodzić, żeby spotkać się z Einarem, włożyła już nawet kurtkę, ale przedtem otworzyła w końcu list. Długo siedziała na łóżku i gapiła się na Bogu ducha winną kopertę leżącą na narzucie, po czym nagle ją przysunęła i rozerwała. Teraz trzymała list na kolanach i wpatrywała się w niego, nie mogąc odróżnić liter, które przecinały kartkę w idealnie prostych liniach, jakby matka używała przy pisaniu linijki, aby żadne słowo się nie zgubiło. Wreszcie zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła czytać.

Moja droga Aldís!

Mam nadzieję, że przeczytałaś moje listy, mimo że nie dostałam od Ciebie odpowiedzi. Najbardziej boję się tego, że je wyrzucasz i nawet nie otwierasz, kiedy widzisz, od kogo przychodzą. Ale jeśli czytasz ten list, błagam Cię po raz kolejny, żebyś się odezwała, zadzwoniła albo napisała, choćby tylko parę słów.

Jak już Ci pisałam, Lárus się wyniósł, więc nie musisz się obawiać, że odbierze telefon albo się dowie, że do mnie piszesz.

Brak mi Ciebie nieopisanie i dałabym wszystko, żeby móc cofnąć czas i odwołać tamtą moją reakcję. Ale to są jedynie puste słowa, zawiodłam Cię i muszę z tym żyć, i próbować to naprawić. Kiedy się urodziłaś, nadałaś mojemu życiu sens, tylko Ty dawałaś mi szczęście i radość. Bez Ciebie moje życie nie ma wartości.

Proszę, odezwij się, moja kochana Aldís, niepewność, jak się miewasz i gdzie jesteś, nie daje mi spokoju. Kocham Cię i będę zawsze kochać, i błagam Cię na wszystko, żebyś mi wybaczyła tych kilka sekund, kiedy zwątpiłam w Twoją prawdomówność, i zamiast tego pomyślała o wszystkich tamtych latach, kiedy moje prawdziwe uczucia dla Ciebie nigdy Cię nie zawiodły.

Twoja mama

Aldís odłożyła list. Chętnie przeczytałaby go jeszcze raz, ale nie zrobiła tego. Żeby wiedzieć, co ma o tym myśleć, musiałyby mieć poprzednie listy. Kiedy w końcu jej matka zauważyła, że córka mówiła prawdę? Czy to ona wyrzuciła tego

przeklętego parszywca, czy on czmychnął? I czy dopiero wtedy naprawdę poczuła żal? Zamiast uporządkować swe myśli, Aldís wstała i wyszła z domku. Zostało jeszcze dziesięć minut do umówionego spotkania z Einarem, więc chciała zwędzić ze spiżarni jakąś butelkę. Nigdy nie miała ochoty na alkohol, nie smakował jej i brzydziła się tym zataczaniem się i bełkotaniem. Zazwyczaj. Teraz jednak uznała, że bardzo się przyda. Nawet jeśli miałby spowodować, że zrobi coś, czego potem będzie żałowała. Choć trudno sobie wyobrazić, co mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć jej sytuację. Ale nigdy nie wiadomo.

- Miałyśmy nadzieję, że nie będzie cię dłużej – powiedziała Diljá, marszcząc czoło i uśmiechając się do Rún. Od czasu, kiedy Óđinn wyszedł z biura, szminka prawie zniknęła z jej ust, a to mogło znaczyć tylko tyle, że dobrze opiekowała się Rún i nie biegła co rusz do lustra w łazience, jak to miała w zwyczaju. Óđinn nie wiedział, czy ma być jej wdzięczny za tę sumiennność, czy raczej się bać ewentualnych konsekwencji. Bo nie wiadomo, co Diljá naopowiadała córce podczas jego nieobecności.

- Mam sobie znowu pójść? Proszę bardzo! – rzucił żartobliwie. Rún spojrzała na niego nieprzenikniętym wzrokiem, a Óđinn odniósł wrażenie, że jego starania, by być dowcipnym, odniosły odwrotny skutek. Pogłaskał córkę delikatnie po włosach, aby wiedziała, że nie mówi tego na poważnie. – A myślałem, że jestem niezastąpiony.

- Nie do końca – powiedziała Diljá, mrugając porozumiewawczo do dziewczynki. Kiedy wzięła do ręki torebkę, jej prawa część ciała jakby przygięła się do ziemi. Óđinn już nieraz zadawał sobie pytanie, co kobiety w nich dźwigają. A i tak nigdy nie znajdują w tych czarnych otchłaniach tego, czego szukają. – Zerknij na moje miejsce, Rún, idę tylko po kawę. Zaraz wracam. Przynieść wam coś?

Podziękowali jej. Óđinn odprowadził wzrokiem Dilję zmierzającą do kuchenki.

- O czym rozmawiałyście? – spytał córkę.

Rún wzruszyła ramionami.

- O niczym szczególnym. Ja cały czas malowałam.

Na biurku w boksie Róberty leżało mnóstwo porzucanych rysunków wykonanych kredkami. Óđinn nie miał pojęcia, skąd Diljá wytrzasnęła tu kredki, w każdym razie nie należały one do podstawowego wyposażenia biurowego. Może leżały w szufladach Róberty. Na szczęście nie dała Rún długopisu, bo ona zawsze tak mocno go przyciskała, że rysunki zostawiały ślad na blacie stołu.

- Może weźmiesz te obrazki ze sobą? Wolę, żebyś była bliżej mnie, kiedy będę pracował. Tutaj jesteś tak daleko, że równie dobrze mogłabyś zostać w domu.

Przed wyjściem Óđinn posłał Rún do boksu Róberty, żeby była obok Dilji, ale teraz żałował, że ulokował ją na miejscu zmarłej. Dokładnie na tym, na którym wyzionęła ducha.

- Chodź, skarbie, przejdziemy do mnie. Jeszcze chwilę popracuję, a potem będziemy mogli sobie pójść – dodał. Obiecał jej, że skończy dziś wcześniej, żeby nie musiała spędzać całego dnia w biurze, i chciał dotrzymać słowa.

- Kto to jest? – spytała Rún, wskazując bladym palcem zdjęcie dwóch chłopców, którzy zmarli w domu wychowawczym w Krókur.

Óðinn przełknął ślinę.

- To tacy dwaj chłopcy z dawnych lat.

- Jak mają na imię? – Rún spojrzała pytająco na ojca, nie odrywając palca od fotografii.

- Einar i Tobbi.

Chociaż wersja Pyttiego dotycząca śmierci tych dwóch chłopaków brzmiała dosyć nieprawdopodobnie, Óðinn nie mógł przestać o niej myśleć. Co miał zrobić z całą tą historią w swoim raporcie? Czy po prostu ją pominąć? Jeśli ją w nim zawrze, to przypuszczalnie zaraz po ukazaniu się raportu zapuka do pośredniaka, żeby poszukać sobie nowej pracy. W oficjalnym dokumencie nikt nie chce czytać jakichś plotek o martwym dziecku zakopanym gdzieś w Krókur. Óðinn nie bardzo też rozumiał, co ta sprawa mogła mieć wspólnego ze śmiercią obu chłopców – dokładne zbadanie ich losów było i tak wystarczająco trudne bez nieżywego noworodka. Poza tym nie do końca rozumiał sedno historii Pyttiego: według niego rura wydechowa samochodu nie była zapchana śniegiem. Chłopcy udusili się, bo ktoś wetknął w nią kawał szmaty. Teorie Pyttiego dotyczące sprawcy były równie niedorzeczne jak inne detale tej historii: albo zrobiło to małżeństwo kierujące domem, albo jeden z robotników lub wychowanków. Przyczyna była niewiadoma, a wysiłki Óðinna, by wydobyć coś z mężczyzny, były kwitowane jedynie jego pustym, tępym spojrzeniem. Jak to zwykle bywa z teoriami spiskowymi, ta też wydawała się zawiła i niejasna, i z pewnością nie odpowiadała prawdzie. Jednak dokładność, z jaką opisał ową szmatę, pozwalała wysnuć wniosek, że być może w wersji Pyttiego kryje się jednak ziarenko prawdy.

- Dlaczego to wisi tutaj? – spytała Rún, wpatrując się nadal w starą fotografię.

- Nie wiem. To nie jest moje miejsce pracy. Może po prostu podobało się koleżance, która tutaj siedziała.

- Oni patrzą prosto na mnie. – Rún oderwała oczy od zdjęcia i wykrzywiła twarz. – Śledzą mnie wzrokiem.

- Tylko tak się wydaje, bo patrzą w obiektyw.

Óðinn odszedł nieco na bok, a oczy chłopców rzeczywiście zdawały się za nim podążać. Choć uznał to za trochę absurdalne, faktycznie miał poczucie, że tamci dwaj w napięciu czekają, co też on teraz robi, czy będzie dochodzić prawdy o tym, co się z nimi stało. On zaś najchętniej odwróciłby się plecami do zdjęcia i

powiedział tym chłopakom, że w zupełności wystarczy mu sama ich tajemnicza śmierć. Tymczasem usiłował wyciągnąć Rún z boksu.

– No, chodź już, w kuchni jest sok. Musisz się czegoś napić.

Ale Rún wciąż tkwiła w miejscu.

– A gdzie jest ta pani, która tu pracowała? Odeszła stąd, jak ten pan przy innym biurku? – spytała.

– Tak, odeszła.

– To dlaczego nie zabrała swoich rzeczy? On nie zostawił nic a nic.

– Nie miała na to czasu. Niedługo to sprzątną – odpowiedział Óðinn, obrócić krzesło i siłą się powstrzymał, by nie podnieść z niego Rún.

– To nie jest krzesło Róberty – powiedziała Diljá, która z filiżanką kawy stanęła znowu przy swoim biurku. Miała usta na nowo pociągnięte pomadką i Óðinn musiał przyznać, że wyglądała ponętnie. Przez moment nawet zazdrościł temu Denniemu, który po imprezie firmowej poszedł z nią do domu. Lecz kiedy znowu się odezwała, od razu się opanował.

– Zamieniłam je na krzesło Dennisa. Nie miał odwagi nic na to powiedzieć, ale myślę, że jest z tego powodu szczęśliwy. – Diljá uśmiechnęła się drwiąco i pociągnęła łyk kawy. – Zasłużył sobie na to.

– Dlaczego? – spytała Rún, spoglądając to na Dilję, to na ojca. – A co on takiego zrobił?

– Nic. I w tym właśnie problem – odpowiedziała Diljá, powiesiła torebkę na swoim krześle, usiadła i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Jak to nic? – Rún spojrzała pytająco na ojca. – A co z tym krzesłem?

– Nic takiego, skarbie, Diljá tak tylko sobie żartuje – odparł Óðinn.

Doszedł do wniosku, że chyba jednak prościej by było, gdyby wziął zwolnienie lekarskie na ten dzień. Zwłaszcza kiedy pozbierał rysunki Rún. Na jednym z nich widniała postać wyglądająca tak, jakby robiła orła na śniegu, podczas gdy druga stała nieco dalej i przyglądała się tamtej. Po chwili zauważył, że ta pierwsza jest kobietą, ma szeroko otwarte usta i jakby spada w dół, wymachując ramionami, albo właśnie dopiero co runęła na ziemię. Druga osoba była widoczna tylko od tyłu: to też kobieta, jej nogi wystawały z czegoś przypominającego płaszcz. Albo był to mężczyzna w krótkich spodniach i płaszczu. Na innym rysunku zauważył nagrobek z napisem „Mama”, cały ozdobiony śmiejącymi się kwiatami, które w ogóle nie pasowały ani do nagrobka, ani do napisu. Jutro pokaże oba psychoterapeutce. Óðinn wzdrygnął się na widok trzeciego rysunku. Tu terapeutka nie miałaby nic do powiedzenia. W przypominającym skrzynię aucie dwie wykrzywione krzykiem twarze w oknach miały dokładnie takie same okrągłe usta jak kobieta na pierwszym obrazku. Óðinn zerknął na zdjęcie na

ścianie. Jak Diljá mogła opowiedzieć Rún o tych dzieciakach i o tym, co im się przydarzyło? Lepiej byłoby, gdyby został dziś w domu.

– Czy naprawdę musiałaś opowiadać mojej córce o tamtych chłopakach, którzy udusili się w samochodzie?! – Óðinn skrzyżował ręce na piersi, żeby nie wymachiwać Dilji palcem przed nosem. – Nie pojmuję, jak mogłaś to zrobić! Ona ma dosyć własnych problemów. Wystarczy już, że to dziecko boi się otwartych okien, a teraz może jeszcze będzie miała opory przed wsiadaniem do samochodu.

Diljá odwróciła się do niego. Na ekranie jej komputera pyszniła się strona Facebooka, której ona nawet nie próbowała ukryć.

– O czym ty mówisz?

– O Rún. Opowiedziałaś jej o chłopcach, którzy udusili się w samochodzie. O tych ze zdjęcia na ścianie u Róberty.

– Ty chyba żartujesz? – Diljá zdziwiona uniosła brwi. – Nie wspomniałam jej o nich choćby słowem ani o żadnym uduszeniu. – Wyprężyła się, jakby miała zamiar wstać z miejsca. – Skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

Wściekłość Óðinna zmieszała się ze zdziwieniem, ale po chwili znów wezbrała wysoką falą.

– Może stąd, że narysowała dokładnie coś takiego, kiedy ty miałaś się nią zajmować? – Wyjął z kieszeni spodni złożony kilkakrotnie rysunek i pokazał go koleżance. Diljá wyciągnęła rękę, ale Óðinn cofnął kartkę i włożył z powrotem do kieszeni. – Chyba nie myślisz, że to przypadek?

– Nie mam pojęcia. Nawet o nich nie bąknęłam. Bo i po co miałabym jej o nich mówić? Pewnie sam jej opowiedziałeś. W końcu to twój projekt, nie mój. I on w ogóle mnie nie interesuje. Nic a nic.

– Ja? – Óðinn musiał bardzo się starać, aby zachować spokój. – Nigdy nie opowiedziałbym o tym mojej córce! Chyba zwariowałaś!

– To ty zwariowałaś! Nic nie zrobiłam. Rozmawialiśmy o zupełnie innych rzeczach.

– Ach tak? A o czym?

– Na przykład o tym, jakim jesteś głupkiem. – Również Diljá skrzyżowała teraz ręce na piersi i butnie uniosła podbródek. – I jakie to dziwne, że masz taką fajną córkę. Ona musi być chyba żywym obrazem swojej matki.

Óðinn zaniemówił. Nie zamierzał wszczynać z Dilją dziecinnej kłótni, a najgorsze było to, że jej wierzył. No bo po co miałaby opowiadać Rún o chłopcach? Ponieważ nie przyszedł jej żaden inny temat do głowy? Raczej wątpliwe – Diljá знаła wszystkie plotki z całego miasta wprost na wyrywki.

– Skoro ty jej nic nie powiedziałaś i ja też nie, to jak mogła namalować tych chłopców? – zapytał. Złość zupełnie zniknęła z jego głosu i teraz brzmiał raczej płaczkliwie, co go strasznie irytowało.

– Nie mam zielonego pojęcia. Skąd mam to wiedzieć? W ogóle nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego to namalowała. A może to miał być tylko roller coaster z krzyczącymi ludźmi?

To dosyć wątpliwe, choć całkiem wyobrażalne wyjaśnienie. Musi zagadnąć o to Rún, jednak w taki sposób, żeby nie wytrącić jej z równowagi. Właśnie dlatego nie spytał jej o to od razu, chociaż widział, jak czujnie śledziła jego reakcję, kiedy zbierał kartki. Zachował się wtedy tak, jakby wszystko było całkiem normalne. Czuł się już wyczerpany tym ciągłym podchodzeniem do wszystkich z taką ostrożnością.

– Czy to możliwe, że grzebała w rzeczach Róberty i natknęła się na coś związanego z tamtym wypadkiem? Chybabyś coś usłyszała, prawda?

Diljá zdmuchnęła sobie kosmyk włosów z czoła.

– Raczej tak. Nie wiem sama. Niby tu wszystko słyhać, ale Rún mogła całkiem cichutko przerzucać kartki i coś sobie oglądać, a ja niczego nie musiałam widzieć. Nie można tego wykluczyć, chociaż trudno mi w to uwierzyć. No bo od kiedy to biurowe segregatory są interesujące dla dzieci?

Ódinnowi było przykro, że posprzeczał się z Dilją. Mimo wszelkich jej wad musiał przyznać, że jest kolorową postacią, jedną z nielicznych, które trochę ożywiają biurową szarzyznę.

– Skoro już mówimy na ten temat, powiedz mi, czy coś ci wiadomo, żeby ktoś groził Róbercie? Czy ona kiedykolwiek o czymś takim wspominała?

Diljá pokręciła głową, ciągle jeszcze trzymając ramiona skrzyżowane na piersi. Teraz zrobiła się czujna, jakby Ódinn w każdej chwili zamierzał obwinić ją o to, że to ona groziła Róbercie.

– Nie. – Ale już po chwili z rozjaśnioną twarzą dodała: – Ale raz miała przedziwną rozmowę telefoniczną. Nagle zaczęła mówić bardzo głośno i była bardzo zdenerwowana, wspomniała o jakichś e-mailach i spytała tę osobę po drugiej stronie, czy to ona je wysłała. Jak tylko odłożyła słuchawkę, od razu próbowałam z nią o tym porozmawiać, ale ona nie chciała nic powiedzieć. Rzuciła tylko jakąś uwagę, której nie zrozumiałam.

– Pamiętasz jeszcze jej słowa?

– Mniej więcej coś takiego, że niektórzy ludzie są szczególnie i że powinna była o tym wiedzieć, bo przecież ją ostrzegano, że ta osoba nie jest do końca przy zdrowych zmysłach, ale taką ma już pracę i musi się z tym pogodzić. – Diljá lekko machała nogą. – A potem dodała jeszcze coś kompletnie idiotycznego, ponieważ

skierowanego przeciwko mnie, że nie będzie rozpowiadać na prawo i lewo historii o innych ludziach, nawet jeśli postępują niedopuszczalnie, bo ona przecież wie, jak człowiek powinien się zachowywać. Jakbym ja dokładnie nie wiedziała!

To nie było ani odpowiednie miejsce, ani odpowiedni czas, by dyskutować z Dilją o jej dyskrecji, toteż Óðinn ograniczył się jedynie do tego, by na pozór oburzyć się nieco na Róbertę.

– Nie powiedziała, czy to była kobieta, czy mężczyzna i skąd znała tę osobę? – spytał potem.

– Nie, a jeśli nawet powiedziała, to ja już nie pamiętam. Ale odniosłam raczej wrażenie, że nie chciała zdradzić żadnych szczegółów na jej temat. Tak czy siak, to na pewno miało związek z pracą. Myślę, że to nie był mężczyzna. Kobiety w jej wieku irytują się na facetów inaczej niż na kobiety, a to wyglądało trochę jak sprzeczka dwóch bab.

Zgrabna noga Dilji zatrzymała się, a ona sama zrobiła poważną minę i nagle wydała się zupełnie obca.

– A mówiłam ci, żebyś nie brał tego projektu. Z nim jest coś nie tak. Róberta zachowywała się naprawdę dziwnie. Cały czas gapiła się na zdjęcie tych chłopaków i była jakaś inna. A teraz ty też już zaczynasz powoli świrować.

Óðinnowi nie podobał się kierunek, jaki przyjęła ich rozmowa. Spytał więc:

– Nie wiesz, czy ona rozmawiała z ludźmi z Krókur?

W grafiku Róberty nie było o tym żadnej wzmianki, ale skoro dzwoniło do niej i dostawała e-maile, to znaczy, że musiała mówić o sprawie z ludźmi z zewnątrz. Z kimś, kto miał interes w tym, żeby zatrzymać całe dochodzenie. I Óðinn chciał się dowiedzieć dlaczego. Widocznie ten ktoś nie życzył sobie, aby raport odsłonił coś złego, ale z drugiej strony co po czterdziestu latach mogło wywołać tak gwałtowne reakcje? Poważne przestępstwo, na przykład zabójstwo?

– Myślisz, że Róberta rozmawiała z byłymi wychowankami domu? Człowiek, z którym się właśnie spotkałem, powiedział, że nikt się z nim nie kontaktował, ale może odzywała się do innych?

– Nie – rzekła Diljá i wyglądała na zawiedzioną, że nie może mówić dalej o osobliwym zachowaniu Róberty. – Na sto procent nie. Na pewno bym o tym wiedziała, bo ona zawsze mi mówiła, dokąd idzie, jeśli czasami musiała wyjść. Jakby mnie to cokolwiek obchodziło... – Sięgnęła po swoją filiżankę i spojrzała do środka. – Ta cholerna filiżanka przecieka. – Potem znowu zerknęła na Óðinna. – Ale rozmawiała z robotnikami z Krókur. Z jednym albo z dwoma czy nawet z kilkoma.

– Wiesz z którymi? W teczkach nie znalazłem ani słowa o robotnikach.

Diljá pokręciła głową.

– Nie, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że z nimi rozmawiała. Uważała, że powinna zacząć od właściwej strony. Widocznie wychowankowie byli dla niej poniżej jej godności. Mimo że dzisiaj to dorośli faceci.

– Albo się ich bała.

Óđinn zrobił już kilka kroków, ale jeszcze się odwrócił i powiedział:

– Przepraszam cię, zachowałem się idiotycznie.

– To obłąd, on cię usprawiedliwia – odpowiedziała Diljá, przekrzywiając zalotnie głowę; Óđinn zląkł się już, że będzie chciała umówić się z nim na randkę. Albo tylko miał taką nadzieję. Nie był tego pewien. Jednak ona nic już nie dodała. Skinął jej zatem głową i ruszył dalej, lecz po kilku krokach usłyszał swoje imię, a nad ścianką dzielącą boksy pojawiła się głowa Dilji.

– Wiesz, dlaczego zamieniłam krzesła?

Óđinn pokręcił głową.

– Bo nie dawało mi spokoju. To, że podsunęłam je Denniemu, to tylko taki mały żart. Nie mogłam już znieść tego krzesła. Cały czas skrzypiało, jakby Róberta wciąż na nim siedziała i kręciła się w tę i z powrotem. Mówię ci, to było niesamowite. – Po czym jej głowa zniknęła bez żadnych dalszych komentarzy.

Óđinn westchnął. Kiedy znalazł się z powrotem na swoim miejscu, nie potrafił się w ogóle skoncentrować i raz po raz zerkał w stronę Dennisa, który siedział na krześle zamienionym przez Dilję. Ale nie zauważył nic podejrzanego. W końcu wyłączył komputer i razem z Rún wyszedł z biura godzinę wcześniej, niż planował.

Gdy potem przysiedli w mieście w jakiejś kawiarni i zamówili sobie po pucharze lodów, wreszcie poczuł się dobrze.

– Ona się chyba w tobie podkochuje – odezwała się Rún, zlizując z łyżeczki czekoladową polewę.

– Kto? – Óđinn na próżno szukał kolejnych kawałków czekolady, ale ponieważ jego lody zamieniły się w papkowatą breję, odsunął puchar na bok.

– No, ta kobieta z twojego biura, Diljá.

– Nie, to jakieś nieporozumienie.

– Naprawdę. Bez przerwy o ciebie wypytywała. Czy masz przyjaciółkę i takie tam rzeczy. To jasne jak słońce, że się w tobie buja. – Rún chyba też już miała dość i odstawiła lody na środek stołu. – A co będzie ze mną, jak się z nią ożenisz? Ja nie chcę żadnej nowej mamy. Czy będę mogła wtedy przeprowadzić się do wujka Baldura?

Óđinn wziął Rún za rękę. Miała zimne i trochę lepkie palce.

– Posłuchaj, Rún, nie ożenię się z Dilją, z całą pewnością. Nikt cię ode mnie nie odsunie, nie martw się.

– A jak umrzesz? Co wtedy? Będę mogła przenieść się do wujka Baldura? Nie chcę iść do babci.

– Nie umrę. Jeszcze zostało mi całkiem sporo czasu. Sama będziesz już babcią i mam nadzieję, że dla swojego dobra nie będziesz już ze mną mieszkać.

Obserwowali oboje, jak połówka wafla powoli osuwa się po ścianie szklanego pucharu. W końcu zjechała na samo dno i zniknęła w rozpuszczonych lodach. W tym momencie ich spojrzenia się spotkały, a w oczach Rún pojawił się smutek, który nie był wywołany lękiem, tylko pewnością.

– Powiedz mi, Rún, co namalowałaś na rysunku z samochodem? – spytał najdelikatniej, jak potrafił.

– Dwóch chłopców. – Spuściła wzrok i wpatrzyła się w biały blat stołu. – Dwóch chłopców, którzy umarli w aucie. Niektórzy tak umierają. Brakuje im powietrza.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Narysowałam mamę, jak spadała, a potem tych chłopców. Nie chcę rysować żadnych wesołych rzeczy. Zawsze próbuję, ale nic mi nie wychodzi.

Dobrze, że jutro Rún jest umówiona z terapeutką. Jeszcze lepiej byłoby się spotkać z nią dzisiaj. Natychmiast. Óðinn nie mógł oderwać oczu od delikatnej twarzyczki córki, zaczerwienionych policzków i miękkich warg, które mocno zacisnęła, żeby nie powiedzieć niczego, co by rozczarowało jej tatę.

Ale nie musiała w ogóle nic mówić. W głębi ducha Óðinn czuł się tak, jakby schodził po stromym zboczu, nie mając zupełnie pojęcia, co czeka go u stóp góry, jakby wiedział tylko tyle, że tempo będzie narastać, że za chwilę będzie musiał pędzić i nie zdoła się już zatrzymać przed potwornym końcem. Zmusił się do uśmiechu, na który Rún odpowiedziała mu melancholijnym uśmiechem. Co tak naprawdę dzieje się w tej małej główce?

ROZDZIAŁ 16

styczeń 1974

Aldís nie wiedziała, co ją obudziło – szcęknięcie własnych zębów czy krople kapiące do lodowato zimnej wody w wannie. Ostrożnie uchyliła powieki i ucieszyła się, widząc, że jeszcze jest noc. Dokuczał jej kłujący ból głowy, który nieco zelżał, gdy szeroko otworzyła oczy. Z kranu kapało dalej, a głuchy odgłos odbijał się echem w ciszy. Jeśli zaraz się nie podniesie, to zamarznie naga w wannie. Wizja takiego poniżenia natychmiast pobudziła ją do ruchu.

Najpierw tylko usiadła. Nie odważyła się wstać z obawy, że zemdleje. Trzęsła się jak liść osiki, podczas gdy dolna część ciała tkwiła nadal w lodowatej wodzie, a górną oblewało lodowate powietrze. Na dodatek miała jakiś nieprzyjemny smak w ustach i zbierało się jej na wymioty. Chwyciła się śliskiej krawędzi wanny i powoli dźwignęła się w górę. Przeszyło ją zimno, starała się jednak o tym nie myśleć i zapanować nad dygotaniem, żeby nie chlupnąć z powrotem do wody. W końcu się udało i kiedy stanęła w kałuży na podłodze, przede wszystkim rozejrzała się za ręcznikiem. Na próżno.

Gdy zbierała porzrzućcane po posadzce ubranie, wydarzenia nocy stopniowo zaczęły wyłaniać się z jej pamięci. Nie była jednak w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, jedynie to, co najważniejsze. Właściwie na szczęście. Te najważniejsze rzeczy jeszcze pamiętała, i to wystarczyło. Na przykład dlaczego wylądowała w wannie. Była za bardzo przemarznięta, by mogła się teraz zacerwienić, i czuła się zbyt podle, by się wstydzić. Nie bez wysiłku zdołała jako tako wytrzeć się własnym ubraniem. Trochę się przy tym rozgrzała, przestała dygotać i w końcu tylko okryła się swoimi rzeczami. Nie dałaby rady w tej chwili ich założyć, była jeszcze na to za mokra i zbyt zmęczona. Poza tym dzinsy miała za ciasne. To nie przypadek, że się w nie ubrała – to jedyne spodnie w jej szafie, które przy dużej dozie dobrej woli dawało się uznać za w miarę fajne, a wczoraj wieczorem chciała ładnie wyglądać. Sprzedawczyni ze sklepu z ciuchami zapewniała ją wtedy, że spodnie leżą na niej jak ulał, a żeby zasunąć zamek błyskawiczny, musi się tylko położyć. Gdyby Aldís przeczuwała, że przed pójściem spać będzie musiała jeszcze dwa razy zdjąć spodnie, prawdopodobnie włożyłaby co innego.

Einar i ona przespali się ze sobą. Do tego momentu Aldís sporo wychyliła z butelki, którą ukradła ze spiżarni. Nie pamiętała już, jak było, mgliście przypominała sobie tylko, że był czuły, niepomamowany, ale jej nie zaniedbywał,

w przeciwieństwie do innych, z którymi do tej pory się kochała i którzy jakby odrabiali na niej robotę na akord. Jeden z nich ograniczył się nawet do tego, że tylko lekko zsunął spodnie z tyłka i od razu wystrzelił. Aldís pamiętała jeszcze dzisiaj, że zamknęła wtedy oczy i starała się myśleć o czymś innym. Ostatniej nocy nigdy by się tak nie zachowała. Tyle przynajmniej pamiętała. To, że jej wcześniejsze przeżycia seksualne skrywa mgła, bynajmniej jej nie martwiło, jednak tym razem żałowała, że tyle wypija. Ale z drugiej strony, gdyby była trzeźwa, nie doszłoby do niczego. Wtedy na pewno by się nie zdecydowała. Choćby dlatego, że nie brała tabletek, a on oczywiście nie miał prezerwatywy. Tyle w każdym razie pamiętała i dlatego znalazła się w wannie. Mimo że była kompletnie pijana, przypomniawszy sobie radę przyjaciółki, która mówiła, że gorąca kąpiel po stosunku zapobiega zapłodnieniu. Oby to była prawda.

Kiedy Aldís nabrała pewności, że na korytarzu jest spokój, wyrzała ostrożnie przez uchylone drzwi. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Wszędzie zalegała ciemność, ale zupełnie jasno robiło się dopiero około południa, dlatego całkiem możliwe, że robotnicy już wstali. Ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła, to wpaść na nich, kiedy jest półnaga. Przemknęła więc najszybciej jak potrafiła do swojego pokoju. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, upuściła ubranie na podłogę i wśliznęła się pod kołdrę. Wreszcie przestała się trząść i poczuła ulgę. Ale ciągle jeszcze było jej koszmarnie zimno i niedobrze i nadal męczył ją tępy ból głowy. I wyrzuty sumienia. Co ona właściwie sobie myślała?

Aldís schowała się cała pod kołdrę, zamknęła oczy i zastłoniła sobie uszy. Nie mogła uwolnić się od myśli, że choć plątał jej się język i szumiało w głowie, całkiem zagadała Einara. I tych słów nie da się już cofnąć. Jedyna nadzieja w tym, że on był tak samo pijany jak ona. Chodziło o niesprawiedliwość na świecie, łącznie z barwnymi opisami jego przyszłości i jego zalet, a niestety odnosiła wrażenie, że Einar głównie słuchał i nic nie mówił o sobie. Spytała go, dlaczego trafił do Krókur, lecz nie uzyskała odpowiedzi, była też zbyt zajęta własną osobą, by zagadnąć go o wiek i o tamtą dziewczynę z fotografii. Czuła się tak, jakby rzuciła mu pod nogi swoją brudną bieliznę. To przekłete picie, już nigdy nie tknie alkoholu.

W tym momencie Aldís z przerażeniem szeroko otworzyła oczy. Co oni zrobili z butelką? Większość czasu spędzili w małej gospodarczej komórcie przy oborze – akurat tam! Ale w końcu nie było wiele miejsc do wyboru. Po historii z Tobbim robotnicy, Lilja i Veigar wciąż mieli oko na główny budynek, do małego domku też nie mogli pójść, bo w nim spali jej współlokatorzy, a tym bardziej do przybudówki chłopców. Na dworze nie dawało się wytrzymać na tym zimnie, tak więc jedynym możliwym schronieniem okazała się obora. Butelkę pozostawioną na małym brudnym stoliku, który chwiał się przy każdym poruszeniu, na pewno od razu odkryje Veigar albo któryś z robotników. Wprawdzie Aldís była zdecydowana

odejść z Krókur, ale mimo wszystko nie chciała odejść pohańbiona. To by dopiero było, gdyby małżonkowie wytropili, że zwędziła butelkę i upiła się z jednym z podopiecznych domu. Jedynie jeśli zdoła usunąć pustą butelkę, nikt niczego nie zauważy. Ta flaszka stała zakurzona za parą konserw od czasu, kiedy Aldís pojawiła się w Krókur.

Wysunęła drżącą dłoń spod kołdry i zaczęła szukać po omacku budzika na nocnym stoliku. Z ulgą stwierdziła, że została jeszcze godzina do pobudki. Musiała koniecznie wstać, pobiec do obory i usunąć butelkę oraz inne ślady świadczące o nocnej uczcie. Znowu pojawił się ból głowy, a w brzuchu burczenie. Przez chwilę chyba nawet żałowała, że nie jest już za późno, żeby się podnieść i tam pobiec.

Aldís wzdrygnęła się na samą myśl o wyjściu na zimno, ale teraz wiatr wydał się jej, o dziwo, odświeżający. Ból głowy wprawdzie nie ustąpił, lecz trochę zelżał, przynajmniej na tyle, że mogła się ruszyć. Wciągnęła łapczywie świeże powietrze w płuca, jakby tonęła. Ale kiedy po chwili mróz wnikał w jej wilgotne włosy, zamrażając je aż po cebulki, i kiedy owiał jej nagą szyję, miała wrażenie, że nadal leży w lodowatej wannie. Szczelniej owinęła się kurtką, nie naciągając kaptura na głowę z obawy, że ból głowy się nasili. Już lepiej mieć ścięte mrozem włosy. Cały czas padał śnieg i ślad po zygzakowatej ścieżce, którą zmierzała w nocy do domku, zniknął pod białym puchem. Zimne płatki dostawały się do środka tenisówek, pełzły po stopie do palców i niemiłosiernie parzyły. Aldís przeklinała samą siebie, że w pośpiechu nie włożyła skarpet. Kiedy się obejrzała, zobaczyła, że zostawia doskonale widoczny ślad, który wyraźnie wskazuje kierunek. W drodze powrotnej z obory będzie musiała postarać się jakoś go zatrzeć, żeby nikt się nie zorientował, że ktoś się tu kręcił bladym świtem. Jeśli jej się uda, prawdopodobnie wszystko będzie w porządku.

Aldís nie mogła się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć na myśl o swoich wczorajszych planach zemsty, gdy zmierzała teraz z rękami w kieszeni kurtki do obory. Ale po chwili przypomniała sobie jeszcze inne sprawy, o których rozmawiała z Einarem, i jej uśmiech od razu zgasł. W żołądku dokonywała się jakaś rewolucja i Aldís musiała przystanąć, żeby przewyciężyć mdłości i nie wyrzygać się na śnieżnobiałą ziemię. Zupełnie jakby jej wnętrzości protestowały przeciw temu, o czym rozmawiali i co uznali za bardzo dowcipne. Już nie pamiętała, które z nich zaczęło, przypuszczała jednak, że to była ona. Aldís kilka razy wciągnęła głęboko powietrze, poczuła się trochę lepiej i poszła dalej. Setki razy łamała sobie głowę nad tym, gdzie mogło być zakopane dziecko Lilji i Veigara, ale teraz cieszyła się, że tego nie wie. Bo gdyby знаła to miejsce, to wczorajszej nocy we dwójkę wykopaliby noworodka i położyli je Lilji i Veigarowi pod drzwiami. Jak paczuszkę od tajemniczego przyjaciela. „Ode mnie dla was, kochana mamusiu i kochany tatusiu”. W nocy wydawało im się to odpowiednią karą za wykradanie listów i bezkarne postęпки obojga. Aldís przeszyla groza na

myśl o tym, że zamiast po butelkę miałyby teraz iść po zwłoki dziecka położone na schodach prowadzących do mieszkania Lilji i Veigara.

Na końcu przejścia prowadzącego do przybudówki chłopców oswoiła się już z ciemnością, ale w tym momencie zza chmur wyłonił się półsierp księżycy a śnieżny dywan zamigotał niebieskawym blaskiem. Jedynie kilka nagich krzaków rzucało cienie wokół i przypominało Aldís o tym, że nadal jest noc i że powinna wciąż jeszcze spać, śnić coś przyjemnego i cieszyć się na swój wolny dzień w mieście. Chociaż teraz to zupełnie nieprawdopodobne, by coś z tego wyszło. Kiedy przyjedzie wóz pocztowy, ona na pewno nie będzie w dostatecznie dobrej formie, by się nim zabrać, a mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie wyobrazić tkwienia przy drodze i wyczekiwania na jakąś następną okazję. Nie w tym stanie, w jakim się znajduje. Jej plany dotyczące wolnego dnia legły w gruzach. Zawiedziona wepchnęła ręce jeszcze głębiej do kieszeni kurtki i przyspieszyła kroku. Idąc tutaj po skrzypiącym śniegu, nie musiała zachowywać szczególnej ostrożności, bo jeśli nawet któryś z chłopców się obudzi, to na pewno jej nie wyda. Mimo wszystko obrzuciła spojrzeniem okna, wypatrując w nich ciekawskich twarzy. Za żadną szybą nie było nikogo, nawet jej ptak musiał chyba się gdzieś schronić. Znowu natknęła się na niewyraźne ślady stóp, które chyba należały do Einara i prowadziły wzdłuż domu. Aldís przystanęła i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby je zatrzeć. Veigar na pewno od razu je zauważy, kiedy przyjdzie budzić chłopców; doda dwa do dwóch i dojdzie do wniosku, że po zamknięciu drzwi ktoś wykradł się z domu.

Przy schodkach stała szufla. Sięgnęła po nią. Po kilku niezdarnych ruchach weszła we właściwy rytm, zatarła ślady i postanowiła zrobić to samo także za domem, mimo że to oznaczało, że zادةpcze teren, który już wyrównała. Jednak to mniejsze zło niż ślady stóp pod oknem, które od razu wzbudzą podejrzenie Veigara.

Chmury zaczęły gęstnieć, niebo pociemniało i zrobiło się szaro. Aldís wprawdzie wszystko widziała, ale w ciemności czuła się dosyć niepewnie. Myśl o pustkowiu rozpościerającym się za domem hen daleko, po wzgórze i pola lawowe, była nieznośna. Aldís nie chciała mieć za swoimi plecami tej mrocznej pustki i dlatego pracowała szybko i zwrócona trochę bokiem, żeby kątem oka widzieć, czy ktoś się nie zbliża. Kiedy patrzyła w ziemię, musiała się schylać, by niczego nie przegapić. Pod oknem, przez które Einar wdrapał się do domu, znajdowały się nie tylko jego ślady, jeszcze jakieś inne wyłoniły się z ciemności. Aldís przestała łamać sobie głowę nad tym, jak Einar przedostał się przez kraty, tylko wpatrywała się w głęboko odcisnięte w śniegu ślady obcych stóp. Powoli obróciła się w kierunku, z którego zdawały się pochodzić, i powiodła za nimi wzrokiem tak daleko, jak tylko się dało. Ktoś nadszedł od strony ciemnego pustkowia. I ślady tej osoby były świeższe niż Einara, głębsze i wyraźniejsze. Aldís wyprostowała się

ostrożnie i wycofała się spod okna do narożnika domu. Pospiesznie przysypała śniegiem ślady Einara i swoje, starając się nie myśleć o nieznanym, który być może czyha gdzieś w ciemności. Niewykluczone, że to on był wtedy w jadalni. Aldís wcale by się nie zdziwiła, gdyby teraz poczuła znowu silny zapach krwi. W porównaniu z nim ból głowy i mdłości wydały jej się nagle głupstwem.

Oparła szufłę z powrotem o ścianę domu i zerknęła na oborę. Droga do niej jeszcze przed chwilą wydawała się krótka, ale teraz sprawiała wrażenie strasznie długiej. Nie zanosilo się na to, by niebo pozwoliło księżycowi jeszcze raz wychynąć choćby na chwilę, toteż Aldís zatrzymała się niepewnie przy schodkach. Sama nie wiedziała, co ją bardziej przeraża: to, że ktoś odkryje butelkę, czy to, że musi teraz pokonać drogę do obory i z powrotem. Przełknęła ślinę i postanowiła ruszyć. Jeśli ktoś się do niej zbliży, zacznie na całe gardło wzywać pomocy. Szło jej całkiem nieźle i już prawie dotarła na miejsce, gdy nagle sobie uzmysłowiła, że idąc z powrotem, będzie musiała zatrzymać się po każdym swoim kroku i zatrzeć nogą własne ślady. Co oznaczało, że będzie się poruszać bardzo powoli. Ale teraz było już za późno, żeby zawrócić, zostało jeszcze tylko kilka metrów. W końcu Aldís zrobiła duży krok i weszła w drzwi.

W oborze było ciepło. Zaspane krowy stały w przegrodach i podniosły łby, żeby zobaczyć, kto przyszedł do nich z wizytą. Po chwili opuściły je obojętnie z powrotem. „To znowu ona. Tym razem sama”. Odór obory wzmógł mdłości – idealne miejsce na opróżnienie żołądka. Zatkła sobie nos, pomaszzerowała do komórki gospodarczej i poszukała po omacku włącznika światła. Kiedy zapaliła się żarówka, pod wpływem oślepiającej jasności Aldís znowu zaczęła boleć głowa.

Przyczyna jej złego samopoczucia i mdłości leżała na podłodze za krzesłem. Butelka była zamknięta i jeszcze w jednej trzeciej pełna. Aldís dopełniła ją wodą i odstawiła na miejsce, co oznaczało, że kradzież zostanie odkryta za jakiś czas, gdy ona już dawno będzie za siedmioma górami. Podejrzanie padnie wtedy niestety na robotników, ale nie mogła nic na to poradzić. Wybaczcie mi, proszę, pomyślała.

Zanim wyłączyła światło, rozejrzała się jeszcze po komórce, żeby sprawdzić, czy nie zostały w niej inne ślady ich nocnej przygody. Podniosła z ziemi brudny koc, wypierając wspomnienie o tym, co na nim wyprawiali. Ponieważ nie pamiętała, skąd go wzięli, wepchnęła go do skrzyni w kącie.

Potem przekreśliła wyłącznik i znowu zatkła sobie nos, nim weszła z powrotem do obory. Kiedy miała już zamknąć za sobą drzwi, kątem oka dostrzegła jakiś ruch pod małym okienkiem komórki. Wstrzymała oddech i omal nie zemdląca. Nie wolno jej teraz stracić głowy! Instynktownie przymknęła oczy, zmusiła się jednak i otworzyła je znowu, żeby spojrzeć w stronę okna.

Nie było nic widać. Jedynie brudną okienną szybę i szarą przestrzeń po jej drugiej stronie. Ale przed chwilą na pewno ktoś tam był albo coś za nią

przemknęło. Dopóki się nie dowie, kto to albo co to, na pewno stąd nie wyjdzie. Woli już, żeby Veigar czy któryś z robotników odkrył ją tu rano. A ten moment był coraz bliższy.

Mając ten konkretny obraz przed oczami, zebrała się jednak na odwagę i podeszła po omacku do okienka. Czy ma wyrzeć na dwór, czy może raczej schować się pod oknem, jeśli to coś, co jest na zewnątrz, zagląda do środka? Co gorsze? Wyrzeć i zobaczyć tego potwora czy być przez niego obserwowana? To ostatnie wydawało się o wiele bardziej niesamowite. Aldís ostrożnie przesunęła stół w stronę okna i aż podskoczyła, gdy pod jedną z nóg zaskrzypiała podłogowa deska. Nie miała pojęcia, czy słychać to było po drugiej stronie muru obory. Serce waliło jej jak oszalałe, stała nieruchomo i starała się spokojnie oddychać. Nic się nie działo. Może to był tylko ptak? Przygryzła wargi i zrezygnowała z przesunięcia stołu pod samo okno i schowania się pod nim. Jeżeli chce być stewardesą, musi dowieść swojej odwagi, a nie stać wystraszona, kiedy coś się dzieje. Ostatnim razem, gdy postanowiła kierować się taką zasadą, nie wyszła na tym najlepiej. Już na samo wspomnienie poczuła znowu zapach krwi z jadalni.

Podeszła na palcach do okna i stanęła przy nim, przyciskając plecy do ściany tak mocno, że aż czuła ruchy drewna na wietrze. Następnie bardzo powoli obróciła głowę, tak by mogła spojrzeć na zewnątrz, i w ułamku sekundy usiłowała zlustrować otoczenie. Kiedy pod drzewem obok obory zobaczyła stojącą ciemną postać, gwałtownie się cofnęła. Przez nieszczelne okno dochodził stamtąd cichy śpiew.

Kiedy koledzy chcieli spokojnie porozmawiać przez telefon, najczęściej wymykali się do salki konferencyjnej, która poza tym była prawie nieużywana. Ponieważ drzwi do niej znajdowały się tuż obok kuchni, niekiedy można było niezłe się ubawić, obserwując ich manewry. Ódinnowi było to zupełnie obojętne. W obliczu swoich licznych problemów w ogóle nie przejmował się tym, czy ktoś go widzi. Pod baczными spojrzeniami kolegów wmaszerował bez żadnych ceregieli do salki, nie próbując nawet udawać, że idzie po kawę czy ogląda ogłoszenia na tablicy wiszącej na ścianie obok. Choć nic sobie nie robił z zainteresowania innych, wołał jednak, żeby nikt nie słyszał, jak rozmawia z terapeutką Rún, i dlatego zamknął za sobą drzwi.

Stał przy oknie i bawiąc się uchwytem od żaluzji, wybierał numer, upewniwszy się wcześniej, że dzwoni dokładnie o tej godzinie, o której był umówiony z Nanną. Na zmianę zamykał i otwierał żaluzję – w jednym momencie widział smutną i szarą okolicę za oknem, a w następnym śnieżną biel plastikowych listewek. Kiedy już myślał, że terapeutka nie odbierze, usłyszał stonowany głos w słuchawce.

– Cieszę się, że pan dzwoni, nie byłam pewna, czy dotarł do pana mój poranny e-mail.

Ódinn uświadomił sobie, że powinien był na niego odpowiedzieć, ale komunikacja z innymi nigdy nie należała do jego mocnych stron.

– Tak, tak, widziałem go – odparł, lecz od razu pomyślał, że zupełnie niepotrzebnie, bo to przecież oczywiste, skoro dzwoni do niej o określonej godzinie. Rozmawiając, wciąż bawił się żaluzją, zamykał i otwierał ją coraz szybciej, aż szary krajobraz i śnieżnobiały plastik zaczęły się ze sobą zlewać.

– Jak tam Rún? Wydawała się całkiem zadowolona po spotkaniu z panią – powiedział i dodał pospiesznie: – Czy chciała pani rozmawiać ze mną o czymś innym?

Może chodziło o dane jego karty kredytowej i uregulowanie rachunku?

– Skoro już pan zaczął na ten temat, chciałabym coś wyjaśnić. Nie chcę, aby Rún się dowiedziała, że my ze sobą rozmawiamy. To ważne, żeby mi ufała. A ja nie będę omawiać z panem niczego, co by mogło naruszyć to zaufanie. Moją klientką jest Rún, nie pan.

Ódinn niemal słyszał jej oddech.

– Mam nadzieję, że pan to rozumie. Rodzice często uważają, że powinni wiedzieć wszystko, o czym myśli i co robi ich dziecko, a to nie zawsze jest dla nich takie dobre.

– Mnie wcale na tym nie zależy – zaprotestował Óðinn i zostawił uchwyt żaluzji w spokoju. – Ale przecież prosiła mnie pani o telefon.

– Tak, zgadza się.

Znowu usłyszał, jak Nanna ciężko westchnęła. Prawdopodobnie dawała mu szansę, żeby coś powiedział, jednak on nie był w nastroju.

– Po pierwsze, chciałam pana poinformować, że wszystko jest na dobrej drodze. Rún jest zamknięta, ale widzę, że uda mi się do niej dotrzeć. Tylko nieliczni otwierają się od razu na początku terapii. Z czasem Rún nauczy się mi ufać. Dlatego to bardzo ważne, aby przychodziła do mnie co tydzień. Jeśli koszty stanowią problem, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Niewykluczone, że część kwoty zostanie panu zwrócona.

– Oczywiście wszystko opłacę.

– To dobrze. Po drugie, chciałam też spytać pana o kilka spraw, żeby mieć jaśniejszy obraz Rún.

Óðinn oparł się o ścianę przy oknie. Naprzeciwko niego wisiała tablica magnetyczna, od czasu, kiedy zaczął tu pracować, nigdy dotąd nieużywana. W każdym razie znajdowała się na niej wciąż ta sama bazgranina co na początku.

– Postaram się odpowiedzieć na pani pytania najlepiej, jak potrafię – rzekł.

Nie wiedział, czy jest w stanie zadowolić Nannę. Co prawda znał swoją córkę od urodzenia, ale dosyć długo był ojcem tylko z nazwy.

– Jaki jest stosunek Rún do babci? – spytała Nanna.

– No cóż, odwiedza ją rzadziej, niżby babcia sobie tego życzyła, ale to właściwie moja wina. Powinienem bardziej ją nakłaniać do tych wizyt, tyle że ona po prostu nie ma na nie ochoty.

– Takie nakłanianie właściwie nie powinno być konieczne, chyba pan wie, prawda? Jeśli wszystko jest w porządku, dzieci w tym wieku chętnie spędzają czas z dziadkami. – Ponieważ Óðinn milczał, terapeutka mówiła dalej: – Ciekawa jestem, czy w relacjach między sobą zawsze były takie powściągliwe, czy ma to związek ze śmiercią mamy Rún.

– Trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby to zaważyć. Babcia Rún nie ma nic wspólnego ze śmiercią mojej byłej żony.

Óðinn nie chciał rozmawiać dalej na ten temat. Z bardzo prostego powodu: nie wiedział, jak było przedtem.

– Nie musi mieć nic wspólnego w sposób bezpośredni. Dzieci najbardziej lubią,

kiedy świat wokół nich jest prosty i przejrzysty. Mama Rún ginie i Rún potrzebuje winnego, przeciwko któremu mogłaby skierować swój gniew. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że czyni kogoś odpowiedzialnym za ten wypadek, wystarczy, że ktoś mógłby mu spróbować zapobiec. Wyobrażam sobie, że właśnie taką rolę Rún przypisała babci, która przecież mieszkała blisko ich obu i według Rún powinna była być na miejscu, żeby uratować jej mamę. Mniej więcej taki może być jej sposób myślenia.

– Czy rysunki, które pani dałem, coś pani mówią? – spytał Óðinn i nagle ujrzał znowu przed sobą tamte obrazki, a zwłaszcza ten ukazujący Lárę, jak spada, i kobietę stojącą obok i przyglądającą się temu. Może to miała być babcia?

– Niestety, na razie niezbyt wiele – odparła Nanna, sprawiając wrażenie, jakby nie chciała o tym dalej mówić. – Ale wróćmy jeszcze do pana byłej teściowej. Relację między nimi dwiema chętnie naświetlę nieco później, to jest dobry wstęp do trudniejszych zagadnień, którymi będziemy musieli zająć się w następnej kolejności. Jak pan sądzi, dlaczego Rún nie chce się z nią spotykać?

– Najzwyczajniej w świecie nie wiem. Nigdy jej o to wprost nie spytałem. Ale oczywiście sam zauważyłem, że nie przepada za babcią. Wydaje mi się, że Rún po prostu czuje się obciążona. Jest jedyną wnuczką tej starszej kobiety i może to nie bez znaczenia.

– Bardzo prawdopodobne.

– Wobec tego co teraz? Czy mam częściej, czy rzadziej tam z nią chodzić? Czy też w ogóle zrezygnować z tych wizyt?

– Proszę robić wszystko jak do tej pory. Jeszcze jest dużo za wcześnie, by powiedzieć, co jest najlepsze dla Rún. Przecież spotkałam się z nią dopiero raz.

Óðinn uznał odpowiedź Nanny za dosyć lakoniczną, ale po chwili sobie przypomniał, że terapeutka skontaktowała się z nim nie po to, żeby udzielić mu rady, tylko by uzyskać od niego informacje. Interpretowanie jej e-maila jako sygnału, że w terapii Rún dokonał się już cudowny postęp, byłoby infantylnym optymizmem.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Te głupie pytania świadczą w gruncie rzeczy o mojej bezradności w tym wszystkim. Chętnie usłyszałbym od pani jakąś jedną generalną wskazówkę, ale nie jestem aż tak naiwny, by wierzyć, że coś takiego istnieje. Proszę zatem pytać o wszystko, co pani chce wiedzieć, a reszty proszę nie słuchać – oświadczył i odniósł wrażenie, że Nanna się uśmiechnęła.

– Proszę się nie martwić, przywykłam do niejednego. Jeśli to panu pomoże, mogę tylko zapewnić, że stopniowo będzie wam obojgu coraz łatwiej. I niech pan nie tragizuje. Rún jest dzielną, miłą dziewczynką, która przeżyła ciężki szok, ale dzieci są silne. O wiele silniejsze niż dorośli.

Serdeczne dzięki. Óðinn próbował odczytać wyblakłe bazgroły na tablicy, których dotąd nikt nie wytarł. A może pisak wżarł się już na zawsze w jej powierzchnię. Te bazgroły składały się z kilku dat. Óðinn przekrzywił głowę. Czy on ich przypadkiem skądś nie zna? Zdaje się, że każda z nich wiązała się z domem wychowawczym w Krókur. W każdym razie niewiele projektów biura sięgało aż do lat siedemdziesiątych. Może któregoś dnia siedziała tu Róberta i zastanawiała się nad czymś albo próbowała sobie coś zobrazować.

– Jeszcze jedno pytanie.

Óðinn odwrócił się od tablicy i skupił się ponownie na rozmowie. Jeszcze będzie miał dość czasu, żeby zająć się tymi datami.

– Nie znam szczegółów śmierci pańskiej byłej żony, ale czy istnieje podejrzenie, że to nie był wypadek?

– Skąd przyszło to pani do głowy?

Jego głos zabrzmiał bardziej odpychająco, niż zamierzał. I tym dopiero rozbudził ciekawość Nanny. Przecież on sam też ciągle się miotał: jednego dnia był przekonany, że Lára zginęła wskutek nieszczęśliwego wypadku, ale już następnego sądził, że ktoś ją wypchnął. Niekiedy zmieniał zdanie kilka razy w ciągu dnia. Zebrał nawet informacje na temat Logiego Árnasona, którego najszybciej by podejrzewał, jednak okazało się, że tuż przed tym zdarzeniem facet przeniósł się za granicę. Mimo to Óðinn czasami nie miał żadnych wątpliwości, że to nie był wypadek, nie mając jednocześnie pojęcia, kto mógłby być sprawcą. Zwłaszcza od kiedy Lára zaczęła pojawiać mu się w snach, ta myśl dręczyła go nieustannie.

– Nie mogę na ten temat wiele powiedzieć, tak tylko się zastanawiałam. Na podstawie paru drobiazgów usłyszanych od Rún odniosłam wrażenie, że ona tak uważa. Ale to oczywiście nie musi nic znaczyć, być może tylko wymyśliła sobie coś takiego. Jak wspomniałam, ludzie bardzo często nie potrafią pogodzić się z nieszczęściami.

– Policja uznała to za tragiczny wypadek i o ile wiem, nic się w tej sprawie nie zmieniło – odrzekł Óðinn i sięgnął po uchwyt żaluzji. Musiał mieć w dłoni coś konkretnego. – Wiem, że nie może mi pani powiedzieć, z czego Rún się pani zwierzyła, ale może mimo wszystko zdradzi mi pani, czy miała na myśli określoną osobę.

– Według mnie nie. Nie powiedziała niczego wprost. – Nanna zamilkła na chwilę. – Czy Rún źle sypia? Czy często ma koszmary?

– Tak, tyle że nie wiem, co w takiej sytuacji uważa się za normę. Często przewraca się w nocy długo w łóżku i niekiedy śnią jej się koszmary – odpowiedział Óðinn.

Znowu sam się zdziwił, jak mało wie o wychowywaniu dzieci. Może lepiej by było dla Rún, gdyby została adoptowana przez ludzi marzących o dziecku i znających się na tym wszystkim. Choć to oczywiście absurd. Bo taka para najprawdopodobniej jest zwykle bezdzietna i o rozwoju dzieci wie jeszcze mniej niż on.

– Z jej słów da się wysnuć wniosek, że mama straszy po nocach, żeby zemścić się na tych, którzy jej to zrobili. To oczywiście brzmi niedorzecznie, ale ona naprawdę się z tym męczy. Strach przed duchami może zamienić życie dziecka w piekło. – Nanna zamilkła, ale po chwili mówiła dalej, jakby z większym przejęciem: – O ile dobrze zrozumiałam, jej mama upatrzyła sobie pana. Być może z powodu rozwodu, przyczyną wcale nie musi być tamten wypadek.

– Nie, niemożliwe. – Óðinnowi nagle zrobiło się sucho w ustach.

Nanna chyba zauważyła, jak bardzo jest zaskoczony, w każdym razie zmieniła trochę taktykę i powiedziała:

– Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie całej sprawy jest właściwie oczywiste. Przecież sam pan wspomniał, że słyszy pan rzeczy, które nie mają żadnego realnego odniesienia do rzeczywistości. Czy to możliwe, że Rún to dostrzegła, zauważyła u pana dziwne zachowanie czy coś w tym rodzaju albo może usłyszała, jak pan o tym opowiada? I to mogło wywołać u niej takie myśli.

– Nie, to całkowicie wykluczone. W żaden sposób nie zwracałem jej tym głowy – odparł Óðinn.

Może i jest niedoświadczonym ojcem, ale nie jest idiotą. Nie zdążył jednak dopowiedzieć zdania do końca, gdy sobie uzmysłowił, że sprawa nie jest chyba jednak taka prosta. Nie ulega wątpliwości, że Rún musiała coś wyczuć, kiedy na przykład zabrał ją ze sobą do pracy, nie wyjaśniając jej tak naprawdę, dlaczego nie mogła zostać sama w domu. I całkiem możliwe, że widziała, jak się czegoś wystraszył.

– Nie wiem sam, co mam powiedzieć.

– Nie musi pan nic mówić. W każdym razie nie mnie. Proszę tylko spróbować nie dawać po sobie poznać, kiedy nie czuje się pan najlepiej. Wiem, że jest pan świadomy, że to wszystko nie ma realnego charakteru. Ale nie wolno panu dopuszczać tego do siebie, a przynajmniej nie wtedy, kiedy Rún jest w pobliżu. Również ze względu na pana.

– To już minęło. Chwała Bogu, nie muszę już łamać sobie nad tym głowy.

Jakby dla przypomnienia mu, że to nie do końca odpowiada prawdzie, nagle na tablicy jakby pojawiło się czyjeś odbicie. Obok jego własnego. Ciemne kontury wskazywały na to, że ktoś stoi obok niego, mimo że doskonale wiedział, że znajduje się w salce sam. Óðinn nie mógł oderwać wzroku od tablicy. Potem

wreszcie uzmysłowił sobie, co przez cały czas widział i słyszał. To była Lára. To Lára go prześladowała.

W roztargnieniu doczekał do końca rozmowy. Potwierdzał albo zaprzeczał, w zależności od tego, co według niego chciała usłyszeć Nanna. Pragnął wyjść już z salki, znaleźć się znowu między żywymi ludźmi. Czy on zwariował? Czy wtedy człowiek tak właśnie się czuje? Gdy tylko wyłączył telefon, przebiegł pędem do wyjścia i niechcący z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Wszyscy patrzyli za nim, gdy szedł do swojego biurka. Potem usiadł i wbił wzrok przed siebie, pełen ulgi, że w matowej powierzchni jego monitora nie może powstać żadne odbicie.

Wariował. Niewątpliwie. Ale jeśli przyjąć, że te halucynacje są realne, dlaczego Lára miałaby go prześladować? Co on takiego zrobił? Naturalnie nic. Nie, to niemożliwe. Wykluczone. Po prostu zbzikował i powinien się z tym jak najszybciej pogodzić. Tylko fatalnie, że nie ma teraz odwagi wrócić do salki, żeby przyjrzeć się bliżej tamtym bazgrołom na tablicy. Chociaż korciło go, żeby ustalić, co znaczą te cyfry.

ROZDZIAŁ 18

styczeń 1974

Normalnie zimą Aldís zawsze tęskniła za jasnym letnim słońcem, ale teraz bardzo się cieszyła, że dzień jest mroczny i krótki. Zastony były tak wąskie, że po zaciągnięciu nie zasłaniały całkiem okna, i gdyby teraz trwało lato, obudziłyby ją jaskrawe i ciepłe promienie świecące prosto w twarz, nie pozwalając jej otworzyć oczu wrażliwych na światło. Czuła, że ma opuchnięte powieki, a kiedy usiadła na łóżku, opadło jej na nos pasmo skołtunionych włosów. To niesprawiedliwe, że dwa razy jednego dnia budzi się skacowana i rozbita, i to na dodatek w dzień wolny od pracy, na który cieszyła się od tygodnia. Szarawe światło przedzierające się przez zastony ledwo, ledwo ogrzewało jej policzek, mimo że już dawno minęła pierwsza. W takim stanie na pewno nie mogłaby pojechać do miasta. Aldís jęknęła cicho, zamrugła i w końcu jeszcze dosyć długą chwilę przesiedziała z zamkniętymi oczami na brzegu łóżka.

Od drzwi aż do łóżka leżały rozwleczone po podłodze jej ubrania, jakby chciała zaznaczyć sobie nimi drogę – pijana Małgosia, co zgubiła swego Jasia. Natychmiast przypomniała sobie nocne pijaństwo i przez chwilę znowu zrobiło jej się niedobrze. Na szczęście mdłości minęły równie szybko, jak się pojawiły, odpłynęły niczym echo jakiegoś snu albo raczej sennego koszmaru. Aldís wyszła ostrożnie z łóżka i jęknęła po raz kolejny, kiedy gołymi stopami dotknęła zimnych desek podłogi. Szybko oswoiła się z chłodem i naga ruszyła po omacku w stronę komody pod oknem, żeby wyjąć coś do ubrania. Nie miała najmniejszej ochoty zakładać rzeczy leżących na ziemi – na pewno czuć je alkoholem i może też seksem. Ani jednego, ani drugiego zapachu nie zniosłaby w swoim obecnym stanie.

Skrzypienie szuflady przeszło ją dreszczem do szpiku kości i wywołało jeszcze mocniejszą gęsią skórkę. Wyjęła bieliznę, podkoszulkę i skarpety, szybko się ubrała i zaczęła szukać w szafie czystych spodni. Nie było w niej żadnego prętu do wieszania, więc rzeczy leżały na małej, smutnej kupce w ogromnym pudle. Kiedy Aldís wciągnęła na siebie wytarte dżinsy, od razu poczuła się lepiej. Nie było jej już zimno i była w stanie trzeźwo myśleć. Ale chociaż po ciele rozchodziło się ciepło, nie mogła pozbyć się gęsiej skórki tak długo, dopóki nie przestały ją prześladować wydarzenia ostatniej nocy.

Już dawno zrozumiała, że Lilja i Veigar są inni niż pozostali ludzie, tylko dlaczego Lilja wyśpiewuje w środku nocy psalmy pod drzewem i wyje jak pies na łańcuchu? Aldís o mało nie zemdlała, kiedy stwierdziła z ulgą, kto jest na dworze.

Była nawet na tyle lekkomyślna, że wyjrzała przez szybę, żeby tylko dokładniej przyjrzeć się znajomej kurtce właścicielki, która stała tam pod drzewem. Gdy Lilja wreszcie sobie poszła, Aldís bała się, że stara wróci jeszcze, a ona nie będzie mogła wyjść z obory, zanim pojawi się w niej Veigar na poranne dojenie.

Ale wszystko skończyło się dobrze i Aldís zdążyła jeszcze nawet szybko zatrzeć ślady własnych stóp. Ślady Lilji zostawiła, tyle że one znajdowały się w większości za zabudowaniami, jakby kobieta chciała utrzymać w tajemnicy swój nocny spacer. Dwie kobiety skradające się w ciemnościach w tym samym czasie, obie czujne, żeby broń Boże nikt ich nie zobaczył. Aldís nie potrafiła pojąć, co Lilja tam robiła. Ślady pod oknem chłopców musiały należeć do niej. Czego tam szukała?

Aldís rozchyliła zasłony. Z nieba padały delikatne płatki śniegu, niczym kurz, jakby ktoś na dachu trzepał swoje rzeczy. Zobaczyła trzech chłopców zmierzających z chichotem w stronę głównego budynku. Einar był z nimi. Potem przez podwórze przeszedł Hákon. Widziała tylko jego plecy zgięte od ciężaru skrzynki z narzędziami, którą niósł w jednej ręce. Od czasu do czasu wydmuchiwał obłok dymu, bo w kąciку ust trzymał na pewno jak zawsze papierosa. Nim skręcił za róg, Aldís opuściła zasłony i odeszła od okna. Ogarnąwszy spojrzeniem swoją nędzną izdebkę, westchnęła. A więc tak wygląda jej wolny dzień.

W korytarzu nie było nikogo, jak w każdy normalny dzień powszedni. Gdy umyła zęby i pozbyła się smaku alkoholu w ustach, używając wzbudzającej mdłości pasty miętowej, opłukała twarz lodowatą wodą. Po tym wszystkim poczuła się trochę lepiej, nie była już trupio blada, tylko wyglądała zdrowo i świeżo – przynajmniej na razie. Za dwa tygodnie znowu będzie miała wolny dzień i na pewno już go nie zmarnuje. Jakby dla potwierdzenia spojrzała sobie w lustrze prosto w oczy i powiedziała głośno do siebie samej: „Nigdy więcej!”. Następnym razem pojedzie do miasta i będzie robić wszystko, na co przyjdzie jej ochota: jeść lody, spacerować po Laugavegur w jedną stronę i oglądać wystawy, potem wróci w drugą stronę i kupi sobie coś, co jej się najbardziej spodoba. I zadzwoni do matki. Albo może nie. Popatrzawszy wystarczająco długo na swoje odbicie, wreszcie opuściła wzrok, nie do końca przekonana, że osoba w lustrze dotrzyma obietnic.

Kiedy szczotka do włosów targała kołtun na głowie, Aldís wykrzywiła twarz. W nocy lekkomyślnie nie rozczesała mokrych włosów i tak je zostawiła, żeby wyschły. W końcu jakoś dała sobie radę, ale na wszelki wypadek wołała upiąć teraz kok.

Burczenie w brzuchu przypomniało jej, że od wczorajszej kolacji nie miała nic w ustach. W domku jak zwykle nie było nic do jedzenia i Aldís była na siebie zła, że nie zachowała nawet małego kawałka czekolady po swoim ostatnim wypadzie

do miasta. Istniały dwie możliwości: wytrzymać i głodować albo przynieść z głównego budynku kromkę chleba czy resztki z obiadu. Popołudniowa kawa będzie dopiero o wpół do czwartej. Lilja przygotowuje ją zwykle co najwyżej pół godziny wcześniej, jeśli więc Aldís wyjdzie od razu, może wcale jej nie spotka. Nie zastanawiając się długo, naciągnęła na siebie kurtkę i poszła.

Śnieg skrzypiał pod stopami, a delikatne płatki, które nadal sypały z nieba, zatrzymywały się na jej rzęsach i teraz wszystko, na co patrzyła, migotało. Zdmuchnęła śnieg i świat znowu wyglądał jak do tej pory: był ponury i zwyczajny.

Jak się spodziewała, w kuchni nie było nikogo. Dlatego każdy odgłos wydawał się intensywniejszy i Aldís nawet żałowała, że nie poczekała na pełną krzątaniny i gwaru przerwę na kawę. Ale zaraz niemal automatycznie pojawiły się myśli o minionym wieczorze, kiedy dostrzegła kogoś obcego, i z jeszcze większym pośpiechem zaczęła szukać czegoś do jedzenia, żeby jak najszybciej się stamtąd wynieść. Nie chciała słyszeć skrzypienia i trzeszczenia domu i by zagłuszyć wszystkie te odgłosy, sama robiła jak najwięcej hałasu: z hukiem zamknęła chlebak, wyjąwszy z niego kawałek chleba, z rozmachem otworzyła drzwi lodówki, tak by zapiszczały zawiasy, głośno przetykała, pijąc mleko prosto z kartonu. Czuła się tak cudownie, kiedy zimny płyn spływał jej po przetyku, że w ogóle nie mogła przestać. Wreszcie zaspokoila swoje chyba największe w życiu pragnienie i otarła dłonią wąsy nad górną wargą, po czym odstawiła niemal pusty karton na miejsce. Kiedy na przeładowanych półkach szukała masła, głośno podzwaniały słoiki z dżemem i innymi przetworami. A gdy zamknęła lodówkę, przeraziła się śmiertelnie i o mało nie wypuściła masła z dłoni.

Przy małym stoliku obok drzwi do jadalni siedział Einar. Wszedł do środka, kiedy ona niemal cała schowała się w lodówce. Na ścianie ponad nim wisiała zrobiona przez Lilję makatka z wyhaftowanym napisem: „Baranek Boży”. Aldís nie udało się dotąd zrozumieć, co to ma znaczyć, ale z całą pewnością nie miało to nic wspólnego z Einarem. Bo jemu do niewinnego baranka raczej daleko.

– Widziałem, jak szłaś przez podwórze. Mam nadzieję, że nikt nie zauważy, że się wymknąłem. Powinniśmy się uczyć – wyjaśnił i potrząsnął głową.

Aldís czuła się zbyt podle, by choćby trochę wstydzić się swego niedbałego wyglądu.

– Niedawno się obudziłam – powiedziała tylko.

– Jak się czujesz? – spytał i spojrzął jej prosto w oczy, ona jednak wyczytała w jego spojrzeniu całkiem inne pytanie: czy żałuje, że się z nim przespała.

– Okropnie, ale powoli dochodzę do siebie.

Einar wyłowił z cukiernicy kostkę cukru i włożył ją sobie do ust. Aldís domyśliła się, że w ten sposób chce zyskać na czasie.

- Myślałem, że wczoraj w nocy od razu pobiegłaś do siebie – odezwał się z lekko zakłopotanym uśmiechem – kiedy wyszliśmy z obory.

- Tak było. – Aldís wyjęła nóż i zaczęła smarować chleb masłem. Nie była do końca pewna, czy odpowiada to prawdzie, ale o ile pamiętała, kiedy pożegnała się z Einaem przy przybudówce, od razu poszła chwiejnym krokiem prosto do domku. – Dlaczego pytasz?

- Ktoś zapukał do mnie w okno, kiedy już wdrapałem się do środka. Nie odważyłem się wstać i sprawdzić, czy to ty, bo reszta chłopaków zaczęła się już wiercić. Na pewno by się pobudzili.

- To nie byłem ja. – Aldís złożyła chleb na pół i ugryzła kawałek. Lilja sama wypiekała chlebki tureckie, które świeże smakowały całkiem nieźle, jednak po paru dniach robiły się suche i niesmaczne. Przełknęła kęs. – Ale chyba wiem, kto to był.

- Co takiego? Widziałaś kogoś?

Aldís patrzyła na ciemny chleb ze źle rozsmarowanym masłem i próbowała znowu wzbudzić w sobie apetyt.

- Wysłałam znowu, żeby uprzątnąć butelkę, i wtedy zobaczyłam ślady prowadzące do okna, tyle że to nie były twoje ślady, i zaraz potem dojrzałam Lilję. Kręciła się za domem. To musiała być ona. – Kiedy zdała sobie sprawę, co to mogło oznaczać, zupełnie straciła ochotę na jedzenie. – Myślisz, że ona widziała, jak wchodziłeś przez okno?

- Mało prawdopodobne. Bo krata w oknie byłaby z powrotem porządnie umocowana. Wyjąłem ją i teraz siedzi całkiem luźno w ramie. Na pewno nikt nie zauważy, no nie? – Spojrzał pytająco na Aldís, ale ona nic nie powiedziała. – Nie, to nie mogła być Lilja. Niedawno się na nią natknąłem i zachowywała się całkiem normalnie. Była nieprzyjemna i w złym humorze, ale nie wściekła. No i po co miałyby pukać w okno, skoro mnie widziała? Ona ma przecież klucz do przybudówki.

Aldís nie wiedziała, co myśleć. Einar miał chyba rację, ale to nie zmieniało faktu, że ktoś podszedł do okna i w nie zapukał. Albo może tylko mu się zdawało. W każdym razie to nie była ona, a jeśli Lilja też nie wchodzi w rachubę, to cała ta historia wydawała się dosyć nierzeczywista.

- Raczej wykluczone, żeby to był ktoś inny niż Lilja. Kto jeszcze mógłby skradać się po nocy? Po prostu w to nie wierzę! – uznała.

- Faktycznie dziwna sprawa. – Einar przesunął językiem kostkę cukru na drugą stronę, aż zazgrzytała o zęby. – A jesteś pewna, że to nie ty? Wypiliśmy nie tak mało i byłaś dosyć... zresztą sama wiesz.

- To nie ja – powtórzyła Aldís i znowu uniosła chleb do ust, lecz kiedy poczuła

zapach zaschniętej mąki, opuściła go z powrotem. Straciła apetyt. – Obudziłam się, jak jeszcze nikogo nie było na nogach, i wyszłam drugi raz na dwór.

O nocnej kąpieli i jej celu wołała nie wspominać. Nie chciała rozmawiać z Einarem o seksie czy ich relacji. Dopóki nikt z nich o tym nie wspomina, jest prawie tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Z czasem oboje zapomną i całe zdarzenie zniknie im z pamięci. Czyli jakby nie istniało. Tak przynajmniej jej się wydawało.

– I wtedy zobaczyłam Lilję. Blisko obory. To już było długo po tym, jak ty wróciłeś do siebie – dodała.

– Czyli tym bardziej mało prawdopodobne, że to ona była przy moim oknie. Tamto pukanie słyszałem od razu, jak tylko wszedłem. A ona chyba nie kręciła się całymi godzinami po dworze. Swoją drogą co robiła, jak ją zobaczyłaś?

– Śpiewała. Pod drzewem.

Einar wyglądał na osłupiałego.

– Jak pójdziesz ze mną do obory, to ci pokażę. – Nie ruszał się z miejsca, więc Aldís dodała: – Teraz nikogo tam nie ma. Przemkniemy z tyłu za budynkami i nikt cię nie zobaczy.

Einar wstał z ostentacyjną obojętnością, chociaż na pewno chętniej wróciłby do książek, żeby nie przyłapano go na wagarowaniu.

– Powiem po prostu, że poszedłem do ubikacji. I już – rzucił.

Oboje wiedzieli, że nikt nie uwierzy w takie usprawiedliwienie. Lilja i Veigar zwymyślają go i ukarzą według własnego widzimisię. Mimo to brnęli w milczeniu przez śnieg w stronę obory. Nadal lekko padało. Jeśli zerwie się wiatr, powstaną zasy i wtedy Aldís będzie musiała następnego dnia odwalić śnieg spod wszystkich drzwi, a robotnicy i chłopcy odśnieżą całe podwórze i wjazd. W drodze towarzyszył im ptak, ze świergotem lecąc kawałek nad nimi, jakby chciał przypomnieć Aldís, że jeszcze go nie nakarmiła, ale po chwili zrezygnował i zawrócił.

– Tam stała – powiedziała Aldís i wskazała na drzewo rosnące kilka metrów od szczytu obory.

– Opierała się o nie? Śpiewała do Boga? Patrzyła w niebo?

– Nie, stała tak po prostu i patrzyła przed siebie. Na drzewo.

Einar nie zadawał już żadnych dalszych pytań i po miękkim śniegowym dywanie podszedł do pnia.

– Oni oboje są kompletnie nienormalni. A ona jeszcze bardziej niż on – stwierdził, drepcząc w śniegu wkoło pnia i wypatrując śladów. Może chciał się upewnić, że Aldís mówi prawdę. Potem pochylił się i przesunął dłońią po śniegu w

miejscu, w którym rzekomo stała Lilja.

– Nie wierzysz mi?

Aldís przestępowała za jego plecami z nogi na nogę. Było jej zimno i chciała już znaleźć się z powrotem pod kołdrą. Cały ten dzień jest i tak do kitu i teraz może być już tylko gorzej. Powinna była zostać w łóżku.

– Wierzę – odpowiedział jej nieprzytomnie, bardziej zainteresowany śniegiem niż nią. – Popatrz! – Wyprostował się i wyciągnął do niej rękę. Na poczerwieniałej z zimna dłoni leżał kawałek drewna w kształcie serca. – Lilja to zgubiła?

Aldís wzięła serduszko między palce, jakby w obawie, że na dłoni się rozkruszy. Było wilgotne, dziwnie ciepłe i cięższe, niż się spodziewała.

– Nie wiem, nie widziałam.

– A może położyła je tutaj specjalnie.

Wymienili spojrzenia, wszelkie słowa były zbędne. Odkryli grób noworodka. Leżał pod ich stopami, na samym skraju podwórza. Obok korzeni samotnego drzewa, które tak samo nie pasowało do tego miejsca jak delikatne członki dziecka. Aldís poczerwieniała ze wstydu, kiedy sobie przypominała, że chciała zrobić kawał Lilji i Veigarowi i położyć im pod drzwi małego trupka. Są rzeczy po prostu niewybaczalne, niezależnie od tego, jak bardzo człowiek jest pijany. Nigdy więcej.

Robiło się coraz zimniej i Aldís znowu zaczęła cała dygotać, ale nie aż tak strasznie jak w wannie. Szybko położyła serduszko z powrotem na miejsce i przykryła je śniegiem.

– Nie chcę już tu być. Idziemy stąd – powiedziała do Einara, spodziewając się, że jest tak samo zaniepokojony jak ona. Choćby dlatego, że Lilja i Veigar dostaliby szau, gdyby zobaczyli ich oboje przy tym drzewie. Natychmiast by się domyślili, co oni odkryli. Tymczasem w jego oczach nie było ani popłochu, ani lęku. Wprost przeciwnie. Einar wyglądał na zadowolonego i odprężonego. Ani śladu wstydu za te wynaturzone pomysły z minionej nocy. Aldís natomiast trzęsła się tak samo mocno jak dziś o świcie.

Burgund sprawiał wrażenie gęstego i zawiesistego, chociaż wino przyjemnie rozplywało się w ustach. Óðinn obracał pękaty kieliszek na długiej nóżce i obserwował, jak powstający w środku wir sięga coraz wyżej brzegu, im szybciej on kręci naczyniem. Potem je odstawił.

– Smakuje ci? – spytała bratowa, nie licząc raczej na odpowiedź twierdzącą.

Óðinn siedział na wysokim stołku przy wyspie kuchennej w mieszkaniu Baldura i Siggie i przyglądał się, jak żona jego brata dusi na dużej patelni całą górę grzybów. Sądząc po ich ilości, spodziewano się chyba jeszcze kogoś, chociaż w ich domu i tak zawsze chętnie się gotowało. Óðinn miał już ochotę wtrącić, że Rún jak większość dzieci nie przepada za grzybami, ale powstrzymał się, ponieważ nie chciał wytykać bratowej tak bez ceregieli jej bezdzietności. Jakoś nigdy nie rozmawiał z nią o tym, że nie mogą mieć potomstwa, ale wiedział od brata, że jest to dla niej spory problem.

– Baldur przywiózł to wino z zagranicy i nie mógł się doczekać, żeby go spróbować – dodała.

– Bardzo dobre.

Óðinn wypił jeszcze jeden łyk, żeby jego słowa brzmiały bardziej przekonująco. Wino było dosyć intensywne i prawdopodobnie zbyt wyrafinowane jak na jego niewyrobite podniebienie. Wprawdzie po kilku łykach przeniknęło go znajome błogie uczucie, mimo wszystko chętniej napiłby się piwa. Siggie wzruszyła ramionami i mieszała dalej grzyby na patelni. Masło skwierczało i na ciemną płytę elektryczną prysnęło kilka kropli gorącego tłuszczu.

– Ja, jeśli mam być szczerą, wolę białe – powiedziała.

Kiedy tłuszcz zaczął strzelać jeszcze wyżej, Siggie cofnęła rękę znad kuchni, podniosła dłoń do ust i mocno nią potrząsnęła, jakby chciała strzepać z niej ból. Jej pięknie opalone ramię zupełnie nie pasowało do islandzkiego zimowego krajobrazu. Za dużymi szklanymi drzwiami prowadzącymi na werandę iskrzył się śnieg. Baldur stał na zewnątrz na mrozie zajęty grillowaniem, co też nie do końca pozostawało w zgodzie z tą porą roku. Zupełnie jakby oboje się umówili, iż będą udawać, że jest lato. Obok niego stała Rún i przyglądała się z zaciekawieniem, jak stryjek zongluje ogromnym srebrnym urządzeniem, które na pewno kosztowało majątek.

– Cholera jasna!

– Chcesz plaster? – zapytał Óðinn, przechylając się przez wyspę, żeby lepiej widzieć.

Sigga wyciągnęła swoje szczupłe ramię i pokazała mu oparzone miejsce.

– Nic takiego, tylko trochę boli.

Kiedy cofnęła rękę, na jej przegubie zagrzechotały kolorowe bransoletki, które pewnie kupiła na urlopie nad morzem. Właściwie zamierzali wybrać się na wakacje oboje, ale w końcu Baldur został w domu z powodu pracy. Óðinn doskonale rozumiał, dlaczego Sigga tak pragnie dziecka. W gruncie rzeczy jest tak samo samotna jak on, zanim przeprowadziła się do niego Rún. Baldur wciąż siedział w firmie i chyba nawet nie odróżniał weekendu od dnia powszedniego. Z nim było dokładnie tak samo, kiedy pracował dla brata, bo poza tym właściwie nie miał nic innego do roboty. Oczywiście pracoholizm Baldura miał zupełnie inną przyczynę – był właścicielem firmy i nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa, jeśli razem z żoną chcieli zachować standard życia, do którego oboje się przyzwyczaili. Chociaż Óðinn przypuszczał, że Sigga wolałaby chyba mieć zwyczajną rodzinę i męża częściej obecnego w domu niż te wszystkie wygody i luksusy. Trudno powiedzieć. Nie znał jej na tyle, mimo że już od dziesięciu lat jest żoną brata.

– Udał ci się urlop? – spytał, nie mogąc się już doczekać, kiedy Baldur i Rún wrócą z tarasu. Byłoby niegrzecznie z jego strony, gdyby teraz wstał i wymknął się do nich, ale wyczerpały mu się tematy do rozmowy.

– Mimo wszystko było dosyć miło. – Nie musiała mu wyjaśniać, skąd to „mimo wszystko”, bo zrozumiał od razu. – Trochę samotnie, ale relaksująco. Przyjemnie jest czasem uciec od tej paskudnej pogody.

Óðinn już się ucieszył w głębi ducha, że Sigga poruszyła niewyczerpany temat pogody, jednak chyba za wcześnie, bo bratowa zaraz dodała:

– Powinam była zabrać Rún. Wyrwanie się stąd dobrze by jej zrobiło.

– Chyba jeszcze trochę na to za wcześnie – stwierdził Óðinn i spojrzał na córkę, która tupiła w miejscu nogami, żeby się rozgrzać. Właśnie odwróciła się w stronę swojego stryja i roześmiała się z czegoś, co powiedział. Óðinn już tak dawno nie widział jej prawdziwie uśmiechniętej i niemal zapomniał, jak wygląda z pogodną buzią. Ale w towarzystwie Baldura zawsze czuła się dobrze, podobnie jak inni. Jego optymizm był po prostu zaraźliwy.

– Jeszcze się całkiem nie pozbierała – dodał. Może jednak Sigga ma trochę racji, kto wie, czy beztrioskie wakacje nie są właśnie tym, czego Rún potrzebuje. – Latem chcemy wybrać się razem do Hiszpanii... Jeśli wytrwa i będzie chodzić na treningi piłki ręcznej przez zimę.

– Ty chyba żartujesz? A jeśli zrezygnuje, to z nią nie pojedziesz? – spytała Sigga, wpatrując się w niego zdumiona. Przy opalanej twarzy, równie brązowej jak ramiona, jej blond włosy wydawały się niemal białe. Wyglądała tak, jakby Islandia w ogóle nie była jej domem, a ona została wyrzucona tutaj na ląd z jakiegoś kraju wiecznego lata. Óðinn nie przypominał sobie, by kiedykolwiek po urlopie wróciła aż tak spieczona słońcem – prawdopodobnie wypoczynek nie był specjalnie urozmaicony. Wstawała, szła na basen, wracała do pokoju, kładła się spać. Identyczny dzień powtórzony czternaście razy. Nie wyobrażał sobie, by coś takiego mogło spodobać się Rún. Ich podróż będzie wyglądać zupełnie inaczej. O ile w ogóle pojadą.

– Na pewno wytrwa. O to się nie martwię – odpowiedział.

– To ty tak uważasz. Mnie wspomniała, że nienawidzi tego sportu. – Sigga wyłączyła płytę pod grzybami, które trochę pociemniały. – Bardzo dobrze ją rozumiem. Jako dziecko też musiałam grać w piłkę ręczną i uważałam to za coś okropnego. Nigdy nie wiadomo, czy nie dostaniesz twardą jak kamień piłką w bok czy nawet w twarz. Cieszyłam się jak szalona, kiedy pozwolono mi zrezygnować.

Óðinn chciał zaprzeczyć i wyliczyć zalety tej dyscypliny, wstrzymał się jednak, widząc, że drzwi tarasu się otwierają. Powiało zimnem i rozszedł się też zapach grillowanego mięsa, którego pokaźny stosik piętrzył się na tacy trzymanej przez Baldura. Rún niosła jego kieliszek z winem i w swojej dziecięcej pomarańczowej kurtce i kolorowej wełnianej czapce na głowie oraz z kieliszkiem w rękę wyglądała dosyć osobliwie.

– Nie zamarzliście? – spytał Óðinn.

– Gdzie tam! Czy my jesteśmy jakieś mięczaki? – Baldur zrobił oko do Rún, postawił tacę na stole i sięgnął po wino. Miał na sobie kurtkę, a pod nią kuchenny fartuch z napisem: „Bądź dla mnie miła, bo inaczej cię otruję”. To prezent urodzinowy od jego pracowników z czasów, kiedy jeszcze Óðinn u niego pracował. – À propos mięczaków: jak tam w twojej nowej pracy? Nadal tak źle jak na początku?

Óðinn zaczerwienił się, chociaż na dobrą sprawę nie wiedział dlaczego. Wprawdzie nie miał już tak urozmaiconego i ciekawego zajęcia jak wcześniej, ale nie musiał się też z tego powodu wstydzić.

– Nie, nie, dostałem całkiem interesujący projekt.

– Co ty powiesz? Jaki? Liczycie może słupy latarni przy szosie Reykjanesbraut? Istnieje podejrzenie, że jeden się gdzieś zapodział? – Baldur pociągnął łyk wina. – Boże, ale ono jest dobre.

Uśmiechnął się do Sigg, która odpowiedziała mu też uśmiechem i również się napiła. Ponad brzegiem kieliszka mrugnęła ku Óðinnowi, na co on uniósł także swój.

– Chodzi o jeden z tych domów wychowawczych prowadzonych kiedyś przez państwo. W jednym z nich umieszczano starszych chłopców, którzy zeszli na złą drogę. Ale to chyba nie najlepszy moment, żeby o tym rozmawiać – powiedział Óðinn i skinął głową w kierunku Rún, która właśnie zdejmowała kurtkę.

– Byłam u taty w pracy – zwróciła się do Baldura. – Ale u niego nie jest tak fajnie jak u ciebie. Wszyscy tylko siedzą przy komputerach.

– No właśnie, i za to się napijmy! – rzucił Baldur, uśmiechnął się, po czym spojrział na brata. – Dlaczego po prostu tego nie rzucisz i nie wrócisz do nas? Nie martw się, będziesz miał co robić. Facet, którego zatrudniłem na twoje miejsce, to, mówiąc szczerze, jakiś kretyn. W porównaniu z nim jesteś geniuszem!

Rún spojrzała na ojca, jakby oczekując od niego, że będzie się bronił. Jednak Óðinn nie miał najmniejszej ochoty na niedorzeczną dyskusję, która na pewno by nastąpiła – znał swojego brata na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ostatnie słowo zawsze musi należeć do niego.

– Na razie nie, może później. Musisz jeszcze trochę wytrzymać z tym kretynem – odrzekł jedyne.

Sigga przełożyła grzyby do miski i właśnie niosła ją do jadalni. Óðinn zauważył, jak trąciła męża łokciem, by go upomnieć, aby się tak nie nakręcał. Baldur, który w ogóle nie zastanawiał się nad takimi rzeczami, nie zauważył tego.

– O rany, ale jestem głodny! – Dopiero teraz zdjął kurtkę i przełożył mięso na półmisek przyniesiony przez Siggę z kredensu. – Swoją drogą, chyba musimy się pospieszyć. Nie jesteś jeszcze spóźniony?

Óðinn pokręcił głową i powiedział:

– Pójdę, jak zjemy. To przecież nie bankiet, na którym trzeba być punktualnie.

Został zaproszony na urodziny w kręgu swoich dawnych przyjaciół i przypuszczał, że to zaproszenie miało sporo wspólnego z jego późnym i nieco nerwowym telefonem do Kallego. Niewykluczone, że później koledzy zgadali się jakoś na jego temat i wszyscy poczuli wyrzuty sumienia, że go tak zaniedbali. Nie ma już Láry, czyli nie było powodu, by go nie zaprosić. Wszystko miało być jak kiedyś. Tyle że dziś każdy z nich jest o dziesięć lat starszy i żyje zupełnie inaczej niż wtedy, gdy spotykali się co weekend, żeby się upić i ruszyć na podbój miasta. Oni byli mężami i ojcami rodzin, on zaś samotnym ojcem jedynej córki. Óðinn właściwie nie miał szczególnej ochoty tam iść, ale mimo wszystko się zgodził, bo gdyby odmówił, zaczęłyby pewnie krążyć jeszcze tragiczniejsze opowieści niż do tej pory, a nie chciał współczucia. Wpadnie tylko na krótko i nie zostanie ani minuty dłużej niż to konieczne. Potem chciał się jeszcze wybrać do miasta i wykorzystać okazję, że Rún zostaje na noc u brata, żeby wypić jednego dla kurażu i trochę się rozejrzeć. Tęsknił za kobietą, choćby na jedną noc, a właściwie jeśli miał być szczerzy – w żadnym razie nie na dłużej.

Kiedy już skończyli, wydawało się, że jedzenia prawie nie ubyło, bo Baldur i Sigga przygotowali go aż tyle. Rún, zgodnie z oczekiwaniami, nie tknęła grzybów, ale pochłonęła sporo mięsa i ziemniaków. Óðinn oparł się wygodnie na krześle i opróżnił kolejny kieliszek wina, nie pamiętając już, ile ich wychylił do tej pory. Czuł, jak alkohol przyjemnie rozlewa się po jego ciele. To czerwone wino nie było do końca w jego guście, ale w końcu można się przyzwyczaić. Myśl o czekającym go przyjęciu teraz wydawała się nawet nęcąca.

– Dzięki za kolację, wszystko było pyszne – powiedział i spojrzał na stół. – Nie wiem, co zrobicie z resztą. Może jakoś zjecie to do wiosny?

– Rún dostanie jutro na śniadanie – odparł Baldur, z powagą mierząc bratanicę, która szeroko otwartymi oczami spoglądała na pozostałości kolacji. – Puścimy ją do domu dopiero wtedy, jak zje wszystko do ostatniego kęsa. Zwłaszcza grzyby.

Rún zerknęła na ojca, Óðinn zaś uśmiechnął się do niej, żeby dać do zrozumienia, że to tylko żart. Gdy odpowiedziała mu uśmiechem, poczuł się jeszcze lepiej. Może powinni po prostu przeprowadzić się do jego brata, miejsca tu nie brakowało, sama piwnica była większa niż ich całe mieszkanie. Sigga by się ucieszyła, a Baldur pewnie też. Jego żona przestałaby się wtedy skarżyć, że on wciąż pracuje.

Ten pomysł zrodził się pod wpływem czerwonego wina, bo Óðinn oczywiście nigdy nie zaproponowałby czegoś tak idiotycznego. Ale z drugiej strony trudno było pozbyć się tej myśli – Rún wydawała się przy Baldurze zawsze bardzo szczęśliwa i pogodna. Nie, to żadne rozwiązanie, nie mogą przecież wkradać się w czyjeś życie, tylko muszą swoje własne wprowadzić na takie same spokojne wody jak Baldur i Sigga swoje. I to było jego zadanie. Jakkolwiek zamierzał tego dokonać.

Głuche basowe dźwięki dudniły w gorącym i przesyconym potem powietrzu, wdzierają się w każdy kąt baru, nikomu nie dając spokoju. Ale przecież tutaj nikt nie przychodził po spokój. Óðinn stał przy barowej ladzie, przy której znieacka zrobiło się pusto. Jeszcze przed chwilą goście deptali sobie po piętach, czekając na obsługę, lecz kiedy puszczono tę piosenkę, która teraz leciała, większość ruszyła na parkiet. Wziął od barmana wilgotny kufel piwa i poczuł, jak włosy na głowie falują mu w takt głośnej muzyki. Nie miał nikogo, do kogo mógłby wznieść szklankę, poza barmanem, który odpowiedział mu beznamietnie „na zdrowie”. Większość osób w tym lokalu była młodsza od niego i nie znał tu nikogo. A co gorsza: wszystkie dziewczyny były też za młode dla niego. Dokładnie jak w dwóch poprzednich lokalach, do których zajązrał wcześniej. Przez te pół roku, kiedy wyłączył się z życia nocnego, knajpy zupełnie się zmieniły. W jego grupie wiekowej zabawiano się najwyraźniej w domu; niestety – dodałby chętnie, bo

urodziny, z których właśnie wyszedł, były jaskrawym tego przykładem.

Przyjęcie okazało się śmiertelnie nudne, ale pouczające. Teraz przynajmniej wiedział, że nie musi tęsknić za przyjaciółmi z dawnych czasów. Jego byli kumple i ich lepsze połowy na początku byli dosyć powściągliwi, ale po kilku głębszych podchodził do niego jeden za drugim i każdy wyznawał, że cały czas miał ochotę do niego zadzwonić, ale jakoś nigdy się na to nie zdobył. Jednak teraz już na pewno będą w kontakcie. Najpierw zrobiło mu się nieprzyjemnie i nie potrafił się z tym oswoić tak szybko jak z czerwonym winem u swojego brata. Na koniec miał wielką ochotę im powiedzieć, że mogą go pocałować gdzieś i niech wypłakują się komu innemu. Dał sobie jednak spokój, lecz kiedy w końcu miał ich już po dziurki w nosie, mimo ukradkowych spojrzeń kobiet i nawoływania kumpli, żeby jednak jeszcze trochę został – bo impreza dopiero się rozkręca – opuścił przyjęcie. O mało nie krzyknął z radości, kiedy wszedł do taksówki pod blokiem. Nigdy, przenigdy więcej. Wystarczą mu ci przyjaciele, którzy nie odwrócili się od niego, kiedy rozstał się z żoną.

– Hej, czy to nie jest ten facet, który się rozwiódł?

Ódinn nie odniósłby tego do siebie, gdyby mężczyzna wykrzykujący te słowa nie chwycił go za ramię.

– No, co słyhać?

Młody człowiek był podпиты, ale nie zalany. Uśmiechnął się i spojrzał na niego szklistymi oczkami, wydał się zawiedziony, kiedy Ódinn go nie poznał, i cofnął się o krok.

– Nie pamiętasz mnie? Wieczór kawalerski?

Gdyby na chwilę wyłączono muzykę, okazałoby się, że mężczyzna wrzeszczy jak opętany, ale przy tym hałasie wydawał się szeptać.

Mgła w głowie Ódinna nieco się przerzedziła. Chyba skądś znał tego typu.

– Podpowiedz mi odrobinę.

– Naprawdę nie pamiętasz? Mówiłeś mi, żebym się nie żenił. – Mężczyzna podszedł bliżej i pochylił się konspiracyjnie ku Ódinnowi. – Szkoda, że cię nie posłuchałem. – Potem wyprostował się znowu i krzyknął: – Nie, nie, ale dałeś się nabrać!

Teraz Ódinn sobie przypominał. To był ten sam gość, z którym rozmawiał tamtej nocy, kiedy zginęła Lára. Wtedy miał wciągniętą na spodnie baletową spódniczkę, a kumple wysmarowali mu twarz kremem samoopalającym. Wreszcie ktoś, kogo zna.

– Człowieku, w tych ciuchach wyglądasz całkiem inaczej – powiedział, nie przyznał się jednak, że tamtej części wieczoru, którą spędzili razem, prawie w ogóle nie pamięta. Co najwyżej tyle, by wiedzieć, że kompletnie wtedy zagadał

tego biedaka.

– Byłeś cholernie zabawny, chciałeś mnie koniecznie oświecić, że małżeństwo to jedna wielka katastrofa. – Mężczyzna uśmiechnął się krzywo i trącił Ódinn łokciem w przyjaznym geście, który jednak sprawił, że Ódinn się zachwiał. – Sorry, przyjacielu, ale należało ci się. Tydzień później, na ślubie, ciągle jeszcze nie mogłem dojść do siebie. Tak mnie wtedy spoileś.

– Ale przecież nie balowaliśmy wcale tak długo – krzyknął Ódinn do ucha swojemu rozmówcy. Tak bardzo się cieszył, że ma z kim pogadać, że nie chciał, aby facet sobie poszedł tylko dlatego, że go nie rozumiał.

– A jednak ja doczołgałem się do domu dopiero przed ósmą – odpowiedział mężczyzna, kiwnął na barmana i zamówił piwo. Ódinn przypuszczał, że w stanie, w jakim się wtedy znajdował, nie złapał żadnej taksówki, i myślał, że trafił do domu dużo wcześniej. – Faktycznie wstąpiłeś jeszcze do swojej żony? Jak było?

– Jak było? – Ódinn spojrzał na niego zdziwiony. – Poszedłem prosto do domu.

– Na szczęście. Bo pewnie nieźle by ci się dostało, gdybyś do niej wstąpił. Człowieku, chyba całkiem wyszłaby z siebie!

– Gdybym do niej wstąpił? O czym ty właściwie mówisz?

Ludzie wrócili z parkietu i przy barze na nowo zrobili się tłok. Ódinn musiał uważać, żeby nie oblać mężczyzny piwem, bo miał kufel pełen po brzegi.

– O twojej byłej żonie. Przypomnij mi, jak ona ma na imię?

– Lára – odpowiedział Ódinn, ale nie poprawił czasu teraźniejszego zawartego w pytaniu, bo nie chciał mu wyjaśniać, że jego żona umarła tego samego ranka. Zwłaszcza że chyba się wtedy po niej przejechał, prawdopodobnie bezpodstawnie.

– No tak, Lára – odparł mężczyzna i jedna trzecia jego piwa wylała się Ódinnowi na buty. Wyglądało na to, że tamten nic w ogóle nie zauważył, i mówił dalej: – Koniecznie chciałeś, żebym z tobą poszedł, mówiłeś, że ona będzie tego samego zdania co ty i też mi poradzi, żebym się nie żenił. Nie pamiętasz?

Ódinn kiwnął głową, chociaż w ogóle nie mógł sobie tego przypomnieć.

– No i co? Byłeś u niej?

– Nie.

– To dobrze. A byłem pewny na sto procent, że chcesz złożyć jej wizytę. Czyli spokojnie mogłeś się zabrać ze mną.

– Zabrać się z tobą? – Ódinn powtórzył jak echo.

– No tak, przecież ci proponowałem, żebyśmy wzięli taksówkę na spółkę. Bo miałem pietra, że po drodze zasnę. Jasny gwint, ale ja byłem wtedy ululany. I ty też. Człowieku! Byłeś pijany jak bela.

- Jesteś pewny, że o ósmej wrócisz do domu? - spytał Óðinn. To przecież niemożliwe. Jeśli ten facet pojechał do domu przed ósmą, tuż przed nim, to znaczy, że on też wyniósł się stamtąd mniej więcej o tej samej porze albo jeszcze później. Czy to może być prawda? Óðinn sądził, że dotarł do siebie około szóstej nad ranem. Ale nie miał na to żadnego dowodu. Czy rzeczywiście był jeszcze w mieście, kiedy zginęła Lára? I to nawet niedaleko? Nagle nie słyszał już żadnej muzyki, tylko echo syren mających związek z jakimś obrazem z przeszłości, którego nie był w stanie poskładać w pamięci. Dlaczego musiał drugi raz natknąć się akurat na tego typa?

- Wiesz co? Przedstawię cię swojej żonie. Chodź, ona gdzieś tam jest - powiedział mężczyzna, obrócił głowę i rozejrzał się dookoła. Óðinn wykorzystał sposobność i zaczął przeciskać się przez ciżbę w kierunku wyjścia. Po chwili usłyszał za sobą:

- Hej, kolego! No chodź! Musisz koniecznie poznać Diddę!

Óðinn jednak się obejrzał. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu.

Paragon z taksówki leżał w dużej misie na sałatę, którą podarowali im Sigga i Baldur z okazji przeprowadzki. Do tej pory nie wylądował w niej ani jeden liść sałaty, ponieważ Óðinn wykorzystywał ją do przechowywania rachunków regulowanych kartą kredytową. Siedział na kanapie, wszędzie wkoło niego leżały porozsiewane papierowe świstki. Był zbyt pijany, by podejść do sprawy systematycznie. Wyciągał paragony jeden za drugim i po prostu ciskał każdy na ziemię, jeśli nie był tym właściwym. Ten, którego szukał, ukrył się na samym dnie między garścią karteczek z notatkami zabranymi przez niego do nowego mieszkania i po przeprowadzce wrzuconymi do miski. Pozostałości minionego czasu, gdy jeszcze nie mieszkał z Rún.

Óðinn opadł na oparcie kanapy i wbił oczy w sufit. Wolał patrzeć w górę niż na paragon leżący na jego kolanach. Było na nim napisane, o której wszedł do taksówki i dokąd chciał jechać. Tamten facet miał rację. Wszedł do taksówki tuż po tym, jak Lára wypadła z okna. I to akurat na tej samej ulicy, a według paragonu nawet przed domem Lary.

Lekkie skrzywienie doszło z głębi przedpokoju. Óðinn wiedział, że pójdzie do swojej sypialni dopiero, kiedy się rozwidni. Wydawało mu się, że czuje mdły zapach papierosowego dymu. Serce zaczęło mu bić nierówno i szybciej. Prześpi się tutaj, za żadne skarby teraz się stąd nie ruszy.

styczeń 1974

Zamieć szalała już tak długo, że wycie wiatru i trzeszczenie ścian domu złało się w jeden nieprzerwany huk. Aldís, zupełnie jakby tak było wiecznie, nie umiała sobie nawet przypomnieć, jak brzmi cisza, i wciąż nie zdołała pozbyć się dygotania, chociaż w domu porządnie się już nagrzało. Śnieg za oknami dokładał jeszcze swoje. Martwiła się o ptaka i próbowała sobie wyobrazić, gdzie mógł znaleźć schronienie. Całkiem możliwe, że wywiało go gdzieś na pustkowiu za gospodarstwem i już nigdy go nie zobaczy. Zrobiło jej się ciężko na sercu, bo przypuszczała, że ten biedak może źle skończyć. W radiu bez przerwy nadawali ostrzeżenia przed gwałtownymi zawiejami, co wydawało się trochę dziwne, bo ostatecznie każdy sam dobrze widział, co się dzieje. Aldís jeszcze nigdy w Krókur nie przeżyła tak koszmarnej pogody; po raz pierwszy się zdarzyło, że chłopcy nie musieli pracować. Veigar i Lilja uznali, że byłoby zbyt niebezpiecznie, gdyby biegali w tę i z powrotem między budynkami, dlatego wszyscy wyjątkowo zostali w pokojach.

Aldís też pewnie dostałaby wolne, bo nie było nic specjalnego do roboty. Veigar i Lilja mogliby sami ugotować dla wychowanków i zanieść im jedzenie do sąsiedniego budynku. Jednak wizja, że kolejny dzień będzie musiała przesiedzieć w swojej nędznej izdebce, była gorsza niż zabranie się do pracy. Jej współlokatorzy natomiast radośnie korzystali z okazji i obrazili się, kiedy nie chciała wesoło spędzić z nimi czasu. Tyle że mężczyźni poprzedniego dnia pracowali, a Aldís cały dzień przeleżała w łóżku wstrząsana dreszczami z powodu mdłości i zgryzot.

Linoleum lśniło, bo było jeszcze mokre. Aldís dobrze wiedziała, że jak tylko woda z mydłem wyschnie, będzie dokładnie takie samo jak wcześniej: matowe i wydeptane. Ale chociaż czyste. Sprzątanie przy takiej pogodzie, kiedy w całym budynku nie ma nikogo, ma przynajmniej sens, bo nikt zaraz nie przyjdzie i nie zepsuje efektu buciarami. Aldís pracowała pilnie i dlatego tym razem miała lepsze samopoczucie niż zawsze wtedy, kiedy zostawała tu sama. Gdy wyliczała sobie w duchu, co już zrobiła i co jeszcze zostało do zrobienia, była to dla niej największa motywacja. Poza tym świst wiatru na szczęście zagłuszał wszystkie niewytlumaczalne odgłosy.

Wytarła sobie dłonie o spodnie i otworzyła drzwi do biura. Wysprzątała już mieszkanie Lilji i Veigara na pierwszym piętrze, klasę i korytarz na parterze.

Zostały tylko biuro, ubikacja i przedsionek. Później opatuli się dokładnie, przebiegnie przez podwórze do głównego budynku i może nawet powie Lilji i Veigarowi, że na dzisiaj skończyła. Zdecyduje po drodze. Dobrze by było, gdyby udało jej się jeszcze znaleźć w pomieszczeniu na końcu korytarza nazywanym biblioteką jakąś książkę, w której mogłaby się zatopić na kilka godzin. Ale to raczej mało prawdopodobne, bo wszystkie książki, które wydawały się ciekawe, już dawno przeczytała. Właściwie to wciąż nie zaczęła uczyć się angielskiego, podręcznik pokrywał się kurzem na jej nocnym stoliku, więc może warto byłoby zająć się tym po obiedzie. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że wtedy jej myśli powędrują w zupełnie inną stronę i skupi się na noworodku zakopanym na podwórzu, na swojej matce i na tym, ile lat ma Einar i dlaczego się tutaj znalazł. Co zrobił złego? Dlaczego wysłano go do domu wychowawczego dla młodszych chłopców?

Aldís włączyła światło w biurze Veigara i wniosła do środka wiadro do połowy wypełnione wodą, która zrobiła się już bura. Nieważne – Veigar nie zasługiwał na świeżą wodę. Aldís aż się uśmiechnęła na myśl o tym niewinnym buncie. Jak zawsze musiała uważać, bo w pokoju było bardzo ciasno, jednak tym razem miała trochę łatwiej, ponieważ Veigar, o dziwo, posprzątał biurko i Aldís mogła zetrzeć z niego kurz. Zmyła kilka śladów po filiżankach, zachodząc w głowę, jak on w ogóle znalazł tu miejsce, by cokolwiek postawić. Żeby wszystko lśniło czystością, postanowiła przetrzeć jeszcze telefon usiany odciskami paluchów Veigara. Czarny aparat wyglądał teraz jak fabrycznie nowy i Aldís przyglądała się z satysfakcją rezultatowi własnej pracy.

Zanim zdała sobie sprawę, co robi, już trzymała w dłoni czarną słuchawkę. Tak po prostu. Wiedziała od razu, co podpowie jej podświadomość, bo w jej obecnej sytuacji na całym świecie istniała tylko jedna osoba, do której chciałaby zadzwonić. Aldís zaczerpnęła głęboko powietrza i wpatrzyła się w zasypane okno. Za białą szybą szalała zawieja. Śnieg rozbijał się o szybę, jak jej własne życie. Nigdzie żadnej podpory, żadnej liny ratunkowej w zasięgu ręki. Musi zadzwonić do domu. To oczywiste. To jest jej kotwica. Wystarczy wybrać numer, mogła to zrobić nawet z zamkniętymi oczami. No i co potem? Matka, tak czy inaczej, prawdopodobnie jest w pracy. Gdy Aldís wykręciła ostatnią cyfrę, pomyślała o śnieżycach i wichurze, które sparaliżowały pewnie cały kraj. Piekarnia, gdzie pracowała jej matka, mogła być jednak zamknięta.

Mimo to nie odłożyła słuchawki. Podniosła ją do ucha i przysłuchiwała się sygnałom. Na niewielkim stoliku w domu przy drzwiach wejściowych dzwonił teraz telefon, Aldís słyszała jego głębokie brzmienie, jakby tam była. Opuściła powieki, żeby powstrzymać łzy. Po czwartym sygnale ktoś odebrał.

– Halo? – Głos matki brzmiał inaczej, niż Aldís go pamiętała. Jakoś bardziej bezbarwnie i smutniej. – Słucham?

Aldís się nie odezwała, stała osłupiała, mocno żałując, że dała się ponieść emocjom. To była ta sama kobieta, która wolała tamtego plugawego typu, a własną córkę podejrzewała o kłamstwo, zamiast przyznać przed samą sobą, że sprowadziła do domu takiego łobuza.

Ale to była też kobieta, która wiele wieczorów spędziła nad maszyną do szycia, szyjąc ubrania dla swojej córki, żeby wyglądała równie ładnie jak dziewczynki pochodzące z zamożniejszych domów; kobieta, która nauczyła ją tabliczki mnożenia, która przyklejała jej plastry na rany po szaleństwach i wybrykach dzieciństwa, która ze zrozumieniem wysłuchiwała żalów i skarg w latach dorastania. Mama. Po policzkach Aldís płynęły łzy. Musi jej wybaczyć. W odwrotnej sytuacji matka też by jej wybaczyła.

– Halo? Słucham? – spytała matka żywym głosem, jakby wiedziała, kto jest po drugiej stronie. – Aldís, czy to ty? Powiedz coś, cokolwiek!

Aldís wiedziała, że te słowa musiały ją sporo kosztować, bo przecież mógł dzwonić zupełnie kto inny. Tymi słowami przyznawała się, jak bardzo tęskni za swoją córką, a uskarżanie się na cokolwiek nie było w jej naturze. Uśmiechać się i zachować klasę. Nie dać po sobie poznać, że podniesiony czynsz przerasta jej możliwości, że rachunek za prąd nie został opłacony, że rosną odsetki, udawać, że nie ma najmniejszej ochoty jechać z koleżankami do Reykjavíku do teatru, choć o tym marzy. Uśmiechać się i tak zachowywać, jakby wszystko było w porządku. Nikomu nic do tego, jak ona naprawdę się czuje.

– Aldís? – spytała matka łamiącym się głosem.

Aldís cisnęła słuchawkę na widełki. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w aparat, który wyglądał tak, jakby nikt z niego nie telefonował. Postanowiła, że nie zadzwoni drugi raz. Przynajmniej nie teraz, może w ogóle. Jej matka nie zna odpowiedzi, których ona akurat teraz potrzebuje. Rozmowa z nią nic jej nie da, co najwyżej się wypłaczę. A Aldís bała się, że jak już zacznie płakać, to nie będzie mogła przestać. Nie, nie, lepiej o wszystkim zapomnieć i nie pogarszać jeszcze sprawy przez jeden głupi telefon.

Jednak na niewiele zdało się to postanowienie, bo kiedy rozległ się dzwonek, Aldís już po pierwszym sygnale chwyciła słuchawkę i podniosła ją do ucha.

– Mama?

– Halo, z kim mówię?

Nie, to nie był głos jej matki, to była inna kobieta.

– Aldís przy telefonie – powiedziała i wytarła zapłakane oczy rękawem znoszonego swetra, drapiąc podrażnione powieki gruzełkowatą wełną.

– Dzień dobry, czy to z panią rozmawiałam ostatnio? Tak bardzo wtedy się ucieszyłam, że w końcu udało mi się kogoś złapać, że zapomniałam zapisać sobie

pani imię.

To matka Einara. Aldís westchnęła głęboko, nabrała w usta tyle powietrza, że aż zabolęły ją wydęte policzki, po czym powoli je wypuściła. To chyba nie jest jej dobry dzień.

– Nie mogę z panią rozmawiać. Nie wolno mi odbierać telefonów. Proszę skontaktować się z Veigarem, ale teraz go tutaj nie ma.

Po drugiej stronie na chwilę zaległa cisza, lecz potem kobieta zaczęła mówić znowu, tym razem z większą natarczywością niż ostatnio.

– Przecież sama pani powiedziała, że mogę dzwonić. Próbowалаm w ostatnim tygodniu, dokładnie wtedy, kiedy mi pani mówiła, ale nikt nie odebrał. Coś jest nie tak? Czy coś się zmieniło?

– Nie, nie – odparła Aldís lakonicznie, broniąc się przed powrotem do swojego grzecznego, układnego tonu. Teraz to wykluczone, ona ma teraz dość własnych problemów.

– Coś się stało. Przecież słyszę. Czy coś z Einarem?

– Wszystko w porządku. Tylko nie wolno mi rozmawiać przez telefon. – Aldís zastanawiała się, czy po prostu nie odłożyć słuchawki, jak przed chwilą. Ale wtedy może kobieta poczułaby się dotknięta, zawiadomiłaby Veigara i mu się poskarżyła, a on w ten sposób by się dowiedział, że Aldís odbiera w jego biurze telefony. – Naprawdę wszystko jest w porządku.

– Na pewno?

– Tak, na pewno. – Oczywiście to niezupełnie się zgadzało. Z Einarem w ogóle nie było w porządku. Ale to nie miało wiele wspólnego z samym domem w Krókur. – Proszę mi jedno powiedzieć.

– Co takiego?

– Dlaczego Einar jest tutaj? Co on przeszkrobał?

Kobieta znowu zamilkła. Aldís słyszała jej oddech.

– Popęlnił błąd. Duży błąd – rzekła w końcu.

– Co zrobił? – zapytała Aldís wyczekująco.

– Przykro mi, ale nie mogę o tym mówić. Powiedziałabym pani, gdybym mogła, ale nie wolno mi.

– Kto pani tego zabrania? Einar?

– Nie, nie Einar – odparła nerwowo kobieta. Aldís nie zdziwiłaby się nawet, gdyby teraz ona odłożyła słuchawkę.

– Jest starszy od wszystkich innych chłopców tutaj. Czy w wieku prawie dziesiętnastu lat nie powinien siedzieć w więzieniu, jeśli dopuścił się jakiegoś

przestępstwa?

– Nie mogę pani wyjaśnić. Po prostu nie mogę – szepnęła kobieta. – Proszę pozdrowić ode mnie Einara. Niech pani mu powie, że spotkałam Eyjalín. Nadal jest bardzo chora. Powinien się cieszyć, że nie ma go teraz w domu. – Kobieta urwała, żeby dać sposobność Aldís, by jakoś zareagowała, a po chwili dodała: – Proszę wyświadczyć mi tę przysługę. – Nie czekając już na odpowiedź, rozłączyła się.

Aldís potoczyła spojrzeniem po biurze, by zająć myśli czym innym. Dlaczego nie zrobiła sobie po prostu wolnego? Już lepiej by było leżeć w łóżku z własnymi myślami. Z ciekawością wpatrywała się w półki Veigara, lecz nie dostrzegła nic interesującego. Same papiery, segregatory i parę jakichś dewocjonaliów. Najchętniej rzuciłaby cały ten bałagan na ziemię i podeptała.

Ale nagle zaświeciło jej się światło.

W budynku nie było nikogo, a Lilja i Veigar przy takiej zamieci na pewno się tu nie wybiorą. Może właśnie w tym pokoju znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Taka okazja nieprędko się powtórzy. Zwykle jedno z nich co rusz wsadzało nos w drzwi, żeby sprawdzić, czy ona rzeczywiście coś robi. Teraz ma dość czasu, żeby pogrzebać w dokumentach. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, ściągnęła z regału pękaty segregator. Przekartkowała go tylko i od razu się zorientowała, że nie znajdzie w nim tego, czego szuka. Same rachunki i pokwitowania, większość sprzed lat, niemające nic wspólnego z prowadzeniem domu. Kolejne trzy zawierały podobne mało interesujące papierzyska. Aldís nie bardzo rozumiała, po co Veigar to trzyma. Całe mnóstwo pism z ministerstw i urzędów, wszystkie pisane tym samym urzędniczym stylem. Wynikało z nich, że dom wychowawczy jest jak bękart – nie sposób się go pozbyć, ale wolałoby się nie wiedzieć o jego istnieniu. W piątym segregatorze znajdowały się upomnienia i wezwania do zapłaty. Aldís zatrzasnęła go z hałasem – dopóki dostaje pensję, nie chce o niczym wiedzieć.

Przy siódmym nagle się ożywiła. Był oznaczony cyframi bieżącego i ostatniego roku i podzielony przekładkami. Na każdej przekładce widniały inicjały jednego chłopca. Aldís otworzyła na literach EA, Einar Allen. Dalej znajdowała się tylko jedna kartka, list, który nie wyglądał na urzędowy. Zaczęła czytać i kompletnie zapomniała o szalejącej za oknami zamieci.

Ódinn pogodził się z tym, że zwariował. Poczuł nawet pewną ulgę – nie musiał się już bać, bo to stało się faktem. Wyjaśnienie psychoterapeutki, że odgłosy, które teraz słyszy, zawsze istniały, stanowiło wprawdzie jako takie pocieszenie, ale nie wystarczało. Ponieważ jeszcze tyle innych rzeczy odbiegało od normy.

W ostatnich dniach cały czas myślał o jednym: być może to on sam miał coś wspólnego ze śmiercią Láry. Wskazywały na to rachunek z taksówki i podana w protokole policyjnym godzina wypadku: dokładnie o tej porze znajdował się w pobliżu i zaraz po jej śmierci opuścił tę ulicę. Przez głowę przemykały mu strzępy niewyraźnych obrazów z karetką i pulsującym niebieskim światłem w tle, podczas gdy on na próżno usiłował poskładać te migawki do kupy. Właściwie uważał za niemal wykluczone, że mógłby mieć jakikolwiek związek z tą tragedią. Nie wykazywał skłonności do przemocy, jako chłopak ani razu się nawet nie pobił. I chociaż na pewno nie zawsze zgadzali się z Lárą, nigdy nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Wprawdzie bywało, że trzaskali drzwiami i na siebie krzyczeli, ale nigdy nie podnieśli na siebie nawzajem ręki. Dlaczego miałby ją zamordować tyle lat po rozwodzie? To, że akurat był w pobliżu po pijanemu, jeszcze o niczym nie świadczyło. Może jednak w końcu wcale do niej nie wstąpił, bo albo był za bardzo zmęczony, albo poszedł po rozum do głowy i się opamiętał. Tamten facet, kompan od kieliszka, pojechał już wtedy do domu, a jego wieczór kawalerski już dawno się skończył.

Stan Rún niestety wydawał się pogarszać pod wpływem terapii. Co noc męczyły ją koszmary, w których prześladowała ją Lára: chodziła za nią albo przy niej siedziała – najczęściej w szkole, w hali sportowej, w sklepie czy w innych często odwiedzanych przez córkę miejscach. Jedyne miejsce, gdzie mogła spokojnie spać, to dom Baldura i Siggí. Ostatnio chciała tak często ich odwiedzać, że Ódinnowi było niemal przykro.

Mimo to terapeutka wolała nie wyciągać jeszcze przedwczesnych wniosków. Prawdopodobnie Rún przepracowywała wreszcie stratę matki. Nikt przecież nie twierdził, że to dziecinna igraszka. Im dłużej Ódinn się nad tym zastanawiał, tym bardziej nabierał przekonania, że może być jeszcze gorzej. Dlatego ponownie skontaktował się z Nanną i spytał wprost, czy to możliwe, że Rún widziała upadek i wyparła wspomnienie tamtej chwili, a jej ostatnie koszmarnie sny mają źródło w tym, że podczas terapii wszystko znowu przebiło się na powierzchnię. Nanna zareagowała zaskoczeniem, zwłaszcza że z fachowego punktu widzenia wyparte

wspomnienia są w ogóle kontrowersyjną kwestią, lecz generalnie nie wykluczyła takiej ewentualności. Niestety.

Ódinn odczuwał nieprzepartą potrzebę zadania Rún tego jednego konkretnego pytania. Niekiedy wpatrywał się w nią uparcie, jakby chciał wymusić na niej odpowiedź, jednak na próżno. Nie mógł spytać jej wprost, ponieważ obawiał się, że nie zadowoli się zwykłym „nie”. A wtedy uruchomiłby lawinę. Najbardziej bał się tego, żeby jeszcze bardziej nie pogorszyć sytuacji, nie zagmatwać jej wspomnień albo całkowicie ich nie zatrzeć. Z drugiej strony, Rún mogłaby prawdopodobnie potwierdzić, że nie było go wtedy w mieszkaniu. Bądź, co gorsza: widziała, jak brutalnie zachowywał się wobec jej mamy.

Prywatne problemy tak przytłaczały Ódinną, że po raz pierwszy naprawdę się cieszył, kiedy rano wszedł do biura. Czuł przyjemność, wieszając swój płaszcz, nalewając sobie kawy, siadając ze słuchawkami na uszach za biurkiem, włączając radio i otwierając pliki w komputerze – szukał ucieczki w małej przestrzeni wydzielonego boksu, którego początkowo nie mógł znieść. Tu mógł się wyłączyć, tu nie było słyhać niczego innego poza paplaniną kolegów i muzyką z radia. Tu mógł zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, i skoncentrować się całkowicie na domu w Krókur. Posuwał się do przodu. Szybciej, niż mógłby oczekiwać, co już po raz drugi uczyniło go gwiazdą cotygodniowej porannej odprawy.

- Rozmawiałem z czterema dawnymi mieszkańcami, i każdy z nich opowiedział mi podobną historię. Choć nie mówią tego wprost, nie ulega wątpliwości, że wiele było tam nie tak jak trzeba – stwierdził Ódinn. Kiedy spojrział na kolegów, z zakłopotaniem uciekali wzrokiem w bok, jakby czuli się odpowiedzialni za to, co się działo w Krókur. – Aż trudno uwierzyć, że do tej pory milczeli.

- A czy to możliwe, że w związku z tym nagłym zainteresowaniem po prostu poczuli się ważni i chcieli się w ten sposób wyróżnić? – spytał Heimir, który siedział na swoim miejscu w końcu stołu i przynajmniej nie unikał spojrzenia Ódinną. – Nie jestem pewien, czy wypowiedzi czterech osób stanowią wystarczający dowód.

- Oczywiście, że nie, ale ich wypowiedzi każą przypuszczać, że może istnieć podstawa roszczeń o odszkodowanie.

- A dlaczego nie ujawnili się wcześniej z tymi swoimi opowieściami? Tak po prostu, z własnej woli?

- Myślę, że parę rzeczy odegrało tutaj rolę. Żaden z nich nie mógł albo nie chciał być utożsamiany z tym domem, bo ostatecznie to żadna przyjemność przyznać, że zostało się tam odesłanym. Nie wolno zapominać, że Krókur w porównaniu z Breiðavík to dom wychowawczy. Chłopcy, którzy tam trafiali, mieli coś na sumieniu, ale byli za młodzi, by wymierzono im karę jak dorosłym. Trzech

z tych, z którymi rozmawiałem, to dzisiaj zupełnie normalni ojcowie rodzin. Wprawdzie mnie zgodzili się opowiedzieć swoje historie, ale w żadnym wypadku nie chcą pojawić się w mediach. Czwarty jest bezdomny i próbuje po raz kolejny stanąć na nogi. Nie śledził przypadku Breiðavík, bo cały czas albo żyje na ulicy, albo przebywa w ośrodku terapeutycznym. Oczywiście coś tam obito mu się o uszy, ale nie zdawał sobie sprawy, że to mogło dotyczyć też Krókur. A nawet gdyby był tego świadom, to pewnie i tak nie odważyłby się zgłosić.

– Hm, no cóż, wprawdzie to wszystko mi się nie podoba, ale oczywiście miło słyszeć, że tak dobrze sobie radzisz – powiedział Heimir i obrzucił pozostałych spojrzeniem, którym chciał dać do zrozumienia, że oni również mogliby postarać się o lepsze wyniki pracy. – A rozmawiałeś też z pracownikami tego domu?

Usta Heimira poruszały się dalej, mimo że już nic nie mówił, zupełnie jakby ktoś wyłączył dźwięk. Prawdopodobnie liczył po cichu, ile lat mogą mieć teraz ci ludzie.

– Kierownik umarł jakieś dziesięć lat temu, ale jutro spotykam się z jego żoną, która prowadziła dom razem z nim. O innych pracownikach nie mam żadnych dokładnych informacji. Róberta nie sporządziła ich listy – wyjaśnił Óðinn. Wielokrotnie przekopał się przez jej papiery w poszukiwaniu jakichkolwiek danych na ten temat. – Wychowankowie, z którymi rozmawiałem, nie znali nazwisk pracowników, dlatego chciałem cię poprosić, Heimir, o sprowadzenie odpowiedniej listy. Masz całkowitą rację, muszę spotkać się z co najmniej dwoma z nich. Oni na pewno przedstawią to wszystko w zupełnie innym świetle niż kierowniczką.

Heimir zmarszczył czoło.

– Róberta gdzieś ją miała, jestem raczej pewny.

– Hm, wobec tego dobrze schowała te papiery. Nie znalazłem żadnych dokładnych danych o pracownikach. Tu i ówdzie kilka imion, ale w większości bez nazwisk. A jeśli już gdzieś pada jakieś nazwisko, to jest tak popularne, że na nic się nie przydaje. Gdybym miał daty urodzin albo coś takiego... Przecież nie będę na chybił trafił obdzwaniał całego miasta, prawda?

– Oczywiście, że nie – prychnął Heimir. – Zobaczę, co da się zrobić.

Szef był wyraźnie rozdrażniony, lecz kiedy po odprawie zagadnął Óðinna, ten doskonale zrozumiał dlaczego. Biuro otrzymało już od ministerstwa całe mnóstwo oryginalnych dokumentów, które on przekazał Róbertcie, i teraz nie mógł przecież zameldować ministerialnym urzędnikom, że część prawdopodobnie przepadła nie wiadomo gdzie. Mimo wszystko obiecał sprawdzić, co da się zrobić. Rozmowa między nimi przebiegała w poufalej atmosferze, jakby byli przyjaciółmi, którzy dzielą się jakąś tajemnicą, i niewiele brakowało, a Óðinn zdradziłby Heimirowi, co Pytti powiedział mu o wypadku.

Jednak wersja, którą usłyszał od bezdomnego, była tak nieprawdopodobna, że nie zdobył się na przedstawienie jej swojemu szefowi w obawie, że mógłby zostać uznany przez niego za wariata. Nie sposób dojść prawdy w całej tej historii po trzydziestu siedmiu latach. Dwaj z trzech dawnych podopiecznych Krókur, z którymi Óðinn rozmawiał, przebywali w domu wychowawczym tuż przed wypadkiem, a trzeci tuż po nim. Ten znał zdarzenie jedynie z przekazów innych, i to jeszcze bardziej niewiarygodnych niż wersja Pyttiego. Óðinn sam już nie wiedział, co ma o tym myśleć.

- Chciałbym mieć zgodę na przejrzenie komputera Róberty, jej e-maili i tak dalej. Może coś bym tam znalazł. Możliwe, że zeskanowała te dokumenty i tylko zapisała je w niewłaściwym miejscu – poprosił Óðinn, który wciąż jeszcze nie odważył się powiedzieć Heimirowi o e-mailach z pogroźkami.

Heimir zrobił nieszczęśliwą minę, ale obiecał załatwić dla niego pozwolenie.

Zamiast wrócić na swoje miejsce i studiować po raz setny papiery, które znał już niemal na pamięć, Óðinn postanowił sprawdzić, czy jednak nie przegapił czegoś w boksie Róberty.

- Dlaczego nie było cię na odprawie? – zapytał Dilję, kiedy usiadł na krześle Róberty i przysunął się do szafki z szufladami stojącej pod biurkiem. Udział w porannych spotkaniach był obowiązkowy, dlatego sądził, że Diljá jest chora.

- Nie chciało mi się. – Diljá podniosła się z miejsca i zajrzała ponad ścianką działową do Óðinna. – Wiem, że mnie nie wydasz. Jeśli Heimir będzie dociekał, skłamię po prostu, że czekałam na ważny telefon. Mam tylko nadzieję, że nie spyta od kogo.

- Powiedz, że od ginekologa. Wtedy na pewno nie będzie już o nic więcej pytać. – Óðinn powyciągał wszystkie szuflady i zaczął w nich plądrować. – Nie wiesz, czy Róberta zabierała robotę ze sobą do domu?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie widziałaś jej nigdy z torbą z segregatorami albo z czymś takim?

- Jasne, że czasami wychodziła z torbą. Ale każdy od czasu do czasu ma jakąś dodatkową torbę.

Óðinn zerknął w górę znad szuflady, w której akurat szperał, obrzucił Dilję ostrym spojrzeniem, za co został obdarzony ironicznym uśmiechem. I tak intensywnym zapachem perfum, że aż zakręciło mu się w nosie.

- Miałem na myśli to, czy przypadkiem nie przyszła z pustą torbą, a wyniosła do domu pełną. Albo jakiś karton.

- Masz mnie za kontrolera toreb czy co? Róberta mogła przyjść z setką pustych toreb, coś w nich poupychać i wynieść z powrotem do domu, a ja i tak niczego bym nie zauważyła. Kiedy ja przychodziłam do pracy, ona już najczęściej była na

swoim miejscu, a wynosiła się stąd też jako ostatnia.

Diljá uśmiechnęła się, lecz tym razem przyjaźnie. Óðinn uznał nieoczekiwanie, że te jej perfumy nie są wcale takie złe. Zdaje się, że to zarejestrowała, i opuściła uwodzicielsko powieki, tak że jej czarne długie rzęsy dotknęły jasnej skóry pod oczami.

Óðinn spojrział w bok.

– Szlag by to trafił, co ona z tym zrobiła? Nie ma wątpliwości: brakuje dokumentów – powiedział, przesuwając wzrokiem po fotografiach na ścianie, jakby liczył na to, że odkryje tam jakąś tajną skrytkę. Coś go tu drażni, coś, co przegapił. I pewnie dlatego tak bez przerwy ciągnie go do boksu Róberty. W każdym razie na pewno nie chodziło mu o flirtowanie z Dilją.

Kiedy odezwała się znowu, nagle była pełna dystansu i bardzo rzeczowa:

– Jak się miewa twoja córka?

– Dobrze – odpowiedział najbardziej obojętnie, jak potrafił, bębniąc palcami o blat biurka. Uciekł przed jej spojrzeniem, popatrzył na ściankę przed sobą i zatrzymał wzrok na zdjęciu chłopców, które Rún wydało się takie niesamowite. I miała rację: w tej cholernej fotografii było coś złowróżbnego.

– Naprawdę miła dziewczynka z tej twojej córki.

– Tak, tak. – W tym momencie spojrzenie Óðinna zatrzymało się na kluczu wiszącym na haczyku między dwoma zdjęciami. Zdjął go. Był to całkiem typowy klucz, który mógł pasować niemal do każdych drzwi. Oprócz drzwi w biurze oczywiście, otwieranych elektronicznie. – Wiesz może, co to za klucz?

– Tak, to jest zapasowy klucz do mieszkania Róberty. Trzymała go tutaj, bo kiedyś dwa razy z rzędu zgubiła właściwy.

Óðinn przyglądał się kluczowi w swojej dłoni. Czy to on go tak irytował? Czy zarejestrowała go jego podświadomość i domagała się, aby ustalił, do czego on jest? Chyba nie.

– A gdzie ona mieszkała?

– Przy Kleppsvegur. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko. Nie, to nie ma sensu. Prawdopodobnie już dawno wprowadził się tam ktoś nowy.

– Tego nie wiem, ale jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odpowiedziała z ożywieniem Diljá. – No chodź, sprawdzimy. Człowieku, wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj. Wreszcie jakieś urozmaicenie. Napiszemy w grafiku: „Wizja lokalna”. A po drodze może wstąpimy na kawę.

Niełatwo było oprzeć się zapałowi Dilji. Poza tym to mógł być rzeczywiście dobry pomysł, który raczej nie okaże się potem tak fatalny jak pomysł Óðinna

sprzed miesiący, kiedy chciał o świcie złożyć wizytę Lárze ze swoim znajomym z knajpy. Tym razem nie jest sam, a Diljá nie czmychnie mu w ostatniej chwili zamówioną taksówką.

– Okay, idziemy.

W najgorszym razie znajdą się nieoczekiwanie w mieszkaniu u obcych ludzi, ale przecież wcześniej mogą głośno zapukać. Za późno na odwrót, ponieważ Diljá zarzuciła już sobie torbę na ramię i kazała mu się pospieszyć. Zanim Óđinn ruszył za nią, jeszcze raz ogarnął wzrokiem cały boks Róberty. To nie klucz wywoływał w nim irytację. To coś innego. Tylko co?

Przed blokiem przy Kleppsvegur w środku zwykłego dnia pracy łatwo było zaparkować. W pokojach dawnego mieszkania Róberty wisiały przejrzyste zasłony, a w kuchni dwie firanki wykończone falbankami. Co mogło, ale nie musiało wskazywać na to, że mieszkają tam teraz jacyś młodzi ludzie. Przy wejściu Diljá bez trudu znalazła nazwisko Róberty na jednej ze skrzynek pocztowych, zwłaszcza że jej przegródka wyraźnie różniła się od pozostałych, bo niczym groteskowy bukiet kwiatów wystawał z niej pęk listów.

– Wygląda na to, że nikt się tam nie wprowadził – stwierdziła Diljá i ostrożnie wyciągnęła jedną z kopert, co spowodowało, że pozostałe wypadły na wyłożoną kafelkami podłogę. Nie zwracając na to uwagi, przeczytała nadawcę: – Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Pewnie roczne podsumowanie. Ciekawe, kto teraz dostanie te pieniądze?

– Nikt. – Óðinn podniósł koperty z posadzki. Uważał, że niegodnie byłoby zostawić je tak na ziemi bez poszanowania, na pastwę ludzkich i psich nóg. – Nie miała ani męża, ani dzieci. W takich przypadkach renta na pewno nie jest nikomu wypłacana.

Diljá wetknęła kopertę z powrotem do skrzynki.

– Ja też nie mam męża ani dzieci – powiedziała, odwracając się do Óðinna, który szukał właściwego dzwonnka. – W takim razie nie mam zamiaru tuczyć tych urzędasów swoimi pieniędzmi. Jak zachoruję na raka i będę umierać, możesz się ze mną ożenić i zgarnąć po mnie rentę.

– Myślę, że wtedy będziesz myślała raczej o innych sprawach, ale mimo wszystko dziękuję. – Óðinn odniósł wrażenie, że Diljá oczekiwała od niego podobnej propozycji, wolał jej jednak nie przypominać, że on ma córkę. – Lepiej, żeby ktoś tam był – rzekł, jakby w ten sposób mógł wpłynąć na to, co usłyszy z małego głośnika.

– A niby kto miałby tam być?

– Nie wiem. Jakiś krewny albo przyjaciel, który przyszedł spakować jej rzeczy.

– Wymyślaj dalej. Nikogo tam nie ma, a już na pewno nikogo takiego, kto by wręczył ci karton z napisem „Dokumenty z pracy”. Na pogrzebie siedziałam w drugim rzędzie. Nieliczni krewni, którzy pojawili się na ceremonii, już przy pierwszym psalmy włączyli komórki i bez skrępowania surfowali po internecie. Bez dwóch zdań interesują ich pieniądze za jej mieszkanie, ale na pewno nie mają

najmniejszej ochoty na grzebanie w jej rzeczach. To nie ten typ.

Ódinn zaczynał żałować, że wziął Dilję ze sobą, choć z drugiej strony sam nigdy by się tu nie wybrał. Musiał przeszukać mieszkanie. Oczywiście należałoby to zrobić w obecności osoby zarządzającej spadkiem, ale to tylko jeszcze bardziej skomplikowałoby sprawę. A przecież i tak chodziłby po tych samych pokojach, oglądałby te same przedmioty, które już dla nikogo nie mają znaczenia, tyle że czyniłby to pod czujnym spojrzeniem urzędnika albo krewnego, a nie Dilji. Poza tym pewnie nie dostałby tak łatwo dokumentów, gdyby wszystko miało przebiegać zgodnie z prawem. Mniej więcej w ten sposób usprawiedliwiał swoje działanie, zmierzając do mieszkania Róberty.

- Może jednak zrezygnujemy - zaproponował.

- Zwariowałeś? - prychnęła Diljá, kręcąc nosem. - Przecież już tutaj jesteśmy. Powiedz mi, co złego może się wydarzyć? - Nie czekała na odpowiedź. - Nic. To totalna głupota wycofywać się teraz. - Wyjęła Ódinnowi klucz z ręki i podeszła do drzwi frontowych. - Chyba jednak nie chciałabym wyjść za ciebie, jak będę umierać. - Na próżno usiłowała włożyć klucz w zamek. - Co za cholera!

- Pewnie pasuje tylko do mieszkania, a nie do wejścia - powiedział Ódinn z ulgą, starając się ukryć uśmiech. Widocznie Róberta dostawała się do domu dzięki temu, że dzwoniła do sąsiadów.

Diljá podeszła w tym momencie do domofonu i wcisnęła pierwszy lepszy guzik. Kiedy nikt nie odpowiedział, wybrała kolejny, podczas gdy Ódinn spokojnie ją obserwował. Co mógł zrobić? Przecież nie odciągnie jej siłą z powrotem na ulicę. Postanowił potraktować to jako wskazówkę: jeśli uda jej się dostać na klatkę, pójdzie za nią i weźmie się w garść. Jeżeli nie, będzie udawał zawiedzionego i wróci do biura.

- Halo, dzień dobry! - Diljá niemal całowała jasną plastikową siatkę osłaniającą mikrofon. Jej przenikliwe „halo” rozeszło się echem jak w jakiejś blaszanej puszcze. - Chcielibyśmy tylko wziąć kilka rzeczy z mieszkania Róberty. Potrzebne są nam dokumenty, które ona zabrała z biura do domu.

Nie musiała mówić nic więcej. Ani swojego nazwiska, ani o jakie biuro chodzi, ani jak zamierza dostać się do mieszkania.

- No, nareszcie - bąknęła Diljá, kiedy rozległo się charakterystyczne brzęczenie, i chwyciła za klamkę.

Dywan w korytarzu był w niektórych miejscach tak wydeptany, że składał się już tylko z nici osnowy, zwłaszcza przed wejściami do mieszkań. Na pierwszym piętrze aż przykro było patrzeć, ile wysiłku musiała włożyć Róberta, żeby klatka schodowa przy jej mieszkaniu wyglądała trochę lepiej. Pod drzwiami na wytartym dywanie leżała wycieraczka z zapraszającym „Serdecznie witamy!”. Na samych drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Home sweet home”. Na ścianie z

boku umieściła wazon ze sztucznymi kwiatami kiepsko imitującymi prawdziwe. Były tak samo pokryte kurzem jak plastikowe kwiatki w ich biurze, toteż Ódinnowi przemknęło przez myśl, że za ich wybór mogła odpowiadać Róberta.

– Co się z tym wszystkim stanie? – spytał.

– Pewnie wyląduje w śmietniku. Nie sądzę, żeby jej krewni wzięli się za łby z powodu tych rzeczy.

– Ja też nie.

Ódinn pomyślał o drzwiach do swojego mieszkania. Były równie anonimowe jak drzwi do niezajętych jeszcze lokali na pozostałych piętrach. Żadnego „Home sweet home”. Przypomniało mu się, że jego sąsiadka położyła sobie przed progiem wycieraczkę. Widocznie ludzie mają zwyczaj zaznaczać swoje miejsce w jakikolwiek sposób, ale to nie w jego stylu.

– O rany, zdaje się, że dawno już tu nikogo nie było! – Gdy Diljá pociągnęła nosem, węsząc jak pies, odstłoniły się jej dwa duże przednie zęby. Przez moment wyglądała jak królik.

Drobinki kurzu migotały w powietrzu. Uderzył ich ciężki zaduch, jakby nikt tu nie wietrzył od wieków. Diljá włączyła światło i weszli dalej. Na pierwszy rzut oka mieszkanie sprawiało wrażenie zadbanego. Wszędzie stały jakieś figurki i dość infantylne ozdóbki, każda rzecz na swoim miejscu, nic nigdzie się nie poniewierało. Buty na półce w przedpokoju ustawione równo jak pod linijkę. Na wieszaku nad nimi wisały dwie torebki, małe i szykowne, przy czym Ódinn nie pamiętał, by kiedykolwiek widział je u Róberty. Niewykluczone, że jedną z nich miała ze sobą na imprezie firmowej, ale Ódinn w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak Róberta była wtedy ubrana, nie mówiąc już o tym, jaką miała torebkę. Przypuszczał, że pozostali też mieliby z tym kłopot, przynajmniej mężczyźni. Na pewno nikt z nich nie byłby w stanie powiedzieć, w co Róberta wystroiła się na swoje ostatnie święto firmowe. Ódinn zamierzał spytać o to Dilję, jednak ona go uprzedziła:

– O rany, to mieszkanie wygląda zupełnie tak, jakby Róberta wiedziała, że już nigdy tu nie wróci. Superporządek. Na sto procent czuła, że umrze.

Ódinn też tak uważał, ale wolał nie utwierdzać Dilji w jej teoriach.

– A może u niej nigdy nic się nie poniewierało. Są ludzie, którzy są fanatykami porządku, u takich osób wszystko zawsze stoi równo jak pod sznurek. Jeśli tak jest w całym mieszkaniu, to szybko znajdziemy to, czego szukamy. O ile ona w ogóle wzięła te papiery do domu – powiedział, patrząc, jak Diljá bierze do ręki jakąś niebieskawą figurkę przedstawiającą roześmiane od ucha do ucha krzepkie dziecko, które trzyma nad sobą jak relikwię domek ślimaka. – Tylko niczego nie stłucz! Starajmy się niczego nie dotykać.

Diljá udała, że figurka wypada jej z ręki, po czym uniosła oczy do góry i odstawiła ją z powrotem na miejsce.

– Rany boskie, gdzie kupuje się taki kicz? – Pokręciła głową z taką dezaprobatą, jakby Róberta ozdobiła swoje mieszkanie liśćmi marihuany.

– Też nie wiem.

Ódinn nie chciał rozmawiać na ten temat. Uważał, że to nie w porządku. Nie przyszli tu przecież, żeby węszyć w rzeczach Róberty ani pastwić się nad jej gustem. W każdym razie on na pewno nie miał takiego zamiaru.

– Może skupmy się lepiej na tym, po co tu jesteśmy – oznajmił i wszedł do kuchni, w której panował równie idealny porządek jak w przedpokoju. Nawet kurz nie zdołał przyćmić blasku wyczyszczonych do połysku wrzosowych kafelków. W oknie wisiały firanki wykończone falbankami, które Ódinn dostrzegł już z ulicy, a teraz stwierdził, że z bliska nie wyglądają wcale lepiej. – Tutaj chyba nic nie ma.

Na kuchennym stole leżała jedynie okrągła robiona szydełkiem serwetka, a na niej stał dzbanuszek na herbatę. Na blacie i na półkach też nic nie było. Raczej trudno się spodziewać, żeby Róberta włożyła dokumenty do szuflady na sztuce albo do lodówki.

– Poczekaj – rzuciła Diljá i precyzyjnie się obok Ódinna. – W każdej kuchni zawsze jest co najmniej jedna szuflada na różne szpargały. – Wyciągała jedną szufladę za drugą, wyraźnie zawiedziona, gdy znajdowała w nich tylko kuchenne narzędzia i ściereczki. – Widocznie wyjątek potwierdza regułę...

Nie zdążyła powiedzieć zdania do końca, gdy trafiła na to, o co jej chodziło.

– A jednak! – Diljá odsunęła się trochę na bok, żeby Ódinn mógł zajrzeć do środka. – Mówiłam.

W szufladzie leżał stos otwartych kopert. Kiedy Ódinn je wyjął, pod spodem pokazało się mnóstwo ołówków, które w osobliwy sposób nie pasowały do wszechobecnego porządku. Przejrzał pobieżnie koperty i stwierdził zdumiony, że żadna z nich nie jest adresowana do Róberty. Znaczkę wyglądały wyjątkowo niepozornie i chociaż Ódinn nie był filatelistą, widział, że są dość stare.

– Spójrz! – Podał Dilji jedną kopertę i przeczytał adres na następnej. Na obu widniało to samo nazwisko: Einar Allen. Adres brzmiał: Dom Wychowawczy Krókur. Wszystkie listy były przeznaczone dla tego samego chłopca. – W grafiku prac Róberty widziałem jakąś wzmiankę o listach. Pewnie miała na myśli te. Tylko dlaczego wyniosła je z biura?

Diljá wyjęła z koperty list i zaczęła czytać.

– Może dlatego, że nudziła się w domu i chciała przestudiować je w spokoju. Albo dlatego, że sama nie dostawała żadnych listów, kto to wie.

Czytała dalej.

– Ten jest od jakiejś Eyjalín – powiedziała, spoglądając na Óðinna. – Dziwne imię. Wydaje mi się skądś znajome. Czy to nie jest nazwa jakieś firmy? Albo kremu czy czegoś takiego? – Diljá wpatrywała się w kartkę ze zmarszczonym czołem. – Słyszałeś je kiedyś?

Óðinn pokręcił głową. Jakie znaczenie może mieć imię autorki listu?

– A co w nim jest? – spytał.

– Napisała go na pewno dziewczyna, a nie kobieta. Spójrz na charakter pisma.

Diljá pokazała mu list. Litery były zaokrąglone i ozdobione zawijasami, i wyraźnie różniły się od prostego, zwyczajnego pisma osoby dorosłej. Kreseczka nad í w podpisie Eyjalín miała kształt serduszka.

– Dziewczyna pyta, dlaczego on nie odpowiada na jej listy. Jest kompletnie zrozpaczona. Potem pyta, czy ją jeszcze kocha, i pisze, że nienawidzi swojego ojca – dodała Diljá.

– To chyba dosyć typowe dla młodych ludzi

Za ile czasu Rún go znienawidzi?

– Nie wiem. Ale reszta brzmi naprawdę niesamowicie. Pisze, że niczego nie żałuje i że kiedyś na pewno będą mogli mieć dzieci i być szczęśliwi, i nieważne, co mówi lekarz. A potem znowu pyta od początku, dlaczego on nie odpowiada na jej listy.

– Co w tym takiego dziwnego?

– Przypuszczam, że Eyjalín nie ma jeszcze dwudziestu lat, stawiam na piętnaście do siedemnastu. W tym wieku nie myśli się raczej o planowaniu rodziny, tylko prędeż o rycerzu na białym koniu. A o co chodzi z tym lekarzem? – Diljá podała mu list i kopertę. – Masz i daj mi następne. Zaciekało mnie to.

Oczywiście Óðinn najchętniej by jej odmówił, ale wiedział, że Diljá nie odpuści i na pewno postawi na swoim. Obcowanie z nią często przypominało odrywanie plastra z rany – byle mieć to jak najszybciej za sobą.

– Obejrzę sobie w tym czasie pokoje. Nie powinniśmy siedzieć tu za długo.

Diljá nic nie odpowiedziała, wyjęła mu tylko z ręki koperty i przysunęła sobie kuchenne krzesło. Óðinn wyszedł do przedpokoju, żeby szybko sprawdzić pozostałe pomieszczenia, podczas gdy ona zajęła się lekturą. Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć, jak ona przekopuje wszystkie szafy w mieszkaniu, a zwłaszcza w sypialni, gdzie zwykle można się spodziewać jakichś tajemnic. Dlatego wolał zacząć sam – razem z nią będzie mógł ostatecznie sprawdzić salon.

Sypialnia wyglądała tak samo skromnie jak cała reszta mieszkania. Łóżko było zaścielone, a na narzucie w kwiaty Róberta ułożyła misternie kilka wyszywanych

poduszek, które nie najlepiej pasowały do całości. Óðinn nie zdołał nigdy zrozumieć celowości używania wszelkich narzut na łóżka, a tym bardziej takich poduszek. Przecież to tylko utrudnienie, jak człowiek chce się położyć. Zastanawiał się, co Róberta robiła z całym tym kramem, kiedy szła spać. Chyba przenosiła wszystko na fotel w rogu. Bo na komodzie i nocnej szafce nie było już miejsca. Zdjęcia w ramkach i najrozmaitsze figurki zastawiały blat, a szafkę zajmowały duża, masywna lampa, książka z zakładką i pusta szklanka na wodę. W szufladach w szafce prawie nic nie było, oprócz opaski na oczy do spania, aspiryny i pęsety. Óðinn zajrzał też do szuflad w komodzie, ale zamknął je od razu, kiedy zobaczył, że są w nich tylko ubrania. W najniższej leżały kłębki wełny, druty i zrobiony do połowy rękaw.

Wsunął szufladę z powrotem i stanął prosto. O dziwo, wbrew obawom wcale nie czuł się nieswojo w tym pomieszczeniu. Oczywiście wejście bez pozwolenia do mieszkania zmarłej osoby musiało budzić wątpliwości, jednak spodziewał się, że wszędzie będzie czuł obecność Róberty, która na przykład stanie za nim zniecka albo pojawi się w lustrze, tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. Żadnej gęsiej skórki i żadnej dręczącej pewności, że za którymiś drzwiami czy w szafie ktoś się czai. Nie można oczywiście wykluczyć, że wszystko przyćmiła obawa, iż nagle zastaną ich tutaj krewni Róberty. Czyżby to był znak, że jest z nim już trochę lepiej, że znowu będzie taki jak kiedyś – normalny i zwyczajny. A nie kimś, kto ciągle ma przywidzenia, że widzi i słyszy rzeczy, które nie istnieją. Może to mieszkanie ma na niego taki pozytywny wpływ. Może powinien je kupić, najlepiej z kompletnym wyposażeniem, żeby nie zburzyć atmosfery. Uśmiechnął się na tę absurdalną myśl, ale jego uśmiech od razu zniknął, gdy tylko usłyszał kroki Dilji.

– Ta Eyjalín była totalnie porębana! – Diljá stała w drzwiach i machała listami niczym wachlarzem. – Jak czyta się te listy we właściwej kolejności, od razu widać, że dziewczyna jest coraz bardziej wścicka na swojego Einara. W ostatnim już zupełnie jej odbija. Píše, że ją oszukał i nigdy jej nie kochał, i różne takie dyrdymały. Na dole strony napisała swoje imię i przekreśliła raz za razem, żeby mu pokazać, jak bardzo go nienawidzi. Prawie nie daje się rozpoznać liter. Odszyfrowałam je dopiero, jak odwróciłam kartkę. Ten Einar musiał chyba po zwolnieniu nieźle zaszaleć.

– Nie zdążył, umarł.

– Ups. – Diljá weszła do pokoju. – To on był jednym z tych dwóch, którzy udusili się w samochodzie?

A jednak śledziła w miarę dokładnie odprawy biurowe.

Kiedy Óðinn otworzył szafę na ubrania, uderzył go intensywny zapach perfum. Górny pręt był tak mocno obciążony wieszakami z sukienkami, żakietami i

bluzkami, że aż wygiął się pośrodku. Óðinn pochylił się, żeby sprawdzić, czy coś kryje się na dnie szafy, ale znalazł tylko kolejne pary butów, z których większość już dawno wyszła z mody.

– Tę kobietę widziałam na pogrzebie. Nawet koło niej siedziałam – powiedziała Diljá, lustrując zdjęcia na komodzie. – Była dziwna.

Óðinn się wyprostował.

– Jak to? Przecież na pogrzebach wszyscy są jacyś komiczni.

– No nie wiem, ale ona była jakaś inna.

Zdjęcie zostało wykonane w atelier fotograficznym, ale nie bardzo wiadomo z jakiej okazji. Kobieta nie miała sukni ślubnej, nie była to też fotografia maturalna, bo na maturzystkę była o wiele za stara. Óðinn nigdy nie potrafił oceniać wieku ludzi, natomiast jej dałby na pewno około sześćdziesiątki. Czyli mniej więcej tyle, ile miała Róberta.

– Może były siostrami – stwierdził. Ale jeśli tak, to musiały raczej być siostrami przyrodnimi, ponieważ bardzo się od siebie różniły. Róberta – krępa, szarooka i niepozorna, a kobieta z fotografii miała oczy brązowe i wysokie kości policzkowe – w młodych latach na pewno była piękna, a w podeszłym wieku – atrakcyjna.

– Nie, cała rodzina siedziała po drugiej stronie. Może to przyjaciółka. Albo jej kochanka. W każdym razie była dziwna. – Diljá wykrzywiła usta. – Jakaś taka nieprzyjemna. Siedziała jak posąg i cały czas gapiła się przed siebie. Nie wiem, czy choćby raz mrugnęła.

– Po prostu na swój sposób przeżywała smutek. Nie każdy na oczach ludzi zalewa się łzami – powiedział Óðinn i odwrócił się w stronę górnych półek w szafie. Leżały na nich kartony i torby, wszystkie z logo supermarketu, który już dawno splajtował. – Tu nic nie ma.

Kiedy Diljá zajrzała pod łóżko i gruntowniej zbadała szafę, i w jednym, w i drugim przypadku bez sukcesu, przeszli do dużego pokoju. Tam i w małej, leżącej za nim jadalni tak samo: nie znaleźli niczego, co miałyby związek z pracą. Óðinn obserwował, jak Diljá otwiera szafki meblościanki, w której stał w miarę nowy telewizor. Zajrzała też do kredensu w jadalni, gdzie pobrzękiwały naczynia.

– Może wyniosła tylko te listy, które są w kuchni – stwierdziła w końcu Diljá z wyraźnym zawodem.

– Prawdopodobnie. – Óðinn puścił fotel stojący przed telewizorem, na którego oparciach i siedzeniu leżały serwetki. – Idziemy. Wszystko przeszukaliśmy.

– Oprócz łazienki.

Óðinn miał już tego dość i pozwolił Dilji, żeby po drodze do wyjścia rzuciła tam jeszcze okiem. Nie wszedł za nią, nie chciał oglądać żadnych kosmetyków ani innych rzeczy, które przypuszczalnie wszystkie wylądują w koszu na śmieci. Bo

nikt nie chce używać mydła, kremu czy perfum po zmarłej. Gdy stał przy drzwiach na korytarz, jego spojrzenie zatrzymało się na kluczu wiszącym na niewielkim haku. Na zawieszce widniał napis „Garaż”. Litery były trochę rozmyte, jakby plastikowa osłonka kiedyś się zmoczyła. To przejmujące grozą uczucie, którego do tej pory nie doznał w mieszkaniu, teraz jednak dało o sobie znać i nagle zjeżyły mu się włoski na rękach. Czyli nadal jest tak samo obłąkany jak ostatnio przez cały czas. Chyba już nigdy nie będzie normalny i powinien nauczyć się z tym żyć. Ale przecież musi kiedyś w końcu, do cholery, spojrzeć temu lękowi prosto w oczy i się z nim rozprawić. Jeżeli teraz odłoży klucz i zaprzeczy jego istnieniu, zrobi coś wręcz odwrotnego.

– Diljá! Do mieszkania należy jeszcze garaż. Może lepiej zajrzyjmy do niego, zamiast szperać w łazience? – zawołał energicznym głosem.

Opuścili mieszkanie i szybko znaleźli garaż, do którego pasował klucz z haka. Kiedy Óðinn podnosił do góry ciężkie drewniane drzwi, zaskrzypiało i zazgrzytało w zawiasach.

– A gdzie może być samochód Róberty? – spytała Diljá, przekraczając próg i rozglądając się dokoła.

– No tu go raczej nie ma.

Óðinna coś powstrzymywało przed wejściem do środka.

– Pewnie stoi gdzieś w centrum miasta z setką mandatów za wycieraczką.

Diljá zbliżyła się do jednego z rowerów i podniosła stojącą obok niego torbę na zakupy. Spojrzała na Óðinna i zawołała, żeby podszedł bliżej. Zmusił się i zrobił jeden krok do przodu, czując jednocześnie, jak zaciska mu się żołądek. Walczył ze sobą, żeby się nie odwrócić w tym betonowym pudle i upewnić, czy drzwi są wciąż otwarte, jakby groziło im pozostanie tutaj do końca życia. Opanował się jednak i skupił się na tym, co Diljá trzymała w ręce. Sądząc po wyrazie jej twarzy, musiał być trupio blady. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Podsunęła mu torbę pod nos. Rączki były zawiązane dwa razy, żeby nic nie wysypało się ze środka. Óðinn rozplątał je i wyciągnął jakieś papiery. Bingo! Dokumenty z biura. Znaleźli jeszcze karton z materiałami dotyczącymi Krókur. Stał pod ścianą, jakby Róberta zamierzała włożyć go do samochodu i odwieźć z powrotem, ale pewnie zapomniała. Może tego samego ranka, gdy opuściła swój garaż po raz ostatni.

Kiedy Óðinn zamykał za nimi drzwi, kamień spadł mu z serca. Czuł się tak, jakby w ostatniej sekundzie uniknął strasznego wypadku. Postanowił trzymać klucz do garażu w biurze, żeby nie musieć zanosić go z powrotem na górę. Przypuszczalnie nie zostaliby już po raz drugi wpuszczeni do domu. Poza tym niczego bardziej nie pragnął, niż oddalić się z tego miejsca.

luty 1974

Tobbi kręcił się na krześle i najchętniej zapadłby się pod ziemię. Był strasznie blady, przez co jego piegi jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Aldís ani myślała pozwolić mu odejść. Chciała usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. A poza tym przyglądanie się, jak on cierpi, sprawiało jej osobliwą przyjemność. Wtedy sama czuła się lepiej, jakby własną frustrację zrzucała na niego. Wzięła go na bok, kiedy wracał z jadalni, i wepchnęła do małej izby na tyłach domu.

– Kłamiesz! Dobrze wiesz, gdzie oni przechowują te listy!

– Nie, przysięgam ci, Aldís. Zabierają je ode mnie i nie mam pojęcia, co potem z nimi robią. Przysięgam! – Pod zmierzwioną czupryną jego duże niebieskie oczy zabłyszczały od wzbierających łez. – To prawda!

Aldís raczej nie wątpiła, że Tobbi mówi prawdę. Bał się jej i gdyby tylko potrafił pohamować jej gniew, to na pewno by to uczynił. Jednak była tak żądna odpowiedzi, że nie mogła pozwolić mu odejść.

– A dlaczego miałabym ci uwierzyć? – spytała. Z wielką ochotą by nim potrząsnęła. – Całymi miesiącami pomagałeś Lilji i Veigarowi zabierać coś, co do nich nie należy, przez ciebie chłopcy, z których większość to nawet twoi przyjaciele, nie dostawali listów od swoich rodziców. Tych dwoje to złodzieje, a ty im pomagałeś. Wiesz, co ci powiem?

Chłopak potrząsnął głową i w ogóle nie chciał słyszeć, co ma mu jeszcze do powiedzenia.

– Wcale nie jesteś od nich lepszy. Ty też jesteś złodziejem!

Tobbi przygryzał dolną wargę i nerwowo mrugał. Był coraz bliższy płaczu. Aldís stała się nieco łagodniejsza.

– Jak mi powiesz, co stało się z tymi listami, to będziesz sto razy lepszy od nich. Wszyscy popełniamy błędy, ale rzadko trafia się nam możliwość ich naprawienia. Ty masz to szczęście i dostajesz swoją drugą szansę.

W oczach Tobbiego rozbłysła iskierka nadziei, lecz zgasła niemal natychmiast, kiedy zrozumiał, że Aldís wciąż oczekuje od niego tego samego.

– Nie wiem, co oni robią z listami. Gdybym wiedział, tobym ci powiedział. Ale naprawdę nie wiem – jęczał.

Aldís wyprostowała się, po czym oparła dłonie na podłokietnikach krzesła, na

którym siedział Tobbi, i groźnie się nad nim pochyliła. Niepotrzebnie. On był przecież tylko małym chłopcem, a ona dorosłą kobietą, jeśli nawet nie do końca za taką się uważała.

– Załóżmy, że ci uwierzę... – Tobbi otworzył usta, aby coś bąknąć, ale nie wydobył z siebie ani słowa. Kiwnął tylko głową z otwartą buzią. – I załóżmy, że powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział, gdzie przechowywane są te listy. – Tobbi znowu przytaknął, zamknął usta i przełknął ślinę. – Mam pewien pomysł.

Jego duże, okrągłe oczy wyraźnie się zwęziły.

– Jak to?

– Wóz pocztowy przyjeżdża nadal, tak?

– No tak, we wtorki i piątki o trzeciej. Lilja i Veigar wysyłają o mnie wpół do czwartej, żebym przyniósł pocztę. Jak wóz pocztowy się spóźnia, muszę poczekać. W lecie to mi było wszystko jedno. Wtedy to nawet wolałem stać przy drodze, niż być tutaj. Tak naprawdę zawsze miałem nadzieję, że może będzie opóźnienie.

– Nie prosiłam cię o opowiadanie życiorysu.

Aldís od razu pożałowała swoich słów. To, co wiedziała o przeszłości Tobbiego, nie było zbyt wesołe. Jego ojciec więcej czasu spędzał za murami więzienia niż na wolności, a kiedy już siedział w domu, wyładowywał swoją wściekłość na synu. Aldís słyszała, że Tobbi miał więcej złamań kości niż wszyscy chłopcy w Krókur razem wzięci. Przybrała więc łagodniejszy ton.

– Chcę, żebyś oddał Veigarowi i Lilji całą pocztę, wszystkie listy i paczki, a potem żebyś ich obserwował. Wtedy zobaczysz, co oni z nimi robią. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Ale moich listów to nie dotyczy. Swoje listy chcę mieć natychmiast z powrotem. Rozumiesz?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Jest mi wszystko jedno, jak to zrobisz.

I mówiła to poważnie. Przeszukała każdy zakamarek w biurze Veigara i każde wchodzące w rachubę miejsce. Na próżno. Zawiedziona próbowała już nie zawracać sobie tym głowy i zamiast tego skupić się na pracy. Ale dzisiaj rano obudziła się z postanowieniem, że weźmie w obroty Tobbiego. Ona po prostu musi odzyskać swoją pocztę, nie ma innego wyjścia. Musi się dowiedzieć, jak doszło do tego, że ten plugawiec wyprowadził się od matki, musi wiedzieć, czy jej skrucza jest szczerą. Dopiero wtedy zdecyduje, czy się do niej odezwie.

Oprócz tego chciała też zobaczyć listy do Einara, żeby poznać przyczynę jego pobytu w Krókur. Ta jedyna kartka znaleziona w segregatorze mówiła wszystko i nic. Czytając ją, zdała sobie sprawę, że to niezwykle przypadek. List był skierowany do Veigara i podpisany przez niejakiego Jóhannesa Ólafssona, który

przedstawił się jako sędzia, ale nie zwracał się z pozycji swego urzędu, tylko jako stary znajomy Veigara. Prosił go, aby przyjął do siebie chłopca starszego od pozostałych wychowanków przebywających w Krókur. Poza tym ów chłopiec miałby tam być skierowany nieoficjalnie, bez pośrednictwa odpowiednich władz. Nie chodziło bynajmniej o coś bezprawnego, lecz jedynie o zastosowanie rozwiązania, które będzie korzystne dla wszystkich i nikomu nie zaszkodzi. Nadawca listu obiecał bliższe wyjaśnienia przekazać Veigarowi telefonicznie. Miała to być sprawiedliwa kara bez angażowania wymiaru sprawiedliwości. Wprawdzie w odniesieniu do większości wykroczeń popełnionych przez osoby pełnoletnie istnieją odpowiednie instytucje karne, ale w tym przypadku ucierpiała głównie niewinna ofiara, młoda córka podpisanego. Lecz ani słowa o tym, co Einar zrobił tej dziewczynie. Aldís przyszło do głowy, że mógł ją zgwałcić, uznała to jednak za dosyć nieprawdopodobne. Pochyliła się znowu nad Tobbim.

– Jeśli tego nie zrobisz, wszystko opowiem chłopcom. Możesz mi wierzyć, że oni na pewno nie będą tacy wyrozumiali jak Einar.

Tobbi znowu nerwowo przełknął ślinę i oblizał wyschnięte wargi. W tym dużym fotelu wydawał się wyjątkowo mały. Był tak chudy, że jego kolana i łokcie wyglądały na dwa razy szersze od nóg i rąk. Aldís przypomniały się jego pozrastane po złamaniach kości i już miała zamiar powiedzieć, żeby zapomniał o całej sprawie. Jednak on ją uprzedził, mówiąc:

– Spróbuję. Obiecuję ci, że spróbuję.

Jego głos był jedynie cichym szeptem, delikatnym i kruchym jak cienka powłoka lodu na początku zimy. Aldís poczuła oddech Tobbiego na swojej twarzy. Czuć było od niego zupą rybną z dzisiejszego obiadu.

– Dobrze. Przyjdź do mnie, jak już będziesz wiedział. Jeśli Lilja i Veigar będą chcieli wysłać cię do jakiejś roboty, skłam, że chyba się czymś zatruję.

Tobbi wstał ostrożnie z fotela, uważając, by jej przy tym nie dotknąć, jakby bał się porażenia prądem. Albo jeszcze czegoś gorszego. Potem poszedł ze zwieszoną głową do wyjścia, ale w drzwiach przystanął i spytał:

– A jak mnie przyłapią, to co wtedy? Oni zamordowali własne dziecko. Ja ich w ogóle nie obchodzę.

Nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się na pięcie i wybiegł.

Veigar podniósł wzrok znad książki i wlepił oczy w Aldís. Ona wbrew oczekiwaniom też wlepiła oczy w niego. Do tej pory zawsze uciekała przed jego spojrzeniem, kiedy z mroczną miną zaciskał powieki.

– Co się dziś z tobą dzieje? – spytał protekcyjnie.

Aldís dalej ścierała kurz, nie spuszczać wzroku.

– Nic. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie. – Znowu przymknęła powieki, tak że zostały tylko dwie czarne szparki. Następnie odchrząknęła i odłożyła książkę na bok. – Wydajesz się jakaś roztargniona.

To była kompletna bzdura, wiedzieli o tym oboje. Aldís robiła wszystko tak jak zawsze, szybko i gruntownie. Nawet przyłożyła się jeszcze bardziej, kiedy tylko zobaczyła siedzącego tu swojego szefa. Poza tym wiele można było powiedzieć o tym pomieszczeniu, ale nie to, że jest w nim brudno. Nazywano je salą, choć był to tylko większy pokój wykorzystywany do głoszenia chłopcom Słowa Bożego i wbijania im do głów przyzwoitych obyczajów. Codzienne modlitwy trwały krótko; nikt nie wchodził do środka w butach, a wszyscy musieli przedtem umyć sobie twarz i ręce. Jakby Bóg nie otaczał opieką tych, którzy mają żalobę za paznokciami.

– Sprzątam dokładnie, tak samo jak zawsze – odparła bez ceregieli, nie czerwieniąc się i nie bąkając słowa „przepraszam”. – Mam zrobić coś inaczej?

Veigar wstał i podszedł do niej. Chyba nie wiedział, jak ma zareagować na taką zuchwałość. Przesunął swoim tłustym palcem po wieku pianina i przyjrzał mu się dokładnie. Potem dmuchnął, jakby chciał usunąć z niego kurz.

– Przestałaś przychodzić na nasze spotkania. Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś pojawiała się na nich znowu. Słuchanie Słowa Bożego robi dobrze każdemu. I dużym, i małuczkim.

Aldís wiedziała, że w jego oczach należy do tych ostatnich.

– Tak, na pewno – rzekła, mając wrażenie, że jednak zrozumiał, co tak naprawdę chciała powiedzieć: ona ma to w nosie. – Skończyłam. Mam zrobić coś jeszcze? – spytała bez uśmiechu.

Nie zasłużył sobie na to, żeby była dla niego miła. Wolałaby chyba mówić do ściany za jego plecami. I ściana, i on wyraźnie już dawno mieli za sobą najlepsze czasy: tapeta była wypłowiała i odklejała się na łączeniach, a czoło Veigara przecinały głębokie bruzdy między oczami.

– Może poprawić pulpit? – spytała.

Veigar i Lilja nazywali to „ołtarzem”, ale w rzeczywistości był to tylko stary drewniany pulpit, a za nim komódka przykryta białym płótnem. Na niej stał gigantyczny krzyż i dwa niepasujące do siebie świeczniki. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający ukrzyżowanego Jezusa. Dziwnie było wyobrazić sobie, że jego oryginał zdobi pewnie jakąś wspaniałą katedrę gdzieś w Europie, i dlatego Aldís zastanawiała się czasami, czy wyraz boleści w twarzy Zbawiciela nie bierze się przypadkiem ze zdumienia, dokąd trafił. Bo jedyne, czego przyszło mu tu słuchać, to obłudnych kazań Veigara.

- Czy wystarczy tak, jak jest?

Veigar zbliżył się do niej, wielki i potężny. Aldís pożałowała w tym momencie, że nie trzymała języka za zębami i po prostu sobie nie poszła. Przypomniały jej się słowa Tobbiego i doskonale teraz rozumiała, co miał na myśli. Ten mężczyzna w ogóle się nią nie przejmował, pewnie bez wahania potrafiłby wymierzyć policzek albo pobić. I kto by jej potem uwierzył, gdyby jej słowo było przeciw jego słowu? Gdy zrobiła krok do tyłu, skrzywienie desek podłogowych rozeszło się echem po pomieszczeniu. Ten odgłos przywrócił prawdziwy rozkład sił: on jest groźny, ona wystraszona.

- Nie bądź taka bezczelna, dziewczyno!

Jego oczy zwięzły się jeszcze bardziej, a Aldís pomyślała w tym momencie, że są całkiem niepodobne do oczu tamtego dziecka, wyglądających na ogromne i ciemne w małej zdeformowanej główce.

- Tylko pytam - rzekła i poczuła się pewniejsza, kiedy usłyszała swój stanowczy głos. Potem nagle przyszło jej do głowy, żeby mu rzucić prosto w twarz, że wie, gdzie pogrzebany jest noworodek, na szczęście w porę uznała, że byłby to fatalny błąd. Bo co miałyby powiedzieć dalej? Wyszło szydło z worka? Ale pod wpływem owego nagłego podszeptu tamten obraz wyraźniej stanął jej przed oczami. Skąd Tobbi właściwie wiedział, że dziecko żyło? Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że mogli o tym wiedzieć tylko nieliczni. Ona nikomu nie mówiła, że zauważyła u niego oznaki życia, nawet wtedy, kiedy wstawiona rozmawiała na ten temat z Einarem. Jemu wiadomo było jedynie tyle, że tym dwojgu urodziło się dziecko, które potem zniknęło. Martwe dziecko. Które nawet nie otworzyło oczu. Świadomie pominęła to milczeniem, bo do końca nie miała pewności - może po śmierci, kiedy mięśnie zwiotczą, powieki otwierają się automatycznie. Nie chciała robić z tego nic wielkiego, ponieważ niewykluczone, że istnieje jakieś naturalne wytłumaczenie albo po prostu jej się przywidziało. Aldís postanowiła jeszcze raz przyprzeć Tobbiego do muru, kiedy przyniesie jej listy. Jeśli da sobie radę z tą pocztą.

Stężała twarz Veigara nieco się rozluźniła, a nawet pojawił się na niej przymilny uśmiech.

- Nie będziemy się przecież kłócić. Nie tutaj, przed obliczem Zbawiciela.

Aldís nie znalazła na to odpowiedzi. Sądząc po wyrazie oblicza Zbawiciela, miał on inne troski niż ich kłótnia.

- Pójdę zrobić kawę - oznajmiła, spoglądając na swój zegarek. Było wpół do trzeciej. Dostała ten zegarek od matki na komunię. Powinna już wymienić w nim pasek na nowy, podobnie jak zmienić swój stosunek do matki. - Już pora.

Tymczasem Veigar nie zamierzał jej tak łatwo puścić i zagroził jej drogę.

– Kręciłaś się w nocy po podwórzu?

Aldís poczuła zimny pot na plecach. Czyżby ona i Einar jednak zostawili coś w oborze? Wprawdzie minęło już sporo czasu, ale może dopiero teraz na coś się natknęto. Veigar nie mógł raczej mieć nic innego na myśli, bo poza tamtym jednym razem Aldís nigdy nie opuszczała swojego pokoju wieczorem po pracy. Einar naciskał, żeby spotkała się z nim znowu, ale mu się wymknęła. Postanowiła trzymać się od niego z daleka, dopóki nie dowie się o nim czegoś więcej. Znając treść listu do Veigara, nie mogła już sobie dłużej wmawiać, że to wszystko jest tylko nieporozumieniem i że chłopak jest dobry i całkiem niewinny. Teraz, kiedy wiedziała, że zrobił coś złego, prawdopodobnie jakiejś dziewczynie, nie wydawał się już tak atrakcyjny i interesujący jak na początku. Dlatego koniecznie chciała dowiedzieć się więcej, zarówno z czystej ciekawości, jak i po to, żeby wyrobić sobie zdanie, jakim jest człowiekiem. Choć mogło to brzmieć komicznie, wierzyła, że potrafi go zmienić, uczynić z niego lepszego – czyli wierzyła w to, przed czym tak często przestrzegała ją matka: ludzi nie da się zmienić, to czyste mrzonki.

– Nie, wieczorami i w nocy zawsze jestem w swoim pokoju.

– Na pewno?

Czuła wodę po goleniu, którą Veigar spryskał się dziś rano. W ciągu dnia zapach się ulatniał, ale teraz był jeszcze równie intensywny jak o poranku, zmieszany z gorzkim odorem potu. Aldís nie miała wyboru, musiała wdychać ten smród. Kręciło jej się w nosie, była bliska kichnięcia.

– Bo widziałem jakąś dziewczynę, a dziewczyn nie mamy tu wiele, zgadza się?

– Tak. – Aldís odsunęła się nieco, mimo to nie mogła uwolnić się od tego zapachu. Pierwszy raz zauważyła, że jego nos usiany jest małymi czarnymi punktami. Czyli dorośli też miewają wągry, a ona myślała, że to utrapienie wyłącznie nastolatków. – Byłam w swoim pokoju. A kiedy by to miało być?

– Na przykład wczoraj wieczorem.

– Nie, nie byłam na dworze. To musiał być ktoś inny – odparła Aldís z ulgą. Na pewno ją z kimś pomylił. Ale z kim? Żaden z chłopców nie ma raczej dziewczęcej sylwetki, choć z drugiej strony, z pewnej odległości czasami trudno jest stwierdzić, kogo się widzi.

Veigar spojrział na nią z powątpiewaniem, jednak mięśnie w jego twarzy wyraźnie się rozluźniły.

– Jesteś pewna? To kto to mógł być? – zwrócił się bardziej do niej niż do siebie.

– W każdym razie na pewno nie ja. – Aldís odetchnęła, kiedy wreszcie Veigar odsunął się od niej kawałek. Teraz już nie widziała jego wągrów i nie musiała wahać jego wody po goleniu. – Może Lilja. Albo któryś z robotników. Pewnie było ciemno, tak?

- Zawsze jest ciemno.

- A może się panu przyśniło - powiedziała współczująco, ku własnemu i jego zdziwieniu.

- Nie.

Spojrzał jej prosto w oczy, zmarszczył czoło, sięgnął po książkę i bez słowa wyszedł.

Dochodziła piąta, kiedy Tobbi nieśmiało stuknął Aldís w plecy. Oddychał szybko, jakby przed chwilą biegł, a ona w ogóle nie słyszała, kiedy nadszedł. Ucieszyła się, że go widzi, ponieważ przy podwieczorku na próżno się za nim rozglądała i już się bała, że Lilja i Veigar przyłapali go na szpiegowaniu.

- Wiem, gdzie oni trzymają pocztę.

Rozejrzał się nerwowo wokoło. Jego zwykle trupio blada twarz była zaczerwieniona, a pięgi prawie niewidoczne. Stali przy wjeździe, gdzie Aldís akurat kruszyła suchary dla ptaka, który świergotał już gorączkowo na dachu i czekał, żeby sobie poszła. Kilka miesięcy dokarmiania nie wystarczyło, by go oswoić. Wciąż zabierał się do jedzenia dopiero wtedy, kiedy ona znajdowała się już w bezpiecznej odległości. Po tym jak zniknął podczas ostatniej zamieci, wydawał się jeszcze bardziej płochliwy niż wcześniej, zupełnie jakby obwiniał ją za ten wichur, który wywiał go gdzieś daleko. Ona jednak nic sobie z tego nie robiła i po prostu cieszyła się, że znalazł drogę z powrotem do domu.

Aldís strzepnęła okruchy z nogawek.

- Masz moje listy?

To pytanie było zbędne, bo Tobbi nic nie trzymał w brudnych dłoniach.

- Nie, nie odważyłem się ich zabrać. To cała skrzynka, nie sposób jej wynieść, żeby nikt nie zauważył.

- Gdzie ona jest?

- W piwnicy. Nie mogę tam zejść, boję się.

Tobbi oblizywał usta i przestępował z nogi na nogę. Za jego plecami na niebie zniżało się słońce, rozświetlając horyzont. Matka zawsze powtarzała jej jako dziecku, że ładny zachód słońca zapowiada dobrą pogodę następnego dnia. Może to znak, że już niedługo znowu między nimi się ułoży. Może nawet jutro. Gdyby Aldís przeczytała listy, mogłaby wybaczyć. Mimo zimna zrobiło jej się cieplej na samą myśl o tym.

- Dałem Lilji pocztę i potem nie spuszczałem z niej oka. Zaniósł listy Veigarowi do biura i wyszła stamtąd z pustymi rękami. Schowałem się w pokoju naprzeciwko i obserwowałem biuro przez szparę. Po jakimś czasie Veigar

wyszedł wreszcie z listami. Deptałem mu po piętach aż do głównego budynku i widziałem, jak zszedł do piwnicy.

– A skąd wiesz, że włożył je do skrzynki?

– Wybiegłem szybko i patrzyłem przez okienko. Niewiele brakowało, a by mnie zobaczył. Ale zdążyłem uciec. – Chłopak otworzył szeroko oczy i spytał z drżącymi ustami: – Myślisz, że mnie widział?

Aldís pokręciła energicznie głową i zapewniła go:

– Na pewno nie. A gdzie dokładnie stoi ta skrzynka? Bo jak po nią pójde, to nie będę szukać po całej piwnicy.

– Na regale przy schodach. – Tobbi odwrócił się, wyciągnął prawą rękę, próbując pokazać, po której stronie znajduje się regał. – Na prawo. – Rumieńce na jego twarzy trochę zbladły, jednak oczy wciąż promieniały. – To było super, co?

– Tak, super.

Aldís uśmiechnęła się do niego, ale powstrzymała się przed pogłaskaniem go po głowie, choć miała na to wielką ochotę. Od czasu do czasu zdarzały się tu wszy, a jej na szczęście na razie udało się ich unikać. Nie chciałyby opuścić Krókur z króciutko obciętymi włosami, bo przecież nie mogłaby tak pójść na rozmowę w sprawie pracy, gdyby starała się o posadę stewardesy.

– Jeszcze jedno pytanie, Tobbi, i już będziesz mógł sobie pójść – powiedziała.

Ramiona chłopca wyraźnie opadły, a w jego spojrzeniu znowu pojawił się lęk.

– Muszę już iść. Mam dużo zadane i chcę skończyć do kolacji – odparł pospiesznie.

Aldís nie zwracała uwagi na jego wymówki. Były dla niej jak szum jej małego radyjka, który już dawno przestał jej przeszkadzać.

– Dlaczego powiedziałeś, że Veigar zamordował własne dziecko?

Tobbi grzebał w żwirze rozdeptaną tenisówką.

– Tak tylko.

Aldís chwyciła go za podbródek i zmusiła, by spojrział jej w twarz. W jego niebieskich oczach wyczytała niemą prośbę: Odejdź! Po co tu w ogóle przyjechałaś!

– Powiedz mi, od kogo to wiesz. Obiecuję ci, że nikomu nie powtórzę. Możesz się nie bać.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję. Dlaczego uważasz, że Veigar zabił dziecko? Masz moje słowo, że jak mi to powiesz, dam ci spokój.

– Bo to widziałem – rzekł Tobbi, próbując wyzwolić się z uchwytu Aldís, ale

ona wciąż trzymała go mocno. Jego oczy pałały i unikały jej spojrzenia. – Pracowałem z Veigarem w oborze, kiedy ktoś go zawołał, bo Lilja dostała bóli. – Tobbi przełknął ślinę. – Nie wiedziałem, co mam zrobić, nie miałem odwagi sobie pójść. Przecież on mógł zaraz wrócić. Nie mam pojęcia, ile trwa taki poród.

– Zwykle dosyć długo.

– Tak, teraz już wiem. Kiedy się zorientowałem, że Veigar nie przyjdzie, na dworze zrobiło się już tak ciemno, że bałem się iść sam do domu. – Tobbi zaczerwienił się ze wstydu. Starsi chłopcy na pewno nabijali się z niego i z jego lęku przed ciemnościami. – Wolałem już przespać się w oborze, w sianie. Ale nie mogłem zasnąć i kiedy usłyszałem czyjeś kroki na podwórzu, poszedłem do komórki gospodarczej i wyjrzałem przez okno. I wtedy zobaczyłem Veigara w świetle księżyca.

Tobbi przełknął głośno.

– Co robił?

– Miał w rękach coś zawiniętego w białe płótno. Było całkiem zakrwawione.

Aldís odczuła ulgę. Chłopiec wyciągnął z widoku krwi fałszywy wniosek.

– Miał też szufłę. Odłożył ten tobołek i pod drzewem wykopał dół. Szło mu trochę opornie i dlatego dużo przeklinał – opowiadał dalej chłopiec.

– Dziecko urodziło się martwe, Tobbi. Ta krew nie była jego, tylko Lilji. Przy porodzie jest dużo krwi – wyjaśniła mu Aldís. Często zastanawiała się nad historiami różnych narodzin, które słyszała od koleżanek matki. Te opowieści wystarczyły jej, by wiedzieć, że nigdy nie urodzi dziecka.

– Ono żyło, Aldís. Płakało.

– Płakało?

Teraz ona głośno przełknęła ślinę.

– Tak, nawet jak je włożył do dołu. Cały czas, dopiero przestało być słycać przez ziemię.

To było bardziej potworne, niż Aldís mogła sobie wyobrazić w najgorszych snach. Dlaczego akurat teraz, w tym momencie, to odkryła? Nie chciała mieć przed oczami twarzyczki tamtego dziecka, kiedy w nocy będzie schodzić do piwnicy, a tym bardziej słyszeć jego płaczu. Ale gdy tak stała i patrzyła za biegnącym Tobbim, który dwa razy potknął się na śliskich kamieniach, wiedziała, że jej życzenie się nie spełni. Konające dziecko już na dobre zagnieżdżyło się w jej głowie.

Starsza pani uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyciągnęła ku Ódinnowi tysiackoronowy banknot.

– Serdecznie dziękuję za pańską pomoc.

Poprosiła go o dokręcenie śrubek w poluzowanych drzwiczkach jednej z kuchennych szafek. Kiedy zauważyła, że sąsiad nie zamierza przyjąć pieniędzy, dodała:

– Proszę dać je swojej córce, jeśli pan nie chce ich wziąć. Ona na pewno będzie wiedziała, na co je wydać.

Ódinn z zakłopotaniem wsunął banknot do kieszeni. Następnie schował narzędzia do skrzynki i po raz kolejny dla sprawdzenia otworzył i zamknął szafkę.

– Powinno się trzymać jakiś czas. Co najmniej rok – powiedział.

– To mi w zupełności wystarczy – odparła, opierając się o płytę kuchenną. Starsza pani wyglądała na znacznie bardziej kruchą, niż Ódinn ją pamiętał, może dlatego, że zawsze widywał ją w grubym płaszczu. – Do tej pory na pewno nie będzie mnie na tym świecie.

– Ależ... – Ódinn miał nadzieję, że nie widać po nim zdenerwowania. – Chyba pani przesadza z tym pesymizmem – rzekł i sięgnął po kuferek z narzędziami.

– Nie, nie, mam już dość. – Kobieta zdawała się wcale nie żałować, że przyjdzie jej opuścić ziemski padół. – Tylko pana mi szkoda. Bo wtedy pan i pańska córka zostaniecie całkiem sami w tym domu. Ale może niedługo uda się sprzedać jeszcze kilka mieszkań. Córka na pewno ucieszyłaby się z jakiegoś towarzystwa do zabawy. Może jak mnie już tu nie będzie, do mojego mieszkania wprowadzi się jakaś rodzina z dziećmi.

– Na pewno będzie pani żyła znacznie dłużej, niż pani sądzi – powiedział Ódinn, przestępując z nogi na nogę. Powinien już pójść do siebie, ale nie chciał być niegrzeczny.

– No cóż, czuję, że to już niedługo – rzekła, poprawiając sobie kołnierz swetra wyjątkowo młodzieńczo wyglądającą dłonią. – Tak samo było z moją babcią i z moją mamą, zostały jak ja w porę uprzedzone. – Zostawiła w spokoju kołnierz, który opadł znowu na swoje miejsce. – Przepraszam, że zawracałam panu i pańskiemu bratu głowę tymi hałasami w korytarzu, ale po prostu nie wiedziałam,

co to może być.

– Nie bardzo rozumiem – bąknął Óðinn. Nagle pojemnik z narzędziami zaczął mu ciążyć, chociaż nie był wcale szczególnie ciężki.

– Wcale się nie dziwię – odparła starsza pani z uśmiechem. – W mojej rodzinie jest mianowicie tak, że każdego, gdy przyjdzie już jego czas, spotykają rozmaite niewyjaśnione historie. Na przykład słyszy się i widzi rzeczy, których w ogóle nie ma. Te odgłosy, o których wspominałam, to było właśnie coś takiego. Nie potrafię tego wyjaśnić, może to nawet lepiej, ale wszystko się układa w całość.

Óðinn głośno przełknął ślinę.

– Rozumiem.

Przełożył pojemnik z prawej ręki do lewej.

– Czyli słyszy pani coś, czego nie ma, tak?

Może coś jest nie w porządku z tym budynkiem, może szkodliwe opary farb i sztucznych materiałów źle wpływają na mózg. Óðinn nigdy by nie pomyślał, że doczeka takiej chwili, kiedy będzie liczył na to, że nawdychał się czegoś trującego.

– A może te halucynacje są wywołane przez jakieś substancje chemiczne? – pytał dalej.

– Nie, nie, mój drogi. To duch rodziny, i nie ma to nic wspólnego z żadnymi chemikaliami. Moja babcia opowiadała mi, że coś takiego przydarza się wtedy, kiedy jedną nogą jest się już w grobie. Gdy przybliży się godzina śmierci, człowiek nawiązuje więź z zaświatami. Wtedy nie za bardzo w to wierzyłam, ale teraz wiem, że to prawda – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Zostaje jeszcze trochę czasu, żeby poczynić odpowiednie przygotowania.

– Jest pani pewna, że to nie ma związku z otoczeniem? – nie ustępował Óðinn i najchętniej potrząsnąłby tą szczupłą kobietą, żeby usłyszeć od niej zaprzeczenie. – Pytam, bo doświadczam czegoś podobnego: słyszę i widzę rzeczy, których nie ma.

Z twarzy kobiety zniknął radosny wyraz, jej postać wydała się jeszcze kruchsza i słabsza niż dotąd.

– To mi się nie podoba. To mi się zupełnie nie podoba – bąknęła.

Tak więc jest skazany. Dopiero teraz Óðinn potrafił się z tego śmiać, dwie godziny po powrocie do swojego mieszkania. Co za głupota. Uśmiechnął się w duchu, podczas gdy w wiadomościach pokazał się czołg sunący przez opustoszałą ulicę. Może jej mieszkańcy doświadczyli ostatnio podobnych rzeczy jak on. Lufa obróciła się i wystrzelono w jakiś dom, który zniknął w ciemnej chmurze dymu.

– Kto napisał do ciebie te listy, tatusiu? – spytała Rún.

Trzymała w ręku siatkę z garażu Róberty. Po powrocie do biura Óðinn zostawił ją w samochodzie w obawie, że Diljá pokazałaby listy wszystkim, on zaś mimo wszystko wolałby nie musieć tłumaczyć się szefowi z ich nietypowej wycieczki. Przyjechawszy do domu, bał się z kolei, że ktoś mógłby włamać się do auta na parkingu przed blokiem – do garażu nie chciał oczywiście wjeżdżać – i dlatego zabrał siatkę i karton na górę.

– Ale jest ich dużo. Są stare?

Óðinn kiwnął na córkę, by przysłała do niego, starając się jednocześnie nie uronić nic z wiadomości, których przegląd akurat nadawano: niepokoje na Środkowym Wschodzie i spory w krajowym parlamencie. Te informacje mogły równie dobrze pochodzić sprzed nie wiadomo ilu lat. Wyjął córce siatkę z ręki. Jej gładkie i zimne palce dotknęły jego szorstkich i ciepłych dłoni.

– To są skarbie, rzeczy z biura. Nic ciekawego.

– Dlaczego u ciebie w biurze są takie stare listy?

– To nie są listy, które my piszemy do siebie w pracy. One mają związek z pewnym projektem. To dawna sprawa, niezbyt przyjemna – wyjaśnił Óðinn i wyciągnął rękę po pilota, po czym wyłączył telewizor. – Odrobiłaś już lekcje?

Rún nie odpowiedziała.

– Myślałam, że nie powinno się czytać listów do innych osób. Tak mówiła babcia.

– I miała rację, ale czasami człowiek jest zmuszony do pewnych rzeczy. Ja tych listów na razie nie czytałem i być może nie będę musiał.

– Jeszcze nigdy nie napisałam żadnego listu – powiedziała Rún, nie dając po sobie poznać, co sądzi o tym przeoczeniu w swoim życiu.

Zgarnęła grzywkę znad oczu i spięła ją spinką, co Óðinnowi przypomniało, że zamierzał iść z nią w tygodniu do fryzjera, ale zapomniał. Tyle było rzeczy, które powinien z nią zrobić, że już nie nadążał. Jak ludzie sobie radzą z więcej niż jednym dzieckiem? Ale kiedyś przyjdzie chyba czas, że Rún nie będzie go już tak potrzebować.

– Ja też nie napisałem zbyt wielu, chociaż jestem od ciebie dużo starszy. Piszę tylko e-maile. – Włożył listy z powrotem do siatki i odstawił ją na bok. – Musimy coś zrobić z twoimi włosami. Pamiętasz, mieliśmy wybrać się do fryzjera?

Rún poprawiła sobie spinkę.

– Tak jest dobrze. – Przez chwilę manipulowała przy dziecinnej kolorowej spince, po czym powiedziała: – Dzwoniła do mnie babcia.

– Tak? – Óðinn zrobił się czujny. – Kiedy?

– Dziś w południe. Jak byłam w szkole.

- Na komórkę?

Rún potaknęła. Óðinn sądził, że tylko on do niej dzwoni, i nikt inny. Spytał ją kiedyś, dlaczego nie odzywają się do niej koledzy ze starej szkoły, ale usłyszał w odpowiedzi jedynie tyle, że tam też nie miała dużo kontaktu z innymi dziećmi. Wprawdzie go to zszokowało, ale jednocześnie nie wiedział, jak to zmienić. Lára na pewno robiła, co mogła, a skoro jej się nie udało, to mało prawdopodobne, żeby jego nieporadne wysiłki, by podnieść popularność córki wśród dzieci, skończyły się sukcesem.

- Co chciała? - spytał.

- Żebym ją odwiedziła, ale ja nie mam ochoty.

- Porozmawiam z nią. Powiem jej po prostu, jak jest.

Rún zrobiła tak przerażoną minę, że aż było to śmieszne.

- Powiem jej, że potrzebujesz spokoju. - Kiedy zauważył, że nadal jest wylękniona, dodał: - Powiem zwyczajnie, że najbliższy czas chcemy spędzać razem i że nie planujemy na razie żadnych wizyt.

Przerażenie w oczach Rún zniknęło, ale nie do końca.

- A co z wujkiem Baldurem? Jego też nie będę mogła odwiedzać? Baldur i Sigga zaprosili mnie na piątek na pizzę i oglądanie filmu, nie pamiętasz?

Jego brat obiecał to Rún podczas ich ostatniej wizyty, uszczęśliwiony zachwytem swojej bratanicy.

- Babcia nie musi dokładnie wiedzieć, co robimy. Poza tym już dawno ustaliliśmy, że ich odwiedzisz.

Tak naprawdę nie chciał uczyć Rún, że czasami nic nie szkodzi, jeśli trochę nagnie się prawdę, ale jej dobre samopoczucie było dla niego najważniejsze.

Rún się uśmiechnęła.

- Okay. Możesz jej to teraz powiedzieć? Nie chcę, żeby jutro do mnie znowu dzwoniła.

Żadnej rozmowy nie obawiał się bardziej niż tej, ale rzeczy nieprzyjemne lepiej mieć jak najszybciej za sobą.

- Dobrze.

Zmierzył Rún od góry do dołu; jej chude ramiona wystawały z pogniecionego, spranego T-shirtu z nadrukiem Myszki Miki, z którego niedługo wyrośnie. Spod spodu wyglądał pępek i Óðinn przypomniał sobie jak przez mgłę, z jaką odrazą patrzył przed laty, jak Lára po urodzeniu się Rún usuwała pozostałości pępowiny i patyczkiem do czyszczenia uszu dezynfekowała czarny kikut. Jego córka nie zostałaby na pewno tak opatrzona, gdyby od samego początku wyłącznie on sam się nią zajmował.

– Tęsknisz za mamą? – zapytał.

– Tak, jasne. Staram się nie myśleć o niej za dużo, bo i tak jest mi źle. Nanna mówi, że powinnam wspominać miłe przeżycia z mamą. Że powinnam zachować ją w pamięci. Bo wtedy już jako dorosła będę się cieszyć, że jej całkiem nie zapomniałam. Ale to jest takie trudne. Jak dużo myślę o mamie, to w nocy mam jeszcze gorsze koszmary niż zawsze.

– Nie powinnaś się bać snów, Rún. To tylko jakaś bzdura, którą produkuje twój mózg, kiedy śpi i jest cały w rozsypce. Pewnie terapeutka ci to wyjaśniała. Śni ci się czasami, że spadasz?

Rún skinęła głową.

– I że potrafisz latać?

Potaknęła znowu i spinka zsunęła jej się z włosów. Wyjęła ją i znowu wetknęła wyżej.

– No widzisz. A przecież nie spadasz, kiedy tak ci się śni, i na pewno nie umiesz latać. To wszystko tylko bzdura. – Tak samo jak ludzie przeznaczeni śmierci, którzy widzą duchy.

– Wiem – rzekła Rún. – Ale w snach mama jest zawsze na mnie zła.

– Ona nie jest zła, dziecko. Zmarli nie mogą być źli, przecież wiesz. Po śmierci zapomina się o wszystkim, co złe, a zostaje tylko to, co dobre i ładne – wyjaśniał Óðinn, starannie dobierając słowa, jednak rezultat nie wypadł tak przekonująco, jak by sobie życzył. Terapia wyraźnie odnosiła już jakiś skutek, bo do tej pory za każdym razem, kiedy próbował rozmawiać z córką o Lárze i wypadku, ona chowała się od razu do swojej skorupy. – Może ci się rzeczywiście śni, że mama jest na ciebie zła, ale zapewniam cię, że w niebie nikt nie zawraca sobie głowy tym, czy ktoś posprzątał pokój albo powiedział coś brzydkiego. Tam liczy się już tylko to, co było dobre i dawało człowiekowi szczęście.

– Chciałabym, żeby mama po tym wypadku jeszcze chociaż krótko żyła. Kiedy wieczorem kładłam się spać, była na mnie zła.

Óðinn nie mógł jej pocieszyć. Lára zginęła na miejscu, wątpił też, czy Rún w czymkolwiek by pomogło, gdyby siedziała przy łóżku swojej umierającej matki.

– Wiem, co możesz zrobić. Kiedy ja będę rozmawiał z babcią, ty napisz list do mamy – zaproponował.

– Ale jak ona go przeczyta? – spytała Rún i skrzyżowała ręce na piersi, jednak ku zaskoczeniu Óðinna chyba nie odrzuciła jego pomysłu.

– Nie wiem, jeszcze nad tym pomyślimy. Może położymy go na grobie albo spalimy, tak żeby twoje myśli razem z dymem uniosły się do nieba. Albo zostawisz list w swoim pokoju i kiedy znowu przyśni ci się jakiś koszmar, powiesz wtedy mamie, żeby przeczytała sobie list. Co ty na to? Może przynajmniej spróbuj!

Rún zgodziła się z niezbyt wielką ochotą. Óðinn przyniósł blok z kartkami i długopis, po czym odesłał ją do jej pokoju. Tam będzie mogła w spokoju wyrzucić wszystkie zale własnej mamie, on zaś tymczasem zadzwoni do byłej teściowej. Zanim córka wyszła, zadał jej jeszcze jedno pytanie, które ostatnio wciąż go nękało:

– Chciałem cię o coś spytać, Rún. Jeśli nie chcesz, nie musisz mi odpowiadać.

– O co chodzi? – spytała ze zmarszczonym czołem.

– Czy jest możliwe, że tamtego ranka, kiedy zmarła mama, obudziłaś się i usłyszałaś, że ktoś był w mieszkaniu? Ktoś, kogo znasz?

Rún spojrzała na niego, nie bardzo go rozumiejąc, a Óðinnowi krążyły po głowie i to właściwe pytanie, i odpowiedź, którą chciał usłyszeć: „Czy ja tam byłem? Nie, tato, jasne, że ciebie u nas nie było”.

– Dlaczego o to pytasz?

W jej oczach pojawił się wyraz zakłopotania, jakby chciała go poprosić, żeby nie komplikował sprawy jeszcze bardziej. „Tylko mi nie mów, że mamie ktoś coś zrobił. Proszę, nie. Ona po prostu wypadła z okna”.

– Tak sobie, bez specjalnego powodu – odrzekł. Co za dureń z niego, żeby pytać ją o takie rzeczy!

– Nie widziałam nikogo. Spałam i w ogóle się nie obudziłam. Nikogo nie było w mieszkaniu, jestem pewna na sto procent.

Rún obróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju, trzymając blok przyciśnięty do piersi jak tarczę. Óðinn został sam, przerażony. Ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Rún kłamała. Znał ją na tyle dobrze, żeby to dostrzec. Ona coś widziała albo zapamiętała. To było potworne i być może stanowiło wyjaśnienie, dlaczego tak trudno przychodzi jej pogodzenie się ze stratą. Ale dlaczego nic nie mówiła? Niewątpliwie niewiele jest osób, które mogłaby chronić. Jedną z nich jest on.

Przestał rozmyślać i zadzwonił do teściowej.

– Halo – powiedział, opierając się wygodnie i wbijając oczy w sufit.

– Kto mówi? – spytała, jakby dzwoniło do niej nie wiadomo ilu mężczyzn.

– Óðinn.

– Ach. – Nie potrafiła ukryć rozczarowania. – Coś się stało?

– Nie, nie, nic takiego. – Óðinn tak raptownie się wyprostował, że aż zakręciło mu się w głowie. – Słyszałem, że dzwoniłaś do Rún, kiedy była w szkole.

– Tak, a nie wolno mi?

Co za dziecinna odpowiedź – przecież wiadomo, że jak babci chce się porozmawiać z wnuczką, to normalne, że dzwoni wtedy do szkoły.

Ódinn zauważył, że rozmowa zmierza w niefortunnym kierunku. Jak wszystkie między nimi. Oni dwoje po prostu nie umieją ze sobą rozmawiać, wcześniej czy później zawsze dochodzi do sprzeczki. Ciągłe to samo. Teściowa nie potrafiła wybaczyć, że opuścił córkę w najmniej właściwym momencie, a on nie mógł znieść, że mu o tym przypominano. Czy tak będzie wiecznie?

– Muszę ci coś powiedzieć, już dawno powinienem był to zrobić – zaczął.

– Co? – To małe słówko aż ociekało podejrzliwością.

– Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo jest mi przykro, że między mną a Lárą tak się ułożyło. Nie mówię, że to błąd, że od niej odszedłem, ale może powinienem był się bardziej starać i lepiej traktować i ją, i Rún. Teraz już za późno, żeby to zmienić, mimo wszystko chciałbym ci powiedzieć, że bardzo tego żałuję. Ogromnie żałuję.

– Rozumiem – rzuciła, nie kryjąc zawodu w głosie, jakby bardziej jej odpowiadało, gdyby wyznał jej coś, co jeszcze silniej podsyciłoby niezgodę między nimi. Niewykluczone, że nienawiść do niego była jedną z nielicznych rzeczy, które nadawały jej życiu sens. – Mam nadzieję, że mówisz szczerze.

– Tak.

– Dzwonisz, żeby tylko to mi powiedzieć?

– Nie, właściwie w ogóle nie zamierzałem o tym rozmawiać, choć już najwyższy czas.

– Wobec tego jaki jest prawdziwy powód?

– Chciałem jedynie wyjaśnić, że Rún odbywa teraz terapię, by uporać się ze stratą. – Ódinnowi po prostu nie przechodziły przez gardło słowa „śmierć Láry”. – Przeżywa trudny okres, źle sypia i jest w nie najlepszej formie, dlatego mam nadzieję, że terapia jej pomoże. – Po drugiej stronie panowała grobowa cisza, więc Ódinn dodał pospiesznie: – Teraz jest jej potrzebny przede wszystkim spokój. Dlatego liczę na to, że zrozumiesz, że na razie Rún nie będzie cię odwiedzać. – Nadal milczenie. – Jesteś tam?

– Tak.

– Proszę, nie bierz tego do siebie osobiście. To tylko tak na razie.

– Rún nie potrzebuje terapii. Ona potrzebuje ciebie i mnie. Gdybyś był ojcem z prawdziwego zdarzenia, od razu byś to zrozumiał. Jak człowiek już raz znajdzie się w trybach tego psychologicznego młyna, nigdy się z niego nie uwolni. Wpychasz córkę w uzależnienie od terapii do końca życia.

– To nie jest żaden psychologiczny młyn, tylko indywidualna psychoterapeutka, na dodatek kobieta. Specjalizuje się w problemach dzieci i nie będzie zajmować się Rún ani chwili dłużej niż to konieczne. Spotkałem się z nią i jestem w stanie lepiej to ocenić od ciebie.

- Ależ z ciebie tępak - powiedziała i rozłączyła się.

Już dawno mu się nie zdarzyło, żeby ktoś rozmawiając z nim, tak po prostu cisnął słuchawkę. Óðinn był zbyt zaskoczony, by czuć się obrażony czy zły. Przecież wiedział od samego początku, że ta rozmowa skończy się fatalnie. Sądził jednak, że pokłóćą się o odwiedzinę Rún, a nie o to, że on próbuje pomóc własnej córce. Czyżby teściowa także podejrzewała, że Rún widziała lub słyszała więcej, niż twierdzi? Czyżby sądziła, że on miał z tym wszystkim coś wspólnego? Mieszkała na tej samej ulicy, dwa domy dalej, i mogła zobaczyć przez okno, jak w tamten nieszczęsny poranek, zataczając się, wszedł do Lóry. Albo właśnie wkładała pranie do pralki, zobaczyła go, a potem skłamała, że przyniosła bieliznę do córki poprzedniego wieczoru, żeby nie musieć przyznać, że widziała swojego byłego zięcia. W takim przypadku byłoby całkiem zrozumiałe, że nie chce teraz, aby ktoś grzebał we wspomnieniach wnuczki. Jej miłość do niej jest niewątpliwie silniejsza niż nienawiść do Óðinna. Rún przeżyłaby nieopisany szok, gdyby się okazało, że mamę zabił tata. Ale może wyobraźnia za dużo mu teraz podszeptuje - w końcu to podobne do tej kobiety, tak po prostu rzucić słuchawkę.

Bardzo by chciał jeszcze raz przywołać w pamięci wydarzenia tamtego poranka. Może dałoby się je ożywić przez hipnozę, mimo że był wtedy pijany. Przecież gdzieś w mózgu musiały się znajdować strzępy owych obrazów, trzeba je tylko wydobyć. Im dłużej Óðinn się nad tym zastanawiał, tym bardziej zatrząsała go myśl o tamtym facecie - raczej nie mógł na to liczyć, że on będzie trzymał język za zębami, jeśli wyjdzie na jaw coś sprzecznego z dotychczasową wersją wydarzeń.

Óðinn wstał. Nie było idealnego rozwiązania. Jeśli rzeczywiście miał coś wspólnego ze śmiercią Lóry, nie chciał tego wiedzieć. Może jego podświadomość uznała, że najlepiej będzie zablokować wspomnienia, a klucz do nich wyrzucić. Tymczasem umysł usiłował je wydobyć z powrotem na powierzchnię i stąd te osobliwe przywidzenia. On nie jest przeznaczony śmierci. Musi po prostu sam sobie powiedzieć, że w ogóle nie maczał w tym palców, powinien przestać łamać sobie głowę i poprosić terapeutkę, żeby już nie wypytywała Rún o poranek po wypadku. Chyba że rozmowa na ten temat miałaby jej pomóc w dojściu do siebie.

- Skończyłam. - Córka wyciągnęła w jego stronę blok papieru i pojedynczą kartkę, którą już złożyła, tak by dało się ją wsunąć do koperty. - Tylko nie wiem, co mam zrobić, żeby mama mogła to przeczytać.

Spojrzała na niego, a on zdziwił się nagle, jak bardzo jest podobna do swojej matki. Wziął od niej list i wyjątkowo intensywnie poczuł go między palcami. Może jest w nim coś, co rozjaśniłoby całą tę historię. Ta myśl przekonała go ostatecznie, że w żadnym wypadku nie chce wiedzieć wszystkiego, nie chce, by potwierdziło się to najgorsze, nawet jeśli miałyby to jednocześnie oznaczać, że nadal będą go nękały przywidzenia.

– Chyba wiem, co powinniśmy z nim zrobić – powiedział i uśmiechnął się blado do córki. – Spalimy go. Wtedy dym poniesie jego treść do mamy do nieba. Skończą się twoje koszmarne sny i wszystko będzie dobrze. Czuję to.

Rún odpowiedziała mu uśmiechem, po czym wyszli oboje na balkon. Óðinn otworzył wieko grilla, ostrożnie włożył do środka kartkę i osłonił ją od wiatru. Potem umieścił na niej podpałkę i zapalił. W milczeniu razem obserwowali płomienie, które wżerały się w biały papier, aż w końcu zamienił się w popiół. Rún przyglądała się, jak dym unosi się ku niebu i rozptywa w ciemności.

– Lepiej się teraz czujesz?

– Tak, dużo lepiej – odpowiedziała z uśmiechem. – Dużo, dużo lepiej. Teraz mama nie jest już na mnie zła.

– Na pewno.

Weszli z powrotem do ciepłego mieszkania. Óðinn od razu zauważył, że Rún była jak uskrzydłona i zachowywała się swobodniej. Gdyby to mogło dotyczyć i jego. On wrócił do pokoju ciężkim krokiem. Kiedy list zaczął zwijać się w ogniu, zdołał przeczytać fragment zdania: „...Wybacz, proszę, tacie, on nie zrobił tego specjalnie...”.

luty 1974

Noc okazała się równie piękna jak zachód słońca. Między chmurami czarne niebo było usiane tysiącem gwiazd i chociaż tarcza księżycy była widoczna tylko w połowie, jego blask wystarczająco oświetlał Aldís drogę przez śnieg. W szkole podstawowej wychowawca opowiadał im kiedyś, jak to dawniej wierzono, że niebo jest ogromną kołdrą, która oddziela królestwo niebieskie i ziemię, a gwiazdy to dziury w kołdrze, przez które przedziera się srebrzyste boskie światło szczęśliwości. Aldís przysłuchiwała się tej opowieści z fascynacją, pod koniec podniosła palce w górę i spytała, dlaczego Bóg nie kazał aniołom zacerować tych dziur. Jej mama umiałaby to zrobić, a w niebie na pewno jest mnóstwo mam, które mogłyby pomóc. Jej koleżanki i koledzy z klasy zachichotali, nauczyciel uśmiechnął się dobrodusznie i wyjaśnił, że pewnie te dziury są zostawione specjalnie po to, żebyśmy my, na Ziemi, wiedzieli, jak jasno i pięknie jest u Pana Boga. Ponieważ nikt z nieba nie wraca, może to jedyny sposób, by pokazać nam, ludziom, wspaniałość Królestwa Niebieskiego. Aldís uznała, że najwyższa już pora, aby Bóg podarował Ziemi trochę tej wspaniałości.

W mroźnej ciszy z jej ust dobywały się białe obłoczki pary i śnieg skrzypiał pod stopami. Szła bardzo powoli, bo bała się, że ktoś może nie spać i ją usłyszy. Głównie obawiała się Veigara, że stoi ukryty w swojej sypialni za firanką i czatuje na dziewczynę, która według niego kręci się nocą po podwórzu. Jej spojrzenie co rusz wędrowało ku szczytowi domu, skąd wgapiło się w nią okno z białą firanką. Wyobraziła sobie, że Veigar siedzi tam po ciemku w dużym, ciężkim fotelu, który z takim trudem przesuwiała podczas sprzątanía, i śledzi ją przymrużonymi świńskimi oczkami. Gdyby ją teraz przyłapał, nikt by już nie uwierzył, że do tej pory każdą noc spędzała w swoim pokoju. Aldís objęła się ramionami, chociaż dobrze wiedziała, że zimno, które ją przeszywa, pochodzi od środka, a nie z zewnątrz. Starła się pilnować, żeby jednak nie zerkać w stronę domu Lilji i Veigara, tylko skupić spojrzenie na swoim celu. Droga do niego nie była długa, a jednak niesamowicie odległa. Dlaczego w ogóle się na to zdecydowała, ona jedna i tylko gwiazdy? Bo niczego nie pragnęła tak bardzo, jak odzyskać swoje listy z piwnicy.

Właściwie powinna być Tobbiemu wdzięczna, ale była wściekła na niego. Wiedziała, że powinna być zła raczej na siebie, lecz to nigdy jej się nie udawało. Zwykle to innym przypisywała winę za własne nieszczęście i błędy. To przecież

ona sama wydusiła z niego wszystko, tyle że on powiedział jej też rzeczy, których w ogóle nie chciała wiedzieć. Jeśli nawet nie spoglądała teraz na tamto drzewo, i tak cały czas o nim myślała, wręcz miała wrażenie, że słyszy szelest kilku uschniętych liści, które jesienią nie opadły z gałęzi. Ten szelest rozchodził się jak cichy szept między zabudowaniami wokół podwórza.

Ptaka nigdzie nie było widać. Aldís od razu lepiej by się poczuła, gdyby wiedziała, że jest gdzieś w pobliżu. Kiedy zauważyła go ostatnio, był strasznie wychudzony i wyskubany. Dlatego po kolacji dołożyła jeszcze kawałeczek masła do okruchów chleba, które od rana leżały na ziemi nietknięte. Może jednak nic mu się nie stało, tylko tęskni za wiosną.

Minęła samochód Veigara. Po ostatnich zawiejach auta prawie nie było widać spod śniegu. Chłopcy będą musieli je odkopać. Ale jak tylko dogrzebią się szuflami do jasnyniebieskiego lakieru, wtedy odstawią na bok łopaty i resztę usuną rękami. Aldís kiedyś im pomogła zrywać z rękawiczek kawałki zamrożonego śniegu, bo mieli tak sztywne od mrozu dłonie, że nie byli w stanie zrobić tego sami. W dniu swojego wyjazdu postara się o gwóźdź i porysuje nim karoserię. To najlepsza zemsta za chłopców, którzy po pobycie w Krókur będą mieli podmrażane dłonie. Księżyc odbijał się w szybie samochodu, ale Aldís nie potrafiła zdobyć się na to, żeby zajrzeć do środka. Bo to było jeszcze straszniejsze niż zerkanie na okna budynków. Ci za oknami domów nie mogli jej schwytać, ale jeśli ktoś siedzi w aucie, wystarczy, że złapie za klamkę i pchnie drzwi. Mógłby w ułamku sekundy ją obezwładnić. Aldís nie potrafiła oderwać oczu od samochodu i nawet szła kilka kroków tyłem, żeby nie mieć go za plecami. W śniegu nie widać było żadnych śladów, czyli pojazd stał od wielu dni nieużywany.

Kamień spadł jej z serca, gdy w końcu dotarła do celu. Otworzyła ostrożnie drzwi, starając się, żeby nie skrzypnęły w zawiasach. Księżyc akurat przesłoniła chmura, toteż Aldís nie widziała nawet własnej ręki, kiedy z kieszeni kurtki wyciągała świeczkę i zapalki. Z domu nie dochodziły żadne odgłosy poza tykaniem wielkiego stojącego zegara znajdującego się w niszy za przedsionkiem. Do tej pory odbierała zawsze jego jednostajne odmierzanie czasu jako przyjemne, bo przypominało jej zdobiony snycerką zegar stołowy, który dziadek przywiózł do domu ze swojej ostatniej wyprawy statkiem handlowym. Aldís nigdy nie poznała dziadka, bo w tym samym dniu, kiedy wrócił, umarł, zawsze jednak miała wrażenie, że w tykaniu zegara słyszy bicie jego serca, a ono jej mówiło, że chociaż los nie obdarzył jej kochającym ojcem, ma dziadka czuwającego nad nią w niebie. Tykanie dużego zegara w niszy raczej nie miało nic wspólnego z mową serca, tylko odliczało godziny do dręczącego punktu zwrotnego.

Aldís знаła na parterze każdy zakamarek, ale w ciemnościach wszystkie proporcje jakby uległy zachwianiu. Wchodząc do środka, wpadła na futrynę i o mało nie przewróciła małego stolika w korytarzu. Płomień świecy migotał i płatał

jej psikusy. Żółtawy blask nie sięgał zbyt daleko, rozjaśniał drogę tylko pod samymi stopami. Dlatego starała się wyciągnąć rękę ze świecą jak najdalej od siebie i posuwała się bardzo powoli. Znajome otoczenie tańczyło w rytm drgania płomienia. Jej kroki stawały się coraz cięższe. Kiedy w końcu dotarła do kłapy w podłodze zakrywającej wejście do piwnicy, najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła jak najprędzej. Wzięła się jednak w garść, złapała żelazny uchwyt i pociągnęła klapę do góry. Przez chwilę wpatrzyła się w drewniane schody prowadzące na dół i usłyszała własny przyspieszony oddech. Pierwsze stopnie było widać wyraźnie, ale dalej rozlewała się ciemność. Uderzył ją odór zgnilizny. Pochyliła się i zaczęła ostrożnie schodzić. Hałas wywołany przez klapę, która z hukiem zamknęła się za nią, rozszedł się echem po całym korytarzu. Aldís musiała zmobilizować całą swoją odwagę, by nie zawrócić.

Dotarwszy na dół, zabrała się od razu do roboty. Pragnienie wydostania się stąd i wyjścia na zewnątrz było tak przemożne, że wciąż ponaglała samą siebie. Szybko znalazła skrzynkę na regale – stała wśród żarówek, proszków do prania i rolek papieru toaletowego. Widok tych codziennych przedmiotów podziałał na nią uspokajająco, bo nawet w tym migoczącym blasku nie wyglądały złowrogo. Zdjęła skrzynkę z półki, starając się jednocześnie nie upuścić świecy. Swoje listy postanowiła zabrać na górę, a te do Einara chciała przejrzeć na miejscu. Wydawało jej się to mniejszym złem: przeczytanie ich to nie takie samo przestępstwo jak kradzież.

Listy nieadresowane do niej ani do Einara odkładała na stopnie schodów. W porównaniu z liczbą wychowanków przebywających w Krókur było ich zadziwiająco mało. Może gdzieś w piwnicy stoi jeszcze jedna skrzynka ze starszą korespondencją albo po prostu za chłopcami nikt specjalnie nie tęsknił. Po niektórych kopertach widać było, że oderwano je od paczek, lecz ani jedna nie stała w całej piwnicy. To naprawdę niepojęte, że Lilja i Veigar dopuszczali się tego, żeby zabierać dzieciakom słodczyce i inne drobiazgi.

Aldís znalazła sporo kopert z charakterem pisma swojej matki i za każdym razem, kiedy stwierdzała, że są otwarte, ogarniała ją wściekłość. Wepchnęła wszystkie do kieszeni kurtki i zajęła się listami do Einara. Uporządkowała je chronologicznie, chociaż stemple pocztowe porządnie już wyblakły. Na żadnej kartce nie widniała data, jakby treść listów była ponadczasowa.

Pierwszy pochodził od matki Einara, podobnie ostatni. W tym pierwszym kobieta pisała, jak bardzo za nim tęskni, i robiła niejasne aluzje do tego, „co zrobiliście”, nie mówiąc dokładnie, o co i o kogo chodzi. Pisała też, że czas goi wszystkie rany i że Einar nie powinien za dużo o tym myśleć ani nie mieć wyrzutów sumienia, żeby nie ucierpiała na tym jego dusza. Aldís uniosła brwi, bo Einar ani trochę nie robił na niej wrażenia skruszonego grzesznika. A jeśli mimo wszystko gryzł się z powodu swoich uczynków, to umiał to dobrze ukryć.

Ciekawość Aldís rosnęła w miarę lektury. Przebiegła wzrokiem ostatni list od matki Einara, ale nie stała się od tego mądrzejsza. Kobieta wspominała, że próbowała przekazać mu pewną wiadomość, ale nie wie, czy do niego dotarła. Aldís poczuła ukłucie w żołądku, kiedy doszła do tego miejsca. Wiedziała przecież, że list czytali Lilja z Veigarem, na szczęście to zdanie było tak ogólne, że każdy mógłby wchodzić w rachubę, nawet jakiś urzędnik z Reykjavíku. Ale i tak przeczytała je wiele razy, dopóki się nie upewniła, że nie sposób wysnuć z niego jakiegokolwiek związku z nią. Cała reszta nie była dla niej interesująca – biadolenie, jak bardzo matka Einara tęskni za synem i jaka jest z niego dumna, że podjął taką decyzję. Co to za decyzja, nie mówiła, dodała jedynie w paru słowach, że dzięki niej uratował swoje dobre imię i własną przyszłość.

Rozzłoszczona na matkę Einara, że nie wyraża się wystarczająco jasno, Aldís wzięła do ręki kolejne listy do niego. Były napisane zupełnie innym, dziewczęcym charakterem pisma, co ją zdziwiło. Przebiegła wzrokiem linijki, zastanawiając się, czy przypadkiem nie skreśliła ich jego siostra, wiedziała jednak, że to niemożliwe. Żadna siostra nie poświęca bratu tyle uwagi: znalazła prawie dziesięć identycznych kopert, a przecież Einar jest w Krókur dopiero od niedawna. Na dodatek każda z nich była ozdobiona w rogu serduszkami. Ich autorka używała niebieskiego papieru listowego i pasujących do niego kopert. Te listy wyglądały o wiele wytworniej niż pozostałe znajdujące się w skrzynce. Na pewno przyszły z zagranicy. Z Kopenhagi, Paryża albo Londynu. Aldís czuła, jak wzbiera w niej zazdrość.

Wszystkie co do jednego pochodziły od dziewczyny o imieniu Eyjalín. Pisała swoje imię z serduszkami nad „i” zamiast kreseczki. Eyjalín to o wiele ładniejsze imię niż Aldís, takie niezwykle i egzotyczne. Aldís przypomniała sobie twarz ładnej dziewczyny ze zdjęcia w portfelu Einara. To pewnie ona. Imię idealnie pasowało do jej wyjątkowej urody. Powąchała pierwszy list, który wyciągnęła, jednak zamiast spodziewanej woni perfum poczuła jedynie zgniły zapach piwnicy. Chociaż ta stęchlizna była odrażająca, odezwała się w niej radosna ciekawość – całkiem nowe uczucie i miła odmiana w porównaniu z wieczną złością i strachem.

Kiedy zabrała się do czytania listów, zauważyła, że serduszka na kopertach tworzą pewien system. Jeśli serce było przebite strzałą, autorka tryskała nieprzytomną miłością, natomiast złamana strzała oznaczała, że przepełnia ją smutek lub kipi z wściekłości. Kopert ze złamanymi strzałami nie brakowało, a ostatnie cztery były ozdobione w ten właśnie sposób.

Czytając, Aldís zapomniła o bożym świecie. Ciekawość, zazdrość i brak zrozumienia wyparły lęk przed ciemnością. Eyjalín wyznawała Einarowi w wylewnych słowach swoją miłość, lecz w miarę upływu czasu coraz częściej pytała, dlaczego jej nie odpowiada i czy już o niej zapomnieli. Wspominała o

swoim ojcu, pisała, że ponieważ próbuje go przekonać, aby wybaczył Einarowi, ojciec jej nienawidzi. Jeśli nic się nie zmieni, powinni razem gdzieś uciec, na północ Islandii lub nawet za granicę. Najbardziej odpowiadały jej Ameryka, opowiadała o podróży do Nowego Jorku z rodzicami kilka lat temu. Mogliby się tam pobrać i żyć, tak by już nigdy nikt nie mieszał się w ich sprawy. Wprawdzie nie będą mogli mieć dzieci, ale jej i tak na nich nie zależy i jemu też nie. To było stwierdzenie, nie pytanie, więc Aldís domyśliła się, że pewnie już rozmawiali ze sobą o wspólnej przyszłości. Jednak w innym miejscu pisała, że chce mieć z nim dzieci – plany na przyszłość zdawały się zmieniać z dnia na dzień. O swojej matce wspomniała tylko raz, mówiąc, że stara wciąż nie potrafi spojrzeć jej w oczy. Między tym wszystkim pisała krótkie, niezrozumiałe zdania na temat własnego stanu zdrowia, które jakby na siłę wpychały się do jej świadomości. Nie wynikało z nich jasno, o jaką chorobę chodzi ani czy związana jest z bólem. „Lekarz powiedział, że miałam szczęście. Ciągłe krwawię. Źle się czuję. Środki przeciwbólowe całkiem mnie otępiają. Chcą, żebym wróciła do szpitala”.

Z listów Eyalín nie wynikało niestety, jakiego przestępstwa dopuścił się Einar. Aldís włożyła z powrotem koperty do skrzynki i trochę je przemieszała, żeby nikt się od razu nie zorientował, że ktoś grzebał w poczcie. Rozwścieczona, że nie uzyskała wyjaśnień, na jakie liczyła, energicznie nią potrząsnęła. Jednak złość całkiem jej przeszła, kiedy po zamknięciu wieka skrzynki przebrzmiał szelest papieru i znowu zaległa śmiertelna cisza. Aldís na nowo poczuła grozę otoczenia. Płomień zaczął kopcić, należało przyciąć zbyt długi knot. Ale dopóki płomień się palił, nie przeszkadzał jej ciemny dławiący dym. Gdy ze świecą w dłoni zamierzała się wyprostować, jej spojrzenie padło na list, który najwyraźniej wysunął się z całego pliku i upadł obok niej na stopień schodów. Niebieska koperta była dobrze widoczna. Znajdowało się na niej energicznie przekreślone serduszko. Aldís wyjęła z niej kartkę.

Kim jest ta flądra? Widziałam Was razem! Nigdy ci tego nie wybaczę, myślałam, że mnie kochasz. Jak możesz woleć ją ode mnie? Jest zaniedbana, brzydko ubrana i tępa. Ma ohydne szczecinowate włosy, a w jej rozczochranym końskim ogonie pewnie są wszy. Ona nie wie nawet, co to gumka do włosów i związuje je sobie sznurowadłem! A ten obrzydliwy liliowy sweter dostała na sto procent z jakiejś pomocy społecznej przed zimą. To jakaś wywłoka!

Aldís oderwała oczy od kartki i ponad światłem świecy spojrzała w ciemność. Ma liliowy sweter, który, owszem, jest już dosyć znoszony, ale to bezczelność mówić, że wzięła go od pomocy społecznej. Nosi koński ogon. I raz rzeczywiście związała go sznurowadłem, bo nie mogła znaleźć gumki. Poczowała się tak dotknięta, że aż łzy napłynęły jej do oczu. Matka powiedziała kiedyś, że jak

człowiek podsłucha innych, to rzadko usłyszysz coś miłego o sobie. Nie jest elegantką, dobrze o tym wie. Nie jest w ogóle fajna i dziewczyny z lepszych domów uważają ją pewnie za flejtucha. Nigdy nie zostanie stewardesą. Aldís wzięła znowu list do ręki i zmusiła się do przeczytania ostatnich linijek. Jednak nie doszła do końca.

Jeśli jeszcze raz zamienisz z nią słowo, zamorduję ją, Einar. Powinieneś mnie kochać! Jesteś mi to winien! Tata mówi, że teraz pewnie żaden nie będzie chciał się ze mną ożenić. Więc ty musisz to zrobić. Albo ją zamorduję.

Aldís usłyszała nad sobą trzeszczenie podłogi.

Odwiedzanie oddziałów geriatrycznych i domów starców nie należało do przyjemności. Ich pensjonariusze spoglądali na każdego przybysza z nadzieją, że wreszcie przyszedł ktoś, kto poświęci im czas. Ódinn patrzył prosto przed siebie, lecz kątem oka i tak widział, jak w mijanych salach z wysiłkiem unoszono głowy znad poduszek, żeby zobaczyć, kto idzie. Przypomniało mu się, jak kiedyś przygotowywał ofertę pracy przy realizacji jakiegoś projektu przez firmę Baldura. Pamiętał, że umieszczenie więcej niż jednego robotnika w pokoju było surowo zabronione. A tu w jednym pomieszczeniu leżały niekiedy cztery osoby. Ódinn wyprzedził starszą kobietę, która poruszała się za pomocą chodzika. Na szyi miała zawieszoną plakietkę z nazwą placówki i numerem telefonu.

Zdenerwowana pielęgniarka pokazała Ódinnowi drogę do sali ogólnej na końcu korytarza, gdzie czekała na niego Lilja Sævarsdóttir. Wcześniej zastrzegł, że nie chce rozmawiać z nią w jej pokoju, w obecności pozostałych współmieszkanek. Na ścianie wisiała kopia obrazu Gunnlaugura Schevinga: stojący na łodzi mężczyzna ubrany w żółty gumowy płaszcz i kapelusz rybacki wciąga na pokład rybę. Oprócz tego w sali znajdował się duży telewizor o pomazanym ekranie i regał z różnymi bibelotami i kilkoma książkami, prawdopodobnie pozostawionymi tu przez pensjonariuszy, gdy przeniesiono ich gdzie indziej albo gdy po prostu umarli. Biorąc pod uwagę fizyczną i psychiczną kondycję tutejszych mieszkańców, Ódinn wątpił, by ktokolwiek kłócił się tu o książki.

W świetlicy siedziała na wózku kobieta i patrzyła przez duże okno z na wpół zaciągniętymi zasłonami. W głębi ulicy widać było wieżę kościoła, w którą miała wlepiony wzrok. Jak wynikało z dokumentów dostępnych Ódinnowi, małżeństwo kierujące domem w Krókur było kiedyś mocno religijne, ale to przecież mogło się zmienić.

Po jej twarzy nie dało się poznać, jak mogła wyglądać w młodych latach. Błede oblicze poprzecinane głębokimi zmarszczkami było naznaczone upływem czasu. Przez siwe włosy przeświecała skóra usiana brązowymi plamami. Z rękawów robionego na drutach swetra wystawały żylaste dłonie o powykrzywianych palcach. Kiedy obróciła się w jego stronę, zobaczył wodniste oczy przesłonięte mgłą.

– Wy, młodzi ludzie, nie macie w ogóle pojęcia.

– No tak, możliwe – rzekł Ódinn, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. – Czy pani Lilja?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko grzmiała dalej:

– Ten zapomniany przez Boga naród nie czeka nic dobrego. Ten naród jest na wymarcu.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Nie powiedziałbym tego – odparł Óðinn. Z korytarza dobiegał szcęk talerzy. Właśnie skończyła się pora obiadu i Óðinn, idąc do niej, musiał przecisnąć się obok ogromnego stalowego wózka, na który pracownicy zbierali tace po posiłku.

– Nazywam się Óðinn i pracuję nad raportem dotyczącym domu opieki w Krókur.

– Wiem. Co stało się z tą kobietą?

– Z jaką kobietą?

– Która tu u mnie była. Ona też mówiła, że pisze raport. No więc kto jeszcze pisze ten raport?

– Przejąłem projekt po śmierci Róberty.

Jego rozmówczyni nie zareagowała na usłyszaną nowinę. Śmierć w tym miejscu jest czymś powszednim i z jej powodu nie robi się problemu.

– Nie szkodzi, i tak wolę rozmawiać z mężczyzną. Tylko niech mi pan nie zadaje tych samych pytań, mój drogi. To okropnie nudne.

– No niestety, pytania będą się trochę powtarzać, proszę o wyrozumiałość – zastrzegł Óðinn.

Kobieta ciężko westchnęła.

– Co to za półgłówki pracują w tym zapomnianym przez Boga urzędzie!

Óðinn podszedł do ciężkiego fotela stojącego obok kanapy i przesunął go naprzeciw kobiety. Z obawy przed jej reakcją nie chciał obracać wózka, na którym siedziała. Usiadł i wyjął swoje papiery.

– Nie wiem, czy śledziła pani swego czasu doniesienia na temat Breiðavík i innych domów – zaczął.

– Głupia gadanina – parsknęła, po czym odwróciła od niego wzrok i znowu zapatrzyła się w okno. Jej głowa cały czas się chwiała, jakby ona nie była już w stanie nią kierować. Óðinn uznał, że po prostu nie chce mu patrzeć w oczy, może z powodu wyrzutów sumienia. Nagle dodała sucho: – To hańba, jak potraktowano tamte domy, a teraz też wiadomo, czego można się spodziewać. Jakież urzędasy chcą się wybić, obrzucając mnie i Veigara błotem, a on nie może się już nawet bronić. Przecież każdy widzi, jaka to błaha sprawa. Ale pan i panu podobni będziecie teraz promować się w radiu i gazetach naszym kosztem, a to wszystko jest bardzo mocno naciągane. Bardzo proszę! Co mam jeszcze powiedzieć? Niech pan nie zapomina, że pańskie czyny w dniu Sądu Ostatecznego zostaną położone na szali sprawiedliwości.

– Naszym celem nie jest bynajmniej osądzanie kogokolwiek. Sprawdzamy jedynie, jak władze obchodziły się z dziećmi w okresie przypadającym akurat na lata, kiedy pani z mężem prowadziliście dom wychowawczy w Krókur. Nie jestem tutaj po to, żeby szkodzić pani dobremu imieniu, ale by dać pani szansę opowiedzenia, jak było. Oczywiście wszyscy zainteresowani mają nadzieję, że nasze badanie potwierdzi, iż w Krókur wszystko przebiegało prawidłowo.

– A jak pana zdaniem taki dom powinien być prowadzony? – spytała, zwracając się znowu do niego, przy czym jej głowa ciągle się chwiała.

Ódinn najchętniej zepchnąłby ją razem z jej wózkami z balkonu świetlicy, bo wzbudzała w nim ogromną odrazę, ale na samą myśl o tym aż się wzdrygnął. Po wczorajszym wieczorze nie myślał o niczym innym, tylko ciągle o swoim ewentualnym udziale w wypadku Láry. Musi jak najszybciej wziąć się w garść.

– Mamy oczywiście nadzieję, że do dzieci odnoszono się z szacunkiem i miłością – powiedział.

– Żałosne kreatury! Wszyscy razem!

Ódinn nie wiedział, czy kobieta ma na myśli jego i jego kolegów, czy chłopców z Krókur. Nieważne. To i tak niczego nie zmieniało, bo ona jest już jedyną osobą broniącą ówczesnych metod pracy kierownictwa domu i ówczesnych władz. Dlatego dopóki odpowiadała na jego pytania, mogła się spokojnie obruszać.

– Chciałbym razem z panią wyjaśnić kilka kwestii dotyczących Krókur. Zdaję sobie sprawę, że Veigar nie może już mówić za siebie, i nie wiem też, do ilu pracowników z tamtych lat uda nam się dotrzeć. Wprawdzie znalazłem kilka nazwisk, ale już tylko nieliczni są chyba przy życiu, większość widocznie była starsza niż pani i pani mąż.

W kartonie w garażu Róberty natrafił między innymi na zestawienie płac. Lista pracowników była bardzo krótka i Ódinn przypuszczał, że brakowało na niej kilku osób. Zadzwoił do urzędu meldunkowego i sprawdził, kto z wymienionych jeszcze żyje. Okazało się, że tylko troje.

– Przypuszczam zresztą, że lista, którą mam, nie obejmuje wszystkich. Ilu pracowników mieli państwo przez te cztery lata?

– Już nie pamiętam. Ciągłe się zmieniali.

– Dziesięciu? Dwudziestu? Trzydziestu? – nie ustępował.

Na jego liście było dwanaście osób. Kobieta z wysiłkiem uniosła głowę i mamrocząc pod nosem, zaczęła liczyć na palcach. Potem położyła z powrotem dłoń na oparciach swojego wózka i spojrzała na niego zadowolona z siebie.

– Około piętnastu. Musi pan wiedzieć, że mam dobrą pamięć, nawet jeśli mylą mi się nazwiska – rzekła, pukając się w pomarszczone czoło palcem wskazującym o napuchniętych kostkach i pożółkłym paznokciu.

- A jeśli przeczytam pani nazwiska, będzie mi pani mogła powiedzieć, kogo brakuje?

- A skąd mam to już teraz wiedzieć, ty głupku? Niech mi pan najpierw przeczyta te nazwiska, a dopiero potem pyta!

Ódinn, zgrzytając zębami, zaczął czytać. Kobieta przekrzywiła lekko głowę, przy czym podbródek opadał jej coraz niżej, aż wreszcie otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu znieruchomiła. Zamknęła oczy i przy każdym nazwisku potakiwała. Dopiero kiedy Ódinn skończył, odezwała się:

- Nie wiem, czy kogoś brakuje, ale mam wrażenie, że niektórych nazwisk nigdy dotąd nie słyszałam. Jest pan pewien, że oni wszyscy pracowali w Krókur?

Ódinn wyjaśnił, że tego nie wie i że to są jedyne informacje, jakimi dysponuje.

- Paru brakuje. - Zmarszczki na jej twarzy jeszcze bardziej się pogłębiły. - Tej dziewczuchy.

- Dziewuchy? - powtórzył Ódinn. Na liście były same męskie nazwiska. - Pamięta pani, jak ona się nazywała?

- Nie, przecież mówiłam panu, że mylą mi się nazwiska. To była podła dziwka.

- To niewiele mi wyjaśnia.

Nie udało mu się wydobyć z Lilji, jak nazywała się tamta kobieta, usłyszał tylko kolejne obelgi pod adresem byłej pracownicy. Nie chciał ułatwiać niczego starszej pani i dlatego nie spytał, z jakiego powodu uważała tę dziewczynę za dziwkę. Skierował rozmowę na inny temat.

Spytał więc, jak obchodzono się z chłopcami w Krókur, jakie mieli zajęcia, co dostawali do jedzenia i w ogóle jak zaspokajano ich potrzeby. Chociaż Lilja wciąż odpowiadała opryskliwie, mimo wszystko zdołał wyciągnąć z niej kilka podstawowych informacji. Jak wynikało z jej wypowiedzi, w zależności od potrzeby i w stosownym zakresie wymierzano wychowankom kary. Po długim wypytывaniu okazało się wreszcie, że karano ich i fizycznie, i psychicznie, na przykład zamykając w ciemnym pokoju albo każąc szorować toalety. Ódinn miał nieprzyjemny posmak w ustach. W młodości też zdarzyło mu się to i owo przeskrobać i nieraz rodzice go dyscyplinowali, ale chociaż nierzadko byli potwornie wściekli, nigdy nie uderzyli ani nie poniżyli ani jego, ani jego brata. Zwymyślali ich, owszem, i zabronili jakichś rzeczy, aby obaj mogli się czegoś nauczyć na własnych błędach. I to wystarczyło, żeby wyrosli na przyzwoitych ludzi. Ódinn cieszył się, że nie musiał doświadczać drylu i rygoru, które opisywała Lilja. Dodatkowym obciążeniem na pewno było to, że chłopcy mieszkali u obcych ludzi - zero współczucia, życzliwości czy ciepła, nikogo, kto by ich pocieszył.

- Zdaje się, że prowadzenie tego domu okazało się nieopłacalne. Czy to dlatego go państwo sprzedali? - spytał najostrożniej, jak potrafił.

Ośrodek w ekspresowym tempie zmierzał ku bankructwu, a jak wiadomo, kłopoty finansowe nie wyzwalają w człowieku najlepszych odruchów. Może w tym kryła się przyczyna surowego podejścia obojga małżonków, o którym opowiadali mu dawni pracownicy.

- Co za bzdury pan opowiada! - oburzyła się Lilja. - Nieopłacalne? Jeszcze czego takiego nie słyszałam.

- To dlaczego zrezygnowaliście?

Po raz pierwszy od momentu kiedy Óðinn usiadł, kobieta wydawała się lekko poruszona.

- Veigar dostał propozycję dobrej pracy w Reykjavíku. Przy urzędzie miasta. Sprzedaliśmy wszystko, ale nowi właściciele chcieli prowadzić tradycyjne gospodarstwo, a nie zajmować się domem wychowawczym, dlatego chłopców przeniesiono. Albo odesłano do ich własnych domów.

- Czyli nie byliście zmuszeni zrezygnować?

- Zmuszeni? - Głowa Lilji znowu zaczęła się chwiać. - Co pan myślał, że nasza praca została źle oceniona i dlatego musieliśmy się stamtąd wynieść? Nic z tych rzeczy. Błagali nas, żebyśmy zostali, ale my mieliśmy już dość. Chcieliśmy wrócić do miasta i nie żałowaliśmy.

- Rozumiem. Myślałam, że może pewną rolę odegrała śmierć tamtych dwóch chłopców. Władze na pewno nie były zachwycone tym incydentem.

- Tak naprawdę wcale ich nie szkoda. Zwłaszcza tego starszego, bo ten drugi, biedny chłopak, nie był aż taki zły.

Óðinn pochylił się nad swoimi papierami, żeby Lilja nie zobaczyła wyrazu pogardy na jego twarzy. Czy w niej rzeczywiście nie ma żadnych uczuć, czy tylko taką udaje? Może to jest obrona starszej kobiety przeciwko systemowi, który skierował się przeciw niej? Dwóch dawnych mieszkańców Krókur, z którymi Óðinn rozmawiał, opowiadało o bezduszości obojga, ale trudno powiedzieć, na ile wiarygodne były ich słowa.

- Jak do tego doszło? Czy Veigar i pani nie mogliście temu jakoś zapobiec?

- Pan jest chyba jeszcze gorszy niż tamta kobieta, która była tu przed panem.

- Naprawdę?

- Ona zadawała zupełnie inne pytania.

- To znaczy?

- Głównie o chłopaka, który umarł, tego starszego. Jak to on się nazywał? - zawiesiła głos i spojrzała pytająco na Óðinna.

- Jeśli ma pani na myśli starszego, to miał na imię Einar. Einar Allen.

- Cudzoziemska krew. Zupełnie zapomniałam. To na pewno miało swój

wpływ.

– Jeśli pani uważa... Co Róberta chciała o nim wiedzieć?

– Ona wprost bombardowała człowieka swoimi pytaniami. Pytała Bóg wie o co. – Lilja opuściła głowę i zapadła się w sobie. – Niektórzy dostają od urodzenia wszystko jak na tacy, a potem są chodzącą niewdzięcznością i robią rzeczy niewybaczalne. A inni harują i nie dostają nic za darmo. Bóg wystawia nas na rozmaite próby. Czasami nie pojmujemy jego zamiarów.

Óðinn westchnął głęboko. Nic już nie rozumiał. Chyba nie mogła mieć na myśli Einara? Przecież był synem samotnej matki i na pewno nie dostał od życia nic w prezencie. I chyba nie mówiła też o Róbercie.

– Czy ma pani skrzynkę e-mailową?

Pytanie było absurdalne, ale Óðinn mimo wszystko musiał je zadać. Bo akurat Lilja wyglądała mu na osobę zdolną do pisania e-maili z pogrózkami. I właśnie ona mogła być najbardziej zainteresowana wstrzymaniem dochodzenia. W gruncie rzeczy dziś już tylko jej mogło na tym zależeć.

– Skrzynkę? Nie, mój drogi. Nie mam komputera i nigdy nie miałam. Po co mi skrzynka e-mailowa, jak ja prawie nie dostaję już nawet zwykłych listów.

– A czy przychodzi pani do głowy ktoś, komu mogłoby zależeć na wstrzymaniu dochodzenia?

– Najwyższy Sprawiedliwy.

– Najwyższy Sprawiedliwy?

– Tak. Pan Bóg mógłby chcieć to wstrzymać. I ja. Poza tym chyba nikt. To sami zapomniani przez Boga nieudacznicy.

Gdy Lilja odrzuciła głowę do tyłu, jej noga opadła na podłogę, ukazując grubą ciemnobrązową uciskową pończochę. Łydka z latami jakby osunęła się w dół i pochłonęła kostkę. Óðinn odwrócił od niej wzrok.

– I nikt inny? – spytał. Lilja milczała, on zaś postanowił skierować rozmowę z powrotem na tamtych dwóch chłopców. – Nie odpowiedziała pani na moje pytanie o śmierć Einara i Tobbiego. Co powie pani na ten temat?

– Jeden zasłużył sobie na nią, a drugi umarł przez niego.

– Chce pani powiedzieć, że to nie był wypadek?

– Nie ma czegoś takiego jak przypadek. To Bóg decyduje o naszym losie. A wyroki Boga są niezbadane.

– Co dokładnie się stało? – Óðinn nie był ateistą, nie potrafił jednak mówić o Bogu jak o zwykłym człowieku. – Może zostawmy lepiej Boga w spokoju.

– Późno wieczorem gdzieś się wymknęli. Veigar od jakiegoś czasu podejrzewał, że nocą ktoś się kręci po terenie ośrodka, i przypuszczał, że to dziewczyna. Ta

flądra. Ale to pewnie był Einar, i tamtej nocy, kiedy umarł, był z nim też mały. Zresztą on już kiedyś zniknął w środku nocy, więc niewykluczone, że obaj robili to razem nie tylko tamtego wieczoru. Ale wtedy po raz ostatni.

– To chłopcy mogli w nocy tak po prostu sobie wychodzić? Nikt ich nie pilnował?

– A co pan sobie wyobraża? Według pana pieniądze kapały nam z nieba i mogliśmy zatrudnić jeszcze wartownika? Zamykaliśmy ich na noc, ale oni obluzowali kratę w oknie. Veigar odkrył to potem razem z policją. Zrobili to tak sprytnie, że w ogóle nie było widać, może co najwyżej przy myciu szyb, ale ta dziewczucha tego nie zgłosiła. Po całej tej historii od razu ją wyrzuciliśmy.

– Czyli oni dwaj wykradli się z domu, tylko po co? I co robili w samochodzie i dlaczego silnik był włączony? Skąd mieli kluczyki?

– Jeśli pan myśli, że mam na to wszystko jedną odpowiedź, to się pan myli. Kluczyki były w stacyjce. Veigar zawsze je tam zostawiał. Wtedy na Islandii mieszkali tylko Islandczycy. A oni nie kradną niczyich samochodów.

Óðinn otworzył usta, żeby zaprotestować, ale dał spokój. Ta kobieta była niereformowalna.

– Może chcieli dać nogę, pojechać do miasta. Albo się tylko rozgrzać. Nikt tego nie wie, zresztą to nie ma żadnego znaczenia. Rura wydechowa była zapchana śniegiem, a spaliny dostawały się do środka. Po prostu się udusili – opowiadała. – Znaleźli ich z tyłu, na podłodze. Byli cali sini. Jakby spali.

To zupełnie nie pasowało do teorii, że chłopcy zamierzali pojechać do miasta, bo przecież wtedy znaleziono by ich na przednich siedzeniach.

– Słyszałem, że rura wydechowa była zapchana wcale nie śniegiem, tylko jakąś szmatą. Wie pani coś o tym?

Głowa staruszki chwiała się coraz mocniej, do tego stopnia, że Óðinn nie mógł jej spojrzeć w oczy.

– Nie, nie.

Nie wierzył jej. Ale im usilniej starał się nakłonić ją do mówienia, ona tym bardziej się zacinała. Zauważył też, że jest już trochę zmęczona. Siedziała skulona na swoim wózku, prawie całkiem zachrypła.

– Niektórzy wszystko dostają na tacy i po prostu to marnują, a inni muszą zapomnieć o swoich marzeniach – zaskrzeczała.

Óðinn na próżno próbował wydusić z niej jakieś bliższe wyjaśnienie tych słów. W końcu wstał, pożegnał się i powiedział, że poprosi którąś z pielęgniarek, żeby po nią przysłała. Po drodze spotkał w korytarzu tę samą siostrę, która na początku go wpuściła. Teraz nie była już taka spięta.

– I jak poszło? – spytała z konspiracyjnym uśmiechem. – Lilja nie jest łatwa w obejściu. W dzień bywa bardzo uciążliwa, a nocą wciąż woła jakieś dziecko, którego nikt nie zna. Gdybyśmy nie byli pod taką presją i nie brakowałoby nam miejsc, już dawno przenieśliśmy ją do jednoosobowego pokoju. Ale nie mamy wyboru.

Pielęgniarka poszła dalej korytarzem, on zaś skierował się do wyjścia. Kiedy był już przy drzwiach frontowych, dogoniła go ta sama siostra.

– Lilja chce coś jeszcze panu powiedzieć. Może pan wrócić na chwilkę? – spytała.

Chociaż Óðinn chciał jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu, zgodził się.

– Przypomniałam sobie, jak ona się nazywała. Ta młoda dziewczyna – powiedziała Lilja, zwróciwszy wodniście niebieskawe oczy prosto na niego. – Miała na imię Aldís.

– Aldís? – Óðinn chciał odchrząknąć, ale się powstrzymał. – A zna pani też jej nazwisko?

– Aldís Anna Agnarsdóttir. Trzy A z rzędu. Tylko dlatego mi się przypomniało.

Skinął głową i nie mówiąc do widzenia, ruszył znowu do wyjścia. Po prostu nie wytrzyma. Aldís Annę Agnarsdóttir znał aż za dobrze.

luty 1974

Aldís odruchowo zdmuchnęła świeczkę. Ogarnęła ją ciemność. Nie chciała się na nikogo natknąć ani tym bardziej zostać odkryta tu przez kogoś, kto kręcił się na górze. Dlatego ciemność to teraz jej najlepszy przyjaciel. Siedząc na schodach, wsłuchiwała się w coraz bliższe kroki nad sobą. Serce waliło jej jak młotem, oddech przyspieszył. Nagle zdała sobie sprawę, że jeśli w piwnicy zapali się światło, wszystko się wyda. Zaczęła szukać po omacku zapałek w kieszeni, żeby rozejrzeć się za jakąś kryjówką, lecz nagle zamarła. Ale może ten nieznajomy gość wcale nie zmierza do piwnicy, a wtedy z kolei płomień zapałki czy świecy ją zdradzi. Nawet jeśli kopnąc świeca nie rzuca wiele światła, jej blask na pewno od razu da się zauważyć w szparze przy klapie w podłodze. Ale z drugiej strony lepiej, żeby się nie potknęła i niczego tu nie przewróciła.

Palcami wymacała w kieszeni najpierw jakiś stary papierek po cukierku. Szeleścił nieznośnie głośno, a zapałka przy potarciu też wywołała ogłuszający hałas. Blask świecy wydawał się teraz wyjątkowo jaskrawy, zupełnie inaczej niż wcześniej. Aldís podniosła się ostrożnie ze schodów i zastanowiła się, co ma zrobić ze skrzynką stojącą na stopniu. Jeśli ktokolwiek zajrzy do piwnicy, od razu zauważy, że ktoś się tu kręcił, a jeżeli ona teraz spróbuje odstawić ją na regał, ten ktoś na górze na pewno to usłyszy. Zostawiła ją więc na miejscu.

Nagle wilgoć w powietrzu zaczęła dusić dziewczynę. Świeca rzucała migotliwe cienie na całą piwnicę. Aldís rozglądała się zrozpaczona za jakąś kryjówką. Mogłaby się z łatwością ukryć za oponami samochodowymi albo pudłami czy stertą desek, ale wtedy wystarczyło, żeby ktoś przeszedł obok, i od razu by ją odkrył. Nadzieja na znalezienie dobrego miejsca gasła, im bardziej Aldís oddalała się od schodów. Nieoczekiwanie jej spojrzenie padło na małe drzwi całkiem z tyłu. Kroki i trzeszczenie podłogi na górze kazały się domyślać, że tamten ktoś znajduje się bezpośrednio nad wejściem do piwnicy. Aldís ruszyła w kierunku drzwiczek, nie miała czasu zastanawiać się ani nad inną alternatywą, ani nad tym, co robi, jeśli okażą się zamknięte. Kiedy chwyciła klamkę, przygryzła sobie wargę tak mocno, że poczuła w ustach mdły smak krwi. Odetchnęła z ulgą, gdy drzwi ustąpiły. Weszła do pomieszczenia za nimi i mimo zdenerwowania zamknęła je cicho za sobą. Potem zdmuchnęła świecę i opuściła powieki. Uspokoila się trochę, wyobrażając sobie, że otacza ją jasność, a nie ta nieprzenikniona ciemność, w której tkwi zamknięta w jakiejś komórce pod

podłogą i czeka na swój los.

Aldís nie zdążyła rozejrzeć się po niej przy blasku świecy, a teraz nie miała odwagi nawet drgnąć. Może stoi tu pełno weków, które mogłyby spaść i potłuc się z wielkim hukiem, gdyby je tylko tknęła. Stała więc jak wrośnięta w ziemię i nastuchiwała kroków, modląc się w duchu, żeby ten ktoś już sobie poszedł. To ciekawe, że wiara odzywa się w człowieku wtedy, kiedy wszystko się wali. Normalnie Aldís nie myślała dużo o Bogu, ale cieszyła się, że jest, kiedy nie widziała już przed sobą żadnego wyjścia. Wiedziała, że to dosyć bezczelne liczyć na to, że Wszchemogący czeka na jej wołanie o pomoc, zawsze gotowy spieszyć z ratunkiem. Jakby był apteczką, która stoi i pokrywa się kurzem, dopóki nikt się nie skaleczy, i jest wyciągana dopiero w razie wypadku. A wtedy się okazuje, że zapomniano uzupełnić bandaże i plastry.

Aldís wstrzymała oddech, kiedy usłyszała skrzypienie klapy do piwnicy. Dopiero gdy jej płuca były bliskie pęknięcia, wypuściła powietrze i zaczęła oddychać. Walczyła z pokusą, by odsunąć się od drzwi, jakby ciemność w głębi komórki była pewniejsza, pozostała jednak na miejscu i skupiła się na równomiernym oddechu, co ją trochę uspokoiło. Potem przyłożyła ucho do drzwi i zamarła, kiedy usłyszała skrzypienie drewnianych stopni pod czymś ciężarem. Ucieszyła się, że stoi po tej stronie drzwi, gdy w szparze pod nimi i przez dziurkę od klucza dostrzegła blask światła. Było niestałe, więc domyśliła się, że pochodzi z latarki, a nie z lampy pod sufitem. Czyli to nie jest ani Lilja, ani Veigar, tylko ktoś, kto szuka czegoś w piwnicy – jak ona.

Światło, które przeniknęło przez dziurkę od klucza, tworzyło małą jasną plamkę na rękawie jej kurtki. Żałowała, że nie kupiła sobie kurtki w jaśniejszym kolorze, bo spojrzenie w tej nieprzeniknionej ciemności na coś żółtego czy czerwonego mogłoby dodać jej więcej otuchy niż widok kawałka ciemnogrnatowego materiału. Aldís przyklękła ostrożnie pod drzwiami, napięta do granic możliwości z obawy, by o nic nie zawadzić. Nic się na szczęście nie stało i teraz mogła prawym okiem popatrzeć przez dziurkę od klucza. Nie sięgała daleko wzrokiem, ale lepsze już to niż nic. Bolały ją kolana od klęczenia na surowych kamieniach, jednak ów ból był przyjemnie znajomy, podobnie jak przed chwilą pieczenie warg. Nawet dotyk wilgotnej i zimnej posadzki przynosił ulgę.

Snop światła latarki systematycznie przesuwał się po piwnicy. Rozbłyskiwał i znikał, ale Aldís cały czas widziała lekką poświatę. Przez dziurkę od klucza nie dawało się rozpoznać nieznanego. Żeby chociaż przez ułamek sekundy mogła rzucić okiem na but, kosmyk włosów czy nogawkę spodni, wtedy może by się dowiedziała kto to. Tyle się już tutaj naprała, że znała wszystkie ubrania chłopców równie dobrze jak swoje własne. Jeśli to jest jeden z nich, wypadłaby stąd natychmiast, przestraszyłaby go śmiertelnie i wreszcie odetchnęła. Chyba że to Einar. Wtedy nie miałaby pojęcia, co zrobić. Chyba zamknąć oczy i liczyć na to,

że jej nie odkryje.

Ostatnio starała się go unikać, a te kilka razy, kiedy w minionych dwóch tygodniach udało mu się odciągnąć ją na bok, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, i twierdziła, że pilnie uczy się angielskiego i nie może wychodzić wieczorami. Kłamstwo o czekającym ją egzaminie i rozmowie kwalifikacyjnej w liniach Icelandair na stanowisko stewardesy przeszło jej przez usta tak gładko, że niemal sama w nie uwierzyła. Ale mimo jej siły przekonywania Einar niewątpliwie zauważył, że go unika. Chwała Bogu, nie zadawał jej żadnych pytań po angielsku – od tygodni nawet nie otworzyła książki.

W przeciwległym końcu piwnicy ujrzała czyjąś postać przed schodami i przeklinała siebie w duchu, że nie przykłęka chwilę wcześniej. Wtedy zobaczyłaby tego kogoś, jak idzie w dół po stopniach, może nie twarz, ale przynajmniej nogi i tułów. Ku swemu przerażeniu dostrzegła zarys jasnego kwadratu na najniższym stopniu i instynktownie dotknęła listów od swojej matki. W tym samym momencie uzmysłowiła sobie, że list do Einara, który czytała jako ostatni, prawdopodobnie wciąż leży na schodach. Jakie to szczęście, że ten obcy na razie go nie zauważył, nie mogła jednak liczyć na to, że nie natknie się na kopertę, kiedy będzie wychodził.

Narastająca jasność wskazywała na to, że człowiek z latarką jest coraz bliżej. Snop światła padał to tu, to tam, pewnie dlatego, że niełatwo było się precyzyjnie przesuwać przez te wszystkie rupiecie. Aldís miała błogą nadzieję, że nieznajomy nie ruszy w stronę drzwi do komórki. Na razie światło nie było skierowane na nie wprost. Ale im dalej ten człowiek zapuszczał się w głąb piwnicy, tym bardziej stawało się prawdopodobne, że ją jednak odkryje.

Głośny trzask przeciął ciszę, gdy gdzieś spadł na ziemię jakiś przedmiot. Aldís przestraszyła się śmiertelnie, na szczęście zdążyła zakryć sobie usta, zanim wydobył się z nich krzyk. Przez dziurkę ujrzała w snopie światła obłok kurzu unoszący się w powietrzu. I teraz jeszcze usłyszała tego nocnego intruza. Szeptął coś pod nosem, jakby przeklinał własną niezdarność albo jakiś grat na podłodze. Jego głos brzmiał niepewnie i lękliwie – właściwie chyba oboje czuli się podobnie. Światło latarki poruszało się szybko do przodu i do tyłu, jakby ten obcy chciał się upewnić, że nie ma tu nikogo poza nim.

– Jest tu kto? Wyłaź! – rozległ się szept.

Aldís poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. To nie był głos męski, tylko kobiecy, ale nie wiadomo, czy młodej dziewczyny, czy dorosłej kobiety.

– Wiem, że tu jesteś – szepnął znowu głos, zacinając się. Aldís doszła do wniosku, że ta dziewczyna albo kobieta nie do końca wierzy we własne słowa. Mimo woli złożyła dłonie i znowu wzniosła do Boga gorącą prośbę, chociaż nie dodawało jej to specjalnie otuchy.

– Wyłaż, pokażę ci coś – mówił dalej głos. – Jak już się z tobą rozprawię, każdy się dowie, jaka z ciebie dziwka. Ty kurwo!

Aldís znowu przymknęła oczy.

– No, chodź. Mam nóż. Mały i ostry. Niewielki, ale całkiem zwinny.

Potem zrobiło się cicho. Po policzku Aldís spłynęła łza i spadła na jej dłoń, którą ciągle jeszcze zasłaniała usta. Nie miała niczego, czym mogłaby się bronić, ale gdyby nawet w tej komórce było pełno broni, nie odważyłaby się po nią sięgnąć. Desperacko starając się zobaczyć coś więcej, przycisnęła twarz tak mocno do dziurki, że jej odcisk pewnie jeszcze przez kilka dni będzie widoczny na skórze nad powieką. Jednak ani zimna stal, ani dwie wwiercające się w oko śruby nie powstrzymały ją przed dalszym podglądaniem. Nadal zalegała cisza, a kiedy światło latarki się odwróciło i skierowało na schody, Aldís o mało nie roześmiała się z ulgą. Tak mocno zagryzła wargę, że znowu poczuła znajomy smak krwi na języku. Kobieta albo dziewczyna wycofywała się. Poddała się lub nabrała pewności, że w piwnicy nikogo nie ma. Teraz Aldís musi tylko odczekać. Będzie mogła stąd wyjść dopiero wtedy, kiedy usłyszy hałas zamykanej klapy i trzaśnięcie drzwi wejściowych.

W napięciu patrzyła na schody i kopertę, która leżała na najniższym stopniu. Latarka została teraz skierowana na ziemię, żeby rozjaśnić intruzowi drogę do schodków, i wszystko wydawało się na dobrej drodze. „Idź na górę, idź na górę!” Nagle snop światła zatrzymał się na kopercie do Einara. W zasięgu wzroku Aldís ukazały się dwie stopy, postać pochyliła się, mignęły ciemne włosy. Przez ułamek sekundy widać było twarz, która tak szybko zniknęła, że Aldís nie potrafiła powiedzieć, czy to jest dziewczyna ze zdjęcia znalezionej w portfelu Einara. Nie miała jednak wątpliwości, że to młoda osoba, bo jej ruchy i szczupłe nogi nie pasowały do kogoś dorosłego. Koperta została podniesiona, a latarka skierowana wyżej, wskutek czego Aldís niczego już nie widziała. Po chwili ponownie światło padło na podłogę, jakby w poszukiwaniu dalszych listów. Zatrzymało się na skrzynce. Aldís widziała, jak dziewczyna otwiera wieko, słyszała szelest papieru i zaraz potem ciche westchnienie. Minęło kilka chwil. Skrzynka została zamknięta, a Aldís ujrzała smukłe nogi wchodzące po stopniach na górę. Gdy z powrotem zrobiło się czarno, ucieszyła się z ciemności, z tego, że jest sama i niewidoczna. Nie wyjdzie stąd, dopóki tamta na pewno nie zniknie na dobre.

Gdy Aldís zwinięta w kłębek obudziła się na kamiennej posadzce w komórce, prawie nie mogła się ruszyć. Musiała przyjąć taką pozycję podczas snu, bo ostatnie, co pamiętała, to jak oparła się zmęczona o ścianę i postanowiła spędzić resztę nocy tutaj, na dole. Uważała, że najbezpieczniej będzie, jeśli odczeka, aż wszyscy wstaną, i dopiero wtedy wyjdzie z piwnicy jak gdyby nigdy nic, udając,

że już od dawna pracuje. Na szczęście, kiedy wymknęła się w nocy ze swojego pokoju, nie narzuciła kurtki na piżamę, tylko kompletnie się ubrała. Błędym świtem nikt nie zwróci uwagi, że nie jest uczesana albo nie ma umytych zębów. Trochę później będzie mogła wpaść do siebie i doprowadzić się do porządku.

W komórce było ciemno, choć oko wykol. Nie sposób stwierdzić, która godzina. Aldís odnosiła wrażenie, że powinno już świtać. Nie miała jednak odwagi otworzyć drzwi, dopóki z góry nie zaczną dochodzić codzienne odgłosy poranka. Chwilę potem co najmniej w dwóch miejscach domu dały się słyszeć głośne kroki i czyjeś głosy. Z radości była niemal bliska płaczu. Mimo to uchyliła drzwi wyjątkowo ostrożnie, nie mogąc wciąż uwierzyć, że jest bezpieczna.

W piwnicy nikogo nie było widać. Palce u nóg i rąk zeszywniały jej z zimna, ale widziała już wszystko wyraźnie, bo zdążyła się oswoić z ciemnością. Z wysiłkiem się podniosła, słysząc głośne trzeszczenie w kolanach i stawach. Następnie wyszła z komórki, nie czując już w ogóle zapachu stęchlizny, zwłaszcza że sama nim pewnie przesiąkła niemal do szpiku kości. Nie pomyślała o tym, ale miała nadzieję, że nikt go nie poczuje albo po prostu nikt nie będzie jej o to pytał. Kiedy weszła już na najwyższy stopień schodów, poczekała, aż nabierze pewności, że nikogo nie ma w pobliżu, i dopiero wtedy szybko wymknęła się z piwnicy. Światło i ciepło przywitały ją tak serdecznie, że miała ochotę paść na kolana, powstrzymała się jednak, zamknęła kłapę i otrzepała się z kurzu.

Nagle ktoś puknął ją w ramię.

– A skąd ty się tu wzięłaś? – Odwróciła się na pięcie i ujrzała Einara, który patrzył na nią zaskoczony. – Coś się stało?

Aldís przesunęła dłonią po zmierzwionych włosach i próbowała udawać, że wszystko jest w porządku. Nie uciekała przed jego spojrzeniem, ale mimo wszystko starała się nie zwracać uwagi na gęste ciemne rzęsy i wystające kości policzkowe chłopaka.

– Nic, zasnęłam i nie zdążyłam się ogarnąć.

Einar uniósł brwi, lecz nie spytał już o nic więcej.

– Tęskniłem za tobą. Prawie się nie widujemy.

– Przecież ci mówiłam, że dużo się uczę. – Jej głos brzmiał, jakby dochodził z piwnicy: był ochryple i matowy. Aldís odchrząknęła. – Nie zamierzam tu tkwić całą wieczność.

Einar uśmiechnął się, a ona w końcu zrozumiała, co ją w nim tak pociąga. To nie miało zupełnie nic wspólnego z jej sytuacją tutaj. On po prostu odróżnił się od innych i pewnie w innym miejscu byłoby tak samo.

– Ja też nie – rzekł, delikatnie odgarniając jej za ucho kosmyk włosów, po czym opuścił rękę. – A co byś powiedziała na mały oddech dzisiaj wieczorem? Tak na

godzinę, nie więcej. Moglibyśmy schować się w oborze i sobie pogadać. Jeszcze trochę i tu zwariuję.

Aldís dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

– Może. Zobaczę.

– A kiedy będziesz wiedziała? Bo nie będę ryzykował i wykradał się z domu, jak ty nie przyjdiesz. Veigar uważa, że ktoś tu się kręci po nocy, zrobił się strasznie nerwowy. Wczoraj zwymyślał nas wszystkich, jakbyśmy to byli my.

Aldís nie potrafiła się ani uśmiechnąć, ani nic powiedzieć na te nocne wydarzenia. Była jeszcze zbyt wzburzona i w ogóle nie miała pewności, czy powinna mu mówić, co wie o tamtej dziewczynie. Chyba że w zamian miałaby usłyszeć od niego coś o jego historii.

– Dam ci znać po południu przy podwieczorku – rzekła.

Nie pożegnawszy się, wybiegła na dwór. Było pochmurno, światło nie rozjaśniało mrocznego poranka. Poszła do domku, chciała umyć sobie twarz i wyczyścić zęby. I zwymiotować. Nagle zrobiło jej się strasznie niedobrze.

- Jednak przypomniało mi się, skąd znam to imię!

Diljá stanęła zniecierpliwiona obok niego z ręką opartą na biodrze.

- Jakie imię? - Óðinn gapił się na nią, świadom tego, że wygląda na bardzo wyczerpanego. Po powrocie z oddziału geriatrycznego siedział nieruchomo przed komputerem, wpatrując się tępo w monitor. Nie był w stanie zabrać się do żadnej rozsądnej roboty, bo nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytania, od których nie mógł się opędzić. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że właściwie to dobrze mieć taką nudną pracę - nikt mu nie przeszkadzał, nikt go nie pytał, dlaczego siedzi jak zamurowany na krześle. Dopóki nie pojawiła się Diljá.

- Eyjalín. Już nie pamiętasz? Wydało mi się znajome. Teraz już wiem skąd - rzekła, podsuwając mu pod nos kartkę świeżo wyjętą z drukarki. - Ktoś o takim imieniu napisał kondolencje po śmierci Róberty.

Óðinn rzucił okiem na kartkę, usiłując skupić się na tekście. Był krótki i nie dawał podstaw do przypuszczeń, że obie kobiety były spokrewnione albo szczególnie sobie bliskie. Zdaje się, że Róberta pomogła Eyjalín, kiedy wszyscy się od niej odwrócili, i dlatego tamta była jej dozwrotnie wdzięczna.

- Ale to i tak niewiele wyjaśnia - stwierdził Óðinn.

Diljá zrobiła kwaśną minę. Wyrwała mu kartkę z dłoni tak energicznie, że aż zadzwoniły ozdobne łańcuchy sięgające jej niemal do talii.

- A czego się spodziewałeś? - Wbiła w niego wzrok, mrużąc oczy. - Wszystko w porządku z tobą? Ludzie mówią, że jesteś jakiś dziwny i siedzisz jak kołek przed komputerem.

- Nic mi nie jest, tylko rozmyślam.

- To może zastanów się lepiej nad tym! - odparła i pomachała mu przed nosem kartką. - Nie uważasz, że warto by było zadzwonić do tej kobiety i spytać ją o jej znajomość z Róbertą?

Pokręciła głową z dezaprobatą, naszyjniki zabręczały znowu.

- A może ja mam to zrobić?

Óðinn nie wiedział, co woli. To go po prostu przerastało. Nie potrafił patrzeć na sprawę z dwóch punktów widzenia, zwłaszcza że ten jeden był mu tak bliski.

- Tak, poproszę - odpowiedział, na próżno próbując zmusić się do uśmiechu. - A właściwie to od kiedy interesujesz się moim projektem? Myślałem, że według

ciebie może tylko sprowadzić na człowieka nieszczęście.

- Nudzi mi się. Po prostu. Poza tym odnoszę wrażenie, że przydałaby ci się pomoc. Bierzesz wszystko za bardzo osobiście.

- W tym niestety masz rację. - Óðinn wycelował ołówek do kubka, w którym trzymał długopisy, ale nie trafił. - Byłoby super, gdybyś do niej zadzwoniła.

- Okay.

Diljá chyba chciała jeszcze coś dodać, w końcu jednak, pobrząkując łańcuchami, odwróciła się na pięcie i poszła do swojego boksu. Ale zanim skręciła za róg, jeszcze się odwróciła. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie i Óðinn nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jej oczach było współczucie. Nie znosił, kiedy ludzie myśleli o nim, że jest taki strasznie biedny. Mogli go lubić albo nie, tylko niech się nad nim nie litują. Złość przywróciła go rzeczywistości. Jak mógł dopuścić do tego, żeby dać się tak wytrącić z równowagi? Skoro uważa, że to dziwne, iż jego była teściowa nigdy nie wspomniała ani słowem o swojej pracy w domu wychowawczym, powinien ją po prostu o to spytać. W każdym razie na pewno nie uda mu się znaleźć rozwiązania na ekranie komputera. A może istnieje jakieś naturalne wytłumaczenie, że przemilczała ten fakt. Nie można nawet wykluczyć, że jej osobliwe zachowanie wobec niego w ostatnim czasie ma jakiś związek właśnie z tą sprawą. Przegapiła okazję, by mu o tym wspomnieć, a potem już się na to nie zdobyła. Na pewno, kiedy tylko Róberta jej się przedstawiła, musiała od razu skojarzyć jedno z drugim, bo przecież dokładnie się orientowała, gdzie Óðinn pracuje. Może i jest jakaś uzasadniona przyczyna, dlaczego nie powiedziała mu o tym od razu, zupełnie natomiast nie potrafił zrozumieć, czemu tego nie zrobiła, kiedy podczas ich ostatniej wizyty z Rún rozmawiali o jego nowym projekcie. Czy się wstydziła, że miała coś wspólnego z tym miejscem, czy też się obawiała, że to skomplikuje mu pracę? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobne wydawało mu się to drugie wytłumaczenie; w obliczu ostatnich redukcji zatrudnienia jego była teściowa martwiła się pewnie, że mógłby przez to stracić posadę, a na tym ucierpiałyby w konsekwencji jej jedyna wnuczka. Choć taka reakcja wydawała się dosyć dramatyczna, nie była jednak nierealna.

Koledzy Óðinna przyglądali mu się, gdy szedł do małej salki konferencyjnej, żeby w spokoju porozmawiać przez telefon. Było w niej przeraźliwie zimno, więc najpierw zamknął okno, zanim wybrał numer swojej eksteściowej. Czekając, aż odbierze, spojrzął na oprawiony plakat na ścianie, który nie wisiał na niej, kiedy był tu ostatnio. Nie rozumiał, czy zawieszono go dla żartu, czy też Heimir nie pojmował zawartej w nim drwiny. Plakat przedstawiał majestatycznego orła w locie, poniżej zaś widniał napis: „Przywódcy są jak orły. Nie dają wyboru”. Óðinn przeniósł wzrok z plakatu na tablicę magnetyczną, którą w końcu ktoś wytarł. Zniknęły nawet niewyraźne ślady cyfr - a on ciągle się nie dowiedział, co

oznaczały zapisane roczniki.

– Halo?

Głos babci Rún brzmiał tak, jakby Óðinn wyrwał ją z popołudniowej drzemki. Westchnęła, kiedy się przedstawił. On natomiast ucieszył się trochę, że wreszcie będzie mógł ją przycisnąć do muru. Ponieważ tym razem ją zaskoczył, od razu przeszedł do rzeczy:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pracowałaś kiedyś w Krókur?

Milczała.

– Czy nie można mi było tego zwyczajnie powiedzieć? – spytał i odczekał, dając jej czas, by doszła do siebie. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos brzmiał cicho i nie tak arogancko jak zwykle.

– A czy to takie ważne? Sprzątałam tam przez parę miesięcy. Nie zajmowałam się chłopcami.

– Ale raczej wiedziałaś, co się tam dzieje?

– Nie ja jedyna.

– Tyle że większość z tych, którzy pracowali w Krókur, już nie żyje. Bardzo możliwe, że ty byłaś najmłodsza z całej obsługi.

– A skąd miałam to wiedzieć, Óðinn? Kiedy stamtąd odeszłam, nie zaprzątałam już sobie głowy tym miejscem. Nic nie wiem o ludziach, którzy pracowali tam przede mną albo po mnie.

– Mimo wszystko powinnaś była mi wspomnieć. Teraz muszę zgłosić, że jestem spokrewniony z byłą pracownicą z Krókur, i wyjaśnić, dlaczego nie poinformowałam o tym od razu. Gdybym wiedział to od początku, pewnie nie byłoby żadnego problemu. A teraz to wygląda podejrzanie. Albo przynajmniej dziwnie.

Óðinn dobrze wiedział, że raczej byłoby inaczej. Heimir powierzyłby sprawę komu innemu, gdyby to powiązanie wyszło na jaw od razu.

– Jak się dowiedziałeś? – Aldís spytała oskarżycielskim tonem, jakby ktoś nadużył jej zaufania.

– To nie ma znaczenia – odparł. Nie zamierzał wprowadzać jej w szczegóły tylko dlatego, że są ze sobą spokrewnieni. Teraz ktoś inny przejmie od niego projekt, a on nie chciał nikomu psuć szyków. Oby to była Diljá. Ona już sobie poradzi z tą ograniczoną babą. – Ale skoro już wiem, to może mi powiesz, kiedy tam pracowałaś?

– A sam nie potrafisz tego ustalić?

Óðinn żałował w tej chwili, że przeprosił ją ostatnio za swoje dawne błędy. Nie jest tej kobiecie nic winien.

– Potrafię, ale myślałem, że zechcesz mi oszczędzić wysiłku. Zdaje się, za dużo oczekuję? – powiedział.

Na chwilę w słuchawce zaległa cisza. Po czym usłyszał:

– Zaczęłam we wrześniu siedemdziesiątego trzeciego i pracowałam tam do marca albo do lutego siedemdziesiątego czwartego.

– Czyli byłaś na miejscu, kiedy zdarzył się ten wypadek.

– Wypadek?

Doskonale wiedziała, co miał na myśli, ale chciała zyskać odrobinę czasu do namysłu. Niemówienie mu prawdy stało się dla niej już tak normalne, że kolejne kłamstwo przeszło jej przez usta niemal automatycznie.

– Przecież dobrze wiesz, o czym mówię. O wypadku, który kosztował życie dwóch chłopców. Einara Allena i Tobbiego, nie pamiętam, jak się nazywał.

– Tobbi nazywał się Jónasson – bąknęła tak cicho, że Óðinn musiał mocniej przycisnąć telefon do ucha, żeby ją zrozumieć.

– Czyli jednak pamiętasz?

– Tak. Czy to znajdzie się w raporcie?

– Pewnie tak, ale to nie będzie już zależało od mojej decyzji. – Najchętniej zasypałaby ją pytaniami, lecz zdawał sobie sprawę, że ona od razu cisnęłaby słuchawką. – Czy rozmawiała z tobą Róberta?

– Nie.

Kłamała. Bo gdyby Róberta nie nawiązała z nią kontaktu, Aldís na pewno od razu by spytała, kto to jest.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz nic a nic.

I na tym rozmowa się skończyła.

– Poczekaj tu chwilę! Zaraz będziemy mieli gości, a to jest najlepsze miejsce, gdzie można kogoś przyjąć – oznajmiła Diljá. Przypominała mu jego starą kotkę, kiedy przynosiła do domu upolowanego ptaka albo mysz. – Ale przedtem zrób jeszcze kawę i przynieś filiżanki. Musimy wypaść profesjonalnie, jeśli ma coś z tego wyjść.

– Co masz na myśli? – spytał Óðinn, który właśnie zamierzał opuścić salkę konferencyjną. Jeszcze trzy razy próbował na próżno połączyć się z Aldís, wreszcie zrezygnował.

– Eyjalín chce się z nami spotkać, więc ją poprosiłam, żeby wpadła tutaj. Chyba musi jej coś leżeć na sercu, bo od razu się zgodziła.

– Nie jestem pewien, czy powinienem być na tym spotkaniu, Diljá. Zdarzyło się coś, co zmienia moją pozycję. Przypuszczam, że będę zmuszony oddać ten projekt komu innemu.

– Oddać? Jak to oddać? – Diljá wbiła mu w pierś swoje długie, polakierowane na zielono paznokcie. – Co ty bredzisz? Już do końca zbzikowałeś?

– No chyba tak. – Opowiedział jej, co okazało się w rozmowie z Lilją. – Byłoby niedobrze, gdybym to ja dalej zajmował się tym projektem. Uwierz mi, dowiedziałem się dopiero teraz.

– Człowieku, przestań jęczeć i jęczeć – rzuciła jakby obrażona. – A od kiedy to powiązania rodzinne odgrywają na Islandii jakąkolwiek rolę? Żartujesz sobie czy co? Toż tu każdy jest spowinowacony z każdym. Nie będę sama rozmawiać z tą kobietą, za mało wiem o sprawie, więc zejdź ze swojego rumaka i zanurz się razem z nami w tym moralnym bagnie.

Machnęła lekceważąco ręką i jeszcze dodała:

– Lepiej przynieś filiżanki. Ja zajmę się kawą.

Niedługo potem koleżanka z recepcji zameldowała, że Eyjalín już przyszła. Óðinn i Diljá podnieśli się z miejsc i podali jej ręce. Óðinnowi dłoń kobiety wydała się wyjątkowo ciepła, szczupła i delikatna. Niemal czuł jej kości i wołał nie ścisnąć zbyt mocno, żeby niczego nie złamać.

– Dzień dobry.

Okazało się, że jest to kobieta ze zdjęcia w pokoju Róberty odkrytego przez Dilję. Czyli Óðinn nie jest jedyną osobą mającą powiązania z bohaterami raportu.

Była około sześćdziesiątki, jak jego teściowa, ale wydawała się o dziesięć lat młodsza. Może to zasługa jej eleganckiego stroju, na który składał się płaszcz z prawdziwym futrzanym kołnierzem, ciemnobrązowe spodnie i jasny sweterek w warkocze, który na pewno trochę kosztował. Na szyi miała dwa złote łańcuszki, nieporównywalne z brzęczącymi błyskotkami Dilji. W jej ciemnej, sięgającej do ramion fryzurze nie dało się zauważyć ani jednej siwej nitki, włosy sprawiały wrażenie tak gęstych jak u znacznie młodszych kobiet. Może to była peruka. Twarz o wysokich kościach policzkowych, dużych oczach i pełnych ustach miała arystokratyczne rysy. Jedynymi oznakami dojrzałego wieku wydawały się delikatne zmarszczki wokół oczu. Po prostu chodząca doskonałość.

– Witam państwa – powiedziała z zakłopotanym uśmiechem i rozejrzała się po salce. – Przyjemnie tu macie.

Diljá za jej plecami wykrzywiła twarz w grymasie, a potem zaproponowała jej krzesło i kawę, na którą kobieta chętnie się zgodziła. Eyjalín popijała łyk za łykiem z topornej biurowej filiżanki tak wytwornie, jakby trzymała w dłoni delikatną porcelanę.

- Kawa zawsze dobrze robi - stwierdziła, po czym postawiła filiżankę na spodeczku i spojrzała pustym wzrokiem przed siebie.

Óðinn zaczął podejrzewać, że Eyjalín może okazać się dość nieobliczalna i na przykład nagle się wycofa albo zrobi coś jeszcze bardziej dramatycznego, co zbije go z pantałyku. Na szczęście jest z nim Diljá, która na pewno lepiej umie radzić sobie z takimi sytuacjami.

- Przede wszystkim chcieliśmy pani podziękować, że zechciała pani tak szybko się z nami spotkać. Óðinn przejął sprawę Krókur od Róberty, a ja go tylko odrobinę wspieram. Jak pani wie, Róberta zmarła zupełnie nagle i dlatego teraz poruszamy się trochę po omacku. Nie wiemy między innymi, o co już panią pytała, a o co jeszcze nie. Dlatego w niektórych punktach będziemy się pewnie niestety powtarzać - wyjaśniła Diljá, po czym przeniosła wzrok z gościa na Óðinna. W tym momencie patrzyły na niego i jedna, i druga: Diljá, jakby właśnie zadała mu mata, a Eyjalín z miną niewiniątka i wielkimi oczyma, jakby liczyła na to, że otrzyma od niego ważne odpowiedzi, na które czeka od dawna.

- Pani Eyjalín - zaczął. Kobieta kiwnęła głową, zupełnie jakby musiała poświadczyć, że to ona. - Czy zechciałaby pani opowiedzieć nam o trochę o kontaktach z Róbertą. O czym rozmawiałyście i jak przebiegały wasze spotkania.

- Zadzwoniła do mnie. - Eyjalín wpatrywała się w filiżankę z kawą. Można było odnieść wrażenie, że ma tam ukrytą ściągawkę. - Znalazła moje listy w teczkach z dokumentacją z Krókur. Mam dosyć rzadkie imię. Z wyjątkiem mojej rodziny oczywiście. Ale odkąd ja przyszedłam na świat, nikt już nie chciał ochrzcić swojego dziecka tym imieniem. Bo można by przecież pomyśleć, że nazwano je tak po mnie.

- Aha - wymsknęło się Dilji. Ale szybko zacisnęła usta i nic już nie powiedziała.

- Była ciekawa, czy wiem, dlaczego poczta do chłopców wylądowała między dokumentami, czy nie dostawali listów od krewnych i przyjaciół. - Odchrząknęła, wyprostowała plecy i uniosła wyżej głowę. - I od swoich ukochanych.

Óðinn też poprawił się na krześle, aby coś przeciwstawić temu patetycznemu krygowaniu się kobiety. Coś mu mówiło, że będzie bardziej uległa, jeśli dojdzie do przekonania, że oboje pochodzą z podobnych środowisk.

- I wiedziała pani o tym? - zapytał.

- Tak, chłopcom w Krókur nie doręczano listów. Nikczemność kierownictwa tego domu nie miała granic. Jak się pan domyśla, nadawcy listów nie mogli pojąć, dlaczego nie otrzymywali odpowiedzi. Niektórzy do dzisiaj się z tym nie uporali.

Óðinn dostrzegł kątem oka, jak Diljá uniosła brew do góry, i miał nadzieję, że Eyjalín tego nie zauważyła.

- Widzieliśmy te listy, chciałbym jednak zaznaczyć, że ich nie czytaliśmy.

Wiemy, że pani pisała do Einara Allena. Do chłopca, który zmarł podczas swojego pobytu w Krókur. – Gdy Eyjalín skinęła głową, ale się nie odezwała, Óðinn ciągnął dalej: – Uważano, że to był wypadek, co jest prawdopodobne, słyszałem jednak, oczywiście nieoficjalnie, że nie można uznać tego za wypadek. Co pani na to?

– No cóż. – Kobieta znowu się wyprężyła. Za każdym razem, kiedy mówił Óðinn, zdawała się zapadać w sobie, a gdy ona dochodziła do głosu, od razu z powrotem się stroszyła. – Einar i Tobbi zostali zamordowani. Jestem o tym przekonana. I gdyby nie mój ojciec, całe to zdarzenie zostałoby porządnie i dogłębnie zbadane.

– Pani ojciec? – Diljá przechyliła się przez stół i jej łańcuchy ponownie zabrzęczały. Eyjalín rzuciła nieco pogardliwe spojrzenie na te ozdoby. – A co on ma z tym wspólnego?

– Mój zmarły ojciec był sędzią. Oczywiście mogłabym przedstawić państwu nasze drzewo genealogiczne, ale to by was tylko znużyło. Wystarczy wspomnieć, że moja rodzina od zamierzchłych czasów piastuje ważne urzędy publiczne i uchodzi za światłą i... – szukała odpowiedniego słowa – przyzwoitą.

– To raczej nie wyjaśnia, dlaczego pani ojciec uniemożliwił dochodzenie w tej sprawie. Sądziłabym raczej, że właśnie on jako prawnik powinien dopilnować, by dochowano wszelkich procedur.

– Uważał, że to ja zabiłam tych chłopców – oznajmiła Eyjalín i popiła łyk kawy. – To świeżo mielona?

Żadne z nich dwojga nie potrafiło udzielić odpowiedzi na to niespodziewane pytanie. Diljá jako pierwsza przerwała ciszę.

– Dlaczego tak myślał?

– W owym czasie trochę się pogubiłam i kilka razy wykradłam się po kryjomu z domu, żeby odwiedzić Einara. Przynajmniej próbowałam. Po prostu chciałam się z nim zobaczyć. Tamtej nocy byłam w Krókur na podwórzu, ale nie mam nic wspólnego z ich śmiercią. Nigdy nie zrobiłabym mojemu Einarowi krzywdy. My się kochaliśmy. – Uśmiechnęła się melancholijnie, a w jej oczach pojawił się przyćmiony blask. Odstawiła filiżankę i przeciągnęła palcami po wargach. – Pisałam do niego bardzo często, lecz na żaden list nie dostałam odpowiedzi. Chyba potraficie sobie wyobrazić, jak człowiek może się wtedy czuć?

Óðinn i Diljá skinęli głowami.

– Gdyby ci obrzydliwi ludzie dali mu moje listy, wszystko potoczyłoby się inaczej. Odpisałyby mi, a ja odzyskałabym siły, tak jak mówił lekarz.

Ani Diljá, ani Óðinn nie spytali, o jaką chorobę chodziło. Ta kobieta stanowiła tak osobliwe połączenie sztywnej oficjalności i bezceremonialności, że nie mieli na tyle odwagi i po prostu pozwolili jej mówić dalej.

– Róberta była pierwszą osobą, która mi uwierzyła. Wszyscy inni uważali mnie za chorą psychicznie. Jak tylko zaczynałam o tym opowiadać, od razu każdy radził mi zamknąć w zakładzie, dlatego nauczyłam się milczeć. – Uśmiechnęła się. – Trzymanie języka za zębami ma też swoje dobre strony. Lecz kiedy spotkałam Róbertę, mogłam wreszcie otworzyć usta. Zaprzyjaźniłyśmy się. Ona mnie rozumiała, a co najważniejsze – wierzyła. Jej śmierć to dla mnie bardzo bolesna strata. Obiecała mi, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby prawda ujrzała światło dzienne.

– Skoro to nie był wypadek, czy wie pani, kto zamordował tych chłopców? – spytał Ódinn i żałował, że wcześniej zamknął okno. W salce zrobiło się okropnie duszno, a na dodatek kręciło mu się w głowie od perfum kobiety.

– Nie jestem pewna, ale mam pewne podejrzenia.

– Czy byłaby pani skłonna podzielić się nimi? – spytała Diljá przesadnie wyraźnie wymawiając słowa, jakby zwracała się do małego dziecka.

– Jestem przekonana, że zabójcą jest Veigar. W rurze wydechowej był jakiś gałgan, on go wyjął i nasypał do środka śniegu. Najbardziej idiotyczne w tym wszystkim jest to, że ponieważ mojemu ojcu tak bardzo zależało, żeby podejrzenie nie padło na mnie, zawarł układ z Veigarem, mordercą, nie wiedząc oczywiście, co naprawdę się zdarzyło. On zawsze uważał, że to ja zrobiłam. Załatwił mu potem dobrą posadę w mieście, przyzwoite mieszkanie i znalazł kupca na ziemię i gospodarstwo. I wszyscy byli zadowoleni. – Wykrzywiła twarz. – Oprócz mnie.

– To pani ojciec musiał działać bardzo szybko – odezwał się Ódinn, nie do końca przekonany, czy dobrze zrozumiał następstwo zdarzeń. – No bo kto znalazł tę szmatę? I jak pani ojciec zdołał doprowadzić do tego, że nie wpadła w ręce policji? Przecież na pewno od razu wezwano policję.

– Veigar znalazł szmatę. On i mój ojciec odkryli ją razem. I ja. – Widziała, że to nie wystarcza jako wyjaśnienie, więc dodała: – Tuż przedtem Veigar natknął się na mnie na tyłach domu. Zrezygnowałam już ze spotkania z Einarem i szłam w kierunku drogi, gdzie zostawiłam samochód swojej matki. Czasami po kryjomu jeździłam do Krókur. Nikt o tym nie wiedział, rodzice tylko się dziwili, że tyle sypiam w dzień, ale tłumaczyli to moją chorobą. W każdym razie Veigar mnie wtedy dopadł, zawłókł do swojego biura i zasypał pytaniami. Kiedy pojął, kim jestem, zadzwonił do ojca, żeby po mnie przyjechał. To dlatego ojciec był tam na miejscu, kiedy znaleziono tę szmatę.

– To znaczy, że Veigar i pani ojciec poszli razem na miejsce wypadku? – spytał Ódinn. Mgła w jego umyśle powoli się przeredzała.

Eyjalín skinęła głową.

– Ja też tam byłam. Ojciec zaciągnął mnie niemal siłą do auta. To było okropne.

- I mówi pani, że to Veigar wyciągnął szmatę?

- Tak, niech no sobie jeszcze raz przypomnę. - Eyjalín przymknęła powieki i przez chwilę siedziała nieruchomo. Potem znowu spojrzała na Dilję i Óðinna szeroko otwartymi oczyma. - Tak, tak właśnie było. To Veigar ją znalazł.

- Dlaczego miałyby skierować waszą uwagę na tę szmatę, skoro sam ją wetknął do rury wydechowej? Czy nie lepiej by było odesłać panią i ojca do domu i dopiero później się nią zająć? Policja potrzebowała ładnych paru minut, żeby dotrzeć do Krókur, więc miałyby dość czasu.

Óðinn zauważył, jak z jej twarzy znika wyraz samozadowolenia.

- Nigdy o tym nie pomyślałam.

Zwilżyła sobie usta językiem, a ozdobione złotymi pierścionkami palce zabębniły o kant stołu. Jej ramiona drgnęły, jakby przeszył ją dreszcz. To nie mogło być od zimna, bo w salce z każdą chwilą robiło się coraz bardziej gorąco.

- Wobec tego to była ona - syknęła Eyjalín.

- Ona? - spytała Diljá rozdrażniona.

- Tak, ona. Ta dziwka. - Eyjalín położyła drżącą rękę na sercu. - Aldís.

Szeroko otworzyła oczy i zapadła się w sobie.

- Naturalnie.

ROZDZIAŁ 29

marzec 1974

Koniec zimy zdawał się wreszcie namacalnie zbliżać. Chociaż nie widać było jeszcze wielu jego oznak, Aldís niemal każdego ranka szła lżejszym krokiem z domku do jadalni. Wprawdzie o tej porze nie było jeszcze widno, ale ciemność nie wydawała się już tak nieprzenikniona jak w ostatnich tygodniach. Poza tym mróz nie szczypał tak niemiłosiernie policzków i palców. Ptak trzepotał nad nią skrzydłami, jakby czuł całkiem podobnie jak ona. Doszedł ostatnio do siebie i chyba myślał, że najgorsze już za nim. Zima nie będzie trwała wiecznie.

Dla uczczenia tego dnia Aldís włożyła swoje najlepsze ubranie i rozpuściła włosy. Pomalowała sobie nawet rzęsy i z zadowoleniem oceniła swe odbicie w lustrze. Wyglądała całkiem ładnie, a pogoda zapowiadała się na nie najgorszą. Ale to nie wszystko. Gdyby była tak przygnębiona jak przez cały czas ostatnio, ubrałaby się w to co zawsze i nawet by nie zauważyła zmiany pogody ani innego światła. Ale oto wszelki ból ulotnił się nie wiadomo gdzie dzięki listom od matki. Przeczytała je we właściwej kolejności, słowo za słowem, co najmniej z dziesięć razy. Czasami łzy zmuszały ją do zrobienia przerwy, jednak tęsknota za mamą była silniejsza niż gniew. Chwilami płakała też nad niesprawiedliwością losu, który ją z nią rozdzielił

Patrząc na to wszystko z perspektywy czasu, chyba obie zareagowały zbyt nerwowo, jakby sterowane różnymi siłami. Gdyby Aldís widziała wcześniej te wielokrotne przeprosiny swojej matki i opisy jej głębokiej troski oraz tęsknoty, złość, zamiast wciąż narastać, po prostu by z niej uszła. Matka wprawdzie nie napisała, dlaczego wyrzuciła tego łobuza, ale rozstała się z nim od razu po wyniesieniu się Aldís. To by znaczyło, że uwierzyła córce i zdała sobie sprawę, co za drania sprowadziła do domu.

Aldís zamierzała dzisiaj złożyć wymówienie. Dziś chciała też pójść do biura Veigara i zadzwonić do mamy, mimo że właściwie powinna posprzątać tam dopiero jutro. Cieszyła się jak szalona nie tylko na telefon. Nie mogła się także doczekać, aby w końcu pozbyć się nienawiści do niej.

Ptak, który nadal krążył nad podwórzem, wesoło świergotał. Na decyzję Aldís o opuszczeniu Krókur padł cień. Co się stanie z tym biedakiem, kiedy ona nie będzie się o niego troszczyć? Poza tym trochę się bała rozmowy z Lilją i Veigarem o swoim odejściu. Nie wiedziała, które z nich lepiej to przyjmie, zastanawiała się też, czy nie sprytniej by było powiedzieć o tym im dwojgu jednocześnie. Od kiedy

podjęła decyzję, nie chciała zostać w Krókur ani dnia dłużej.

Najchętniej spakowałaby rzeczy już tego samego wieczoru i wyjechała stąd następnego ranka. Ale to niemożliwe. Nie było nikogo, kto by ją zastąpił, a Lilja na pewno nie przejęłaby jej obowiązków, żeby ona mogła odejść. Poza tym nie miała pewności, ile wynosi jej okres wypowiedzenia. Tydzień? Pół miesiąca? Miesiąc albo tak długo, dopóki nie znajdzie się ktoś na jej miejsce? A co, jeśli nikt się nie zgłosi? Czy wtedy będzie musiała tkwić w Krókur wiecznie? No raczej nie. Aldís okrążyła potężną zaspę i postanowiła, że w takim przypadku po prostu ucieknie.

W kuchni przywitał ją zapach kawy. To coś nowego. Hákon siedział z parującym kubkiem w dłoniach, blat roboczy był zalany wodą, a stół pokryty rozsypaną kawą. Aldís sięgnęła po szmatkę ze zlewu, postanawiając, że nie da sobie popsuć tym dnia.

– Jesteś dziś wcześniej na nogach.

– No tak – odpowiedział Hákon znad kubka i dalej patrzył przed siebie. Jak znowu znajdzie się na północy albo w Reykjavíku, nie będzie już musiała zadawać się z ludźmi, którzy duchem wciąż są gdzieś indziej.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – spytała, zgarniając wodę szmatką w kierunku zlewu.

– Nie kładłem się jeszcze, dopiero idę spać. – Jakby na przekór swym słowom wypił potężny łyk kawy. – Veigar prosił mnie, żebym pilnował obejścia. Jego zdaniem w nocy ktoś się tu szwenda. – Hákon napił się znowu i spojrzał na nią znad krawędzi kubka. – Podejrzewa ciebie.

Aldís poczuła, jak jej policzki robią się czerwone, odwróciła się od niego i wyzięła szmatkę.

– Ostatniej nocy nie byłam na zewnątrz, jeśli to masz na myśli.

Jak to dobrze, że tej nocy nie spotkała się z Einarem. Musiała przyznać, że z wielką ochotą pobyłaby z nim sam na sam, ale najpierw chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Ponieważ jej się to nie udało, musi go o to spytać wprost. Może jak będzie się z nim żegnać.

– Skąd Veigarowi przyszło do głowy, że chodzę nocą po dworze? Z drugiej strony to nie jest przecież zabronione, więc po co wystawiać wartownika?

– Zdaje mi się, że on jeszcze bardziej martwi się tym, że to nie ty – odpowiedział Hákon.

– I co, widziałeś kogoś?

– Ani żywego ducha. – Hákon odstawił kubek i z wytartej kurtki wyjął pudełko z tabaką. Wysypał sobie odrobinę na grzbiet lewej dłoni. Ale zanim przyłożył do niej nos, zmierzył wzrokiem Aldís, która tym razem wytrzymała jego spojrzenie. – Ty wiesz, Aldís, że ten chłopak nie jest dla ciebie.

– Jaki chłopak? – spytała, choć doskonale wiedziała, kogo ma na myśli.

– Mówię ci tylko, tak na wszelki wypadek, gdybyś spotykała się z nim potajemnie po nocach. Szkoda ciebie dla niego.

Okruchy czarnego tytoniu wisiały mu przy nosie.

– Nie spotykam się z nim – zaprotestowała słabo. – A niby dlaczego on ma być taki zły?

W marzeniach o jej nowym życiu, hen daleko od tego miejsca, Einar albo był przy niej, albo był zupełnie nieobecny. Kiedy wyobrażała sobie spotkanie po latach ze swoimi szkolnymi koleżankami na północy, on należał do tego obrazu, większość z nich bowiem mieszkała z którymś z dawnych chłopaków z młodości. Wszystko można było o nich powiedzieć, ale na pewno nie to, że są atrakcyjni. Z kolei w jej wizji siebie jako stewardesy odgrywał raczej poboczną rolę, a kiedy myślała o spotkaniu z mamą, jego postać w ogóle się nie pojawiała.

– Skoro tak mówisz – odparł Hákon, podczas gdy z jego nosa w kierunku górnej wargi spływała ciemna strużka. Aldís poczuła, jak wszystko jej się wywraca w żołądku. Odwróciła spojrzenie, chwyciła się obiema rękami zlewu i zadławiła kilka razy, jakby za chwilę miała zwymiotować, ale w ustach nie miała nic poza gęstą śliną. – Skoro tak mówisz – powtórzył.

Na czole Aldís pojawiły się kropelki zimnego potu i poczuła, że zrobiła się kredowobiała na twarzy. Przez ten wysiłek napłynęły jej do oczu łzy, a tusz na rzęsach na pewno się już rozmazał.

– Jestem chora – rzuciła.

– Nie, masz mdłości. – Hákon wstał, podszedł do zlewu i wstawił do niego pusty kubek. – I jest rano.

Aldís wypluła ślinę do zlewu i spojrzała na niego zaskoczona.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Niedługo się przekonasz – odparł i wyszedł z kuchni. Nogawki spodni łopotały mu wokół szczudłowatych nóg.

Aldís odwróciła się z powrotem do zlewu i znowu zdławiła wymioty. Tym razem wydobył się z niej mocny strumień brązowej żółci.

Aldís odłożyła telefon na później. Cała radość z decyzji o odejściu i z tego, że zadzwoni do matki, uleciała, a pozostało to samo poczucie beznadziejności, które paraliżowało ją od tygodni. Wprawdzie już więcej nie wymiotowała, ale do obiadu zrobiło jej się jeszcze raz czy dwa niedobrze. Smarki przy nosie u któregoś z chłopców, resztki owsianki w czyjejś misce, kloaczny zapach w toalecie – to wszystko przerastało jej siły. Oczywiście nie można było wykluczyć, że tylko

złapała grypę żołądkową, która minie, i jutro obudzi się równie szczęśliwa i optymistycznie nastawiona jak dzisiejszego ranka. A jednocześnie wiedziała, że to mrzonki. Jej piersi były nabrzmięte, a okres się spóźniał. Więcej dowodów nie trzeba. Obliczyła, kiedy miała ostatnią miesiączkę, i doszła do wniosku, że już dwa tygodnie temu minął termin kolejnej. Nie zauważyła tego jedynie z powodu tutejszej monotonnej codzienności. Wszystkie dni były takie same, piętrzyły się za nią i tworzyły przeszłość, w której jedno zdarzenie nie różniło się od drugiego.

Ale ona nie pozwoli się złamać. Po kolacji pozmywa i tak samo jak rano, także przy obiedzie i przez całe popołudnie nie da nic po sobie poznać. Praca była jej napędem, jej liną ratunkową, która chroniła ją przed załamaniem się i szlochem.

– Niedługo będę mógł wrócić do domu.

Nagle za jej plecami stanął Tobbi i uśmiechnął się tajemniczo, kiedy się do niego odwróciła. Wyciągnął w jej stronę talerz, jakby chciał wręczyć jakiś szczególnie prezent. Przyszedł później na kolację, ponieważ asystował Veigarowi przy naprawianiu dachu na oborze.

– Postaw go na stole – powiedziała Aldís i obrzuciła ciepłym spojrzeniem jego potargane włosy i ogniście czerwone policzki, które przybrały tę rumianą barwę, kiedy mały wrócił z zimna do ciepłego domu. – Gratuluję! Cieszysz się?

Nie wiedziała, czego od niej oczekiwał, a była zbyt zajęta własnymi myślami, żeby powiedzieć mu coś rozsądnego.

Tobbi przestępował z nogi na nogę.

– Jasne. – Podrapał się po głowie. – Moja mama zachorowała. Dlatego mogę pojechać.

– Na pewno niedługo wyzdrowieje – rzekła Aldís, chociaż przeczuwała, że szanse na to muszą być niewielkie. Chłopcy nie mogli opuszczać Krókur tylko z powodu grypy rodziców. – To kiedy jedziesz?

– Jutro. Jutro rano.

Grube palce Tobbiego sterczały przez skarpetki. Jego spodnie były wyraźnie za krótkie i Aldís doszła do wniosku, że od jesieni, kiedy chłopak przyjechał do Krókur, bardzo śmignął w górę. Ale nie przybrał na wadze, znoszone ubranie wisało na nim tak samo jak przy ich pierwszym spotkaniu.

– Nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy. Chciałem tylko powiedzieć cześć – dodał.

– Zobaczymy się pewnie przy śniadaniu? – mruknęła bardziej ponuro, niż zamierzała. Ufność chłopca zaskakująco ją wzruszyła. Teraz niewiele było trzeba, żeby wywołać u niej łzy, a nie chciała, żeby mały widział ją, jak ryczy. – Dziękuję, Tobbi. Będzie mi cię brakowało.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Ja też niedługo się stąd wynoszę, może spotkamy się kiedyś w mieście - dodała jeszcze.

- Tak, a kiedy? Przenosisz się do Reykjavíku?

Radość na twarzy Tobbiego była rozczulająca. Chłopiec w jego wieku nie powinien się tak ekscytować na myśl o ewentualnym spotkaniu z dorosłą kobietą, której prawie nie zna.

- To może kiedyś cię odwiedzę!

- Pewnie, dlaczego nie - rzekła i zajęła się z powrotem zmywaniem.

Tobbi wyraźnie nie zamierzał jeszcze odejść. Aldís nadal słyszała jego oddech za plecami.

- Mogę to powiedzieć Einarowi? - spytał.

Jej dłonie znieruchomiały w brudnych mydlinach. Przez dziurkę gumowej rękawicy wydostał się mały pęcherzyk powietrza.

- Jeśli chcesz.

Usłyszała, jak Tobbi odwrócił się na pięcie i wybiegł podniecony. Kolejny pęcherzyk powietrza wydostał się z rękawicy na wolność. Aldís zmywała dalej. Dwie szklanki stuknęły o siebie tak mocno, że jedna z nich pękła. Aldís wyłowiła ją i wyrzuciła do śmieci. Nie miała ochoty ukrywać jej za innymi naczyniami, jak zwykle to robiła, bo nie bała się już zrzędzenia Lilji i Veigara. Miała inne zmartwienia. W tym momencie uzmysłowiła sobie, że Tobbi jutro rano może wspomnieć Veigarowi w samochodzie o jej planowanym wymówieniu. Koniecznie musi z nim wcześniej porozmawiać. Wyjęła ostatnią szklankę z mętnej wody i postawiła ją na stosie naczyń na ociekaczu, nie przejmując się tym, że jest wciąż zamazana, a na dnie została warstewka mleka.

Aldís wiedziała, że Lilja i Veigar poszli do salki wykorzystywanej do celów religijnych. Zwykle udawali się tam po kolacji, rzekomo żeby się pomodlić, ale ona podejrzewała, że chcieli w ten sposób wymigać się od sprzątanía. Może po prostu siedzieli tam sobie, czytali i odpoczywali po całym dniu.

Wyłączyła światło i wyszła na korytarz. Drzwi do salki były zamknięte, ale dochodziło zza nich mamrotanie, które jak najbardziej mogło być modlitwą. Aldís nabrała głęboko powietrza, poprawiła sobie włosy i zapukała zdecydowanie, żeby przypadkiem nie stracić odwagi i się nie wycofać. To tak jak podczas nauki pływania w szkole: czasami lepiej skoczyć od razu do basenu, zamiast ostrożnie się czaić. Nie czekając na okrzyk „wejść”, otworzyła drzwi. Lilja i Veigar siedzieli w pierwszej ławce i jednocześnie odwrócili głowy, żeby zobaczyć, kto jest tak bezczelny, by im przeszkadzać. Lilja miała splecione dłonie.

- Co się stało? - Veigar spytał bardziej zdziwiony niż oburzony. Albo nawet zaniepokojony. Może obawiał się jakiejś złej wiadomości na temat dachu, przy

którym niedawno majstrował.

– Rezygnuję z pracy. Tylko to chciałam wam powiedzieć. – Więcej Aldís sobie nie przygotowała. Zapadła cisza, nikt się nie odzywał. – Kiedy mogę odejść?

– Rezygnujesz? – spytała Lilja wyraźnie urażona.

Veigar zachował fason, ale w tonie jego głosu było słycać, że uważa jej decyzję za niedopuszczalną.

– Nie możesz tak po prostu sobie odejść – oznajmił.

– Składam wymówienie. Kiedy mogę odejść? – Aldís wiedziała, że zrobiła się czerwona jak burak, i marzyła o tym, żeby już było po wszystkim. A jednocześnie czuła się z siebie dumna. – Wiem, że jest coś takiego jak okres wypowiedzenia. Ile on wynosi?

Veigar coś wybełkotał. Aldís nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała go w takim stanie.

– Może byś się jeszcze zastanowiła, Aldís? Właśnie niedawno rozmawialiśmy, że najwyższa pora pomyśleć na nowo o twojej pensji i paru innych rzeczach. Nie powinnaś działać pochopnie.

– Jestem w ciąży. Nie mogę tu dłużej pracować. Kiedy mogę skończyć?

Te słowa wytrysnęły z niej tak po prostu jak rano wymiociny. Coś w środku jej mówiło, że teraz nie ma już odwrotu. Każda cząstka jej osoby, która koniecznie chciała się stąd wydostać, dyktowała teraz warunki i nie zamierzała dać się zwieść jakimś pięknymi obietnicami.

Oboje wlepiali w nią wzrok i siedzieli jak skamieniali. W końcu Veigar otoczył Lilję ramieniem, ona zaś przeniosła spojrzenie z Aldís na wizerunek Jezusa Chrystusa.

– Powiedziałaś: jestem w ciąży? – spytał Veigar i zwilżył sobie usta językiem. Nie potrafił teraz patrzeć Aldís w oczy.

– Tak, tak mi się wydaje. Nie, ja to wiem. Muszę przestać pracować – Aldís chwyciła się ramy drzwi, żeby w popłochu nie uciec.

– Kto jest ojcem? Ktoś stąd?

– To tylko moja sprawa. – Poczerwieniła jeszcze bardziej i mocniej wbiła palce w drewnianą framugę.

– Chcesz urodzić to dziecko? – spytała Lilja, wpatrując się nadal w Chrystusa, jakby to pytanie było skierowane do niego.

– Tak, dam sobie radę.

Aldís poczuła nagle, jak komiczne jest to wszystko. Na dobrą sprawę, nie była jeszcze wcale pewna, czy jest w ciąży, i oczywiście w ogóle dotąd nie myślała, co stanie się z dzieckiem i z nią samą. Była zbyt przerażona – to po prostu nie mogło

być prawdą! Ale jeśli było, musiała to zaakceptować. Może Einar będzie się poczuwał do odpowiedzialności. Na pewno byłoby łatwiej uporać się z tym razem z nim, bo przecież z własnego doświadczenia wiedziała, jak to jest wychowywać się przy samotnej matce. Nie chciała też stać się taka jak jej mama, chociaż bardzo ją kochała. Einar i ona musieli razem sobie poradzić. To byłoby najlepsze i dla dziecka, i dla niej. I dla niego. Ale najpierw trzeba wyjaśnić kilka spraw.

Veigar zdawał się czytać w jej myślach.

– Jeśli ojcem jest ten, którego podejrzewam, niewykluczone, że on mógłby ci pomóc, jeśli nie chcesz tego dziecka – powiedział i wstał z ławki.

Aldís nie bardzo rozumiała, co chciał przez to powiedzieć, czuła jednak, że to nic przyjemnego. Nagle ogarnęła ją znowu wściekłość na nich oboje z powodu listów i całego ich postępowania.

– Zamknij się! Ja nie zakopię swojego dziecka byle gdzie – rzuciła w gniewie. – Nigdy w życiu!

Nie czekając na reakcję Veigara, wypadła na korytarz i nabrała powietrza w płuca dopiero, gdy znalazła się na dworze. Słyszała za sobą rozdzierający niebo krzyk Lilji i biegnąc, zatkała sobie uszy. Świeże powietrze dobrze jej zrobiło. Uśmiechnęła się trwożliwie. Przynajmniej teraz nie będą jej zmuszać, żeby dotrzymała terminu wypowiedzenia.

Księżyc był jeszcze na swoim miejscu, a gwiazdy rozsiane po całym niebie jak w inne wieczory. Chociaż Aldís miała poczucie, że jej życie zmieniło się w mgnieniu oka, cała reszta świata pozostała taka sama. Siedziała na ławce za domkiem i wpatrywała się w ciemność. Kiedy usłyszała skrzypienie śniegu, nie odwróciła głowy, tylko wciąż patrzyła przed siebie. Było jej obojętne, czy ten ktoś pójdzie sobie dalej, czy do niej zagadnie.

– Tobbi mi powiedział, że tu jesteś.

Einar usiadł obok niej z rękami w kieszeniach kurtki.

– Tak, muszę się stąd wynieść.

Aldís nabrała ochoty na papierosa, kiedy zobaczyła, jak z nosa Einara wydobywają się obłoczki dymu. Ale palenie należało teraz do przeszłości. Może dla uczczenia chwili pozwoliłaby sobie na jednego, gdyby się okazało, że jednak nie jest w ciąży.

Einar ciężko westchnął.

– Właściwie to miałem nadzieję, że to nieprawda – rzekł.

Oboje wpatrywali się w czarną pustkę w oddali.

– Przed chwilą Veigar powiedział o tobie coś, co muszę wyjaśnić. – Nie odwracając się do niego, ciągnęła dalej: – To dla mnie bardzo ważne, żeby

wiedzieć, co ty zrobiłeś i dlaczego tu jesteś. Nie mogę w tej chwili wyjawić ci powodu, ale mam nadzieję, że jeszcze będę miała okazję.

Słyszała jego ciężki oddech i kątem oka dostrzegła, że zwiesił głowę.

– Ja muszę to wiedzieć, Einar. Musisz mi to zdradzić.

I kiedy Einar zaczął mówić, Aldís pomyślała, że nie może już być nic gorszego. Lecz z każdym zdaniem było coraz gorzej. Dopiero kiedy przy drzwiach do małego domku minęła martwego ptaka leżącego w śniegu, do oczu napłynęły jej łzy.

Diljá siedziała na brzegu biurka w boksie Róberty, gdzie Óðinn skrył się po spotkaniu z Eyjalín. Nie chciał wracać na swoje miejsce i rozmawiać z kolegami ani znowu zajmować się raportem, którego na sto procent nigdy nie skończy. Najchętniej rzuciłby się teraz do drzwi i dokądś popędził, lecz nie bardzo wiedział dokąd, i dlatego tutaj poszukał schronienia. Diljá położyła mu rękę na ramieniu. Nagle poczuł ciepło jej dłoni.

– Przecież ci mówiłam. Tak to jest w takim małym kraju. Na każdym kroku człowiek natyka się na dawnych przyjaciół, krewnych albo ukochanych. Tutaj wszyscy są jakoś ze sobą skoligaceni albo powiązani.

Óðinn roześmiał się bezradnie.

– Tak mówisz?

– Uważam, że to zupełny idiotyzm, żebyś miał oddać ten projekt – ciągnęła dalej Diljá, skrzyżowawszy ręce na piersi, tak że jej obfity biust uniósł się do góry i Óðinn na ułamek sekundy zapomniał o wszystkich swoich problemach. Ale zawstydzony zaraz zwrócił wzrok w inną stronę. – Naprawdę. No bo kto będzie o tym wiedział? Heimir i tak niczego nie zauważy, nawet jak wytatuujesz to sobie na czole.

– Muszę przekazać tę sprawę komu innemu. Jest mi wszystko jedno, kto będzie wiedział, a kto nie o powiązaniu między Aldís a mną. Muszę to zrobić ze względu na siebie.

Nie był w stanie usiąść teraz do komputera i ot, tak po prostu wprowadzić nowych informacji do raportu. Opisywanie zdarzeń w sytuacji, gdy zna się uczestniczącą w nich osobę, a zwłaszcza gdy na własnej teściowej i babci własnej córki ciąży podejrzenie o spowodowanie przed laty śmierci dwóch chłopców – to zupełnie co innego. I nie ma tu żadnego znaczenia fakt, że kobieta, która tak twierdzi, jest bardzo dziwna.

– Mam dość własnych problemów, a tu za każdym razem bym myślał, że naginam prawdę, niezależnie od tego, jak dokładnie sformułuję zarzuty Eyjalín – powiedział.

– Czy jesteś bardzo związany z Aldís?

– Skąd, uchowaj Boże. Ona mnie nie cierpi, a ja nie znoszę jej – zaprzeczył Óðinn z ciężkim westchnięciem. – Chodzi mi tylko o Rún. Mojej córce naprawdę nie jest łatwo i byłoby dla niej straszne, gdyby jeszcze rozpętała się kampania

prasowa wokół tego, że jej ojciec spaprał dochodzenie, a babcia jest prawdopodobnie zabójczynią.

– Ach, przestań! Ta baba nie ma o niczym pojęcia. No i co z tego, że twoja teściowa zabijała się w tamtym Einarze, jak twierdzi Eyjalín? Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby młode dziewczyny mordowały swoich wybranków. Pomyśl tylko, jaka z tej staruchy musi być wariatka, skoro do dzisiaj kocha się w chłopaku, którego już od wieków nie ma na tym świecie? – Diljá wstała z krzesła.
– Przecież jej kompletnie odbiło! Mam nadzieję, że to widzisz.

Óðinn wzruszył ramionami. W swoim obecnym stanie nie był najwłaściwszą osobą do oceniania, komu odbiło, a komu nie.

– Ale autentycznie się cieszyła, że poznała Róbertę. Pewnie to wynikało z przyciążania się przeciwieństw – kontynuowała Diljá.

– Jak to?

– Róberta była samotna, nie miała wielu przyjaciół, a tu nagle pojawia się taka elegancka dama, która widzi w niej swoją wybawicielkę i powierza jej swoje tajemnice. To musiało działać na naszą biedną Róbertę jak narkotyk. Pewnie dlatego zabrała papiery do domu, może chciała się jeszcze bardziej wkraść w łaski Eyjalín i oddać jej listy albo je zabezpieczyć, żeby nie zostały włączone do raportu. Bądź też zamierzała zachować je dla siebie. Tak czy inaczej, to ze względu na Eyjalín Róberta tak dogłębnie badała całą tę sprawę. Przecież widziałeś jej zdjęcie. Kto daje komuś obcemu swoją fotografię w ramkach? I kto stawia ją sobie w pokoju? Obie nie były całkiem normalne. Szkoda, że nie widziałeś Eyjalín na pogrzebie! Można było pomyśleć, że żegna swoją siostrę bliźniaczkę.

– To nie zmienia mojej decyzji. Nie mogę zajmować się dłużej tą sprawą – oświadczył Óðinn, pocierając oczy. Czuł, że powieki ma od środka jak papier ścierny. – Na dodatek jeszcze byłem taki nieuważny. Dlaczego na przykład nie zapamiętałem roku śmierci Einara? Przecież to wszystko było na tablicy.

– Zestawienie Róberty zawierało o wiele za dużo detali. Czasami lepiej jest mieć skromniejszy materiał do pracy.

– Diljá, ty dasz sobie z tym radę. Lepiej, żeby ta sprawa znalazła się w twoich rękach. Ciebie nie krępują żadne powiązania – oświadczył Óðinn i spojrzał na fotografię chłopców wiszącą na ścianie. Obaj patrzyli na niego, uwięzieni na zawsze w roku 1974. Óðinn próbował wyliczyć w myślach, ile dzisiaj mieliby lat, gdy nagle rozjaśniło mu się w głowie. Zerwał zdjęcie ze ściany. – O mój Boże!

– Co takiego? – Diljá pochyliła się ku niemu i rzuciła okiem na fotografię. – Dopiero teraz ją zobaczyłeś?

– Nie, dopiero teraz widzę, co na niej jest.

Zdjęcie Einara i Tobbiego zostało zrobione w Krókur na początku 1974 roku, przed piątym marca, kiedy obaj zginęli w samochodzie. Lára urodziła się w listopadzie 1974. W młodszej twarzy Einara dało się wyraźnie rozpoznać jej rysy. Óðinn jęknął. To wyjaśniało też zapiekłą nienawiść Eyjalín do Aldís, która musiała chyba mieć z Einarem bliższe relacje, niż sugerowała ta elegancka kobieta. Twierdziła, że Aldís uganiała się za nim, ale dostała od niego kosza. I to prawdopodobnie dlatego chciała obciążyć rywalkę winą za śmierć Einara i Tobbiego, gdy teoria o Veigarze się nie potwierdziła.

Óðinn próbował sobie przypomnieć, co Lára opowiadała o swoim ojcu. Wspominała o nim niezwykle rzadko, a on też specjalnie nie interesował się jej rodziną. Pamiętał tylko tyle, że jej ojciec umarł, kiedy matka była z nią w ciąży, i że rodzice nie byli razem. Jak przez mgłę mu świtało, że pochodził z zachodniej Islandii i że tam żyła cała jego rodzina, ale mógł się mylić. Lára nosiła nazwisko Karlsdóttir, czyli córka Karla, które to imię oznacza po islandzku także mężczyznę. Przyjęło się je stosować wtedy, gdy ojcostwo nie jest jasne albo matka chce zachować w tajemnicy, kim jest ojciec dziecka. Nie ma wątpliwości: Einar był ojcem Láry i dziadkiem Rún.

- Wychodzę. Mam dosyć na dzisiaj.

W poczekalni Óðinn kartkował obojętnie kolejne kolorowe pismo. Nie bardzo pojmował, po co to robi, chociaż może trochę poprawiało mu samopoczucie, gdy tak patrzył na zdjęcia beztrudnych zagranicznych gwiazd, których w ogóle nie znał. Zastanawiał się, czy nie powinien przypadkiem wyjechać z kraju i zupełnie gdzie indziej zacząć z córką nowe życie – z dala od grobu Láry i wszystkiego, co się z tym wiąże, z dala od Aldís i jej trudnej przeszłości. Odłożył magazyn. Zagranica nie jest żadnym rozwiązaniem, on z Rún nigdy nie byłiby tacy jak ci piękni i szczęśliwi ludzie na zdjęciach. Ale z drugiej strony, kto to może wiedzieć, czy ojciec i córka, których widział przed chwilą w jakimś piśmie dla golfistów, nie borykają się z takimi samymi problemami jak oni. Może ojciec boi się, że to on zabił matkę swojego dziecka, a jego teściowa – dziadka swojej córki. I kiedy odstawiał kij golfowy, nie mógł opędzić się od tych myśli. Raczej mało prawdopodobne.

Óðinn przypuszczał, że terapeutka i jej kolega po fachu specjalnie nie powiesili w przedpokoju żadnego zegara. Jego tykanie mogłoby pewnie wywoływać u pacjentów lęki i chociaż Óðinn nie miał nic innego do roboty, tylko musiał czekać na Rún, wręcz go kusiło, żeby wyjąć telefon komórkowy i śledzić na nim upływ czasu. Nagle otworzyły się drzwi i do poczekalni wyszła Rún z Nanną, która miała zaczerwienione policzki. Do końca spotkania zostało jeszcze dziesięć minut.

- Czy możemy chwilę porozmawiać? – zwróciła się do niego terapeutka,

uśmiechając się przyjaźnie do Rún. – Poczekaj tu na tatę. Na regale są zeszyty z Myszką Miki.

Rún w milczeniu minęła Óðinna, usiadła i opuściła głowę. Przykro mu było zostawiać ją tu samą, ale nie miał wyjścia. Kiedy Nanna zamykała za nimi drzwi, zobaczył, jak córka uniosła wzrok i na ułamek sekundy, zanim drzwi się zatrzasnęły, ich spojrzenia się spotkały.

– Proszę usiąść. Nie zajmę panu wiele czasu.

– To dobrze. Bo jesteśmy jeszcze umówieni.

Skłamał, ale chciał jak najszybciej wrócić do córki.

– Rozumiem – powiedziała Nanna z miną, jakby za chwilę miała obwieścić czyjś zgon. – Chcę tylko jeszcze raz wrócić do pana prośby, żeby nie rozmawiać z Rún o śmierci jej mamy.

– Tak, zależy mi na tym – odparł Óðinn, nie mając pojęcia, co powie, gdy padnie pytanie „dlaczego”.

– Nie wiem, co pan ma przeciwko temu, ale uważam, że to bardzo nierozsądne. Oczywiście respektuję pana prośbę, chciałam jednak prosić, by pan jeszcze raz to przemyślał.

– Nie zgadzam się. Jeszcze nie.

Spojrzała na niego nie bez irytacji.

– Życzy pan sobie, aby pańska córka odbywała u mnie terapię. Jej samej oczywiście się to nie podoba, ale większość dzieci woli robić zupełnie co innego, niż przychodzić do mnie na rozmowy. Rún nie została tu skierowana przez lekarza ani żaden ośrodek terapeutyczny, dlatego liczę się z tym, że nie pozwoli jej pan więcej się ze mną spotykać, jeśli panu powiem, że nie mogę z nią dalej pracować, nie wspominając o śmierci jej mamy. Mam rację?

– Tak, zgadza się – rzekł Óðinn. Marzył o tym, żeby opowiedzieć jej o własnych problemach, otworzyć się i zwierzyć ze wszystkiego, ale to było niemożliwe. Nanna musiałaby zgłosić policji, gdyby się okazało, że on przypuszcza, iż wypchnął Lárę z okna. – Może porozmawiamy o tym później, nie teraz.

– Wobec tego obawiam się, że nie mogę już niczego zrobić dla Rún – oznajmiła Nanna, szczerze zawiedziona. Gdy splotła dłonie, Óðinn zauważył, że ma małe i szczupłe palce. – To wydarzenie ciąży na pańskiej córce jak koszmar. Wprawdzie to niejedyna rzecz, która ją dręczy, ale najbardziej bolesna.

– Niejedyna? – spytał Óðinn i gwałtownie się wyprostował. – Co pani chce przez to powiedzieć?

– Jej stosunek do babci wydaje się bardziej skomplikowany, niż początkowo sądziłam. Rún autentycznie się jej boi. Poza tym zostało też kilka niewyjaśnionych

spraw między Rún a jej mamą, które jednak nie miały nic wspólnego z tą tragedią. Życie Rún nie było łatwe – odpowiedziała, rozplatając dłonie. – Pan też nie jest w tym wszystkim bez winy, jak przypuszczalnie pan wie.

Óðinn najchętniej zatkałby sobie uszy. Słuchanie, że zawiódł, sprawiało mu ból. Jednak nie zamierzał uchylać się od winy.

– Jestem tego świadom, ale próbuję to naprawić. Niestety, nie mogę cofnąć niczego, co już się stało.

– Nie wystarczy to powiedzieć. Jako weekendowy tatuś mógł pan wieść sobie wygodne życie i zaniedbywać inne sprawy, teraz jednak musi pan stawić czoło także temu, co trudne i mało atrakcyjne: codzienności. Nie wolno panu zawieść córki. Niech pan nie zapomina, że oprócz pana ona nie ma już nikogo.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Nanna niemal westchnęła.

– Mimo że nie aprobuję pańskiej decyzji, nadal jednak będę zajmować się Rún – oznajmiła w końcu, lekko przekrzywiając głowę na bok. – Czy rozumie pan, że jest to nietypowe żądanie? Rodzice zazwyczaj nie wtrącają się do terapii swoich dzieci. Ja przynajmniej nie przypominam sobie takiego przypadku.

– Nie mogę nic na to poradzić – bąknął Óðinn. Nic go to nie obchodziło, musiał myśleć o Rún. I o sobie.

– Oczywiście, że nie. – Nanna w zamyśleniu zwilżyła sobie usta językiem. – No trudno. Będę rozmawiać z Rún o jej życiu, jej stosunku do pana i może do babci. Kontakt z dziadkami zwykle jest bardzo korzystny dla dzieci, co nie znaczy oczywiście, że samo bycie dziadkiem czy babcią czyni od razu człowieka lepszym. Nie można wykluczyć, że pańska teściowa nie jest dobrym towarzystwem dla córki. Jeśli ona nie chce przebywać z nią sama, może powinny spotykać się pod czyimś okiem. – Spojrzała na Óðinna, spodziewając się jakiegokolwiek reakcji z jego strony. – Co pan na to? Czy istnieje jakiś powód, aby przypuszczać, że ta kobieta ma zły wpływ na Rún? Jaka ona jest?

– Ja po prostu tego nie wiem. Nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko.

Kiedy oboje zegnali się z Nanną, Rún patrząc na czubki swoich stóp, bąknęła „do widzenia”. Potem w milczeniu jechali przez śniegową breję do domu. Óðinn wyprzedził kilka samochodów, kilka aut wyprzedziło jego. Pasażerowie we wszystkich tych pojazdach patrzyli prosto przed siebie, jedynie Rún miała głowę zwróconą w bok. Jakby była na niego zła. Wyglądała na rozpieszczone dziecko, które nie zdołało postawić na swoim.

Przed ich blokiem coś się stało. Óðinn stuknął córkę w ramię.

– Popatrz, samochód na sygnale przed naszymi drzwiami.

Odwróciła głowę i pochyliła się do przodu.

– To karetka.

Postanowił nie jechać od razu na miejsce parkingowe. Zwolnił i zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić i udać, że zapomniał wstąpić do supermarketu, albo zaprosić córkę na lody. Ambulans, który ostatnio widziała z bliska, zabrał zwłoki jej matki po wypadku. Było jednak za późno, Rún od razu by się zorientowała, że to jakaś gra. Wjechał więc powoli w zatoczkę parkingową i wysiadł z auta. Migające niebieskie światło było nieprzyjemnie blisko nich. Drzwi karetki zatrzasnęły się z hukiem, a na zewnątrz wyszło dwóch mężczyzn.

– Dobry wieczór – odezwał się Óðinn. – Coś się stało? – Kiedy zauważył, że kierowca zamierza zadać mu kilka standardowych pytań, szybko dodał: – W tym domu mieszkają tylko trzy osoby. My dwoje i starsza pani. Czy coś z nią?

Mężczyzna obrzucił Rún spojrzeniem i z powagą skinął głową. Potem obaj wsiedli z powrotem do ambulansu, pulsująca niebieska lampa zgasła i odjechali. Rún zwróciła się do ojca.

– Dlaczego wyłączyli sygnał?

– Może się popsuł – odpowiedział Óðinn i ścisnął jej małą dłoń.

Teraz zostali w bloku zupełnie sami. On i Rún. Rún i on. Starsza pani miała rację. Była przeznaczona śmierci. A to nie oznaczało nic dobrego także dla niego.

Óðinn nie miał ochoty iść do domu. Zerknął na Rún, a ona zwróciła twarz ku niemu. W żółtawym świetle było wyraźnie widać, że jest podobna do swojego dziadka, Einara. Schylił się i pocałował ją delikatnie w czubek głowy.

– Powiedz mi coś, Rún.

Dziewczynka podejrzliwie zmarszczyła czoło.

– Co takiego?

– Wiem, że nie chcesz o tym mówić, ale to jest bardzo, bardzo ważne. I obiecuję ci, że potem już nigdy więcej nie będę do tego wracać. Nigdy więcej.

Jeszcze raz pocałował ją w głowę. Poczul przelotnie zapach jej szamponu, którego nie wolno mu było używać. Doskonale to rozumiał – po prostu zbyt dobrze pachniał, by marnować go na jego włosy.

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać z babcią? Czy ona jest dla ciebie niedobra? Sprawia ci ból albo robi coś innego, co ci się nie podoba?

Rún pokręciła głową.

– Nie. Ale obiecaj mi, że nigdy więcej nie będziesz o to pytał – powiedziała.

– Obiecuję. – Óðinn uniósł dwa wyprostowane palce w górę. – Przyrzekam.

– Ona wciąż zadaje mi jakieś pytania. I mocno mnie przy tym trzyma i nie chce puścić. A ja nie chcę jej odpowiadać.

- A o co cię tak wypytuje?
- O tamten poranek, kiedy umarła mama.

Óðinn się zawahał.

- Czy nie spałaś?

Rún wbiła wzrok w ziemię. Rury z gorącą wodą rozpuściły śnieg i tu i ówdzie widać było szare kamienne płyty. Óðinn miał nadzieję, że Rún nie ma w tej chwili przed oczami widoku asfaltu, na który spadła Lára. Potaknęła cienkim głosiakiem.

Óðinn musiał drążyć dalej. Nie będzie już lepszej okazji.

- Chce wiedzieć, czy widziałaś albo słyszałaś mnie wtedy w mieszkaniu? - spytał.

Rún wzdrygnęła się i spojrzała na niego zdziwiona.

- Ciebie? Nie, ona wciąż mówi tylko o sobie. Czy nie spałam, kiedy przyszła.

Óðinn zaniemówił. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Czyli on wcale nie był u Lóry, natomiast z Aldís sprawa nie jest jasna. Tak łatwo to sobie wyobrazić, jak już się na to wpadło. Przyniosła pranie i wstąpiła do Lóry, może na filiżankę kawy. Ale potem widocznie pokłóciła się z nią, straciła nad sobą kontrolę i zepchnęła córkę z parapetu, na którym Lára siedziała i paliła papierosa. Celowo albo niechcący.

Óðinnowi szumiało w głowie jak po paru głębszych. Tak bardzo mu ulżyło, że czuł się jak nowo narodzony. Nie jak nowy człowiek, ale wreszcie po prostu jak on, taki, jakim był, zanim to wszystko się zaczęło. Nie zrobił nic złego. Wprawdzie nie mógł być dumny ze swojej przeszłości, ale, w przeciwieństwie do Aldís, nie musiał się jej też nadmiernie wstydić.

Przestało mu być zimno i nagle przepełniła go ufność. Dlaczego nie domyślił się tego wcześniej? Wszystkie te dziwne halucynacje w ostatnich tygodniach wynikały z tego, że jego podświadomość próbowała zwrócić mu uwagę, że coś jest nie tak. I to nie miało nic wspólnego z zaświatami czy czymś takim. On wcale nie musi umrzeć! Jego życie tak naprawdę dopiero teraz zaczyna się na dobre.

Nie zamierza już czekać ani chwili i znowu skieruje je na właściwe tory.

- Wiesz co, Rún? Dzisiejszy dzień oznacza nowy początek dla nas obojga. Jutro porozmawiam z babcią i możesz być pewna, że teraz zostawi cię w spokoju. Tym razem załatwimy wszystko raz na zawsze.

Spojrzał na wschód, jakby spodziewał się wcześniejszego wzejścia słońca na ich cześć, lecz zobaczył tylko ciemne niebo szykujące się do nocy.

- Nowe życie, Rún! Począwszy od dzisiaj.

Córka najpierw dość sceptycznie przyglądała się dziecinnemu uśmiechowi na jego ustach, ale w końcu uśmiechnęła się także. Óðinn sięgnął do kieszeni kurtki

po klucz do drzwi frontowych, lecz zamiast niego wyciągnął klucz Róberty. Klucz do garażu. Zapomniał go oddać. Przeszedł go dreszcz, którego nie potrafił wyjaśnić, i schował klucz z powrotem do kieszeni. Odniesie go jutro. W pierwszym dniu nowego życia.

ROZDZIAŁ 31

marzec 1974

Czuła, że język ma suchy jak wiór, mimo to nie potrafiła zdobyć się na to, żeby przejść na drugą stronę korytarza do łazienki i ugasić pragnienie. Leżała zwinięta w kłębek na kolorowej narzucie, którą co rano przykrywała swoje łóżko. Wypłakała już wszystkie łzy. Jej życie legło w gruzach, nie miała przyszłości. Ale tego była świadoma już wcześniej, zanim wyjawiała Einarowi to, co wiedziała, i wypytała go o to, czego nie wiedziała. Przyznała mu się, że przeczytała listy do niego i spotkała Eyjalín, która sprawiła na niej wrażenie kompletnej wariatki. Nie zaprzeczył i w tym momencie obawy Aldís dotyczące ewentualnego zachowania tamtej dziewczyny jeszcze się nasiliły. Ale nie to było najgorsze w ich rozmowie.

Jaka ona jest jednak głupia. Zrobiła tylko jedną mądrą rzecz: nie zdradziła Einarowi, że spodziewa się dziecka. Kiedy usłyszała to wszystko od niego, postanowiła nie mówić na ten temat ani słowa. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Aldís z trupio bladą twarzą wstała i poszła do siebie do pokoju, ale przedtem zagrzebała jeszcze martwego ptaka w śniegu. Potem zalała się łzami. Płakała z żalu nad tym biednym stworzeniem, ale przede wszystkim nad własną głupotą i swoimi marzeniami obróconymi teraz w pył – że Einar i ona wspólnie będą wychowywać dziecko, szczęśliwi aż po kres swoich dni.

Einar za wszelką cenę starał się pomniejszyć swój udział w tym, co zrobili razem z Eyjalín, i dać do zrozumienia, że to ona ponosi całą odpowiedzialność. Jednak w jego oczach był niepokój, Aldís zaś nagle wydorosła na tyle, by przejrzeć go na wskroś. Nikt nie pozwoliłby się namówić do tego, czego oni we dwójkę się dopuścili.

Aldís szlochała gorzko. Położyła się teraz na plecach. Piersi ciągnęły ją mocno. Pomyślała o Eyjalín, czy ona też przechodziła takie męczarnie, gdy zaszła w ciążę z Einarem. Pewnie tak, tylko z innych powodów. Aldís cierpiała, ponieważ teraz zupełnie nie wiedziała, jak potoczy się jej życie. Widoki były ponure, to pewne. Eyjalín natomiast cierpiała dlatego, że jej despotyczny ojciec był zawsze przeciwny znajomości córki z Einarem i absolutnie nie chciał się zgodzić, żeby miała z nim dziecko. Pasowali do siebie jak srebrny widelec do papierowego talerza. Aldís wyrosła bez ojca, więc nie potrafiła wyobrazić sobie do końca jej położenia, była jednak przekonana, że nigdy nie posunęłaby się do tego, na co Einar i Eyjalín się zdecydowali, by ukryć ciążę.

Einar z obojętną twarzą opowiedział jej ze szczegółami o wszystkim, jakby on

był tylko obserwatorem. Aldís zamknęła oczy i chwyciła się za brzuch, gdy przypomniała sobie metalowy wieszak na ubrania i tłumaczenia Einara, że tak się robi na całym świecie. Kiedy siedziała obok niego na ławce, instynktownie założyła nogę na nogę, jakby obawiała się, że on zaraz wyjmie podobne narzędzie i zaproponuje, żeby je wypróbowała.

Zauważył to i zamilkł, dopóki nie poprosiła go, by mówił dalej. Mimo że wcale nie chciała słuchać tej historii do końca. Aldís przetarła sobie oczy. Dlaczego lituje się nad sobą? W porównaniu z Eyjalín nie ma najmniejszego powodu do skargi. Ingerencja okazała się skuteczna, ale z drugiej strony się nie powiodła. Udało im się wprawdzie usunąć embrion, lecz ich nieumiejętne działanie spowodowało, że Eyjalín wciąż krwawiła. Ukrywała ciążę przed rodzicami i nie powiedziała też ani słowa już po zabiegu, kiedy robiła się coraz słabsza. Gdy dwa dni później straciła przytomność z powodu upływu krwi, rodzice ledwie ją odratowali. Na dodatek wdał się jeszcze stan zapalny i po długim pobycie w szpitalu Eyjalín się dowiedziała, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci.

Utrata krwi spowodowała według Einara uszkodzenie mózgu, wskutek czego Eyjalín po chorobie nie była już taka jak dawniej. Aldís miała ochotę zwrócić mu uwagę, że to nie była żadna choroba, ale zrezygnowała. Uświadamianie mu tego nie miało sensu.

Później ojciec Eyjalín spowodował, że Einar trafił do Krókur zamiast do więzienia, mimo że był już pełnoletni. W ten sposób cała sprawa została utrzymana w kompletnej tajemnicy, Einar poniósł karę i dobre imię Eyjalín było uratowane. Nie doszło do żadnego postępowania, a parę życzliwych osób winnych jej ojcu przysługę postarało się, by wszystkie szpitalne protokoły zniknęły. Aborcja jest oczywiście zabroniona, poza przypadkami, gdy życie matki znajduje się w niebezpieczeństwie lub gdy płód ma wady genetyczne, tak więc gdyby sprawa potoczyła się normalnym trybem, perspektywy Einara nie wyglądałyby najlepiej. Zwłaszcza że po ingerencji, której dokonali w szopie do wędzenia ryb, wyrzucili płód od razu do morza.

Gdyby nie zrobili tego wszystkiego, Einar nie znalazłby się w Krókur, a Aldís zadzwoniłaby już do swojej mamy i zastanawiałaby się właśnie, gdzie ma wyruszyć – czy do Reykjavíku, żeby realizować swoje marzenie o zostaniu stewardesą, czy z powrotem, w rodzinne strony, na północ Islandii. Teraz wszystkie drogi miała odcięte i najchętniej by umarła.

Może po tamtej stronie czeka już na nią jej ptak, syty i szczęśliwy w blasku wieczności. Jednak to byłoby strasznie niesprawiedliwe, gdyby jej życie miało się skończyć z powodu tego, czego dopuścili się Einar z Eyjalín. Gdy dochodzi do przestępstwa, zawsze ktoś ponosi karę, tylko zwykle nie ten, kto zawinił.

Leżąc na łóżku i rozpaczając nad swoim losem, Aldís stwierdziła w końcu, że

tak czy inaczej podjęła rozsądną decyzję. Nigdy nie powie Einarowi, że jest ojcem jej dziecka. Nie chce już mieć z nim nic wspólnego, a kiedy przyjdzie pora, na pewno jakoś rozwiąże sprawę nazwiska. I nie da nic po sobie poznać, jeśli kiedykolwiek spotkają się przypadkiem na ulicy, nawet gdyby on szedł pod rękę z dziewczyną, a ona byłaby sama. Bo jasne, że będzie sama, przecież mężczyźni nie chcą wychowywać dzieci innych facetów, w każdym razie jej mama nigdy nie wyszła za mąż, a jedyny facet, który ją chciał, nie był nawet na tyle zakochany, żeby nie tykać jej córki. Prawdopodobnie wyląduje w jakiejś piekarni, jak mama, i najpiękniejsza w tygodniu będzie ta chwila, kiedy pod koniec dnia zostanie trochę gofrów i resztki będzie mogła zabrać ze sobą do domu.

Aldís zerwała się na równe nogi. Czuła, że boli ją głowa i ma lekkie zawroty. Najwyższy czas wziąć się w garść i przestać się użalać nad sobą. Myśl o zimnej wodzie z kranu od razu ją ożywiła. Chociaż głowa nadal o mało jej nie pękała, przynajmniej ustały zawroty. Podniosła kurtkę z podłogi i przyjrzała się jej uważnie. Z dużym brzuchem na pewno nie uda się zapiąć suwaka. Czy teraz będzie musiała wydać wszystkie pieniądze na ciężowe ciuchy, które już nigdy jej się nie przydadzą? O nie, to już woli chodzić ze zmarzniętym brzuchem.

O dziwo, przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że jest w ciąży. Jeszcze rano odważyła się żywić nadzieję, że istnieje może jakieś inne wytłumaczenie, ale teraz uważała to za żalosną dziecinadę. Już od dwóch tygodni mogła dodać dwa do dwóch, jednak wolała to wszystko wyprzeć i gdyby nie uwaga Hákona rzucona rano w kuchni, pewnie nadal ignorowałyby to, co oczywiste.

Rozległo się lekkie pukanie do jej drzwi. Brzmiało trochę głucho. Serce Aldís zaczęło bić szybciej, gdy spytała kto to. Jak powinna się zachować, jeśli to Einar? Zrobiło jej się niedobrze, kiedy przypomniała sobie, co powiedział na koniec swojej opowieści. Że wykopie dziecko Lilji i Veigara i zagrozi im, jeżeli nie pozwolą jemu, Einarowi, odejść. Aldís stwierdziła, że ten chłopak nie jest normalny. Jest zimny i bezduszny, tylko ona do tej pory nie chciała tego widzieć. Przez chwilę zastanawiała się nawet nad tym, czy nie powinna wdrapać się na parapet i wyskoczyć z okna.

– Hákón.

Aldís była tak ciekawa, że uchyliła lekko drzwi, nie myśląc w ogóle o tym, jak wygląda. Żaden z robotników nigdy dotąd do niej nie zapukał. Nie to, że jej tego brakowało – miała spokój przynajmniej u siebie i nie musiała się spodziewać niczyich wizyt o nieodpowiednich porach.

– Cześć – powiedziała ochryplym głosem.

Hákón zmierzył ją wzrokiem zaskoczony.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam.

Był na bosaka, a nad paskiem dżinsów wystawały mu slipy.

– Nie wiem, Aldís, o co chodzi, przed chwilą przyszła tu Lilja i chciała z tobą rozmawiać, ale była tak wściekła, że jej nie wpuściłem – dodał.

– Co takiego? – Aldís czuła, jak uginają się pod nią nogi, więc chwyciła się mocniej klamki. – Czego chciała?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale mówiła, no... no więc, że masz się stąd wynosić. – Hákon przesunął dłonią po zmierzwionych włosach. Miał siwy zarost przy skórze, a na policzkach plecionkę popękanych żyłek. – Dzisiaj wieczorem.

– Dzisiaj wieczorem? – Aldís przełknęła ślinę. – A gdzie ja pójdę?

W duchu już się zastanawiała, co z jej ubrań wisi jeszcze na sznurze do suszenia i ile w ogóle ma rzeczy. Kiedy przyjechała do Krókur, wystarczyła jej jedna stara, prawie rozpadająca się torba. Od tamtej pory na dobrą sprawę nic jej nie przybyło.

– A gdzie ja pójdę?

Hákon oczywiście tego nie wiedział, ale kogo miała spytać?

– Nie masz w mieście żadnych przyjaciół albo krewnych? – odpowiedział. Aldís pokręciła głową. Czuła się jak małe dziecko. – Mam pogadać z Lilją? Przecież oni powinni chociaż dać ci czas, żebyś sobie coś zorganizowała.

– Nie.

Aldís przygryzła wargę, która pękła znowu w tym samym miejscu co nocą w piwnicy. Tym razem smak krwi niczego nie zmienił – nie pokrzepił jej ani nie pozwolił zapomnieć o problemach.

– Pójdę, i już. Nie chcę zostać tu ani sekundy dłużej – rzekła. Przemknęła jej przez głowę dziecinna myśl, że Lilja jeszcze tego pożałuje, kiedy ona zamarznie gdzieś w drodze w zimową noc, i wszyscy potem obwiniają ich oboje.

– Jeżeli nie masz gdzie przenocować, to nigdzie nie pójdziesz, Aldís. Przecież nie będziesz spała pod gołym niebem? – rzucił Hákon.

– Znajdę jakieś wyjście – odparła, prawie słaniając się na nogach.

– Aldís, co się właściwie dzieje? – Hákon włożył ręce do kieszeni spodni i dopiero teraz zauważył, że wystają mu slipy. Z zakłopotaniem próbował wsunąć je za pasek, co nie bardzo mu się udało. – Lilja była strasznie rozwścieczona, myślałem, że zaraz eksploduje. Tak się na ciebie wściekała, że musiałem ją hamować. Jak dla mnie, przesadzała.

– To wariatka. Pójdę. Możesz jej to powiedzieć, jak tu wróci. Tylko spakuj swoje rzeczy i zaraz się stąd wynoszę.

Aldís była bliska płaczu, ale zacisnęła zęby.

– Przecież nie możesz iść na piechotę, oszalałaś? Lilja mówiła, że Veigar zawiezie cię do miasta. Masz przyjść do samochodu. Mówiła, że będzie gotowy za jakieś dwadzieścia minut. Zdążysz się przez ten czas spakować?

- Tak - rzuciła. Gdyby chciała teraz opowiedzieć Hákonowi, jak niewiele ma do pakowania, na pewno by się rozszlochała. - Dam radę.

- Zawiezie cię na dworzec autobusowy. W poczekalni będziesz pewnie mogła przeczekać do rana - dodał Hákon i wyciągnął do niej rękę. - Miło było cię poznać, Aldís. Powodzenia. Pamiętaj, że najczęściej wszystko układa się lepiej, niż człowiek myśli.

Aldís poczuła zrogowaciałą skórę na jego dłoni.

- Dzięki. Ty też się trzymaj.

Zamknęła drzwi, cisnęła torbę na łóżko i zaczęła upychać w niej ubrania. Potem opróżniła szafkę nocną i komódkę. Kilka minut później przyniosła jeszcze kosmetyczkę z łazienki, gdzie zatrzymała się jednak na moment, żeby ugasić pragnienie i opłukać sobie twarz zimną wodą.

Następnie usiadła na brzegu łóżka już w butach i kurtce i ostatni raz rozejrzała się po pokoju. Nie będzie za niczym tęsknić. Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Silnik samochodu Veigara był już włączony, ale z całą pewnością nie rozgrzewał go dla niej. Na podjeździe zauważyła czyjąś małą postać, która biegła powoli, rozglądając się nerwowo. To Tobbi. Pomachał do niej i po chwili stał już zadyszany pod jej oknem i dawał znaki, żeby otworzyła.

- Chciałem się tylko z tobą pożegnać - powiedział, zadzierając głowę do góry. - Słyszałem, jak Lilja mówiła, że dziś wieczorem masz się stąd wynieść.

- Dziękuję, Tobbi. Na pewno jeszcze się zobaczymy. Chyba wyjadę na północ. Może i ciebie los kiedyś też tam zagna.

Mały rozejrzał się nerwowo we wszystkie strony, a potem znowu podniósł na nią wzrok.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci prawdy o tej nienormalnej kobiecie wtedy, w jadalni. Tak strasznie się jej bałem. Zaczaiła się na mnie, jak odbierałem pocztę, i zmusiła, żebym jej powiedział, gdzie jest pokój Einara. Miałem się z nią potem spotkać i zaprowadzić do niego, bo jak nie, to zagroziła, że zrobi mi krzywdę. No i wtedy przyszłaś ty. Ona była okropna. Pachniała krwią. - Oddychał gwałtownie. - Czy Lilja dlatego cię wyrzuca?

- Nie, nie dlatego. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

Aldís chciała dodać coś jeszcze, ale nagle ktoś wyszedł zza węgła. Dobrze znała ten chód i sposób, w jaki osłaniał sobie oczy przed wiatrem. Najchętniej pożegnałaby się z Tobbim i zatrzasnęła okno. Pewnie Einar usłyszał, że Lilja ją wyrzuca, i chciał wiedzieć dlaczego, a ona nie miała na podorzędziu żadnego wyjaśnienia. Ale i tak wolała już zamienić z nim parę słów przez okno, niż rozmawiać w pokoju.

- Tu jesteście. Właśnie o was mi chodziło - powiedział cicho Einar. Ściągnął

Tobbiemu czapkę z głowy i potargał mu włosy, tak że mały wyglądał na jeszcze bardziej rozczochanego niż zwykle. – Chciałem was ostrzec. Ona jest tutaj. Dopiero co widziałem ją za domem. Lepiej, żeby się na was nie natknęła.

Nie musiał mówić nic więcej. Tobbi zrobił się niespokojny, naciągnął z powrotem czapkę na głowę i wystraszony rozglądał się po podwórzu. Aldís doszła do wniosku, że Einar chyba już się domyślił, że ona się zbiera i zaraz wynosi się z Krókur, toteż odetchnęła z ulgą. Już nigdy go nie zobaczy i postara się o to, żeby jakoś ułożyć sobie życie. Einar jakby czytał w jej myślach, bo wlepił w nią wzrok, jak gdyby chciał zapamiętać każdy rys jej zapłakanej twarzy, i spytał:

– Czy ty jesteś chora?

Pokręciła głową i odruchowo przetarła dłonią twarz, jakby w nadziei, że dzięki temu będzie znowu świeża i ładna. Kiedy Einar przymierzał się do kolejnego pytania, powiedziała szybko do widzenia, zamknęła okno, a potem patrzyła za nimi dwoma, jak idą razem wzdłuż podjazdu.

Kiedy Aldís usłyszała jakiś ruch przy narożniku głównego budynku, poczuła ucisk w żołądku. Wesoły, jasnozielony kolor przeciął mroczne i złowrogie otoczenie. Rozsunęła nieco firanki, gdy do jej uszu dobiegł wrzask. Einar i Tobbi chyba usłyszeli to samo, bo nagle zatrzymali się obok samochodu, którego silnik wciąż pracował. Zza rogu domu wyłoniły się dwie postacie zmierzające w kierunku środka podwórza. Chłopcy najpierw tylko przykucnęli, aby się ukryć, ale potem Einar otworzył ostrożnie drzwi auta i obaj wśliznęli się na tylne siedzenie. Większa postać wlokła za sobą tę mniejszą i nie zwracała uwagi na nic innego. Dopiero gdy podeszli bliżej, Aldís je rozpoznała.

Opuściła firankę i cofnęła się od okna. Czuła, jak podnoszą się jej włoski na rękach. Wyłączyła szybko światło, żeby nikt nie zobaczył jej przez szybę. A jeśli Eyjalín wyrwie się Veigarowi i ucieknie? Może wciąż ma przy sobie ten nóż, którym groziła jej dziś nocą w piwnicy. Ciekawość kazała Aldís znowu przysunąć się do okna. Widziała, jak Veigar usiłuje zaciągnąć szarpiącą się Eyjalín do domu, w którym znajduje się biuro. Prawdopodobnie chciał ją zamknąć w małej komórce, w której czasami zbuntowani chłopcy musieli czekać na przyjazd policji.

Aldís przyglądała się rozwojowi sytuacji jak zakłęta. Dziewczyna kopała, waliła pięściami i drapała Veigara po twarzy, gdy otwierał drzwi do domu. W końcu stracił panowanie nad sobą i uderzył ją mocno w policzek. Eyjalín się skuliła, a Veigar wciągnął ją do środka. Drzwi się zatrzasnęły, zaległa cisza, jakby Aldís to wszystko się tylko przyśniło. Potem w domu zapaliło się światło.

Aldís zwróciła spojrzenie na samochód. Tam nic się nie działo, ani Einar, ani Tobbi nie wychylili nawet głowy, żeby sprawdzić, czy na podwórzu nikogo już nie ma. Może wymknęli się stamtąd, kiedy Aldís obserwowała Veigara i Eyjalín.

Pewnie tak zrobili. Wokół auta zalegał jednak osobliwy spokój, którego przyczyny nie potrafiła do końca zrozumieć.

Usiadła na brzegu łóżka i przyjrzała się torbie. W czasie swojej podróży tutaj, na południe, kierowca autobusu umocował jej jeden koniec rączki sznurkiem. Może w drodze powrotnej do domu spotka go znowu. W gruncie rzeczy nie ma po co jechać gdzie indziej. Zaoszczędzone pieniądze nie wystarczą na żaden dłuższy pobyt w mieście, a poza tym kto by chciał zatrudnić młodą dziewczynę w ciąży? Najgorsze w tym wszystkim jest to, że jeszcze nie zadzwoniła do mamy. Chyba lepiej by było ukryć się za słuchawką telefonu, gdy zdecyduje się oznajmić jej tę nowinę. Nic już nie będzie takie jak do tej pory.

Ale tym zajmie się później. Zadzwoni z dworca autobusowego. Najważniejsza rzecz to podjęcie decyzji, co ma zrobić w tym momencie. Aldís nie chciała siedzieć na dworze w samochodzie i czekać, aż Veigar rozprawi się z Eyjalín, bo to mogło potrwać do nocy. Może w obecnej sytuacji pojedą dopiero jutro rano. Opadła na łóżko. Zamknęła oczy i starała się wyłączyć wszelkie myśli. Chciała jedynie mieć chwilę spokoju, po prostu być i nic więcej.

Na odgłos silnika samochodu zerwała się z krótkiej i płytkiej drzemki. Zwlekła się z łóżka, przekonana, że to Veigar odjeżdża z Eyjalín do miasta. Jednak jego auto wciąż stało na swoim miejscu. Na podwórze zajechał inny wóz i wysiadł z niego nieznanym Aldís mężczyzna w płaszczu. Rozglądał się wokoło, jakby źle trafił, gdy nagle pokazał się Veigar i kiwnął na niego.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Mimo to Aldís nie mogła oderwać się od okna i w końcu zobaczyła, jak Veigar, Eyjalín i ten obcy wychodzą z domu.

Eyjalín miała zwieszoną głowę i dała się prowadzić mężczyźnie w płaszczu, który objął ją ramieniem. Kiedy przechodzili obok samochodu Veigara, on otworzył drzwi kierowcy, chyba żeby wyłączyć silnik, lecz odskoczył gwałtownie do tyłu, zatykając sobie nos. Spróbował jeszcze raz, tym razem udało mu się przekręcić kluczyk w stacyjce, potem zaś krzyknął coś do nieznanego, który od razu ruszył w jego stronę. Eyjalín wyrwała mu się natychmiast i też popędziła do samochodu Veigara.

Rozdzierający krzyk dziewczyny przeszył ciszę. Cała trójka stała jak skamieniała, podczas gdy z domu wypadł Hákon w samej bieliźnie. Odepchnął dziewczynę od auta, zajrzał przez szybę do środka i otworzył tylne drzwi.

Aldís zakryła ręką usta, gdy zobaczyła, jak Hákon wyciąga z wozu jakąś postać i kładzie ją na śniegu. To był Einar. Po chwili wywłókł Tobbiego.

Obaj leżeli nieruchomo na ziemi. Jak ptak.

Podczas gdy Aldís stała przy oknie i obserwowała przez łyzy, jak Veigar wyjmuje z rury wydechowej coś, co przypominało czarną szmatę, zrozumiała, że to ona miała siedzieć na tylnym siedzeniu. Miała tam osunąć się bezwładnie i wbić

martwe spojrzenie w nocne niebo. A nie biedny, mały Tobbi.

Gdy dochodzi do przestępstwa, zawsze ktoś ponosi karę, tylko zwykle nie ten, kto zawinił.

– Jest mi wszystko jedno, Óðinn, czy ty mi wierzysz, czy nie. Już od dawna nie przejmuję się tym, co myślą o mnie inni ludzie. Gdyby nie Lára, a potem Rún, już dawno zgłosiłabym się do odpowiednich władz. W pierwszych latach po pobycie w Krókur wmawiałam sobie, że nikt mnie nie wysłucha, że nikt nie weźmie na poważnie słów młodej samotnej matki i że w rezultacie, gdy zwrócę im uwagę na całą sprawę, w przypadku wątpliwości to ja trafię za kratki.

Aldís opłótła ramionami swe szczupłe ciało i oparła się wygodnie na kanapie. Wokół niej leżały poduszki ozdobione haftami przedstawiającymi jelenie i kwiaty w ciemnoczerwonych i zielonych odcieniach. On i Lára też dostali w prezencie dwie podobne na swoje nowe mieszkanie, a kiedy po rozwodzie wybrał się kiedyś wyjątkowo do Láry, poduszki wyraźnie się rozmnożyły. Co się stało z tymi kiczowatymi i źle wykonanymi arcydziełkami po jej śmierci? Może jedną z nich włożono jej do trumny pod głowę.

– Poza wszystkim innym w tamtych czasach nie było tak łatwego dostępu do informacji jak dzisiaj. Bo jeśli nawet nigdzie nie znalazłam choćby najmniejszej wzmianki o dochodzeniu w tamtej sprawie, to wcale nie znaczyło, że ono się nie toczy. Ale kiedy dwa lata później nadal nie zobaczyłam w żadnej gazecie ani jednego słowa na ten temat, straciłam nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek coś się pod tym względem zmieni.

– Mnie to już nic nie obchodzi. Musisz przedstawić swoją wersję wydarzeń mojej następczyni. I przypuszczalnie także policji – odparł Óðinn. Chętnie napiłby się kawy, jednak Aldís nie zaproponowała mu niczego ani do picia, ani do jedzenia.

– To nie jest moja wersja wydarzeń, tylko zeznanie naocznego świadka. Powiedziałam ci tylko, co widziałam i co wiem.

– Ale to nie znaczy, że nie będziesz musiała porozmawiać jeszcze z innymi. W tym tygodniu się wyjaśni, kto doprowadzi raport do końca. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy dotrzymać terminu.

– Twoim zdaniem w tym wszystkim chodzi jedynie o jakiś tam raport? – spytała.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekł Óðinn z opanowaniem. Ich rozmowy zawsze zamieniały się w kłótnie. – Ale raport daje ci szansę opowiedzenia wszystkiego. Jeśli rzecz jasna chcesz. Przypuszczam, że dla Róberty nie byłeś zbyt miłą, prawda?

– Co to za głupia baba. Nie wiem, o co jej chodziło, ale sprawiała wrażenie, jakby reprezentowała interesy Eyjalín i na jej zlecenie chciała grzebać w mojej przeszłości. Więc możesz chyba zrozumieć, że nie miałam ochoty jej pomagać.

Teraz, kiedy niemal wszystkie elementy układanki trafiły już na swoje miejsce, Óðinn ani przez chwilę nie wątpił, że to Aldís wysyłała e-maile do Róberty, groziła jej i na niej wyładowywała swój tłumiony przez dziesiątki lat gniew. Stary komputer z ogromnym monitorem dawnego typu stojący w jadalni potwierdzał jego teorię.

– Groziłaś jej? – spytał.

Aldís mocniej oplotła się ramionami.

– Nie docierało do niej, że nie chcę z nią rozmawiać. Miałam po dziurki w nosie tych jej ciągłych telefonów i do domu, i do pracy. Mam sześćdziesiąt lat i nie jestem niezastąpiona, a konkuruję z imigrantami, którzy nie stawiają żadnych warunków. Nikt nie chce pracownika, który bez przerwy wisi na telefonie. Zostało mi jeszcze sześć lat do emerytury, a zasiłek dla bezrobotnych przysługuje tylko przez dwa lata. Ty, ze swoim świetnym wykształceniem, powinieneś umieć szybko wyliczyć różnicę. W końcu trudno jest żyć przez parę lat samym powietrzem. – Aldís rozplotła ramiona i głęboko westchnęła. – Owszem, wysłałam jej kilka e-maili. A co innego mogłam zrobić? – dodała po chwili.

– Nie wiem. – Óðinn poprawił się na skrzypiącym krześle. Chyba już od dawna nikt na nim nie siedział. – Nie przyszedłem tu po to, żeby roztrząsać twoją przeszłość, Aldís.

Nie miał prawa osądzać jej życia i wcale tego nie chciał. Przeszłość nie jest już tak bardzo ważna, z wyjątkiem kilku szczegółów, które musiał poznać, aby Rún i on mogli żyć normalnie.

– Jeśli Lilja chciała cię zabić i dlatego wetknęła szmatę do rury wydechowej, to być może zostanie oskarżona, choć nie robiłbym sobie raczej zbyt dużych nadziei. Niewykluczone, że ona była jedyną osobą, która wiedziała, że będziesz czekać na Veigara w samochodzie, jednak po tylu latach same twoje słowa mogą nie wystarczyć prokuratorowi, żeby wszcząć postępowanie. Zwłaszcza że Eyjalín robi wszystko, aby go przekonać, że to ty zabiłaś. Wprawdzie nie jestem prawnikiem, ale myślę, że bardzo dokładnie przyjrzą się motywom. W końcu ludzie nie zabijają ot tak, po prostu, bez żadnego powodu. I jeśli Lilja nie miała przekonującego motywu, żeby chcieć cię zamordować, nikt cię nie wysłucha.

– Sądzisz, że się nad tym nie zastanawiałam? – zapytała Aldís.

Po chwili powiedziała mu o zdeformowanym noworodku, którego Veigar prosto z łóżka porodowego swojej żony zakopał pod drzewem na podwórzu. Opowiedziała mu z detalami, jak to nie zapanowała nad sobą i rzuciła im obojgu prosto w twarz, że wie o losie tego dziecka, i o reakcji Lilji, z której jednoznacznie

wynikało, że całej prawdy dowiedziała się dopiero z ust Aldís. Kiedy uświadomiła sobie, że dziecko zostało zakopane żywcem i że uśmiercił je jej mąż, kompletnie się załamała.

Potem rozpacz Lilji skierowała się przeciw Aldís, którą uważała za dziwkę. Kiedy już nic nie da się uratować, często zabija się postać złej wiadomości.

- Zastanawiałam się nad tym, kiedy jechałam autobusem z powrotem na północ, i w każdy wieczór przez wszystkie następne lata. Nie miałam atrakcyjnego życia: sama z Lárą u mojej matki. Ale może w końcu kiedyś bym zapomniała. Lecz pojawiła się Róberta...

Aldís sięgnęła po poduszkę i zaczęła ją głaskać jak kota. Nagle wydała się zupełnie przegrana, jak obrońca w sądzie, który wyliczył już wszystko, co wskazuje na niewinność oskarżonego, jednak w końcu zauważa, że to nie wystarczy.

- Przyszedłem nie po to, żeby o tym rozmawiać, Aldís - powiedział Óðinn i zerknął kątem oka na poduszkę. Aldís odłożyła ją na bok. - Muszę porozmawiać z tobą o twoim stosunku do Lóry. I do Rún.

- Lepiej, żebyś tego nie robił - odparła. Jej policzki nagle nabiegły krwią z złości, a Óðinn w tym momencie potrafił sobie wyobrazić, jak jego teściowa musiała wyglądać jako młoda kobieta. Pewnie była ładna, ale nie piękna, czyli reprezentowała typ urody uznawany przez większość mężczyzn za atrakcyjny.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał, wyczerpany już jej niemającą końca kłótnością.

- Dobrze wiem, do czego zmierzasz. Teraz będziesz mi robił wyrzuty, do których nie masz prawa - prychnęła. - Staralam się wychować Lárę tak, żeby nie spotkał ją taki sam los jak mnie i moją matkę. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo byłam wstrząśnięta, kiedy od niej odszedłeś i historia się powtórzyła. Mimo wszystkich moich wysiłków, żeby do tego nie dopuścić. - Spojrzała na niego z taką wzdargą, że i on poczuł wypieki na policzkach. - Właściwie to twoja wina, że nasze stosunki były takie złe. Wszystko, co mówiłam i robiłam, żeby je odbudować, Lára odbierała jako atak. Być może w przyszłości doświadczysz tego samego na własnej skórze. Chociaż może nie, bo za bardzo kocham Rún.

- Chyba wiem, co się stało tamtego ranka - odparł Óðinn. Musiał przejść wprost do rzeczy, jeśli nie chciał wysłuchiwać jeszcze dłużej oskarżeń i obwinień. - O nic specjalnego mi nie chodzi, chcę tylko, żebyś się nie widywała z Rún. Ona musi patrzeć teraz w przyszłość. Jeśli wciąż jeszcze pamięta tamten dzień, to ja wolę, żeby o nim zapomniała. Nie chodzi mi o sprawiedliwość. Kieruję się wyłącznie dobrem Rún. Sama zdecydujesz, co zrobisz. I nie martw się, z nikim o tym nie rozmawiałem.

Z twarzy Aldís zniknął wyraz pogardy. Teraz sprawiała wrażenie przerażonej.

– O czym ty właściwie mówisz? – spytała.

– O Lárze. O upadku. Wiem, że ją popchnęłaś. Nieważne, czy niechcący, bo i tak nie da się już tego cofnąć. Nie pójdę na policję. Chcę tylko, żebyś zostawiła Rún i mnie w spokoju.

– Co z ciebie jednak za głupek.

Jej głos brzmiał ciepło i współczująco, zupełnie inaczej, niż Óðinn się spodziewał. Wydawało mu się, że w kąciku jej oka błysnęła łza, ale to pewnie tylko złudzenie, odbłask lampy stojącej przy kanapie. Aldís, patrząc przed siebie, lekko westchnęła. Potem spojrzała mu prosto w twarz i opowiedziała całą historię. Óðinn siedział, w ogóle się nie odzywając, słuchał, aż w końcu nie wytrzymał i wyszedł, nie mówiąc do widzenia. Klucz do garażu Róberty wciąż miał w kieszeni.

Ołówek przesuwiał się po pustej kartce notesu w tę i z powrotem, pozostawiając na niej błyszczącą jednolitą stalową powierzchnię i jaśniejsze cienie po literach z kartki, która była na wierzchu i została wyrwana, kiedy Rún pisała list do Láry. Zamierzał zamalować całą kartkę, żeby odczytać list od początku do końca, lecz kiedy wyraźnie zobaczył jeden czy dwa wyrazy, stracił ochotę, w końcu jednak mimo wszystko się zmusił. Nie mógł niczego pomylić, stawka była zbyt duża. Lektura przychodziła mu z trudem i gdy doszedł do ostatniego słowa, wyrwał kartkę z bloku i ją zgniół. Nie mógł sobie wyobrazić, by mógł przeczytać ten list jeszcze raz, nie chciał go już widzieć na oczy. Ze zmiętą kartką w zaciśniętej pięści siedział w kuchni i się zastanawiał. Co się teraz stanie i jak obrócić wszystko ku dobremu, ocalić to, co jeszcze jest do ocalenia? Bez względu na to, jak bardzo będzie sobie łamał głowę, nie znajdzie wyjścia. Cokolwiek teraz przedsięwzięmie – i tak nigdy się z tym nie upora. Czy byłby gotów wejść w ogień, żeby uratować własne życie? Wyjść z niego poparzony na całym ciele, by stawić czoło życiu i cierpieniom, które potem by go czekały? Nie. Czy naraziłby na coś takiego Rún? Nie.

Óðinn porwał kartkę na strzępy, wyszedł na balkon i cisnął na wiatr. Później chodził w tę i z powrotem po pokoju i myślał, aż rozboleła go głowa. Rozmasował sobie skronie, uderzył się kilka razy dłońmi po policzkach i zawołał córkę do siebie.

– Rún, idziemy do stryjka Baldura!

Wciągnął buty, wybrał numer brata i powiedział mu, że zaraz do niego wpadną. Następnie odłożył słuchawkę i spojrzał na Rún, która właśnie zapinała kurtkę. Uśmiechnęła się, ciekawa tej niespodziewanej wizyty, a on odpowiedział jej też uśmiechem.

Właśnie ten jej uśmiech przywołał sobie w pamięci, kiedy w Hamburger-Laden

wsuwał jej do ust tabletkę nasenną, którą przepisał mu lekarz po śmierci Lóry, przypomniał mu się także jej swawolny śmiech wcześniej u Baldura i Siggii. Co rusz słyszał radosny ton jej dziecięcego głosu, kiedy żegnała się z obojgiem obietnicą, że przyjdzie do nich znowu w weekend. Przemknął mu też przez głowę obraz, gdy w samochodzie oznajmił jej, że nie będzie już musiała chodzić na treningi piłki ręcznej, i zaproponował, żeby zjedli kolację w Hamburger-Laden, za co w podziękowaniu dostał całusa. Jak normalny ojciec z własną córką. Nikt by nie mógł przypuścić, że wkrótce on właśnie na zawsze uśpi siebie i swoje dziecko.

Ale gdyby ktoś zairzał do samochodu, kiedy zaczął działać środek nasenny i głowa Rún opadła jej bezwładnie na pierś, na pewno by się przeraził. Zwłaszcza łzami na policzkach ojca, gdy córka straciła świadomość. Nikt jednak nie próbował go powstrzymać. I nikt nie przeszkodził mu wjechać ze śpiącym dzieckiem na siedzeniu pasażera do garażu Róberty i zamknąć drzwi, chociaż przez moment miał wrażenie, że w jednym z mieszkań poruszyła się firanka.

Ódinn wyłączył silnik, został na siedzeniu kierowcy obok swojej śpiącej córki i po raz ostatni się zastanowił. Jeśli z powrotem przekręci kluczyk, nie będzie już odwrotu.

Ten zatrważający list przesunął mu się przed oczami linijka po linijce niczym film.

Kochana Mamo, proszę, wybac mi, że Cię zepchnęłam z okna. Nie możesz być na mnie zła, sama byłaś winna. Próbowałam pozamiatać skorupy, tak jak mi kazałaś, i gdybyś przestała na mnie wymyślać, nie szturchnęłabym Cię szczotką. Nie miałam tyle siły, żeby ją utrzymać razem z Tobą i wciągnąć Cię na górę, kiedy się jej złapałaś. A doniczkę też rozbiłam przez Ciebie. Po prostu byłam na Ciebie strasznie zła. Powiedziałaś, że kłamię. Ale ja naprawdę widziałam tatę ze swojego pokoju. Na pewno chciał mnie zabrać, tak jak mówiłam. Wściekłam się, kiedy powiedziałaś, że taki osioł jak on nigdy nie wstałby tak wcześnie, a już na pewno nie po to, żeby przyjechać po mnie. Nie powinnaś mówić ciągle złych rzeczy o tacie. Może on też miał dość, że ciągle na niego pomstujesz, i dlatego odszedł od nas. Wybac, proszę, tacie, on nie zrobił tego specjalnie. Tata mnie kocha. Czy kiedy Cię teraz przeprosiłam, to przestanieś już pojawiać się w moich snach? Kocham Cię, całusy, Rún.

Ten list potwierdzał wcześniejsze słowa Aldís.

Kiedy drżącymi rękami otworzyła drzwi do mieszkania, zastała Rún już na nogach i w szoku. Aldís fałszywie zinterpretowała wydarzenia i założyła, że dziewczynka, która zachowywała się jak błędna, widziała upadek Lóry. Zaprowadziła ją do jej pokoju. Siedziała z nią na łóżku do chwili, kiedy

przyjechała policja. I dowiedziała się od Rún, że to ona popchnęła mamę, ale to nie była jej wina, tylko mamy. Nieprzytomna z przerażenia Aldís skłamała, że dopiero co obudziła wnuczkę, i w ten sposób zapobiegła jej przesłuchaniu od razu na miejscu. Kiedy potem została znowu sama z nią, zaczęła wbijać jej do głowy, co ma mówić: że spała. Wtedy Rún spojrzała na nią i powiedziała, że nie wie, o co jej chodzi. Przecież wiadomo, że spała, to jasne. Aldís przestała w tym momencie cokolwiek rozumieć i sama już zważyła we własny rozsądek. A jednocześnie przez cały czas wiedziała, że ma rację, i przy każdej okazji usiłowała nakłonić Rún do tego, żeby wyrzuciła wszystko z siebie i wygadała się przed nią – na próżno. Z troski o swą jedyną wnuczkę nie powiedziała o tym nikomu i nie zawiadomiła policji.

Kierowany taką samą troską Óðinn przekręcił teraz kluczyk w stacyjce i otworzył okna. Jeśli prawda wyszłaby na jaw, życie Rún byłoby zrujnowane. Uznano by ją za osobę wymagającą stałej opieki psychiatrycznej i przenoszono z zakładu do zakładu. Dorosłym wymierzano karę i po paru latach rehabilitowano, ale z dziećmi było inaczej. Óðinn obawiał się, że Rún może być psychicznie chora. A jeśli tak, to nie można wykluczyć, że – niezależnie od tego, jak mocno by ją wspierał – w końcu powtórzyłaby to jeszcze raz: popchnęłaby pod samochód kolegę ze szkoły, który by ją zirytował, albo utopiła w wannie dziecko, które Baldur i Sigga kiedyś adoptują. Czy popełniłaby inne przestępstwo. Nawet jeśli uda mu się utrzymać w tajemnicy okoliczności śmierci Láry, już nigdy nie będzie znowu szczęśliwy – nie mówiąc o Rún.

Óðinn ujął szczupłą dłoń córki. Jej drobne palce lekko drgnęły. Ścisnął je trochę mocniej. Powietrze było ciężkie i szare, jak w lekkiej mgłę. Już nie czuł się źle. Było mu całkiem dobrze. Uśmiechnął się i głęboko odetchnął. I niemal natychmiast tak bardzo poprawiło mu się samopoczucie, że całkiem zapomniał, dlaczego siedzi razem z córką w jakimś obcym garażu w szarym dymie.

Uśmiechnął się szeroko, błogi i szczęśliwy obok swojego dziecka. Jego powieki robiły się coraz cięższe i opadały. Zanim zamknęły się na dobre, miał wrażenie, że widzi Láre, która z rozgniewaną twarzą przechodzi obok samochodu. Z ogromnym wysiłkiem uniósł znowu powieki – nie było nikogo. Na jego ustach ponownie pojawił się uśmiech. Siedzieli tu teraz we dwójkę, on i Rún. Nie pamiętał już dlaczego, wiedział jedynie, że tak jest mu dobrze. Nie mogło być lepiej.

Spiker skończył czytać informację na temat dochodzenia w sprawie śmierci Óðinna.

– Wyłącz to!

Baldur siedział w szlafroku przy wyspie pośrodku kuchni i patrzył na Siggę przygotowującą kawę. Przed nim leżały weekendowe wydania gazet. Na widok każdego kolejnego artykułu o swoim bracie i domu wychowawczym w Krókur nie mógł się powstrzymać, by nie zakląć.

– Powinniśmy zrezygnować z tej prenumeraty. To jest po prostu nie do wytrzymania!

– To minie – powiedziała Sigga, ziewając, po czym włożyła sobie do ust winogrono. – Lada dzień wydarzy się coś nowego i media skupią się na czymś innym. Po prostu pech, że akurat w tym momencie nic ciekawego się nie dzieje.

– Ale można chyba wymagać, żeby przynajmniej pomyśleli o bliskich, zanim obrzucą człowieka błotem.

Sigga przełknęła winogrono i przyniosła dwie filiżanki na kawę.

– Musisz przyznać szczerze, że przeczytałeś w swoim życiu tysiące artykułów, w których szkalowano ludzi, i raczej nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałeś. Ci, których nie znamy, są nam obojętni. Tak to już jest. – Ustawiła się przed ekspresem do kawy, jakby chciała go popędzić. – Wyrzuć te gazety do kosza, i już. Nie chcę, żeby Rún je widziała, ja też nie mam ochoty ich czytać.

Mimo swego świętego oburzenia Baldur brnął dalej.

– Tu jakiś przemądrzalec uważa, że w Krókur nie doszło do żadnego dzieciobójstwa, bo szczątki wykopane przez policję na podwórzu wskazują na to, że niemowlę nie miało mózgu i dlatego nie było człowiekiem. Czyli to tak, jakby zabito jakiś organ, a nie ma żadnego przepisu, który zabraniałby na przykład mordu na wątrobie. Mam nadzieję, że pocieszy to matkę dziecka, bo na więcej współczucia nie może raczej liczyć – prychnął. – A tu znowu jakiś kolejny mędrak porównuje dzisiejsze spaliny z tymi z siedemdziesiątego czwartego roku. Według niego Óðinn miał po prostu pecha, że zmarł. Bo wtedy wystarczyła ich o wiele mniejsza ilość, żeby kogoś zabić, bo były bardziej trujące. – Baldur spojrzął znad gazety. – Co to w ogóle ma do rzeczy? Co to dziś zmienia?

Sigga nie chciała mu już więcej powtarzać, że powinien przestać czytać

informacje na ten temat i w ogóle nie zwracać uwagi na teksty o tragedii w garażu i raporcie Óðinna o domu w Krókur. Obie te sprawy nieustannie łączono i roztrząsano razem.

Baldur czuł się dotknięty sposobem, w jaki pisano o jego bracie. Po wydarzeniach ostatnich tygodni miał tego dość.

– Nie będę już przyjmował żadnych darmowych gazet i jutro zrezygnuję też z prenumeraty. Wystarczy! – oznajmił, złożył gazetę i wepchnął ją do kosza na śmieci. – Powinienem był to zrobić od razu, jak tylko tu zadzwonili.

Zacisnął mocniej pasek szlafroka. W domu było zimno, a kaloryfery potrzebowały trochę czasu, żeby się rozgrzać.

– Zresztą kto miałby ochotę rozmawiać z prasą po takiej tragedii? – dodał jeszcze.

– Na przykład kobieta z bloku, która widziała Óðinna, jak wjeżdżał do garażu jej nieżyjącej sąsiadki, i zadzwoniła na policję, Diljá, która pracowała z nim nad tym cholernym raportem, babcia Rún i pewnie jeszcze parę innych osób. Może ten dziennikarz chciał porozmawiać z tobą tylko po to, żeby lepiej zrozumieć, co się stało. Na jego miejscu tak bym zrobiła.

Kawa była wreszcie gotowa. Ostatnie krople jeszcze kapąły z lejka, ale Sigga zdjęła już szklany dzbanek i napełniła filiżanki. Intensywny zapach gorącego napoju podziałał na nią orzeźwiająco.

– Skąd mieli się domyślać, że wiesz o całej tej sprawie tyle samo co inni? – powiedziała.

Baldur wziął do ręki filiżankę i zakołysał nią, żeby mleko zmieszało się z kawą.

– Myślisz, że mogłem temu zapobiec? – Wypił łyk i zamknął oczy, czekając, aż zadziała kofeina. – Ciągłe się nad tym zastanawiam, czy Óðinn, kiedy przyszedł tu do nas z Rún, nie powiedział albo nie zasugerował czegoś, co powinno było włączyć mi dzwonek alarmowy.

– Baldur, przecież już to przerabialiśmy. On nie zachowywał się inaczej niż zawsze.

– Po prostu nie rozumiem.

– Nikt nie rozumie. – Sigga wypita łyk kawy, starając się jednocześnie ogrzać sobie dłonie o ciepłą filiżankę. – Aha, zupełnie zapomniałam. Wczoraj znowu dzwoniła babcia Rún. Wciąż koniecznie chce z tobą porozmawiać.

Baldur miał dobrą pamięć i niełatwo zapominał urazy. Kiedy Aldís poszła do prasy i opowiedziała całą historię o domu w Krókur, zerwał z nią wszelkie kontakty. Dlatego ona teraz próbowała dotrzeć do niego przez Siggę.

– Nie powiedziałaś jej, że dla mnie sprawa jest zamknięta?

– Powiedziałam, że nie chcesz z nią rozmawiać i żeby więcej tu nie dzwoniła.

– I co ona na to?

– Chyba w końcu pojęła. Ale mam ci przekazać, że zwróciła się do prasy, bo policja nie chciała w ogóle jej słuchać. Po prostu nie miała wyboru.

– Tak, tak, jasne. – Baldur wskazał kosz na śmieci, w którym leżały wyrzucone gazety. – Ale nie musiała tego robić tuż po śmierci Óðinna. Nie byłoby teraz tej całej pisaniny. Co nią kierowało? Milczała przez dobrych kilkadziesiąt lat, aż tu nagle tak ją przypiliło. Ma chyba nie po kolei w głowie.

– Mówi, że chodziło o to, aby uprzedzić jakąś Eyjalfn. – Sigga uniosła rękę, kiedy zauważyła, że Baldur znowu ma zamiar wybuchnąć. – Nie wyzywaj się na mnie, ja tylko przekazuję ci to, co od niej usłyszałam. Ale myślę, że w najbliższym czasie już raczej do nas nie zadzwoni.

Baldur opuścił ramiona, a jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

– To dobrze, bardzo się cieszę.

– To znaczy mam taką nadzieję. Obiecała, że nie będzie dzwonić, ale dodała jeszcze, że ma informacje, które na pewno chciałbyś usłyszeć. To wszystko razem jest bardzo dziwne – podsumowała Sigga i sięgnęła po kolejne winogrono.

– Więc dlaczego ci tego po prostu nie powiedziała, skoro to takie ważne? – spytał Baldur.

– Chce przekazać to tylko osobie z rodziny, ja nie wchodzę w rachubę, bo przecież kiedyś możemy się rozstać – rzekła Sigga, uśmiechając się do Baldura. – Z tą biedną kobietą chyba rzeczywiście nie wszystko jest w porządku.

– Kogo tam niesie?

Dziecięcy głosik, który rozległ się w drzwiach do kuchni, nie był bynajmniej zaspany. Sigga i Baldur trochę się zmieszali. Musieli teraz przyzwyczaić się do tego, że nie są sami w domu. Nie mieli pojęcia, jak długo Rún stoi już w drzwiach, a byli za mało doświadczeni w kontaktach z dziećmi, by dowiedzieć się okreśłą drogą, ile usłyszała.

– Dzień dobry, szanownej pani! – Baldur rozłożył szeroko ramiona. – Jak się spało?

– Dobrze.

Rún wdrapała się na wysoki stołek obok niego. Miała na sobie nową piżamę, którą dostała od Siggii zaraz po wyjściu ze szpitala. Baldur wolał nie zabierać żadnych rzeczy z mieszkania Óðinna, bo chciał, aby Rún całkowicie odciąła się od przeszłości. Na łapu-capu urządzili jeden z pokoi w guście jedenastoletniej dziewczynki i zapełnili szafę nowymi ubraniami. Zaczęło się nowe życie, a stare zamieciono pod dywan. Sigga miała wątpliwości co do tak drastycznej zmiany, ale

nic nie mówiła. Skąd mogli wiedzieć, co w przypadku tak potwornej tragedii jest najlepsze? To potrafiliby ocenić tylko fachowcy, jednak Baldur był stanowczo przeciwny, by Rún z nimi rozmawiała. Lekarze radzili im wysłać ją do psychologa, gdy tylko odzyska siły, lecz on kategorycznie odmówił. Sigga musiała przyznać, że też nie była do tego przekonana, zwłaszcza kiedy się dowiedzieli, że swego czasu nawet Óðinn korzystał z pomocy terapeutki. A jednak terapia go nie uratowała.

– Śnił mi się tata.

Oboje spojrzeli na siebie. Aby cisza nie trwała zbyt długo i nie zrobiła się niezręczna, Sigga wtrąciła szybko:

– A wiesz co, Rún? Mnie też się śnił. Tak dużo o nim myślimy, że to zupełnie normalne.

Sigga uśmiechnęła się, choć wcale nie była w nastroju. Nie kłamała, Óðinn rzeczywiście jej się przyśnił i chociaż nie mogła sobie przypomnieć szczegółów, po śnie pozostało jej nieprzyjemne wrażenie.

– Nie był szczęśliwy – powiedziała Rún i oparła brodę na dłoniach.

– Co takiego? – Baldur klepnął ją po kumpłowsku po ramieniu. – Co ty opowiadasz? Oczywiście, że jest szczęśliwy, przecież jest w niebie. Tam wszystkim jest dobrze. Nie powinniśmy już o nim tyle myśleć. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Zastanawiałem się na przykład, czy nie wybralibyśmy się we dwójkę do kina, kiedy Sigga pójdzie na fitness.

Rún uśmiechnęła się z trudem, dalej z brodą opartą na rękach. Potem zdjęła łokcie ze stołu i potaknęła. Otrząsnęła się lekko i oznajmiła, że pójdzie się ubrać.

– Zimno mi – dodała.

W progu obejrzała się jeszcze. Nogawki jej różowej piżamy były trochę za długie, a całe spodnie zsuwały się z bioder. Wyglądała na malutką i bezradną. Sigga poczuła ukłucie w sercu i zwymyślała samą siebie w duchu, że nie dobrała odpowiedniego rozmiaru. Ale przecież Rún będzie szybko rosła i nawet się człowiek nie obejrzy, a trzeba ją będzie ubrać na nowo. Mrugnęła do małej, ona zaś uśmiechnęła się nieznacznie i zniknęła w przedpokoju.

– Damy radę. – Sigga pochyliła się nad stołem i wzięła Baldura za rękę. Poczuła przez rękaw szlafroka zimno granitowej płyty i dostała gęsiej skórki. – Damy radę.

Usiłowała odegnać sen, który miała w nocy, i powtórzyła znowu jak mantrę:

– Damy radę.

Baldur pocałował ją w rękę, zostawiając na grzbiecie jej dłoni brązową plamę po kawie.

– Jasne, wiadomo!

Ale jego głos nie brzmiał tak przekonująco, jak by sobie tego życzył.

Rún lekko przekrzywiła głowę, kiedy stała w drzwiach do kuchni w nadziei, że może jeszcze coś usłyszy. Westchnęła, ale nie wiedziała, czy to ze szczęścia, czy ze strachu. Dobrze jej tu było. Stryjek Baldur kochał ją i ciocia Sigga też. Właściwie czuła się u nich lepiej niż z tatą i o wiele, wiele lepiej niż z mamą. Szkoda tylko, że ani tata, ani mama nie umieli tego zrozumieć. Gdyby ją tak bardzo kochali, jak mówili, to byłiby po prostu szczęśliwi i daliby jej spokój.

Rún otworzyła ostrożnie drzwi do swojego pokoju i od progu przyjrzała się całemu pomieszczeniu. Lampka nocna jeszcze się paliła. Kiedy wstała, nie włączyła lampy pod sufitem, bo chciała jak najszybciej znaleźć się z Baldurem i Siggą w kuchni. Tam było o wiele przytulniej niż w jej ślicznym pokoiku pełnym cieni. Zanim weszła, wyciągnęła rękę do wyłącznika przy drzwiach i przycisnęła go. Cienie zniknęły, zrobiło się lepiej. Rún westchnęła. Dadzą radę, jak powiedziała Sigga. Trochę się obawiała, jak to będzie, kiedy Baldur znowu wróci do pracy, bo wtedy bardzo często długo nie ma go w domu. Tak mówił tata. Poczuła, jak włoski podnoszą się jej na karku, jak tylko pomyślała o tacie. „Nie myśl o nim, nie myśl o nim”. Najlepiej powtarzać sobie, że dadzą radę. To przecież jasne, tak?

Rún ubrała się szybko. Szafa była pełna różnych strojów w najrozmaitszych kolorach, ale ona zawsze wkładała te same džinsy i sweter z dużym krzyżem na piersi. W tym czuła się najlepiej i nie chciała nic innego. Bóg zobaczy krzyż i pomyśli, że ona jest dobra i będzie na nią uważał. Może powinna poprosić Siggę, żeby kupiła jej też krzyżyk do noszenia na szyi. Wtedy Pan Bóg już na pewno uwierzy, że jest dobrą dziewczynką. I wszystko będzie dobrze.

Wyszła z pokoju, zamknęła za sobą drzwi, ale światło zostawiła zapalone. Przebiegła przez przedpokój, najchętniej puściłaby się pędem, ale się opanowała, żeby Baldur i Sigga nie pytali, dlaczego się tak spieszy. Nie chciała im mówić, co ją tak goni. Mimo wszystko jednak wpadła do kuchni z impetem.

– O, jest mój szalony wicher! – zawołał Baldur ze śmiechem i uniosł brwi, zadowolony, że ją znów widzi. On na pewno ją kocha. Nagle zrobiło jej się bardzo ciepło. Teraz ma już wszystko, czego pragnęła. Po chwili uczucie ciepła osłabło i po plecach przebiegł lekki dreszcz. Byłoby cudownie, gdyby Baldur i ona byli sami. Gdyby nie było Siggę, wtedy on musiałby się nią zajmować, nie mógłby już chodzić do pracy i zawsze siedziałby w domu. I każdego dnia byłiby razem.

Rún uśmiechnęła się szeroko do Baldura. Odpowiedział jej uśmiechem.

Byłoby cudownie.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz

SPIS TREŚCI

POSTACIE WYSTĘPUJĄCE W KSIĄŻCE

KONIEC

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

POSŁOWIE